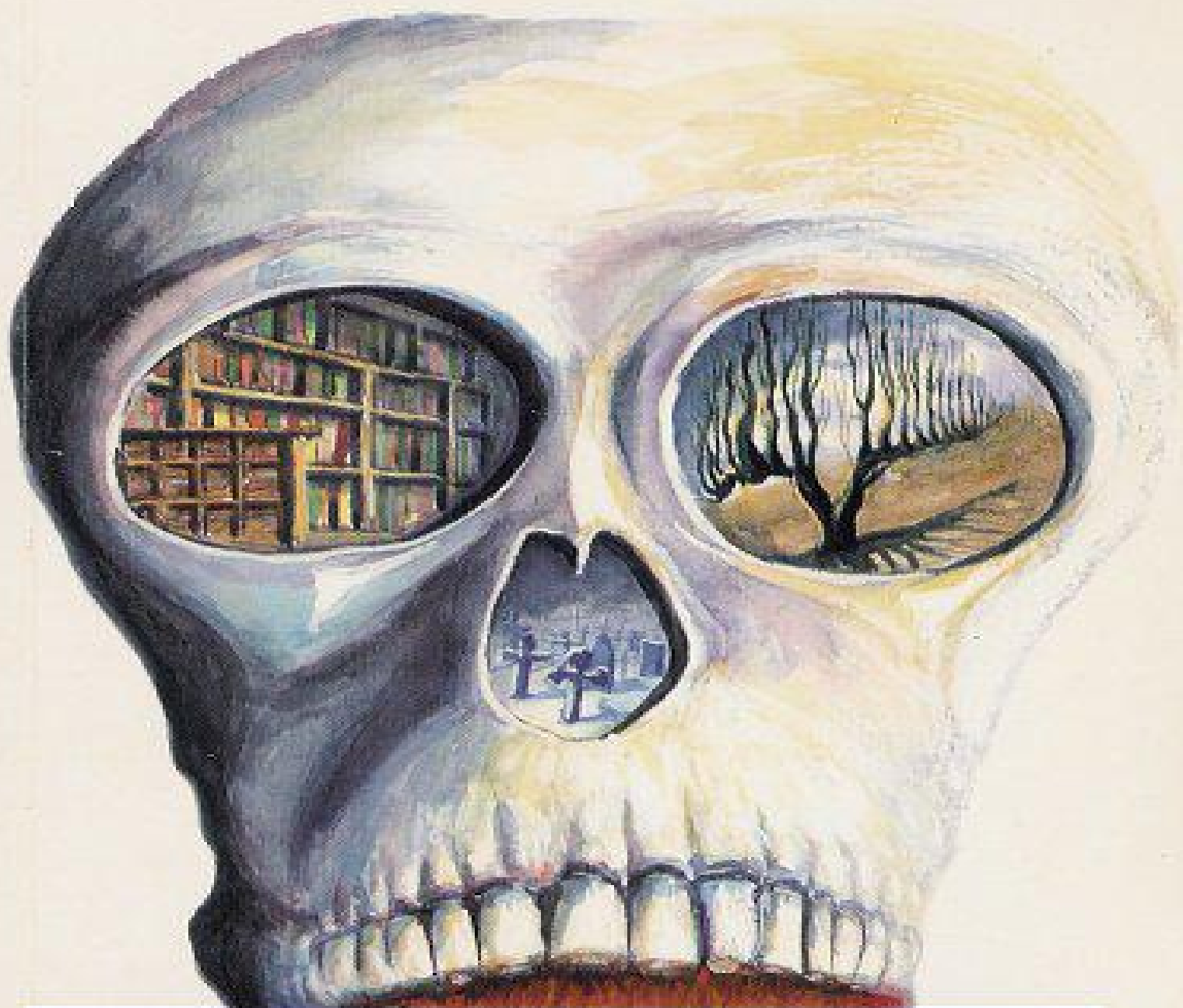


MAREK S.
HUBERATH

GNIAZDO ŚWIATÓW



superNOWA

Marek S. Huberath

Gniazdo Światów

Cokolwiek ledwie rozróżnieniem,

Czarne i białe, zero i jeden,

Tu nic ponad pieśń.

1.

Ustały twarde uderzenia amortyzatorów o pas startowy. Samolot zahamował; hałas silników zmienił ton, wreszcie ucichł. Ale ich grzmot jeszcze brzmiał w głowie Gaveina, przetwarzając swój jednostajny dźwięk w migrenę. Pilot podał przez głośnik spodziewany czas w Davabel.

Podróż trwała trzydzieści sześć godzin; w niewygodzie, na metalowym siedzeniu, które szczelną klatką więziło biodra. Wstać i wyjść za potrzebą można było wyłącznie podczas przerw ogłaszanych przez megafon. Wtedy też pozwalano zdejmować czarne, metalowe okulary. Kolejka tłoczyła się przed drzwiami jedynej toalety. Później należało niezwłocznie zająć miejsca i założyć gogle; znów stawało się nieznośnie gorąco, pot ciekł po plecach, dreszczyki i mrowienia ganiały po skórze, zaś ciemność przed oczyma zasłoniętymi blachą była ledwie czymś między brunatnością a purpurą.

W czasie jednej z przerw odezwał się sąsiad:

– Wie pan, po co te okulary i ta klatka na tyłek?

– Nie... – mruknął Gavein.

Tamten, masywny, siedemdziesięcioletni grubas, wystawał poza swoje siedzenie; przygniatał Gaveina barkiem.

– Wiem, bo już latałem. To jest podwójne zabezpieczenie...

Cholerny gaduła – pomyślał Gavein. – Widać, że emeryt. Jasne, że już leciał.

– Te blachy na oczy są po to, żeby nie widzieć, jak całe pudło wygina się, trzęsie i rozlatuje w powietrzu – kontynuował stary. – A ten blaszany sedes po to, żeby nie wyskoczyć ze strachu z samolotu, kiedy komuś przypadkiem spadną blachy z oczu...

Gavein skrzywił się, udając uśmiech; nie podjął rozmowy.

Był zatopiony w myślach; przed oczyma miał stale żonę, chwilę pożegnania. Na twarzy Ra Mahleine widniały niezadowolenie i niewiara. Gdy anioł straci wiarę, nie zdoła tego ukryć. A ona miała oblicze anielsko łagodne i przepastnie błękitne, niewinne oczy dziecka. Gavein kiedyś utonął w ich błękicie i chciał tonąć w tej otchłani przez resztę życia.

Tym razem jej oczy były nieruchome, poważne, surowe, choć jak zawsze głębokie. Nie uwodzicielskie, lecz jakby twarde, nieustępliwe. Tak patrzy kobieta, która mocno kocha i przepełniona jest niepokojem. Potem z jej oczu popłynęły łzy. Jakoś tak zbyt szybko, zbyt obfitą strużką.

Gdy odchodził korytarzem, pękła maska:

– Gavein! Gavein! – to był krzyk rozdieranego serca; czterech lat samotności przeciwko pięciu

latom małżeństwa. Szarpnęła się jak ptak, ale dzieliły ich już dwie barierki i kordon urzędników i żołnierzy. Nie mógł jej jeszcze raz zamknąć w ramionach.

Życie potraktowało ich oboje nierówno: jemu dało trzy dni lotu do Davabel; jej cztery lata żeglugi. Sama tak wybrała, by pozostać z nim: okłamać czas, ominąć prawo o obowiązkowym małżeństwie kompensacyjnym.

O tej powinności dowiedzieli się przypadkiem. Zastyszana wiadomość może zmienić życie. Ra Mahleine sama zdecydowała o podróży z maksymalną kompensacją; nawet nie próbowałby jej tego narzucać. Gavein dziwił się, że przyszło jej to tak łatwo – po prostu powiedziała, co zrobiją.

Nie mógł oderwać się od natrętnych myśli. Przed oczyma przelatywały oderwane obrazy, strzępy wspomnień.

Ich małżeństwo od początku było łamaniem reguł; choćby tej podstawowej: biali stanowili najwyższą warstwę w Lavath, pozostałych traktowano lepiej niż w innych Krainach, lecz małżeństwa mieszane były nie do pomyslenia.

Ra Mahleine należała do tych, co uzyskują kategorię społeczną jednogłośnie. Włosy miała złocistożółte, jasno-błękitne oczy, nie szarawe, jak często zdarza się w wypadkach wątpliwych.

Gavein, gdy tylko wiosenne słońce nabierało siły, łapał śniadą opaleniznę. Mężczyźni z reguły mają nieco ciemniejszą karnację, ale w przypadku ich dwojga ta różnica była szczególnie widoczna.

Zabawna historia: Ra Mahleine uważała, że ma za jasne piersi. Powiedziała mu o tym dopiero później, kiedy przekonała się, że jest nią zachwycony. Kiedyś przed snem, wtulona w jego ramię, swoim cichym, łagodnym głosem wymruczała, że zawsze myślała o nich: „Takie bielasy, ze słabo widocznymi czubaszkami”. Nigdy by nie wpadł, że ślicznie zbudowana, biała dziewczyna może mieć akurat takie kompleksy.

O swoich drobnych wadach budowy mówiła mu sama, zanim zauważył, a nawet gdy nie mógł zauważyć. Trochę igrała z nim z przekory; widocznie dokładnie czytała w jego oczach i nie bała się, a ciekawił ją skutek. A może po prostu paplała jak dziecko; gdyż zachowała czystość myśli dziecka, a przynajmniej on tak myślał.

– Wiesz, jedno ramię mam wyższe niż drugie – powiedziała.

– W Lavath połowa ludzi ma problemy z kręgosłupem, a każdy, kto uprawiał jakiś sport, ma nierówne ramiona.

– Nie wszyscy. To ja mam nierówne ramiona.

– Nie wierzę!

– No wiesz. – To było na początku znajomości. – Mam krzywy kręgosłup i przez to nierówne łopatki. Na stare lata będę zupełnie garbata.

– Może być.

Nie pozostało jej nic nad obdarzenie go jednym z tych promiennych spojrzeń, które go fascynowały, bezbronnych, niewinnych, kryształowo czystych. Zwierciadło duszy nie odbijało wszystkiego, gdzieś w tym dzieciennym spojrzeniu skryła się stanowcza decyzja i siła wytrwania przy swoim.

Prawo Lavath nie wzbraniało ślubu nierówieśnikom. Ale precyzyjny system ulg, zniżek i szczególnych uprawnień zachęcał, aby różnica wieku między małżonkami była jak najmniejsza, by pobierano się zaraz po zakończeniu nauki, ani później, ani wcześniej, i oczywiście w obrębie swojej kategorii społecznej. Nacisk otoczenia był duży, ale poradzili sobie: Ra Mahleine zasymulowała ciążę. Wywołało to popłoch w rodzinie, ale odniosło skutek. Prawdę powiedzieli dopiero po ślubie, gdy sprawa została już przesądzona. A podczas utarczek z Urzędem Segregacji mieli już po swojej stronie wszystkich bliskich.

Z początku planowali zwyczajnie: podróż bez kompensacji – dla obojga cztery lata rozłąki. Przypadkiem, praktykantka w Urzędzie Segregacji, koleżanka Ra Mahleine powiedziała jej o obowiązku małżeńskim. Zmiana Krainy przez jednego z małżonków automatycznie unieważniała małżeństwo. Zarówno pozostająca w Lavath Ra Mahleine, jak i przybywający do Davabel Gavein byli zobowiązani do zawarcia nowego związku w terminie sześciu miesięcy, w razie braku własnych propozycji z kandydatami wyznaczonymi spośród przybyłych przez lokalny Urząd Segregacji.

Dzięki podróży z kompensacją nie mieli już nigdy rozstać się na dłużej.

2.

Pod sam koniec podróży zezwolono wreszcie zdjąć blaszane okulary, chociaż nadal trzeba było tkwić w zaciskach opasujących biodra. Czasem pilot zapalał słabą żarówkę, aby oświetlić mapę; światelko wydobywało z mroku twarze pasażerów. Krzeselka rozmieszczono parami, przy oknach. Całe wnętrze samolotu: płótno poszycia, łuki duralowych wręg kadłuba i łączące je podłużnice pomalowano na ciemnoszaro. Tu i ówdzie odlaźł z nich lakier.

– Ten jest dokładnie pospinany drutami – znów odezwał się sąsiad. – Nic się w nim nie trzęsie. Ale leciałem kiedyś takim metalowym górnopłatem: linia krajowa, wysokości minutowe, rozumie pan? Miał na skrzydłach tylko dwa silniki. Aż strach było lecieć... Jakby któryś nawalił... Najgorzej, jak trafił w dziurę w powietrzu. Kłapał wtedy tymi skrzydłami zupełnie jak ptak... Ten, to co innego: solidne naciągi, mocne druty. Tylko przez płótno trochę zimno...

Całą drogę milczał, a teraz wzięło go na gadanie – pomyślał niechętnie Gavein, jednak skinął głową. Leciał pierwszy raz w życiu. Wsiadając, zdołał policzyć: samolot miał aż dziesięć silników, po pięć z każdej strony: trzy przy płatach i dwa przy kadłubie. Te przy kadłubie były odrzutowe, ich huk ogłuszał. Podobno jednoczesne użycie silników odrzutowych i śmigłowych miało szczególne zalety. Czytał o tym kiedyś w prasie.

Było mroźno, w Davabel zima srożyła się jak w Lavath. Długotrwała podróż powietrzna zaznaczyła się w jego pamięci jako mgliste, pozbawione wydarzeń, półświadome trwanie. Huk silnika stłamsił wspomnienia.

– Proszę odpiąć pasy, można wysiadać – wychrypiał głośnik. Wnętrze samolotu rozświetliły słabe pomarańczowe żarówki. Gavein rozpiął metalową skorupę siedzenia, wyciągnął brezentowy worek spod krzeselka. Nędzny dobytek na następne trzydzieści pięć lat życia. Naciągnął buty na stopy napuchłe od wielu godzin bezruchu.

Spokojnie czekał w kolejce do wyjścia. Obludzona płyta lotniska w Davabel szkliła się w poświacie nocnego nieba. Czerniał jedynie pas do lądowania. Osłonięte siatką okna kabiny pilotów jaśniały, załoga szykowała się do lotu powrotnego.

W dali ciemniał budynek portu lotniczego. Trzeba było tam dotrzeć, niosąc torby bagażowe lub worki na plecach. Wszyscy szli bardzo wolno. Niektórzy przewracali się; emeryci powstawali z wysiłkiem. Kobiety szłochały, podnosząc się z lodowej polewy. Gavein dobrze radził sobie z lodem: poślizgnął się tylko raz, niegroźnie – plecak zamortyzował upadek.

Wewnątrz budynku portu lotniczego najpierw wypatrzył zegar: masywną czarną kulę, przymocowaną do końca krzywej stalowej rury zwisającej z sufitu. Wskazania zegara różniły się ledwie o trzydzieści dwie minuty od informacji pilota, dolecieli niemal zgodnie z przewidywaniami. Posłusznie stanął w kolejce. Stanowisko urzędnika umieszczono jak kasę w samie. Wreszcie jego kolej. Umundurowany funkcjonariusz zerknął do paszportu, następnie przyjrzał się mu uważnie.

– Gavein Throzz?

Gavein skinął głową; był senny.

Tamten starannie odcisnął dużą, prostokątną pieczętkę obok wizy wyjazdowej z Lavath.

– Otrzymał pan wizę pobytową na trzydzieści pięć lat. Po ich upływie uda się pan do Ayrrah – wypowiedział rutynową formułkę. – Proszę przejść do odkodowania.

Tamto okienko – wskazał.

Stanowisko numer szesnaście zaopatrzone w komputer z solidną metalową klawiaturą w pancernej puszcze. Lakier stał się z częściej dotykanych miejsc. W okienku urzędowała ogniście ruda dziewczyna. Miała bardzo jasną cerę. Nadawało to jej twarzy wyraz białego kota, takiego, co ma różowy nos i różowe wargi, ale któremu założono czerwoną perukę.

Żywa reklama Davabel: „Równe prawa dla czerwonych” – pomyślał ubawiony.

– Proszę paszport – zakomenderowała głośno. Może spojrzał na nią lekceważąco. Jeśli ją czymś uraził, nie było to zamierzone, ale trudno natychmiast pozbyć się starych nawyków; w Lavath nikt zbyt nie uważał rudowłosych.

– Gavein Throzz? Ależ wy się tam cudacznie nazywacie. – Miała piskliwy, zbyt wysoki głos. – Będę mówić po prostu Dave, dobrze?

– Gavein to stare, tradycyjne imię z Lavath, którego się nie zdrabnia, natomiast Dave pochodzi od David. Proszę mówić Throzz, jeśli imię nie brzmi odpowiednio.

– U nas rzadko używa się nazwisk czy tytułów, jak tam u was... w Lavath – powiedziała. – Zapomnijmy o tym Gavein. Wpiszę panu: Dave, a dalej?

– Co dalej?

– No drugie, Imię Ważne... – nalegała, unikając jego wzroku.

– Prawo Lavath i, jak mi wiadomo, także prawo Davabel zapewnia dyskrecję. Ogranicza rozpowszechnianie Imienia – wywodził podenerwowany Gavein.

– Chce pan skorzystać z tego przepisu? – spojrzała rozbawiona. Miała ładne niebieskozielone oczy (jak biały kot).

Nie czekając na oczywistą odpowiedź, wcisnęła paszport w szczelinę czytnika.

– Nie bał się pan lecieć samolotem? – Pokiwała głową z udanym podziwem. To jej było wolno. Nie wymieniła przecież Imienia. – Ja nigdy nie podróżuję samolotami...

Nie miałabym tyle odwagi, co pan. – Poufale ujawniła, że nosi to samo Imię.

Milczał.

Pewnie czeka, żebym umówił się z nią po pracy – pomyślał.

– Trzeba autoryzować dane z pańskiego paszportu – odezwała się wreszcie.

Wyszła ze swojego kojca i coś wpisała do paszportu przy innym pulpicie. Była niska i drobna. Pewnie chce się pochwalić niezłą sylwetką, przecież mogłaby to samo załatwić bez ruszania się z za biurka, pomyślał. Miała na sobie czarną kurtkę od uniformu i przykrótkie, zielone, zwężające się ku dołowi spodnie wpuszczane w oficerki. Zrolowaną furażerkę wcisnęła pod epolet, odznakę służby portowej przypięła zaś do sweterka.

Gavein obojętnie odebrał paszport i przesunął się w kolejce. Celnik o dużej twarzy, kwadratowej szczęce i masywnych łapach w gumowych rękawicach, wyrzucił całą zawartość bagażu Gaveina na ladę. Odsunął na bok kanapki, parę jabłek i herbatniki. Zebrał to razem do plastikowego pojemnika.

– Otrzyma pan równowartość. Wwóz żywności i zwierząt jest niedozwolony. Rozumie pan: bakterie, pleśnie... rozsiewają się, a my chronimy nasz kraj.

Gavein z powrotem upychał swój skromny dobytek do worka.

Urzędnik zerknął ponagląco.

– Do następnego okienka, do odprawy majątkowej – rzucił.

– Po wyjściu z tego budynku pieniądze przywiezione z Lavath są warte tyle co makulatura. Do Lavath muszą wrócić przez Ayrrah i Llanaig – powiedział kasjer.

Gavein posłusznie wyciągnął z płóciennego woreczka gruby zwitek zużytych, zielonych banknotów. Rozszedł się ich nieprzyjemny zapach.

– Pieniądze śmierdzą – powiedział uprzejmie kasjer. – Śmierdzą starym masłem, czuć, jak jest ich dużo.

– Śmierdzą rozłożonym potem rąk, które je kiedyś trzymały – powiedział Gavein. – Tu są dwa miliony.

Urzędnik sprawnie liczył. Co chwilę maczał palce w płynie dezynfekującym.

– Zgadza się. To będzie dziewięć tysięcy sześćset siedemnaście paczek – powiedział. Następnie odliczył mniejszą kupkę innych banknotów. Nawet kolor ten sam.

– A dalej? – zapytał Gavein. To było już ostatnie okienko. Już ktoś następny wydobywał swój smrodliwy skarb.

– Do Urzędu Hierarchii i Klasyfikacji. Dwunastka. Tamto okienko z lewej – wskazał ręką.

3.

Ten urzędnik też był czarnowłosy. Sięgnął po paszport Gaveina.

– Mało dojrzców przybywa z Lavath. Może był niż demograficzny... – mruknął. – Wie pan, że osiem transportów temu trafił się nawet jeden geront? To niezwykła rzadkość. Oczywiście, czarny.

Funkcjonariusz starannie obejrzał włosy i twarz Gaveina.

– Świetnie. Stwierdzam, że jest pan czarny. Nie ma wątpliwości. Obejdzie się bez głosowania komisji.

– Przy mocniejszym świetle mam rudawy odcień włosów – powiedział Gavein, pewny swego wyglądu. – Oczy też za jasne... takie szarawe.

Urzędnik raz jeszcze zlustrował go wzrokiem.

– To fałszywa skromność – powiedział. – Jest w normie. Potwierdzam klasyfikację z Lavath: jest pan czarny.

Dostaje pan najwyższą kategorię, trójkę. Jednocześnie odcisnął w specjalnej rubryce pieczętą wielgachną literę S.

– Wolno panu przyciemnić włosy – oznajmił. – Proszę sobie wyobrazić, że wielu czerwonych farbuję włosy. Nie mają cienia przyzwoitości.

Urzędnik wypełniał formularze, nie przerywając monologu.

– W Davabel czerwoni ustawowo mają mieć przynajmniej dwucalowy pas przez ciemną w naturalnym kolorze. Szarzy, a tym bardziej biali, mają się nie farbować w ogóle; w ich przypadku jest to karane.

– U nas były inne reguły – zauważył Gavein. – Czy to jest resocjalizacja? Podobno w Davabel przeprowadzacie resocjalizację rasową.

– Co?

– No, ten wywód o farbowaniu.

– Tak, resocjalizacja – mruknął urzędnik. – Teraz jest pan u siebie.

Wyciągnął zadrukowaną kartkę.

– Tu jest instrukcja. Widzi pan, w Davabel sprawy klasyfikacji, przepisy należycie porządkujące ludność, traktowane są starannie niż w Lavath. W sposób niebudzący wątpliwości

rozwiązano tajemnicę kolejności wcieleń. Na tej podstawie można było utworzyć sprawiedliwą hierarchię.

– Wyjaśnienie tej tajemnicy też jest w instrukcji?

– Niestety, tylko skrócony opis i wnioski – urzędnik pokręcił nosem. – Osobiście uważam, że instrukcja powinna zostać napisana bardziej szczegółowo. Cóż, szczegółów dowie się pan podczas pogadanki.

– Tak – powiedział Gavein bez entuzjazmu.

– W Davabel dostrzega się te problemy... których może dotąd pan nie widział.

Gavein zmilczał, więc urzędnik ciągnął dalej:

– Na przykład słownictwo. Nie należy używać słów: bruneci, rudzi, szatyni czy, już najgorzej, blondyni. Nigdy. Tylko czarni, czerwoni, szarzy i biali... O tamtych poprzednich należy zapomnieć jak najszybciej, dla własnego dobra.

– To jest karane?

– Oczywiście, że nie. Za „blondyna” może pan od takiego osobnika dostać nożem... Nie zawsze policja jest w pobliżu.

Na moment zapadło milczenie.

– Pora się ustatkować, ożenić. Obecnie jest dobry czas. Osobiście radzę panu dziewczynę czerwoną lub szarą. Czarne mają przewrócone w głowie od nadmiaru praw.

– Kiedy ja już...

– Już znalazł pan żonę? – Urzędnik zaznaczył coś w formularzu. – Rozejrzy się pan, namyśli... Wystarczy oświadczenie, by unieważnić przedwczesny związek. Ona przyjeżdża w transporcie kobiecym?

Gavein przytaknął.

– W Lavath pozostały dzieci?

– Nie.

– Przynajmniej tyle. Nie jestem zwolennikiem wymiany rodziców, chociaż zrobiło się to nagminne. Dzisiaj przybył nadmiar dzieci, dwa szare i jedno czerwone, niestety, żadnego czarnego, ale możecie się zdecydować. Aha, mają dwa, pięć i szesnaście lat.

– Zaczekam na żonę.

– Pytanie zupełnie formalne: Żona nie jest biała? Gavein zwiesił głowę.

– To nieporozumienie.

– Wysoka, szczupła, zgrabna, naturalna blondynka.

– Biała.

– Od żony nie dostanę nożem.

– Nie chciałem panu sprawić przykrości. Rozsądna klasyfikacja ludności jest czymś naturalnym, nawet klimat nie sprzyja białym. Wypadają im włosy, zęby, schodzą paznokcie. Za mało pigmentu... Może geny. Zresztą zobaczy pan sam. Za dziesięć lat ta pańska wysoka i naturalna będzie... nadal wysoka i naturalna, ale łysa i bezzębna.

Podobno zawartość talu w powietrzu tak na nich wpływa.

Po co panu stara baba? Najlepiej o niej zapomnieć.

Gavein milczał. Nie zamierzał spierać się z funkcjonariuszem.

– Gdzie ta pogadanka?

– Po zakończeniu aklimatyzacji. Dostanie pan termin.

I tak za parę lat przeniesiesz się do Ayrrah – pomyślał nieżyczliwie Gavein. – A wtedy sam wysłuchasz tego, co innym narzucasz.

– Tam czeka przedstawiciel Aerolinii. Zajmie się panem.

Gavein zebrał się z krzesła. Złożoną kartkę wcisnął do kieszeni. Nie zamierzał jej czytać.

Jego miejsce zajął kolejny pasażer, który dotąd trzymał się w przepisowej odległości sześciu metrów od okienka.

4.

Ta sama ruda urzędniczka. Jakby się przykleiła. Gavein powlókł się za nią kilometrowymi korytarzami.

Przeciągająca się podróż, a może fakt, że powietrze tu mniej cuchnęło niż w Lavath, spowodował, że czuł się lekko oszołomiony.

W końcu dotarli do zbiorowej sypialni. Łóżka żelazne, odrapane, ale nie zardzewiałe. Standard niezły, przecież mógł być wspólny barłóg na podłodze. Urzędniczka w tablicę na łóżku wsunęła firmowy blankiet Aerolinii z nazwiskiem: „Dave Throzz”.

– Przepraszam za nędzną, jak na standard Davabel, jakość posłania. U nas używa się dobrych materacy z gąbki lub dmuchanych. Te łóżka przygotowano specjalnie, aby ułatwić aklimatyzację nowo przybyłych. Pochodzą ze szpitala wojskowego, dlatego są białe i jednakowe. Zatrzyma się pan tu na noc albo dwie. W międzyczasie Urząd Imigracyjny znajdzie coś dla pana. Dla czarnych są najlepsze przydziały. – Wydęła wargi.

Nie powinna okazywać irytacji, segregacja społeczna jest przecież niezmienna – pomyślał.

Gdy sobie poszła, Gavein wsunął bagaż pod łóżko, zrzucił tylko buty i płaszcz i uwalil się w brudnawej pościeli. Mówiono mu wcześniej, że ludzie przybywający do Davabel nie są odporni na miejscowe choroby; obawiał się zarażenia.

Kilkakrotnie jeszcze jaśniało w sypialni – przybywali kolejni podróżni z transportu Gaveina, wyłącznie emeryci, ani jeden dojrzały.

Trudno usnąć na sali, gdzie śpi stu dwudziestu mężczyzn. Duszno, ale okna nie można było otworzyć, bo rozszalała się wichura. Ciągłe ten lub ów chrapał, a sąsiad z prawej strony kłapał zębami przez sen. Gdy wreszcie zacisnął szczęki i zaczął zgrzytać zębami, stało się ciszej. Niestety, zaraz ktoś inny zaczął wydawać zdławione jęki, jakby przydusił się poduszką, może dręczył go koszmar senny.

Gavein w myśli obliczał czas trwania podróży Ra Mahleine. Wychodziło, że powinna już być na miejscu. Trzydzieści dwie nieoczekiwane minuty były znikomą różnicą.

Spał źle, z początku budził się często, a męczący, pozbawiony marzeń sen nie przynosił ulgi.

Nagle ktoś szarpnął go za ramię. Wydało mu się, że ledwie świta, ale to dzień był mglisty i pochmurny. Podniósł ociężałe powieki: znowu ta ruda.

– Nie ma pan cukrzycy?

Aeriella... Dziś nie wydawała się mu sympatyczniejsza. Przynajmniej nosiła Imię jak Ra Mahleine.

– Nie mam – burknął.

– Obawialiśmy się, czy nie zapadł pan w komę. Jest czwarta po południu. Zaraz będzie pogadanka dla czarnych.

– Pracuje pani na dwa etaty? – zapytał. Resztki senności parowały z głowy.

– Dzisiaj mam służbę po południu. Przydzielono mi pana do opieki.

Sama mnie sobie przydzieliłaś, ruda cholero – pomyślał.

Nie miał racji: zaraz się go pozbyła. Dołączył do kilkunastu osób oczekujących w małej salce. Sprowadzono jeszcze kilku podróżnych: wyłącznie czarnych dojrzców. Wreszcie pojawił się prelegent: poznany wczoraj funkcjonariusz Urzędu Hierarchii i Klasyfikacji.

– Wielu z was zdziwiło staranne potraktowanie należytej segregacji społecznej, z jakim zetknęliście się tutaj już na wstępie – zaczął. Mówił z pamięci, chociaż kartkę z notatkami położył przed sobą na stole. – Wszystko napisano w ulotce informacyjnej, ale założę się o mój miesięczny żołd, że nikt do niej nie zajrzał... – uśmiechnął się protekcyjnie i rozejrzał po sali. Odpowiedziało mu milczenie.

– Właśnie. – Funkcjonariusz zdjął czapkę i postawił na stole, godłem do sali. – Otóż w Davabel poznaliśmy regułę kolejności wcieleń i możemy niezbitcie orzec, że biały urodzony u nas jest pierwszy raz wcielonym, najmarniejszym człowiekiem. Biały dojrzalec, który przybył do Davabel, jest drugi raz wcielony i tak dalej.

Przecież koncepcja czterech inkarnacji nie jest jedynym możliwym opisem losu ludzkiego – Gavein przypomniał sobie jakiś wykład z Lavath. – A co dopiero mówić o niezmiennych kolejności wcieleń?

– W miarę jak ktoś zmienia Krainy, rośnie jego kategoria w paszporcie, aż w kolejnej Krainie nadchodzi wymazanie kategorii do zera, czyli ujawnienie niedoskonałości. Jeśli taki przeniesie się dalej, to jego kategoria zaczyna rosnać – tłumaczył funkcjonariusz. Jednocześnie wyrysował na tablicy kilka histogramów o kolejno rosnących słupkach. Z tym, że najwyższy słupek za każdym razem wypadał w innym miejscu na osi. – To każdego naprowadzi na właściwe rozwiązanie. Głupi by zrozumiał, że im więcej razy kto wcielony, tym później trafi na niego ujawnienie niedoskonałości, jasne?

Znowu nikt się nie odezwał.

Właściwie było w tym sporo racji: skoro kolejne wcielenia doskonalą człowieka, to wymazanie kategorii powinno zdarzać się w coraz późniejszym wieku, aby objąć coraz mniej ludzi.

– No – urzędnik rozejrzał się triumfalnie. Następnie przeszedł do szczegółowych wyjaśnień, z których wynikało, że nie dość, że Gavein czarny a Ra Mahleine biała, to na dodatek on odbywa już swoją trzecią inkarnację, a ona ledwie drugą, co dodatkowo dyskwalifikuje ją jako możliwą żonę dla niego.

Ciekawe, który z nich jest w takiej sytuacji, jak ja – Gavein rozejrzał się po sali. Wszyscy słuchali z mniejszym lub większym znudzeniem. Nikt nie wyglądał na przejętego. Przedwcześnie żonatych na ogół cieszyła możliwość pozbycia się małżonki.

Po prelekcji nie było możliwości zadawania pytań, jedynie dla chętnych przeprowadzono niezbędne formalności unieważnienia związku małżeńskiego. Pozostali mieli wysłuchać z magnetofonu czyjegoś wywodu, w którym – jak zauważył Gavein – nie było nowych argumentów za czworością wcieleń.

5.

Następnie skierowano go do mikrobusu zaparkowanego przed budynkiem dworca lotniczego. Zaczekali jeszcze na kilku innych podróżnych i wóz ruszył.

Zaraz za lotniskiem wjechali między ciągnące się dziesiątkami kilometrów zabudowania Davabel.

Małe domy drewniane, parterowe lub piętrowe z przylepionymi maleńkimi ogródkami. Nietrwałe i niepozorne. Co jakiś czas trafiały się zgrupowania wyższych, kilkupiętrowych kamienic mieszczących regionalne urzędy, szpital, może bank, może większy sklep.

Lavath pokrywały ciągnące się kilometrami, wielopiętrowe, betonowe wieżowce. Piętrzyły się jak skalne masywy, wycinając wąwozy szerokości setek metrów. Na dnie wąwozów wąskie, asfaltowane ulice i wydeptana przez przechodniów szachownica ścieżek na rozległych trawnikach. Surowy klimat zmuszał do komasowania zabudowań. Polepszało to izolację cieplną. Budynki Davabel wydawały się mizerne, brakowało im stosownej masywności.

Wspomniął o tym kierowcy.

– Mamy przejrzysty układ topograficzny. Ulice idą z północy na południe, aleje z zachodu na wschód.

– To tak samo jak u nas – uciał Gavein. Nadal czuł się mieszkańcem Lavath. – Tyle, że u nas są rozmieszczone znacznie rzadziej. Jeśli zdarzy się idąca z północnego zachodu na południowy wschód, nazywa się promenada, a z północnego wschodu na południowy zachód jest corso. Noszą kolejne numery. Jasne to i logiczne.

– No tak – mruknął szofer. – Corsa i promenady też są u nas.

– Jesteś już z Davabel, Dave – zauważył urzędnik siedzący obok kierowcy. – „U nas”, to znaczy w Davabel, nie w Lavath – dodał po chwili. – W Ayrrah podobno jest tak samo. Wkrótce się tam przeniosę. – Urzędnik wyglądał staro: siwe skronie, wory pod oczyma. Z trójką w paszporcie, ale z perspektywą rychłego wyjazdu do Ayrrah w charakterze pogardzanego obywatela.

Jeśli dożyję jego wieku, będę wyglądał tak samo – pomyślał Gavein. – Myślę, że i w Llanaig porządek ulic jest ten sam. Zmiana doprowadziłaby do niepotrzebnego chaosu – dodał na głos.

Zapadł mrok, w oknach zapalały się światła. Miasto okrywała warstwa świeżo spadłego śniegu. Żółte okna w połączeniu z ciemniejącą niebieskością śniegu dodawały domkom ciepła i przytulności. Na skrzyżowaniach mijali jednakowe wielkie tablice z rzędami białych cyfr na czarnym tle i napisami: „Ulica” lub „Aleja”. Kierowca nie czytał ich, lecz odliczał kolejne skrzyżowania. Gdy się mylił, urzędnik żartował z niego.

Właściwie powinny mi się podobać te domki – pomyślał Gavein. – Przecież Davabel budowali ludzie przybywający z Lavath, więc wyrosli wśród gigantycznych bunkrów mieszkalnych. Zresztą domki, jak domki – wzruszył ramionami. – Wyglądają tandetnie.

Kierowca skręcił we właściwą ulicę. Gavein odczytał: Aleja 5665. Zaparkował po dziesięciu minutach przy narożnym domku oznaczonym numerem 5665-5454-A.

– Dostał pan apartament w centrum Davabel. Zaledwie czterysta pięćdziesiąt cztery ulice i sześćset sześćdziesiąt sześć alej od centrum – zarechotał kierowca.

– Przecież nikt nie chodzi pieszo – mruknął urzędnik. – Ułatwimy panu załatwienie kredytu na samochód. Należy go mieć. To część życia.

Wysiedli. Lodową skorupę na chodniku przykryła cienka warstwa świeżo spadłego śniegu.

Można pysk rozbić – pomyślał, z trudem utrzymując równowagę. – U nas posypaliby piaskiem albo solą.

6.

Otworzyła im tęgawa kobieta w kretonowej podomce. Włosy owinęła chustką w groszki, ukrywając nią świeżo umyte, jeszcze mokre włosy. W kuchni kręcił się jej prawie dorosły syn z grzebieniem rudych włosów usztywnionych lakierem. Przed lustrem przymierzał czarną skórzaną kurtkę haftowaną w trupie czaszki. Z góry dochodził płacz niemowlęcia.

– Pani Eisler? – spytał urzędnik.

Kobieta cofnęła się, zgarniając na piersiach podomkę.

– Tak... tak... proszę... proszę... Czekamy już od południa – zagdakała. Wtłoczyła się w ortalionową kurtkę syna. Na piętro szło się po drewnianych zewnętrznych schodach, z tyłu budynku.

Skromny apartament składał się z dwóch pokoi, kuchni i łazienki. Małe okna wpuszczały niewiele światła. Podłogę przykryto wykładziną o bardzo długim włosie. Wokół żadnych mebli, tylko zrolowany dmuchany materac.

– Jedno z najtańszych ogłoszeń prasowych, a lokalizacja niezła i spory apartament – powiedział urzędnik. – Ile pani chce za miesiąc? – zwrócił się do kobiety.

– Trzysta osiemnaście paczek. A jeśli będzie odpowiadać moja kuchnia, Dave, to jeszcze sześćdziesiąt cztery za obiady – powiedziała. O nazwisku przyszłego lokatora powiadomiono ją już wcześniej.

Kwotę usłyszał Gavein jeszcze na lotnisku. Czekali teraz na jego decyzję.

– A inne warunki?

– Tak, jak wszędzie – powiedziała szybko. – Za pierwszy i ostatni miesiąc płatne od razu. Potem za kolejne z góry. Gaz, prąd i ogrzewanie wliczone w cenę.

– Dobrze. – Wyciągnął zwitek banknotów.

– Nosi pan aż tyle gotówki? – urzędnik świsnął przez zęby. – Do banku z tym! Po co kusić los?

Kobieta zerkała na banknoty i potakiwała w milczeniu. W pokoju było zbyt gorąco, duszno. Gavein zdjął kurtkę; pod spodem miał drugą, szarą, półwojskowego kroju.

– Przecież nie ma na czym usiąść – zdziwił się.

– Siada się na dywanie – zauważył urzędnik. – Nakrycia są tekturowe, jednorazowe.

– My z mężem też nie mogliśmy się przyzwycząić – powiedziała kobieta – i kupiliśmy wiele

mebli. Krzesła do jadalni... i w ogóle.

– Ale to jest pusty pokój...

– Tak, myślę, że trzeba by przeprowadzać dłuższe zajęcia adaptacyjne dla nowo przybyłych – powiedział urzędnik. – Ale dłuższy pobyt na lotnisku to wyższy rachunek. Długo spłacałby pan kredyt. I tak hotel adaptacyjny kosztuje. Może pan przecież kupić jakieś meble. Ale są droższe niż w Lavath, znacznie droższe.

– Potrzebne rzeczy to: samochód, telefon, telewizor też... wytworne ubranie mniej, a meble najmniej. Tu nikt nie wkłada zbyt wiele wysiłku, aby pięknie się ubierać. – Kobieta próbowała przeprowadzić skróconą procedurę adaptacyjną.

– W Lavath nie noszą droższych ciuchów niż tu. Ale noszą je... odpowiednio... – zaczął Gavein, niemal od razu zauważając swoją niezręczność.

– To znaczy?

– Ja wiem. Odpowiednio do okazji.

Kobieta ściślej zacisnęła kurtkę dłonią.

– Podoba mi się ten apartament – powiedział, przerywając milczenie. W rzeczywistości uważał, że mieszkanie jest ciasne i zaniedbane, ale nie stać go było na droższe. Ściany brudnawe, przynajmniej białe – to rozjaśniało pomieszczenia. Lakier na framugach odprysnął w wielu miejscach.

– Mamy jeszcze jeden, podobny, na parterze i drugi w suterenie – dodała.

– Ten jest wystarczający.

– Mów mi Edda. Za godzinę będzie obiad. Poznasz męża i innych lokatorów. Wszyscy jedzą z nami.

W lekkich, sportowych butach o mało nie wybił zębów na lodowej tafli podwórka. Zakołatał do gospodarzy. Formalność, drzwi nie zamknięto, a przez szybę widać było gościa. Inni już czekali na niego przy stole, był przecież atrakcją wieczoru.

Leo Eisler, C, mniejszy i szczuplejszy od Eddy, choć rudy jak i ona. Gdy schylał głowę nad talerzem, w świetle żarówki przeblyskiwało jego ciemną skórę pokrytą piegami.

Haifan Tonescu, S, i jego żona Gundula, także S, oboje pewni siebie i głośni, byli tu oczywiście najważniejsi. Wynajmowali najlepszy apartament na parterze: z klimatyzacją i własnym ogródkiem. Pomiędzy nimi siedziały ich dwa nieznośne bachory, jak na ironię wściekle rude. Z regularnością zegarka starszy dźgał młodszego palcem, a następnie wykrzywił się do niego. Gdy tylko rodzice byli zajęci czym innym, młodszy z zemsty nabierał brudną rączką twarożek i wcierał go w spodnie starszego. Wtedy następowało nadprogramowe szczyknięcie i wrzask.

Była jeszcze Hilgret, P, niepozorna, szara jak myszka i równie małomówna. Wynajmowała jeden pokój.

W kuchni jadła rodzina białych. W zamian za wyżywienie pomagali Eddzie w prowadzeniu gospodarstwa. Zajmowali suterrenę pod apartamentem Haifana i Goduli. Gavein zauważył ich, odnosząc talerz do kuchni. Rodzice mieli włosy niemal szare, właściwie mogliby uzyskać kategorię społeczną. Arbitralna decyzja jakiegoś urzędnika przesądziła o ich losie na trzydzieści pięć lat.

Obie córki były natomiast jasne, o białych rzęsach i różowej cerze.

W Lavath ten dom należałby do nich – pomyślał, patrząc na postarzałą przedwcześnie, zgarbioną kobietę, jej bezzębnego męża i zabiedzone dziewczyny.

Na jego widok powstali i przedstawili się.

– Czeka je dobra przyszłość – powiedział cicho do rodziców, wskazując podbródkiem na córki. Czarni nie rozmawiali z białymi. Fakt, że się odezwał, był grzecznością.

– Oby dożyły – powiedział mężczyzna. – Tu nie jest źle. Jesteśmy u dobrych państwa – pospiesznie dodał.

Przy stole Edda relacjonowała ostatnią sensację:

– Nawet u nas lampa się zakołysała i szklanki zadzwoniły...

– Przesadzasz – zgasił ją mąż. – Lampy się kołyszą, jak ciężarówki przejeżdżają ulicą. A szklanki zawsze dzwonią, kiedy idzie lodówka. Jej wibracje przenoszą się na blat kuchenny.

– Myśmy nic nie zauważyli. To wydarzyło się zbyt daleko, żeby wstrząs dotarł aż tutaj...

Niemożliwe. – Spór został autorytatywnie rozstrzygnięty przez Haifana, który jako nauczyciel fizyki, czarny, był bez wątpienia bystrzejszym obserwatorem od egzaltowanej czerwonej Eddy.

Chodziło o wstrząs sejsmiczny, o którym doniosła prasa. Epicentrum zlokalizowano na obszarze południowo-wschodniego Davabel, płytko pod wybrzeżem lub już pod dnem oceanu. Davabel leżało na płycie kontynentalnej i nawet w kronikach historycznych nie wspomniano o podobnych wstrząsach; jedynie pod dnem oceanu mógł być obszar sejsmiczny, ale przecież nikt nie prowadził badań oceanu.

W rejonie epicentrum znajdował się Urząd Naukowy, ośrodek badawczy Davabel. Niektórzy twierdzili, że to ziemia rozstępuje się pod nim, aby poziom pomieszczeń odpowiadał poziomowi prowadzonych badań.

Nie rozwikłano zagadki wstrząsu, a rozmowa szybko zeszła na inne tematy. Edda opowiedziała o tragicznym wypadku, w którym zginął piekarz.

– Wjechał na rowerze pod rozpędzoną ciężarówkę – relacjonowała.

W Davabel rowery jeździły po chodnikach, a piekarz chciał przeciąć ulicę na przejściu dla pieszych.

– Nie wiadomo, czy światło było już zielone i czyja była wina.

– A jak miał na imię? – zapytał Leo.

– Bryce.

– Nie to, to Ważne.

– *Plosib*. Powiedział mi kiedyś – wtrąciła się Gundula. – Może pani sprawdzić w gazecie.

Edda z nadzieją zajrzała do gazety. Niestety, zgadzało się – nie mogła przytrzeć nosa pewnej siebie lokatorce.

– *Plosib*... To nic nie powie policji – rozważał wszechwiedzący Haifan. – Gdyby tak nazywał się *Murhred*, to kierowca miałby kłopoty.

– Ale gdyby *Sulled* albo *Myzzt*, to mógłby spać spokojnie – dorzuciła oczywistą uwagę Gunda. Potwierdzając sprawy oczywiste, umacnia się własne przekonanie o mądrości osobistej.

Gavein zauważył, że na dźwięk Imienia *Murhred* Edda zadrżała. Czyżby Leo miał tak na Imię? A może ona sama, *Murhredda*? Stąd mógłby być skrót: „Edda”. Nigdy o czymś takim nie słyszał, ale może tutaj jest to we zwyczaju?

Plosib znaczyło: „Od człowieka, ale przypadkowo”, *Murhred* zaś: „Od człowieka, ale celowo”. Gavein upewnił się, że w Davabel Imiona Ważne znaczą to samo, co w Lavath. *Sulled* znaczyło: „Od siebie”, natomiast *Myzzt*: „Przez mózg” i było Imieniem Człowieka. Tamte poprzednie

były z grupy Imion Walki.

Gavein nosił Imię: *Aeriel*, co oznaczało „Od powietrza” i było Imieniem Żywiołu; Ra Mahleine tak samo: *Aeriella*. Czasem żartowała, że nie powinni przebywać ze sobą, bo to zmniejsza ich szanse. Oboje postępowali dokładnie odwrotnie, gdyż szczęśliwie nie ma rzeczy bardziej kapryśnej niż los.

Odmienne niż w pozostałych Krainach, w Lavath imiona potoczne były nazwami zwierząt, roślin lub przedmiotów. Wielu miało na imię Bharr albo po prostu Niedźwiedź, często powtarzały się Żbik lub Wilk.

„Gavein” oznaczało śnieżnego tygrysa. Jedyne drapieżnika, który odważał się mierzyć z potężnym niedźwiedziem białym. Podobno się unikały: tygrys trzymał się lasów, a niedźwiedź tundry. Dawnych władców północnego Lavath pogodzone: ich tereny pokryto bunkrami mieszkalnymi, w niewoli przetrwały ostatnie z nich. Gavein nigdy nie widział swojego kudłatego imiennika, „Mahleine” było dawną nazwą leśnego kota manuła. Przedimek „Ra” oznaczał kotkę. Kiedyś w ogrodzie oboje widzieli prawdziwego manuła. Był spokojny i dystyngowany, o sowej, kulistej łepetce i wielkich, smutnych oczach. Nie wyglądał na bezlitosnego mordercę małych zwierzątek tajgi. Ra Mahleine lubiła chodzić do ogrodu zoologicznego i obserwować dziwaczne, żywe stworzenia. Dziwiło ją, że kiedyś umiały przeżyć na wolności.

– Jest w pobliżu jakiś ogród zoologiczny? – Gavein przerwał milczenie.

– W Parku Kultury na rogu 5400 Ulicy i 5600 Alei – powiedział Leo. – Ale nie mają tam zbyt wielu okazów. Park pierwszej rangi jest w centrum na rogu 5000 Ulicy i 6000 Alei.

Rozmowę przerwał hałas przy drzwiach, listonosz mozolnie wciskał gazetę w szczelinę skrzynki pocztowej.

Edda zaprosiła go do stołu. Wniósł ze sobą ziąb jakby jeszcze pełen padających z nieba śnieżynek. Był niski, krępy o baniastej, wielgachnej głowie. Postawił na podłodze torbę wypchaną prasą i listami. Starannie otrzepał kurtkę ze śniegu, przy okazji prosząc na siedzących, i oddał ją młodemu Eislerowi.

W granatowym mundurze, z czerwonymi pagonami, sznurami i plakietkami: „Poczta Davabel”, „Oddział 5445660” oraz „Oficer Maxime Hoffard” umieszczonymi na ramionach, Max wyglądał godnie.

Usiadł za stołem, sapiąc i stękając z wysiłku. Czapkę pocztową postawił obok talerza. Mizerny wianuszek siwych włosów otaczał błyszczącą łysinę. Wyciągnął chustkę i z namaszczeniem przetarł nią zaroszone butelkowate okulary.

– Max, spóźniłeś się na pastę, ale zaraz będzie pizza. – Edda życzliwie poklepała go po ramieniu.

Max mruknął coś i nałożył okulary, a następnie komicznie łypnął w prawo, a potem w lewo na sąsiadów przy stole. Miał rozbieżnego zęza. Szklka karykaturalnie powiększały jego oczy.

– Wreszcie coś widać – powiedział.

– To jest Dave – stwierdziła Edda. – Będzie mieszkał u nas na górze.

Max wysunął się nad stół, wyciągając muskularną rękę o kleszczowatej dłoni. Nakrycie podskoczyło, a wszyscy rzucili się, by je łapać. Korzystając z okazji, starszy syn Gundy rozlał keczup. Tylko Gavein zauważył, że było to celowe.

– Gdy przychodzi Max, powinnaś podawać na gumowym obrusie i w blaszanych miskach – zarechotał Haifan.

Edda bez słowa starła nadmiar keczupu ścierką, a pod obrus podłożyła serwetki. Gdy sytuacja została opanowana, przed Maxem zadymił spory kawałek zapiekanki. Gavein wolał to niż pastę, dręczył go zapach wymiocin, który nieodparcie przywodziło skojarzenie rozmiękłego żółtego sera z rozparzonymi pomidorami. Za makaronem też nie przepadał.

Max wziął się do jedzenia. Przestało go interesować cokolwiek innego. Żuł miarowo, szybkimi mechanicznymi ruchami.

On nie je, on zeruje – zwerbalizował myśl Gavein – jak pszczoła, której można odciąć odwłok, a ta nie przestanie jeść.

Nawisłe czoło, bezwłosy czerep i patrzące na boki oczy upodabniały Maxa do embriona lub pędraka. Max jadł bardzo głośno, sapiąc i mlaskając. Czasem przypominał sobie o tej przywarze i usiłował jeść ciszej. Wysilek, jaki mu to sprawiało, objawiał się zdenerwowaniem i jeszcze głośniejszym sapaniem.

Gavein uznał, że Max nie powinien powstrzymywać przyrodzonego mu mlaskania, gdyż i tak nikt inny nie był w stanie jeść, gdy on jadł, a przynajmniej on sam mniej by się męczył.

Podjęli ponownie rozmowę, chcąc przytłumić odgłosy jedzącego Maxa.

– Nadaliście już Imię małemu? – nieoczekiwanie włączył się Max, wycierając pełne usta chusteczką.

Gavein znieruchomiał. W Lavath takie pytanie było grubym nietaktem. Widać, tu było dopuszczalne.

– Właśnie wczoraj zarejestrowałam w administracji. Będzie miał *Myzzt*, a na potoczne Duarte – odpowiedziała Edda, choć Max już nie słuchał.

– Wy wybraliście, czy sam sobie przyniósł na świat? – włączył się Haifan.

– Przyniósł sobie, ale nam odpowiada, będzie niemal panem swojego losu – odparła.

– Przecież nad losem nie da się zapanować?

– Będzie to zależało wyłącznie od niego, nie od innych.

Max głośno zerował.

8.

Oddział Urzędu Imigracyjnego mieścił się przy 5665 Alei, w zasięgu godzinnego marszu. Gaveinowi zajęło to dwa razy więcej, odwilż zmieniła śnieg w wodnistą maź, skrywającą jeszcze bardziej śliską niż zwykle lodową polewę. Przejeżdżające samochody bryzgały na chodnik słoną, szarą bryją.

Skromny parterowy budynek wykończono z zewnątrz ozdobną, zielonkawą cegłą. Leo mówił, że budynki wznosi się tu z drewna i styropianu albo płyt pilśniowych czy prasowanej tektury, w najlepszym razie z cienkich płyt gipsowych. A ładne cegły z zewnątrz to tylko atrapa, oblicowanie. W Lavath budowano z szarego betonu, na którym zostawały ślady oszalowania.

Trzeba było dopełnić reszty formalności imigracyjnych. Chciał chociaż częściowo ulżyć Ra Mahleine w upadku ze szczytu drabiny społecznej na sam dół. Drabina miała cztery szczeble.

Podszedł do okienka z napisem: „Rejestracja nowo przybyłych”. Po paru minutach pojawił się urzędnik niezadowolony, że przerywa mu się drugie śniadanie.

– Niedobrze pan zrobił, przedwcześnie wybierając żonę – powiedział. – To należy załatwić w drugiej części życia. Nie ma wtedy rozstań przy przejazdach. – Dopijał cienką, pozbawioną kofeiny kawę z tekturowego kubka.

Gavein nie znosił tutejszej kawy.

– Przedwczesne małżeństwo to komplikacja, ale mała.

Tu jest Davabel. Mając w paszporcie S łatwo przeprowadzi pan anulowanie związku. Albo autoryzuje decyzję pozostania przy swojej dawnej kobiecie. Ładna jest chociaż?

– Wypowiedź urzędnika przypominała wyciek niepowiązanych fraz. – Czarna jak pan?

– Biała.

– To nieporozumienie. Białych nie bierze się pod uwagę. – Niełatwo było wytrącić go z uderzenia. Znał swój fach.

– Tutaj, jako posiadaczowi trójki, przysługuje panu żona czarna lub nawet dwie czerwone. Dotychczasowy związek nie musi być unieważniany, ponieważ nie istnieje w oczach prawa. – Urzędnik wkleił do paszportu Gaveina duży formularz. – Osobiście nie radzę mieć na raz żon z dwójką i trójką, choć to też da się załatwić, ale takie małżeństwa nie są stabilne. Jestem przekonany, że te przepisy zostaną wkrótce zmienione.

– Moja żona nazywa się Ra Mahleine. Chciałbym, żeby pan zaznaczył to w moim paszporcie. Jeszcze nie zdążyłem jej odebrać z portu, ale oceniam, że już przyjechała.

– Ależ białych nie wpisuje się do paszportu. Może pan ich mieć, ile chce. Jako nałożnice. Niestety, szybko się starzeją, brzydną. Niepotrzebny kłopot.

– Jednak proszę wpisać ją jako żonę.

– Była młodsza od pana?

– Tak.

– Podróżowała w czasie realnym, a pan z dylatacją, prawda?

– Tak.

– Niech pan sobie obliczy, o ile się postarzała... Teraz ma trzydzieści pięć lat, biologicznie i metrykalnie.

– Ofiarowała mi cztery lata swojego życia, żeby się ze mną zsynchronizować.

Urzędnik machnął ręką.

– Gdzie ja ją panu wpiszę? Nie ma rubryki na białe.

Gavein uparcie milczał. Wiedział, że wpis jest możliwy.

– No, dobrze – poddał się urzędnik. – Przy pozycji:

„Status małżeński” wstawię gwiazdkę, a tu... w dole jest rubryka: „Uwagi”. Tu ją wpiszę.

Sukisyn – pomyślał Gavein. – Wykorzystał swoją władzę. Mógł wpisać zwyczajnie.

– Ma na imię Ra Mahleine – powiedział.

– Niech pan nie żartuje. Ona nie ma własnego imienia w Davabel. Będzie tu stało: „Pani Dave Throzz, bez kategorii”.

– Proszę wpisać jej własne imię, Ra Mahleine. – Gavein znał swoje prawa.

– Wpiszę Magdalena. To brzmi lepiej od tej cudacznej nazwy. Jej Imię Ważne?

– *Aeriella*.

Urzędnik wsunął formularz do szczeliny komputera, żeby nanieść kod Imienia.

– Potrzebuję więcej danych. Bardzo jasna?

– Tak, jasna. Oczy niebieskie, ale ciemniejsze. Wysoka.

– Jak pan? – zażartował urzędnik. Sam był niski i pękaty.

– Nie, ale od pana wyższa. Szczupła, bez znaków szczególnych. Nie wiem, co jeszcze...

– Jasna, to pewnie rudawa? – Urzędnik zmienił się, gdy batalia o wpisanie Ra Mahleine do paszportu dobiegła końca. Wypełnił obowiązek służbowy i ton jego głosu stał się bardziej sympatyczny. W Lavath taka zmiana nie byłaby możliwa: urzędnik zawsze utożsamiał się z urzędem.

– Nie. Brwi, rzęsy ciemniejsze.

– Tak. Pamiętam takie kobiety – stęknął urzędnik. – Cudowne boginie północy. Co ja się ich naoglądałem. W sklepie siedziałem przy kasie. Na żadną nie wolno mi było podnieść wzroku. Jasne cholery...

– Pan pamięta jeszcze Lavath?

– Kobiety północy są jak płatki śniegu: piękne, ale nietrwałe – urzędnik pokiwał głową. – W Davabel topnieją bardzo szybko. Nawet na mrozie...

– Kiedy będę mógł odebrać żonę z portu?

– Tak, pamiętam Lavath – teraz dopiero odpowiedział na poprzednie pytanie. – Pieprzona młodość czerwonego w Lavath. Nie mam powodu przepadać za białymi. Rozumie pan?

Miał włosy ufarbowane na czarno; na ciemieniu, spod czapki wyglądało przepisowe rude pasmo.

– Zostanie pan zawiadomiony telefonicznie. Osobiście dopilnuję. Tu jest moja wizytówka. Kiedyś wpadnijcie oboje. Żona przygotowuje znakomitą pizzę i niezłą pastę. Pogadamy, powspominamy.

Na kartoniku napisano: Ian Hanning, C, kilka skrótów oznaczających stanowisko i adres.

Apartament Gaveina mógł przyprawić o klaustrofobię. Białe, puste, gładkie ściany o nierównej wysokości; sufit oddający krzywiznami spadek dachu – pokoje jak połówki nieforemnych czasz. Wąskie, wysokie okna. Za nimi równe szeregi małych domków, różniących się tylko detalami: balustradami, ganeczkami czy rozkładem okien.

W Lavath rzadko wznoszono małe domy, solidne jak betonowe bunkierki. Dawały możliwość porównania, znalezienia skali, stwierdzenia co duże, co małe. Tu wszystkie domy były jednakowej wielkości.

Gavein godzinami wylegiwał się na dmuchanym materacu, patrząc w sufit lub w ściany, gdzie farba łuszczyła się i odpadała. Zainstalował telefon (było to obowiązkowe), ale i tak nikt nie dzwonił. Ra Mahleine jeszcze nie przyjechała.

Jedynymi wydarzeniami były obiady u Eddy. Jakoś chroniły przed obłędem. Co dzień pasta odgrzewana z mrożonki. Herbata parzona z torebki lub kawa bez kofeiny. Haigh, starszy syn Eddy, jadał pastę przed innymi i wyszywał na swojej czarnej, skórzanej kurtce coraz to nowe trupie czaszki lub piszczele. Przy stole pojawiał się równo z pizzą. (Z pewnością był wymienionym synem Eddy. Miała ona obecnie najwyżej czterdziestkę). Dzieci Haifana i Gundy zwykle jadały ze wszystkimi. Młodszy został w szkole na dodatkowych zajęciach. Starszy, Torth, był dziś samotny, może dlatego z nienaturalnym spokojem wsysał długie nitki makaronu.

Haigh wykańczał kolejną czaszkę z błyszczącymi cekinami zamiast oczodołów. Inni mozolili się nad stygnącą pastą.

– Co się tak stroisz? – zapytała Edda.

Haigh nosił na głowie świeżo usztywniony rudy grzebień. Gaveinowi przypominało to piejącego, nadętego koguta.

– U Batsa grają film za trzy paczki. Całe cztery godziny za trzy paczki – podkreślił Haigh.

– Jaki tytuł? – zainteresował się Gavein. Ostatnie kawałki makaronu były krótkie, nie trzeba ich było mozolnie nawijać na widelec. Dało się rozmawiać.

– Tytuł nieważny. Gra Solobina, była koszykarka, dużo seksu...

– Haigh – wmieszała się Edda, zerkając na Tortha.

– A na dodatek Maslynnaja. Jest mała, drobna i podobno całkowicie łyśa. Wszędzie używa peruk – ciągnął niezrażony.

– Idziesz z dziewczyną na taki film? – obruszyła się Edda.

– Zoo odwinęła się i nie nawinęła dotąd znowu. – Zawsze, gdy Haigh mówił o kobietach, posługiwał się identycznym żargonem.

Gavein nie cierpiał tego stylu; on sam mówił o kobietach jak o ludziach, nie jak o przedmiotach; nie nauczył się tego dopiero z wiekiem – tak było zawsze. Jednak robienie uwag Haighowi teraz nie miało sensu.

Odstęp pomiędzy pierwszym i drugim daniem był dziś dłuższy, ponieważ Edda zapomniała wyjąć pizzę z zamrażalnika. Biesiadnicy rozeszli się, przy stole pozostali Gavein i Haifan.

– To kto idzie z tobą? – zapytała Edda.

– Petruk, Fasola, Hans i taki nowy. Mówią na niego Glicha, ale jest czarny. Bierzemy wodę sodową.

– Do lania? – Edda kontynuowała inwigilację.

– Do lania. Będziemy lali z balkonu na tych z parteru, ale dopiero po drugiej godzinie filmu. Jest umowa.

Lanie było łagodną formą staczania walk. Zwykle jednak i tak kończyło się zwyczajną bijatyką.

– A co na to ci z parteru? – zaciekawił się Gavein.

– Biorą parasole. Było ogłoszenie. Fasola nalepił. Jest umowa.

– Nie będzie awantury?

– Nie będzie. Jest umowa. W przyszłym tygodniu my będziemy siedzieli na parterze, a oni na balkonie.

– Tylko nie włóczcie się po ulicach po nocy, bo poza salą umowy nie obowiązują.

Z paczki Haigha Gavein znał tylko Fasolę i Gliche. Kiedyś wpadli po Haigha, gdy Gavein pomagał w kuchni.

Niezwykle wysoki Fasola miał ponurą, zapryszczoną gębę i długie ręce. Jako biały mieszkał w pobliskiej dzielnicy ruder. Nie interesował się niczym i o nic nie dbał zbytnio. Co drugie zdanie używał swojego ulubionego słowa: „Luz”. Wypowiedzi brzmiały jednostajnie, ale mogło być gorzej.

Glicha był nowy w paczce Haigha. Przyjęli go, bo był czarny. Wysoki jak Fasola, ale wąty, o długich, patykowatych kończynach, kojarzył się Gaveinowi z wieszakiem na odzież.

– Czegoś tutaj nie rozumiem – przerwał milczenie Haigh, niby zwracając się do Gaveina, ale łypiąc w stronę Haifana. – Twoja żona, Dave, jest od ciebie młodsza o parę lat, a każdy zmienia Lavath, Davabel czy Ayrrah, gdy ma dokładnie trzydzieści pięć albo siedemdziesiąt lat, nigdy inaczej. No, chyba żeby dożył stu pięciu i mianowali go gerontem. Ty masz właśnie trzydzieści pięć, to jak to możliwe, że ona przyjechała równo z tobą?

– Ja leciałem samolotem, a ona płynęła statkiem – Gavein wzruszył ramionami. Domyślił się, że Haigh zamierza wciągnąć do rozmowy Haifana, nauczyciela fizyki i astronomii w elitarnej szkole średniej wyłącznie dla czarnych. Haifan nie wiedział, że ufryzowany na koguta Haigh, już za samo to wart zlekceważenia, przygotowuje się do egzaminu na bakalarza fizyki i tylko czeka, aż nadęty Haifan się podłoży.

Ryba złapała haczyk: Haifan odłożył gazetę i rozpoczął wykład, pewnym i donośnym głosem wiedzącego lepiej.

– To można prosto wytłumaczyć. Otóż, szybkość upływu czasu zależy od wysokości nad poziomem morza. Im wyżej się wzniesiesz, tym wolniej płynie czas. Gdy na twoim zegarku, tu w Davabel, upłynie godzina, to na wielkiej wysokości minuta, wyżej tylko sekunda, a jeszcze wyżej nawet mniej.

– Na jaką wysokość wzniósł się samolot?

– Pilot ogłosił, że na sekundową.

– No właśnie. Dlatego, jeśli dwie osoby chcą równocześnie dotrzeć do którejś Krainy, ale jedna z nich nie ma trzydziestu pięciu lub siedemdziesięciu lat, to młodsza z nich podróżuje statkiem w czasie realnym, czyli takim, jaki upłynie na ziemi, a starsza leci samolotem. Trasę i wysokość dobiera się tak, że na końcu podróży, osiągając Davabel czy Ayrrah, czy Lavath mają dokładnie tyle samo lat, to znaczy wiek Końca Młodości lub Początku Starości, a dla wybranych wiek Dostojeństwa. Czasami konieczne jest połączenie podróży statkiem i samolotem, bo kursów nie jest dość i każdy ma jedną lub nawet kilka przesiadek. Wodnopłaty służą tym, którzy podróżują statkiem i samolotem. Ty leciałeś wodnopłatowcem, Gavein?

– Nie, ale widziałem przelatujący obok.

– To dlaczego widać gwiazdy, jeśli przy nich czas prawie nie upływa? – wbił szpilę Haigh.

– Nie ma znaczenia – Haifan nie tracił pewności siebie. – Gwiazda nie wie, że funkcjonuje w zwolnionym czasie i pali się normalnie. Światło dociera do nas i ją widzimy.

– Nawijasz, Haifan. Raz widziałem, jak samochody jechały sznurkiem 5300 Aleją, tą autostradą, wiesz? Takim gęstym sznurkiem, z prędkością siedemdziesiąt na godzinę. Potem był znak, że można

przyspieszyć do stu na godzinę i wszystkie przyspieszały przy znaku. I wiesz, co się stało? Sznurek się rozrzedził.

– Nie rozumiem – burknął Haifan. Był zbyt inteligentny, aby nie zrozumieć. Spocił się, głos mu ścieniał, oczy zwilgotniały.

– To powiem jeszcze raz. Prościej. – Haigh wiedział, że ma przeciwnika pod obcasem. – Załóżmy, że centymetr kwadratowy gwiazdy wysyła milion fotonów na sekundę. Liczbę tę wysłałem z palca, ty pewnie wiesz, ile naprawdę wysyła, ale chodzi mi o co innego: widzimy, że gwiazda pali się, bo dociera od niej dużo fotonów. Ale to jest sekunda dla gwiazdy, a dla nas milion lat. A milion fotonów na milion lat, to foton na rok, czyli nic, zupełna ciemność. Więc gwiazdy nie widać! Ale ty, Haifan, widzisz gwiazdy, jak zadrzesz głowę do góry, no nie? – Haigh wydymał szary pęczek gumy do żucia.

Haifan mruknął pod nosem, że gwiazdy jednak świecą; dodał, że się śpieszy i musi teraz wyjść, a wróci dopiero na pizzę. Zostawił gazetę. Zwycięstwo Haigha było druzgocące. Wydawało się, że rudy grzebień na jego głowie stał się jeszcze czerwiejszy.

– Często go tak przeganiaasz? – zapytał wesoło Gavein.

Haigh zaprzeczył gestem i wciągnął szary bąbel.

– Dzisiaj był pierwszy raz – powiedział poważnie. – Ale tak będzie już zawsze. Przez skurwiela powtarzałem klasę. Przysłali go raz z komisją do naszej szkoły. Nie pamięta mnie.

– A jak z tym jest naprawdę?

– Nie wiadomo, jak jest naprawdę. Ale on o tym nie wiedział. Na ogół uważają, że przestrzeń przypomina kawał żółtego sera. W dziurach czas płynie szybko, znaczy normalnie. I w tych dziurach znajdują się gwiazdy lub planety, a tam gdzie nic nie ma... czyli w serze, czas zwalnia. Dlatego widać, że gwiazdy świecą.

– To znaczy, że szybkość upływu czasu zależy od odległości od masy? – upewnił się Gavein.

Haigh potwierdził nonszalanckim gestem, wydymając gumę.

– Ale w takim razie coś powinno dziać się w rejonach, gdzie czas zwalnia, czyli w tym serze, jak mówisz. Obserwowałem biegaczy, którzy osiągnęli metę i zaczęli iść. Nagle zrobiło się ich jakby więcej, stało się tłoczniej, gęściej, niż kiedy biegli...

– Cholerne myślaki żyją w tym Lavath – mruknął Haigh niechętnie. Niewątpliwie zarozumiałstwo łączyło go z Haifanem. – Masz cholerną rację, Dave. Tam, gdzie czas zwalnia, robi się gęsto od fotonów i jest jasno. No, jak było na minutowej wysokości czy wyżej?

– Jasno, cholernie jasno, aż płótno pokrycia przeświecało czerwono. Potem kazali założyć specjalne okulary, żeby się oczy nie schrzaniły.

– Skurwiele puszczają ludzi w płóciennych samolotach – prychnął Haigh. – Musiałeś łąpnąć zdrową dawkę.

– Czego?

– No, rentgenów, chłopie! Rentgenów! Przecież leci nie tylko światło. Promienie kosmiczne... mikrofały i takie inne bzdury. Swoje jaja możesz ugotować na twardo i zamarynować w occie, a potem trzymać w słoiku. Tyle z nich zostało, Dave.

– W czasie lotu, tam na górze, kazali zamykać szczelne klapy wokół bioder i krzyża. Pewnie dla ochrony, bo cholernie ciężkie.

Haigh spojrzał spode łba.

– Mówisz, nawet wokół krzyża. Ci faceci od transportu wiedzą, co robią. Ale pewnie i tak złapałeś anemię. Wychodzą włosy, co?

– Włosy to mi wychodziły już w kołysce. Sam się dziwię, skąd mi się jeszcze biorą na czaszce... Nie mam wątpliwości, że głupieję z wiekiem, widocznie mózg wyłazi mi przez gruczoły potowe i schnie na powietrzu, a wszyscy myślą, że to włosy. – Gavein dostosił się do sposobu ekspresji Haigha. Lubił go, w przeciwieństwie do wszystkich Tonescu.

Haigh dłubał w nosie i co chwilę oglądał palec.

– Mnie to mózg chyba wychodzi nosem. Tyle tam tego mam – powiedział.

Gavein skrzywił się z obrzydzenia.

– To dlatego samolot leci w nocy, a w dzień obniża się tak bardzo. Bobby się zwyczajnie spalił! Od słońca – Gavein aż klepnął się w czoło.

– Nieźle, nieźle... wal dalej – powiedział Haigh.

– Co?

– No, wal mózgiem. To taka zachęta intelektualna – wyjaśnił grzecznie Haigh.

– Samoloty nie mogą latać zbyt wysoko, bo grozi to eksplozją. Stąd bariera kompensacyjna nie pozwalająca wyrównać więcej niż pięć lat.

– Noo! – Haigh wyraził swój podziw. Wstał, podszedł do drzwi i przylepił utoczoną kulkę do framugi. – Jakby któregoś dnia matka nie znalazła tego na zwykłym miejscu, to z pewnością wysłałaby mnie do psychiatry. Muszę dbać o wizerunek młodego buntownika – wyjaśnił. – A nie mówili, dlaczego nie posyłają metalowych samolotów? – zapytał.

– Mówili, że dawniej paliwo wybuchało od gorąca. Tylko start odbywa się przy użyciu silników odrzutowych. Paliwo się kończy i w czasie lotu pracują śmigłowe. Ktoś mówił, że parowe,

ale trudno mi uwierzyć.

Gavein zamilkł, jakoś nie przywykł jeszcze do Haighowych metod dbania o image gniewnego.

– Haigh – odezwał się wreszcie. – Ale to przecież oznacza, że słońce świeci w zupełnie innym miejscu, niż je widzimy, bo światło nie nadąża w porę. Może kiedy u nas jest jasno, to naprawdę ma być noc i odwrotnie, co?

– Powiem ci więcej. – Haigh pracowicie wydobywał z nosa rzekome fragmenty mózgu. – Niektórzy faceci uważają, że opóźnienie może wynosić daleko więcej i Ziemię oplata, jak wstęga, jasna spirala dnia i ciemna spirala nocy. Oczywiście, jeśli Ziemia jest nieruchoma.

Wrócili Tonescu, ale nie w komplecie: tylko Gunda, Haifan z gazetą i Torth. Starszy Tonescu – cichy jak nigdy dotąd, usiadł ze wzrokiem wlepionym w obrus. Młodszego nadal nie było.

– Miałeś rację, Haifan. Gwiazdy widać, bo każda z nich funkcjonuje w zwolnionym czasie, ale nie jest w stanie zauważyć spowolnienia – powiedział ponuro Haigh. – Przemyslałem sprawę. Miałeś rację. – Ostatnie stwierdzenie przypieczętował teatralnym skinieniem głowy.

Ta uwaga zrobiła wrażenie na Haifanie. Nie odpowiedział, swobodnie rozsiadł się i rozłożył gazetę. Odzyskał pewność siebie.

Haigh łypnął szelmowskim zezem na Gaveina, właśnie usuwającego z pizzy resztki tacki. Mrożonki sprzedawano na tekturowych podstawkach, które przywierały do potrawy. Łatwiej odklejały się po podgrzaniu, więc z garnka, a czasem dopiero spomiędzy zębów, wyławiano resztki tektury.

– Horror! Co ci gówniarze wyprawiają! – uniósł się Haifan. – Słuchajcie! Dzisiaj w godzinach przedpołudniowych grupa dzieci oblała benzyną, a następnie podpaliła ośmioletniego chłopca – czytał na głos. – Nieszczęsna ofiara wybiegła na jezdnię, wołając o pomoc. Przygodni świadkowie twierdzą, że dziecko wyglądało jak pochodnia. Dopiero po minucie zdołano chłopca schwytać, przewrócić i stłumić na nim ogień. Ofiara znajduje się w stanie krytycznym. Dotąd nie ustalono jego nazwiska. Sprawcy zbiegli. Rodziców prosimy o zgłaszanie się do Szpitala Miejskiego przy 5650 Alei, od 5430 Ulicy. Ależ to blisko nas...! Gunda spojrzała podejrzliwie na syna.

– Torth, jeśli maczałeś w tym swoje brudne łapska, to cię rozerwę na strzępy – wysyczała. – Czuję, że coś ukrywa – zwróciła się do męża. – Patrz mi w oczy, a nie w obrus! – warknęła do syna.

Starszy Tonescu rozplakał się.

– To nie ja. Ja go tylko trzymałem. – Rozmazał się i posmarkał. – Potem było mi żal, bo Aladar tak okropnie krzyczał. – Torth płakał w głos.

– Aladar! – krzyknęła Gunda.

Rzuciła się na syna, ale Haifan zdołał ją powstrzymać. Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie: Gunda zemdląła, Edda ją cuciała, Leo poszedł wyprowadzić wóz z garażu, bo ani Haifan, ani tym bardziej jego żona, nie byli w stanie prowadzić; potem Haifan próbował spuścić lanie synowi, ale przerwał w połowie.

Potem równie nagle zrobiło się bardzo cicho, gdy Leo, Haifan, Gunda i Torth pojechali do szpitala.

– Jak miał na Imię Aladar? – Gavein pierwszy raz w życiu odważył się spytać o czyjeś Imię

Ważne.

– *Flomir* – odpowiedziała Edda.

Flomir oznaczało: „Od ognia”, było Imieniem Żywiołu.

– Przepadł ci film, Haigh – zauważył Gavein. – Maslynnaja i Solobina.

– Pieprzę je obie – mruknął Haigh. – I to jednocześnie...

Zapadło milczenie.

– A ty, Dave, nie masz przypadkiem na Imię *Aeriel*, co? – spytał nieoczekiwanie Haigh.

Gavein wzdrygnął się.

– Zgadłeś.

– A ile byłeś na sekundowej wysokości?

– Pilot powiedział, że prawie dwadzieścia siedem godzin.

– Przebadaj ty się, chłopie, na białaczkę.

Było jasne, dlaczego na dużej wysokości widział tak wiele samolotów. Po prostu zgęściły się jak fotony nadlatujące od gwiazd.

Leo wrócił późnym wieczorem sam. Gundula i Haifan czuwali przy poparzonemu dziecku, Tortha zaś zatrzymała policja. Błady i zmięty po nieprzespanej nocy, Haifan dotarł do domu pierwszym porannym autobusem. Aladar zmarł nad ranem, nie odzyskawszy przytomności. Załamana nerwowo Gundę zatrzymano na oddziale kobiecym tego samego szpitala.

Zapanowała przykra atmosfera. Gavein pojawiał się, aby przełknąć swój makaron i pizzę, i zaraz znikał. Wolał leżeć na materacu lub na wykładzinie dywanowej ze wzrokiem wlepionym w okno lub sufit. Telefon milczał.

Wybrał się na film z Maslynną i Solobiną, bo innego nie grano w okolicznych kinach. Przyznał rację Haighowi: obie aktorki były szczególnie zbudowane. Niestety, wynudził się: treścią filmu było wyłącznie pokazywanie.

Tu też tak samo. Ani trochę lepiej – pomyślał z goryczą, zauważywszy, że podobnie jak w Lavath filmy kinowe miały celowo uproszczoną fabułę. Później przekonał się, że z programami telewizyjnymi robiono to samo.

Gdy siedział w kinie, Hilgret została śmiertelnie porażona prądem podczas prasowania bielizny. Tracąc przytomność, upadła bardzo niefortunnie: sznur owinął się wokół niej, a prąd długo płynął przez jej ciało. Od żelazka zajął się dywan. Edda wróciła dość wcześnie, by ugasić wykładzinę, zbyt późno jednak, by uratować Hilgret.

Gdy Gavein wrócił, ciało już wywieziono do kostnicy. Pozostała tylko dziura wypalona w dywanie.

– To chodzi! To chodzi wokół nas. Krąży. Szuka następnej ofiary... – Edda zaczęła histeryzować. – Na pewno nie skończy się na tym.

– Masz rację, Edda – włączył się Haifan. Postarzał się przez te ostatnie dni. – Czasami przez całe lata nic się nie dzieje. Panuje pozorny spokój. Cisza, szczęście. A nagle nie wiadomo dlaczego, wszystko przewraca się z dnia na dzień. Życie toczy się raz wolno, to znów gwałtownie przyspiesza.

Jak upływ czasu – pomyślał Gavein. – Samolot się wznosi. Pilotowi wydaje się, że leci normalnie, a na Ziemi widzą, że prawie się zatrzymał.

Następnego dnia Hanning zadzwonił, że pani Dave Throzz jest do odebrania w Porcie 0-2. Usiłował być grzeczny, nawet poprawił się: „Pani Magdalena Throzz”. 0-2 to był port u północnego końca 2000 Ulicy. Zależnie od pogody było to kilkanaście albo dwadzieścia kilka godzin jazdy.

Gavein zamówił kurs mikrobusu, gdyż dotąd nie kupił samochodu. Kosztowało dwadzieścia paczek.

Pogoda była niezła, ale jechał aż dwadzieścia sześć godzin. Po drodze wsiadali lub wysiadali inni pasażerowie. Dzięki temu było taniej. Gavein umiał spać w każdych warunkach, a w chwilach, gdy był jedynym pasażerem, mógł wygodnie leżeć w poprzek siedzeń.

Prowadzili dwaj kierowcy. Gofit (od Gozzafath) miał napuchłą twarz i worki pod oczami. Mówił, że wkrótce przestanie jeździć i zajmie się czym innym. Drugi, Pat, był równie stary jak tamten, wychudły, bezzębny o zapadłych policzkach i szarej cerze. Na palcach prawej ręki miał plamy nikotynowe, ale nie zapalił w czasie drogi. Mówił dużo, sepleniąc. Opowiadał o swojej żonie i czwórce dzieci, z których aż dwoje miało jasne włosy, pomimo że rodzice byli szarzy. Pat nie mógł tego przeboleć, ponieważ była to para jego najzdolniejszych latorośli. Nie dostały się na studia tylko dlatego, że były białe. Pozostała dwójka studiowała inżynierię. Gdy Pat mówił, nachylał się ku rozmówcy, a wtedy czuć było jego kwaśny oddech. Gavein wywijał się jak wąż, by oddalić od siebie cuchnącą, dmuchającą gardziel. Trudne to, ale możliwe – musiał jedynie wcisnąć się głęboko w oparcie fotela, gdyż Pat powstrzymywany był pasem bezpieczeństwa. Najlepiej było, kiedy Pat kierował.

Port morski 0-2 okazał się gigantycznym domiskiem z długą na kilkaset metrów, ślepią ścianą z czerwonej cegły. U dołu ciągnął się rząd ponumerowanych wyjść. Wnętrze budynku – stanowiła podłużna sala wypełniona szklanymi kojcami urzędników, dziesiątkami barierek, straganami i sklepikami.

Gavein plątał się, kulejąc, w tłumie podróżnych i oczekujących rodzin. Bolały go stopy spuchnięte od długotrwałego bezruchu. Po dwudziestu minutach trafił do właściwego działu. Urzędniczka była czerwona.

Innych nie zatrudniają – pomyślał. Mylił się: ruda sprowadziła tę właściwą, czarną. Poszedł z nią do pomieszczenia katalogu.

– Kartoteka powinna być w tym pokoju. – Założyła okulary, żeby czytać napisy na metalowych szafach pod ścianami pokoju. W okularach wyglądała ładniej – mądrzej.

Powinna je stale trzymać na nosie, nie w kieszonce uniformu – pomyślał.

Odszukała właściwą teczkę.

– To transport numer 077-12-11-4 – orzekła. – Ho, ho, ho! Cztery lata kompensacji. – Podniosła oczy znad papierów. – Ale się pan zdziwi.

– Były jakieś komplikacje?

– Nie, ale lata lecą. Na pewno zmieniła się. Mogła już pana zapomnieć.

– To mój problem. Chciałbym ją zobaczyć jak najprędzej.

Urzędniczka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Dave, mów mi Anabel, dobrze? – powiedziała. – Nie mogę znaleźć jej imienia w spisie. Ra

Mahleine...?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Nie ma. Nazwiska Throzz też nie ma. – Starannie przekopła stertę papierów. – Z całą pewnością jej tu nie ma.

– Co to znaczy?

– Wiesz, Dave, tu jest druga lista. Wyruszyły trzysta dwadzieścia cztery kobiety, dopłynęło ich dwieście trzydzieści osiem. Mieli epidemię na pokładzie.

Chwilę milczał.

– Nie uwierzę, dopóki nie ujrzę ciała – wydusił w końcu. Gardło miał zdławione, mówił z trudem.

Urzędniczka to zauważyła.

– Zgodnie z przepisami ciała powinny być zamrożone. Poza tym musi być przecież jakaś lista zmarłych! – skończył głośniej. Wszystko było lepsze niż niepewność.

– Z całą pewnością nazwisko znajdzie się na jednej lub drugiej liście – powiedziała. Uważnie studiowała kolejne wpisy. – Tu też takiej nie ma – powiedziała po chwili. – Żadnej Ra Mahleine, żadnej Mahleine, żadnej o nazwisku Throzz. To jakaś pomyłka – wzruszyła ramionami.

– Nie wyjdę stąd, póki się nie dowiem. Ale... ale to znaczy, że jest szansa, że nie umarła? – zreflektował się.

– Czy wyjeżdżała przed, czy po twoim odlocie?

Oczywiście domyślił się, do czego ona zmierza: Ra Mahleine mogła zmienić decyzję w ostatniej chwili. Dotąd ufał żonie bezgranicznie, nie dopuszczał myśli, że mogła sobie znaleźć kogoś innego. Robak wątpliwości powinien załęgnąć się pod czaszką Gaveina – tak chciała ta dziewczyna w drucianych składanych okularach i uniformie morskich służb transportowych.

– Trzy tygodnie po moim odlocie – powiedział Gavein. Robak niepewności tył i rozrastał się. – Nie ustąpię, póki nie zobaczę każdej z przybyłych – powiedział z naciskiem.

– Słuchaj, Dave, one teraz odbywają kwarantannę. Dłuższą niż rutynowa, bo na pokładzie była epidemia. Jeśli ona tam jest, to znajdzie się sama. Może przyjedziesz drugi raz, kiedy kwarantanna dobiegnie końca? – urwała, spojrzawszy na zaciętą twarz Gaveina.

– Zaczekam tutaj. Do skutku. Tu będę sypiał – wskazał na podłogę przykrytą strzyżoną wykładziną. Nie była wiele gorsza niż wykładzina w jego pokoju, na której wylegiwał się często.

– Skoro zależy ci aż tak bardzo. Ale to potrwa.

Przynajmniej nie próbowano usunąć go siłą. Czekał w pustym pokoju. Trochę siedział, trochę drzemał, czasem chodził tam i z powrotem. Sprawdził, że wszystkie szafy zamknięto na klucz.

Po paru godzinach Anabel wróciła, ciągnąc wózek z kartotekami. Gavein pomyślał, że dumne imię, wywodzące się od nazwy kraju urodzenia, nie pomoże jej, gdy przeniesie się do Ayrrah.

– Wyszukałam kartotekę rejsu twojej żony. Są tu wszystkie pasażerki – wskazała wielkie tekturowe pudło.

– A te skrzynki obok to rejsy: 077-13 i 077-11, sąsiednie.

Może w nich się zapodziała. Jest też trzecia możliwość: ona mogła nie wytrzymać nerwowo i przesiąść się na wodnopłat. Takie osoby nie figurują w tych kartotekach, ale zdołam odnaleźć pełną listę kobiet, które wyjechały. – Karmiła robaka troskami Gaveina.

– Anabel, to był kawał ciężkiej roboty.

Uśmiechnęła się. Zanim poszła, pouczyła go jeszcze, jak posługiwać się kartoteką.

Było to proste: wsuwało się kartę w szczelinę czytnika, a na monitorze pojawiał się czarno-biały portret pasażerki zrobiony przy wyjeździe z Lavath, a następnie kolejne, robione co trzy miesiące, kończąc na obecnym. Niektóre kartoteki zawierały mniej zdjęć, wówczas dane kończyła adnotacja z datą śmierci. Jakość zdjęć była niska, raster gruby.

Dziesiątki twarzy zmieniających się zbyt szybko. Brzydły, chudły lub tyły; tylko niektóre nie poddawały się upływowi czasu. Te portrety przypadkowych kobiet, zestawione chronologicznie, wymownie przedstawiały grozę podróży w czasie realnym.

Gdy dotarł do końca, za oknami panowała głęboka ciemność. Ra Mahleine nie znalazł.

Wróciła Anabel:

– Dave, my już kończymy pracę na dziś. Port jest zamykany aż do świtu.

– Nie ma jej.

– Jutro też jest dzień. Musisz gdzieś przemocować. Masz jakieś miejsce?

– Niezupełnie.

– Możesz przemocować u moich rodziców w pokoju na górze. Za trzydzieści paczek. W tym czysta pościel i kolacja, za dodatkowe trzy paczki mama robi śniadanie, dobrze?

Ciekawe, co jeszcze jest wliczone w te trzydzieści trzy paczki. Ale zaraz przyszła myśl: Gdy raz stąd wyjdzie, to już nigdy więcej tu nie trafi. Ten cholerny gąszcz urzędników, kojców, stanowisk. Jeśli z jakichś względów starają się zataić los Ra Mahleine, to ostrzeżeni urzędnicy będą go zwodzić fałszywymi wskazówkami, a on będzie błądził po ogromnym gmachu, aż do udręczenia i rezygnacji.

– Potrafię to docenić, Anabel, ale nie zmrużyłbym oka przez całą noc. Muszę wiedzieć! Jest obojętne, czy będę siedział tu, czy tam – i tak nie usnę. A tu mogę nadal szukać. Tyle kart jeszcze pozostało do przejrzania.

– Ale to jest niedozwolone. Wbrew przepisom.

Wyczuł wahanie w jej głosie. Był przekonany, że Anabel kłamie. Intuicja. A jeśli nie było lepszych wskazówek niż intuicja, uwierzył intuicji.

– Poradzę sobie, Anabel, z nieżyczliwą urzędniczką. Wezwij kierowniczkę, to nagadam babie do słuchu, znam swoje prawa. To jest niedopuszczalne, żeby tak długo nie można było odnaleźć pasażerki – blefował.

– Właściwie, ja tu jestem kierowniczką – odpowiedziała. Jej ton świadczył, że blef się udał.

Gavein uśmiechał się bezradnie. Zapadło króciutkie milczenie. Przeczekał ją.

– No dobrze, zrobię to dla ciebie, Dave. Daj paszport, muszę załatwić nocną przepustkę. Nie miałeś konfliktów z prawem? – spojrzała z ukosa. – Nawet mandatów komunikacyjnych?

Pokiwał przecząco głową.

– Zaczekaj tutaj.

Wkrótce wróciła z paszportem, przepustką, kluczem magnetycznym otwierającym pokój z szafami i toaletę. Klucz nie nadawał się do innych drzwi. Przytoczyła drugi wózek z aktami. Spisała się lepiej, niż oczekiwał.

– Tu są rejsy 077-10 i 077-14. Jeśli wśród nich nie znajdziesz, to już nie wiem.

Wiedział, że jest niezadowolona z jego decyzji. Nie dbał o to. Zresztą zmyła się wkrótce. Zaczął od przejrzania list, ale nic nie znalazł. Jediną możliwością był błąd w nazwisku. Wprawdzie wierzył, że Ra Mahleine wypłynęła w rejs, ale robak wątpliwości miał się coraz lepiej, sprawnie drażył mózg. Podsuwał obrazy znudzonej Ra Mahleine, zawierającej znajomość z przystojnym pilotem wodnopłatowca i uciekającej razem z nim z pokładu statku. Ostatecznie, tak krótko byli małżeństwem. Właściwie, czy kiedyś ją rozumiał? Musiała myśleć zupełnie innymi kategoriami, była przecież aż o cztery lata młodsza. Jednak podróż kompensująca była jej pomysłem. Cóż, jakiś ślad musiał pozostać.

Czarna zaraza – pomyślał o Anabel. – Zabiła mi klina.

Spokój i pewność przepadły nieodwołalnie: wreszcie uświadomił sobie proporcje czasowe –

on rozstał się z żoną dwa tygodnie temu, ona z nim cztery lata. Cztery lata to długi czas.

W nocy przeglądanie kartotek szło wolniej. Przejrzał wszystkie rejsy, a 077-12 dwukrotnie. Kochanej twarzy Ra Mahleine nie znalazł. Dopiero na samym końcu kartoteki rejsu 077-14 dokonał odkrycia: wszystkie pasażerki ujęte w niej miały kategorię rasową. W rubryce widniało zawsze S, C lub P, nigdy bk. Rubrykę tę umieszczono w kącie ekranu i ginęła w powodzi innych liczb.

– Stary numer – burknął. – Ile razy jeszcze się nabiorę? Przewertował kolejny raz rejs 077-12: ani jednej białej, wyłącznie czarne, czerwone lub szare. Odetchnął. Należało szukać gdzie indziej. Nawet nie miał za złe Anabel, że go okłamała – wszyscy urzędnicy postępowali podobnie.

Świtało.

Zbudziła go po trzech godzinach. Czuł się wymięty i pognieciony. Leżał przecież na wykładzinie podłogowej, bolały go kości; czuł się brudny i nieświeży. Anabel przyniosła kanapki, ciasto i kawę w papierowym kubku. Odebrał jej troskę jako coś więcej niż zwykłą życzliwość urzędnika. Powiedział jej o swoim nocnym odkryciu. Obserwował, jak zadowolenie na jej twarzy klęśnie niczym przekłuty balon.

– Nie przypuszczałam, że to biała. Oczywiście, białych nie ma w kartotece.

Gavein pamiętał, że wspominał o kolorze włosów żony, ale zmilczał.

– Ale jest ich lista, co? Albo można je obejrzeć?

– Jest spis. Ale tam są tylko numery.

– Jak to numery?

– Zwyczajnie: płynęły na statku będącym własnością Davabel, wszystkie formalności związane ze zmianą obywatelstwa przeprowadzono zaraz po opuszczeniu Lavath.

– To znaczy?

– To znaczy, że ona ma obecnie tylko numer, zaś jej imię i nazwisko z Lavath nie zostały zachowane w dokumentacji, jeśli jeszcze... żyje.

Gavein zatarł ręce. Chciał sprawiać wrażenie wypoczętego, pełnego chęci do dalszych zmagañ, nieskorego do ustępstw czy rezygnacji.

– Jestem przekonany, że wszystko będzie dobrze. Kawa była fantastyczna, a placek jeszcze lepszy. Napelnięły mnie optymizmem. Sama piekłaś?

– Tak, sama. To znaczy, pomagała mi mama.

To oczywiste łgarstwo: placek pochodził z handlowego zestawu; należało wstawić do piekarnika metalową tackę z gotowym ciastem i piec według instrukcji, następnie wydłubać produkt z foremki. Gavein pomagał Eddzie piec identyczne placki.

– Mhm... – mruknął jak kot. – Świetne. – Walczył z sennością. – Kiedy obejrzę białe z transportu?

– No, właściwie, choćby zaraz – skapitulowała. – One teraz jedzą śniadanie, w jadalni są kamery.

Powiodła go korytarzem.

– Ale jeśli już zmarła, to nie zdołam jej odnaleźć – rzuciła przez ramię. – Został po niej tylko numer identyfikacyjny.

Słowo „już” zmroziło go.

W dyżurce kwarantanny ustawiono dziesiątki monitorów. Ukazywały różne cele: jedne puste, w innych jednakowo ubrane kobiety w szaroniebieskich spódnicach i szarych bluzach z odcisniętym na plecach napisem: „Kwarantanna”.

– Na podglądzie widać wyłącznie jadalnię, pokoje dzienne i sypialnie w godzinach nocnych. Podgląd w toaletach i łazienkach jest prawnie wzbroniony – wyjaśniła. – Podróżne mają prawo do prywatności.

– Ale chłopaki z obsługi technicznej zawsze mogą obejrzeć co chcą, prawda?

– Mylisz się – wyduła wargi. – W łazienkach i kibelach nie ma kamer z powodu korozji.

– Dobrze i to. Już polubiłem korozję.

Zignorowała jego uwagę.

– Podejdź tu, Dave – powiedziała. – Do tego drugiego w trzecim rzędzie – wskazała podbródkiem jeden z monitorów. – Białe z rejsu 077-12 właśnie jedzą śniadanie. Tu są dwa pokrętki, możesz manewrować kamerą, zmieniać pole widzenia. Na bluzach, na piersi mają numery identyfikacyjne. Jeśli ją znajdziesz, postaraj się odczytać numer. Wywołam ją przez głośnik. Będziesz mógł przyjrzeć się z bliska, a jeśli zdecydujesz się na nią, i ona potwierdzi twoją tożsamość, będziesz mógł obejrzeć ją nagą. Prawo imigracyjne pozwala na to. Radzę tak zrobić, bo na statku więziennym postarzała się i zmieniła; wtedy będziesz mógł się wycofać. Rozmawiać nie będzie wam wolno.

Gavein kręcił gałkami, patrząc w monitor. Wkrótce obraz posłusznie wędrował po smutnych twarzach kobiet o włosach spiętych szarymi jednakowymi chustami i odzianych w jednakowe szare bluzy. Choć może ta szarość była wynikiem podłej jakości kamery: obraz był przecież prawie pozbawiony kolorów. Numery wypisano na sporych białych szmatkach przyszytych do bluz. Niektóre z kobiet siedziały na skraju zasięgu kamery; tym nie mógł się przyjrzeć, nawet przy maksymalnym zbliżeniu. Niektóre zerkały do kamery, zauważyły jej poruszenia. Rozmawiały z rosnącym ożywieniem, wkrótce większość gapiła się do obiektywu. Niektóre uśmiechały się, choć na ogół spojrzenia były złe, niezyczliwe, dwie wygrażały uniesionymi pięściami.

– Jeśli nie znajdziesz tym sposobem, to rozkażę, aby szły gęsiego korytarzem, a wtedy przejdą przed kamerą z bliska. Chcesz przecież mieć pewność, że zmarła.

Właśnie w tym momencie ją rozpoznał. Siedziała bokiem do kamery, zgarbiona. Dawniej się nie garbiła. Wybierała strawę łyżką z miski. Była w okularach, podłych, pokrzywionych, drucianych. Dawniej nie nosiła okularów. Przez chwilę walczył ze zdławionym gardłem. Żyła. Miał ochotę skakać z radości.

– Jest. Siedzi tutaj – wydusił wreszcie.

Urzędniczka drgnęła.

– Ma numer 077-12-747. Możesz ją wywołać, Anabel? – Gavein spostrzegł jej gest. Nie wolno okazać uczuć: nie wiadomo, co oni jeszcze wymyślą. Należało walczyć; cieszyć się będzie później.

– Oczywiście! – Rzuciła mu spojrzenie. – Numer 077-12-747 przejść do pokoju przesłuchań – sucho powiedziała do mikrofonu.

Ra Mahleine zbyt nerwowo odsunęła miskę i powstała. Gavein nie potrafił powstrzymać napływających łez. Kiedyś uważał, że nie jest zdolny do płaczu. Gdy szła, przyjrzał się jej lepiej. Nie zmieniła się wiele, choć wyglądała mizernie, jak po przebytej ciężkiej chorobie. Idąc, garbiła się. Nie tak, jak garbią się zbyt wysokie dziewczyny, chcąc naiwnie skompensować swój nadmierny wzrost; naiwnie, gdyż przypominają wtedy sylwetką brodzące ptaki, nadal pozostając za wysokie; Ra Mahleine była nieco zgięta w krzyżu i przez to podana do przodu jak ktoś cierpiący na początki osteoporozy. Kiedyś miała lekki defekt postawy, teraz było to widoczne.

– Jak się nazywała? – rzuciła Anabel.

Był zły, że musi przypominać. Nie miał wątpliwości, że zapamiętała tych szesnaście liter.

Za chwilę Ra Mahleine pojawiła się w innym monitorze. Spokojnie patrzyła w obiektyw kamery, przepisowo wyprężona na baczność.

– Podać tożsamość – Anabel rzuciła do mikrofonu.

– Numer 077-12-747 – odpowiedziała sucho Ra Mahleine. Miała chrypkę.

– Chodzi mi o nazwisko i imię.

– Wybijaliście mi to z głowy przez lata. Nie chcę znowu podpaść – mówiła inaczej niż dawniej, hardo. Znikła dawna słodycz.

– Podać nazwisko i imię z Lavath. To rozkaz – powiedziała Anabel.

– Ra Mahleine Throzz.

– Czy mogę coś do niej powiedzieć?

– To nie jest możliwe – odrzekła Anabel. – Z dwóch powodów: na pokładzie była epidemia wywołująca zaburzenia psychiczne i ona mogłaby tego nie znieść, a poza tym prawo na to nie zezwala.

Gavein czuł, że tym razem kierowniczka nie ustąpi.

– Pyta o ciebie niejaki Dave. Znasz go?

– Nie znam żadnego Dave’a. Nie będę się rozbierać do kamery tylko dlatego, że jakiś obcy typ sobie mnie upatrzył. Myślę, że mój mąż nie zapomniał o mnie w ciągu dwóch tygodni i wreszcie się zgłosi, choćby po to... – urwała.

Dusza Gaveina cieszyła się i śpiewała.

– Anabel, przecież ona zna mnie pod innym imieniem.

– Nie przeszkadzaj. To zwykła procedura. Teraz was sprawdzam. – Anabel stała się wcieloną służbistością.

– On zna twoje imię – zwróciła się do Ra Mahleine.

– Nie wiem, skąd zna – Ra Mahleine wzruszyła ramionami. – To nie była żadna tajemnica. Sama mu mogłaś powiedzieć. Już raz próbowałaś mi wmówić, że Gavein mnie sprzedał.

Gavein drgnął: jednak dobra wola Anabel, troska i chęć pomocy były grą obliczoną na zniechęcenie go. Od początku wiedziała, kogo on szuka.

– Nie bądź bezczelna – warknęła Anabel. Nie wyglądała na dziewczynę, którą pasjonuje wypiek ciast. – On chce cię stąd zabrać! I rozbierzesz się, jak ci każe!

– O, tyle! – Ra Mahleine pokazała do kamery zaciśniętą pięść i ją pocałowała.

– Każę sprowadzić strażniczki!

– Nie masz prawa, Anabel, a ten zapis z kamery jest dowodem zajścia – zareplikowała Ra Mahleine. Nie poznawał żony, imponowała determinacją. Ta rozmowa jawiła się jako potyczka w wojnie trwającej już od długiego czasu.

– Ten człowiek w Lavath nazywał się Gavein Throzz. Znasz takiego?

– Tak nazywał się mój mąż. Ale ci nie wierzę, że to on tam stoi. Już próbowałaś swojej sztuczki i ci się nie udało. Daj sobie spokój i tym razem. – Wyczuł, że Ra Mahleine nie była już tak pewna siebie jak poprzednio.

– Nie chcę, żeby się tu rozbierała. To upokarzające. Przestań, Anabel. Ja nie mam wątpliwości, że to ta właściwa.

– Nie, to nie – prychnęła Anabel. – Będziesz musiał podpisać oświadczenie, że w razie pomyłki rezygnujesz z roszczeń i dalszych poszukiwań i godzisz się na nią. Gdyby się rozebrała, miałbyś potem prawo do reklamacji i ponownych poszukiwań.

Dlaczego tak nalega? Jakiej reakcji Ra Mahleine oczekiwała?

– Podpiszę odpowiednie oświadczenie.

– W porządku. Za dwa tygodnie skończy kwarantannę, wtedy przywieziemy ją pod twój dom.

– Nie pojedzie ze mną?

– Niemożliwe. Względy sanitarne. Ona może być nosicielem choroby – odpowiedziała Anabel.

– Numer 077-12-747, od dzisiaj przenosisz się do przygotowalni – rzuciła do mikrofonu.

– Gavein – powiedziała Ra Mahleine. – Widzisz mnie? Lepiej teraz nie patrz. – Zasłoniła twarz dłońmi. Umilkła.

– Numer 077-12-747, natychmiast opuść pokój przesłuchań. Sprawa została rozpatrzona. Zostałaś rozpoznana i pan Throzz cię odbierze. Wyjdź.

– Tak... Dobrze... Gavein... – Ra Mahleine przecierała okulary skrajem bluzy. – Szkła mi zaparowały. Popsuł mi się wzrok, Gavein.

Anabel ze złością wyłączyła monitor.

– No, to sprawa rozwiązała się, jak chciałeś – powiedziała do Gaveina. – Co z nią zrobisz? Przecież nie może być twoją żoną. Białych nie wpisuje się do paszportów.

– Została wpisana. Dla mnie zrobili wyjątek.

– To tylko notatka zapewniająca jej bezpieczeństwo osobiste, nic więcej. Poza nią możesz mieć normalną żonę.

– Albo dwie czerwone. Już mnie poinformowano.

– Musisz dbać o jej zdrowie. Po tylu latach na statku. Klimat Davabel nie służy jasnowłosym.

– Tak. Nie służy. Będę dbał.

Podpisał odpowiednie papiery, starannie czytając, co podpisuje. Pożegnał się.

15.

Na niekończącym się, zasypanym śniegiem parkingu, odnalazł znajomy mikrobus. Pat i Gofł spali; dwoje pasażerów drzemało na siedzeniach. Gofł obudził się, otworzył drzwi.

– Co to? Sam? – spytał. – To jeszcze nie świadczy o niczym – dodał, widząc minę Gaveina. – Czasem pomyłką port. Na pewno są jakieś szanse.

– Znalazłem ją. Jest na kwarantannie.

– No, proszę. – Gofł poklepał go po ramieniu.

Pat otworzył jedno oko.

– Zaczekamy do wieczora – powiedział. – Dwóch pasażerów jeszcze załatwia swoje sprawy.

Formalności przesiedleńcze rzadko kiedy trwały jeden dzień. Obaj kierowcy przesypiali noc w mikrobusie, oczekując na powrót pasażerów.

Gavein zasypiał w lekkiej euforii. Nie przeszkadzała mu niewygodna pozycja i chrapanie sąsiadów. Ra Mahleine żyła, nie zmieniła się, nie zbrzydła ani się nie spała. W okularach podobała mu się jeszcze bardziej – zawsze lubił dziewczyny w okularach.

Zbudził się, kiedy ruszali w drogę. Jeden z podróżnych nie powrócił, ale zgodnie z umową nie czekano dłużej; drugi przyprowadził syna nie widzianego od trzydziestu lat – przez pięć lat będą rodziną, a potem rozstaną się już na zawsze.

Gavein zaczął pogwizdywać, ale przestał skarcony surowymi spojrzeniami innych. W Davabel gwizdanie w miejscu publicznym było poważnym nietaktem. Marząc o Ra Mahleine, zasnął.

Nad ranem zbudził się zaniepokojony. Wyczuł, że dzieje się coś niedobrego. Pat siedział za kierowca, twarzą do pasażerów. Jego twarz zsiniała jeszcze bardziej niż zwykle, dłońmi trzymał się za gardło i ciężko dyszał.

– Pat, co jest?! – zapytał Gavein. Inni pasażerowie spali. Pat cicho rzeził. Oczy nabiegły mu krwią.

– Gofł, do najbliższego szpitala! Z Patem jest niedobrze! Gofł dodał gazu i skręcił na najbliższym skrzyżowaniu.

W tej części miasta nie musiał pytać o drogę. Pat stracił przytomność.

Po kwadransie zatrzymali się przed oświetlonymi drzwiami szpitala. Gofł wyskoczył z mikrobusu. Wrócił z dwoma sanitariuszami ciągnącymi wózek. Wspólnymi siłami przetoczyli bezwładne ciało Pata na nosze. Przybiegł lekarz, zaczął go badać.

– Chyba zawał. I chyba spóźniliście się – rzucił, ale podłączył Pata do respiratora. Biegiem odwieźli go do windy. Gofit pobiegł za nimi. Gavein czekał przy dyżurce.

Pozostali pasażerowie spali. Było przejmująco zimno.

Po godzinie wrócił Gofit.

– Robią mu stale masaż serca, ale chyba nic z tego nie wyjdzie. To był stary *Aktid* i już od dawna mówiłem mu, żeby dał sobie z tym spokój. Był za stary na taką pracę.

Zadzwoniłem do jego rodziny.

Aktid było z grupy Imion Człowieka i znaczyło: „Przez działanie”.

Goft odwiózł pasażerów. Z postojów dzwonił do szpitala. Za drugim razem powiedziano mu, że reanimacja została przerwana. Śmierć współnika stawiała pod znakiem zapytania przyszłość firmy.

Podjeżdżając pod dom, Gavein spostrzegł ożywienie, pomimo trzeciej w nocy. Kręciło się wiele osób; stało też kilka samochodów. Migwały nie wygaszone niebieskie i czerwone światła. Dwa wozy policyjne i jeden straży pożarnej.

Gavein wysiadł z mikrobusu.

– Co to? Pali się, czy co? – zapytał stojącą obok sąsiadkę z naprzeciwka.

– Był wybuch gazu. Jedna lokatorka Eddy, ta co jej dziecko spalili, truła się. Wsadziła głowę do piekarnika i otworzyła gaz. Tak mówił strażak – relacjonowała. – W nocy przyszła do kuchni z zapalonym papierosem inna lokatorka. Zginęła na miejscu.

– Dobrze, że chociaż nie wytruła właścicieli. Oni mieszkają na parterze – wtrącił się krępy mężczyzna w okularach.

Gavein rozpoznał Maxa.

– Znam trochę właścicieli – kontynuował Max. – Gdyby nie ten wybuch, mogłoby zginąć więcej ludzi. Wszyscy wtedy spali.

– A co z Gundą? – spytał Gavein.

– Kim?

– No, tą lokatorką.

– Wziął ją ten pierwszy ambulans. Ale z niej już nic nie będzie. Słyszałam, jak lekarz mówił, że zejście nastąpiło już dawno – powiedziała sąsiadka.

Strażacy zwinęli niepotrzebne węże i ładowali się do wozu. Policjanci kończyli rutynowe czynności. Gapiowie rozchodzili się. Gavein przecisnął się ku drzwiom. Na parterze większość szyb była potłuczona; tapety okopcone, a wykładzina spłonęła; walały się stołki.

W drzwiach pojawiła się Edda, jeszcze bardziej rozmemłana niż zwykle; w lnianej, nocnej koszuli, na ramiona naciągnęła skórzaną, zbyt ciasną kurtkę syna z mrowiem wyhaftowanych czaszek.

– Dobrze, że przyjechałeś, Gavein. Popatrz, takie nieszczęście. A mówiłam do Haifana, żeby troszczył się o Gundę, po tym, co się stało z Aladarem. Był podłamany, ale powinien uważać, wiedząc, że żona ma na Imię *Sulledda*.

Sulledda znaczyło: „Od siebie”, Gavein wcześniej nie znał Imienia Gundy.

– A mówiłam ci, że to krąży i szuka. I znalazło Gundę – powiedziała. – Gavein, powiem ci coś jeszcze. Ja czuję, ja wiem, że to nadal krąży wokół nas. – Wydało mu się, że w jej oczach widzi zmętnienie obłądu. – To jeszcze się nie skończyło, to nadal krąży. Taki spokojny dom i naraz tyle tego...

– Ja też byłem świadkiem tragedii. W czasie drogi zmarł na serce kierowca mikrobusu, którym jechałem.

– Kierowca?

– Rezerwowo. Akurat prowadził jego współnik.

Rano dowiedział się, że od wybuchu zginęła również jedna z córek rodziny służących, Anvara. To ona zeszła do kuchni w nocy. Zginęła na miejscu, nie miała wyboru jako *Flomirra*.

Oprócz rodziców nikt jej nie żałował, bo jako zaledwie pierwszy raz wcielona, szybko odeszła ku doskonaleniu się i nowej, lepszej inkarnacji. Przynajmniej tak obiecywała davabelska reguła wcieleń.

Druga z córek, Lailla, szła z Anvarą, ale zatrzymała się na moment w korytarzu, bo zraniła bosą stopę. Wybuch tylko ją poranił. Miała na Imię *Fluedda*, rodzice wierzyli, że przeżyje.

Następnego dnia wszyscy zgodnie zasiedli przy stole, również biali. Gaveina to ucieszyło, obawiał się szykanowania Ra Mahleine, gdy ją sprowadzi z portu. Biali służący nazywali się Hougassian. On miał na imię Massmoudieh, ona Fatima. Edda zaczęła się do nich zwracać: Mass i Fatt. Nieszczęścia ostatnich dni spowodowały, że nawet wśród nich szukała oparcia. Płacąc cenę zrównania, musieli ujawnić, że Mass ma na Imię *Murhred*, Fatima zaś – *Udarvanna*.

Czuli się przy stole niepewnie, zachowywali nieporadnie. Pochłaniały ich myśli o śmierci jednego i walce o życie drugiego dziecka.

Rozmowa nie kleiła się. Tapeta nadal wydzielala lekki swąd spalenizny. Haifan nie odezwał się ani razu, jego syn Torth jadł niewiele, patrząc nieruchomo w talerz. Gavein stale myślał o żonie, ale zachował wspomnienia dla siebie. Zniechęciła go egzekucja nad tajemnicą przeznaczeń Hougassianów. Haigh zachowywał się niezwykle poprawnie. (Przy okazji Gavein dowiedział się, że ma on na Imię *Murhred*). Leo opowiadał o sensacjach, które trapią go ostatnio: o zawrotach głowy czy snopach żółtych iskierek, które błyskały mu przed oczyma.

Też coś: przecież, gdy gwałtownie powstać, to każdemu krew odpływa z mózgu.

Gavein nie doczekał się oferty pracy, więc udał się do Urzędu Zatrudnienia. Tam poinformowano go, że to on sam powinien zatroszczyć się o swoją pracę. Zasugerowano, że jako czarny winien zająć kierownicze stanowisko. Jednakże chwilowo nic nie wakowało, więc miał do wyboru albo zasiłek rekompensacyjny: dwadzieścia pięć paczek dziennie, albo tymczasowe stanowisko robocze. Wybrał to pierwsze, gdyż na razie nie potrzebował pieniędzy, a chciał mieć

wiele czasu, gdy przyjedzie Ra Mahleine.

Starannie wysprzątał mieszkanie na tę chwilę.

Przywieźli ją w środku nocy, więzienną budą bez okien. Na parę minut przed przyjazdem lakoniczny telefon uprzedził o jej dostarczeniu. Gavein wyszedł przed dom.

Z budy wyprowadziły ją dwie strażniczki. Na głowę zarzucono jej worek z wypisanymi czarnymi cyframi: 077-12-747. Z mrocznego wnętrza budy cuchnęło moczem, widać było leżące, skulone postacie. Zaskoczony Gavein chciał podbiec ku niej, ale jedna ze strażniczek, gruba i piegowata, o szerokiej twarzy, zatrzymała go pałąką.

– Proszę nie utrudniać pracy – powiedziała. – Musimy być w zgodzie z przepisami.

– Co jest, Ross? Stęsknił się facet? – Z szoferki wychylił się strażnik o ogromnej, kulistej głowie, tępej, zaciętej twarzy i muskularnych, porośniętych rudą szczeciną łapskach. – Potrzebujesz pomocy?

– Nie trzeba – powiedziała Ross. – Już się uspokoił.

Gavein zamarł zdumiony. To przechodziło wszelkie wyobrażenie.

– Którędy do pomieszczenia, w którym będzie trzymana?

Wskazał na wejście.

– To jest główne wejście, a biali powinni wchodzić kuchennym – stwierdziła Ross.

– Tu nie ma innego.

Na dźwięk jego głosu zawinięty kształt zaczął drzeć.

– Ty! – wrzasnęła druga ze strażniczek, szarpiąc zawiniętą za ramię. – Bo ci porachuję te cholerne gnaty na do widzenia! Zachciało się jej czarnego, zdzirze jakiejś...

– Jeżeli jeszcze raz ją dotkniesz, to złożę pisemne zażalenie na jakość usług! To jest moja własność i nikt nie będzie jej niszczyć! – wrzasnął Gavein. Zdążył ochłonać. Miał rację – krzyk uspokoił rudą strażniczkę, a i łeb zniknął bez słowa w szoferce. Zawinięty kształt trząsał się i wydawał głuche odgłosy przypominające raczej chichot niż płacz.

Wprowadziły ją po schodach, trzymając za ramiona, ale nie szarpiąc. W apartamencie Gaveina było bardzo ciepło i dopiero teraz wyczuł, jak cuchnie jego przesyłka. Strażniczki używały gumowych rękawiczek; mocno trzymały ją za ramiona, jakby nie chciały się z nią rozstać.

– Proszę tu pokwitować – powiedziała Ross, podsuwając niebieski formularz i długopis.

– Pokwituję, jak zobaczę – powiedział spokojnie. – Muszę sprawdzić, czy zawartość zgadza się

z napisem na opakowaniu.

– Co ma się nie zgadzać? Zgadza się – Ross wzruszyła ramionami.

– Zawsze wozicie je w takich warunkach?

– I tak w lepszych, niż zasługują.

– Nie mogą na postojach korzystać z toalety? – W całym pokoju śmierdziało nieźnośnie.

– Nie ma sensu. Leją, jak z cebra. Stale któraś z nich leje. Nie ma sensu robić postojów. Dawniej był kubeł, ale i tak srały i lały na podłogę, to po co?

Dalsza dyskusja nie miała sensu.

– To co będzie z tym kapturem? – rzucił.

– Przepis jest, żeby nie zdejmować.

– Dobrze. – Niby się wahał. – To zadzwonię do portu, do Anabel. Znacie chyba swoją kierowniczkę, prawda? Powiem jej, że są trudności zawinione przez konwojentki. – Rzeczywiście miał taki zamiar.

Ross poddała się.

– Linda, zrób, co on mówi – zwróciła się do tej drugiej.

Linda ściągnęła worek z głowy kobiety. Gavein znieruchomiał z przerażenia: Ra Mahleine miała rozbitą i spuchniętą górną wargę; z nosa wystawał zaschnięty skrzep; jedno oko miała podsiniaczone. Ledwo ją poznał.

– O Boże! – wyrwało mu się. – Coście z nią zrobili?!

– Sprawiała poważne trudności – wyjaśniła Ross. – Musiałyśmy wielokrotnie doprowadzać ją do porządku.

– Zadbam, abyście straciły pracę – powiedział. – Zadzwonię do Anabel. – W duchu nie był wcale pewny, jak dalece wolno mu interweniować.

Strażniczki nie odpowiedziały, ale wmieszała się sama Ra Mahleine:

– Lepiej będzie tego nie robić, Gavein. One traktowały mnie po ludzku. To jest rutynowa procedura. Nic ponadto. Nie znęcały się. Nie wybiły mi ani jednego zęba.

Twarze strażniczek wypogodziły się. Były świadome swej mocy. Obie nadal trzymały za ramiona Ra Mahleine, która dygotała coraz mocniej. Rozmowa toczyła się w oparach moczu.

– Nie mogę stać. Posadźcie mnie na ziemi – powiedziała.

Położyły ją na zimnej podłodze.

– To co? Bierze pan jak jest? – Ross była znowu arogancka. Znow podsunęła niebieskawy formularz.

Gavein złożył podpis, potwierdzając odbiór przesyłki: „Magdalena Throzz”. Strażniczki odmeldowały się, a wkrótce dobiegł warkot odjeżdżającej budy.

Ra Mahleine nie mogła usiedzieć o własnych siłach. Spróbował ją podnieść, chciał tulić.

– Nie... Nie teraz... Nie tak... – sprzeciwiła się. – Najpierw ściągnij ze mnie te zaświnione łachy, potem mnie rozwiąż – powiedziała. – Wiem, jak cuchnę. Najpierw z tym się uporaj.

– Wykąpię cię. Będzie dobrze.

– Rozetnij te cholerne szmaty. Boli mnie wszystko.

– Może zsunę ci to przez głowę. – Miała na sobie płaszcz bez rękawów, z grubego, szarego drelichu.

– Daj spokój. – Już się zniecierpliwiła. – Za bardzo mnie boli, a z tego płaszcza i tak nic nie będzie, bo obsrany.

Gavein odszukał nożyczki i delikatnie, na szwie, ciął cuchnącą tkaninę. Robił to wolno, aby jej nie zranić.

– Do cholery, tnijże szybciej! Nie mogę wytrzymać! – Była bardziej obcesowa, niż ją pamiętał.

Wcisnął zdjęty płaszcz do torby foliowej. Ra Mahleine miała na sobie szare spodnie i bluzę z kwarantanny. Wykręcone ręce związane jej wysoko na plecach. Posadził ją i rozciął więzy. Nie było to łatwe, rzemienie głęboko wcisnęły się w opuchliznę.

– Bydlaki! Co oni z tobą zrobili? Dlaczego?

– Strażniczki były w porządku. One mnie tylko kilka razy trzepnęły, gdy za bardzo krzyczałam. To kierownicza... Przez tę cholere zostalam zapleciona.

– Co?

– No, powiązana.

– Która kierownicza?

– Taka czarna zaraza w okularach, Anabel.

– Wiem, która.

– Pastwiła się nade mną psychicznie. Kilka razy dziennie wzywała mnie do pokoju przesłuchań i kazała się rozbierać, że niby ty tam siedzisz i tego chcesz. Ale ty byłeś tylko za pierwszym razem i nie chciałeś, żebym się rozbierała? – zaniepokoiła się. Rozcierała zdrętwiałe ręce. Pomagał jej.

– Dwudziestego piątego.

– Zgadza się. Zorientowałam się od razu, że to ty. Potem była tylko ona sama, zawsze kiedy powołałam się na regulamin, rezygnowała z rozbierania. Za to regularnie ładowała mi karniaka. Najpierw awanturowała się, wrzeszczała. Potem mnie biły w tym karniaku, ta Ross i jeszcze kilka innych. Z całego transportu tylko ty zgłosiłeś się po białą żonę. Na do widzenia kazała mnie skępować, spuściła lanie i skopała. Miała coś do mnie czarna zaraza. Bluzę i spodnie też rozetnij – monologowała, Gavein zaś próbował wydobyć jej łokcie z cuchnącego, wilgotnego łącha.

W łazience huczała woda na kąpiel. Smród był nie do zniesienia.

– Dobrze, że nie zgłosiłeś reklamacji, o to, że strażniczki mnie skatowały. To była pułapka. Odwiozłyby mnie z powrotem do wyleczenia po pobiciu, a stamtąd nie wyszłabym żywa.

– Nie tak wyobrażałem sobie powitanie – zauważył, masując jej zdrętwiałe dłonie. Wiła się i syczała, gdy krew zaczynała krążyć na powrót.

– Myślałeś, że pójdziemy poszaleć do łóżka, głuptasie?

– No, coś w tym stylu.

– Już nie pamiętam, jak się to robi. Tyle lat. Jestem taka stara...

– No wiesz, jesteś zaledwie moją rówieśniczką – zachnął się. – Ja czuję się młodo.

Wcisnął do plastikowej torby resztki jej bluzy i spodni.

– Majtek nie wyrzucaj, bo jeszcze się przydadzą, są tylko zasikane... Własny mocz jest w porządku.

– Biustonosz jest całkiem czysty, tylko przepocony. – Odłożył go na ladę kuchenną.

– Ależ mnie ręce bolą. Jakby je chciało wyłamać. Nie mogę wytrzymać.

– Dasz radę wstać?

– Nie. Leżałam na zimnej blasze przez trzydzieści godzin, a wcześniej Anabel pożegnała się ze mną.

– To oko, to też ona? – spytał, biorąc ją na ręce. Była wysoka, zawsze szczupła, a obecnie wychudzona. Jakoś tak wygodnie trzymało się ją na rękach.

– Też. Zanim mnie zwaliła z nóg.

Ra Mahleine miała wiele sińców i otarć skóry. Gdy wsadził ją do wanny, zaczęła syczeć z bólu.

– Ale mnie piecze. Uuaa... Dobra woda... Ręce...

– Tam naprzeciwko jest lustro? – Mrużyła oczy, jak każdy krótkowidz, który chce widzieć ostrzej. – Szkoda, że nie mogę się obejrzeć. A może i dobrze, na pewno wyglądam jak zagłodzona szkapa.

– Kupię ci okulary.

– Zaraza osobiście mi je podeptała. Wtedy jej powiedziałam, że kupisz mi lepsze niż ona ma na nosie.

– Wtedy cię uderzyła?

– To już było w trakcie. Mam nadzieję, że się nie zaraziłam od tych wszystkich wydzielin w tej cholernej budzie – zmieniła temat. – Tam na podłodze była warstwa... takiej bryi.

– Bydlaki.

– To się nazywa: końcowy etap resocjalizacji. Żeby biali wiedzieli, że tutaj nie mają kategorii społecznej. Zresztą nie widziałam swojego paszportu.

– Dlaczego?

– Paszporty białych przechowuje się na policji, żeby ich nie pogubili. Bo w Davabel biali są jak dzieci.

Nie słuchał jej gadania. Może czuła się skrępowana swoją nagością – ostatecznie ona nie widziała go cztery lata, on jej – miesiąc. Starannie oglądał jej skórę. Nie było złamań, choć sińców wiele.

– Postarzałam się bardzo, prawda?

– Wiesz, no trochę... – Nie mógł odpowiedzieć, że nie, gdyż Ra Mahleine wyglądała źle, chociaż wyniszczona była raczej pobytem na kwarantannie. Kobiety zbudowane jak Ra Mahleine starzeją się powoli i pozostają piękne.

– Nawijasz. Powiedz prawdę – nalegała. – Choć... i tak nie powiesz. To był najgłupszy pomysł w moim życiu.

– Ta kompensacja?

– Pewnie. Nie tak to sobie wyobrażałam. Głupia koza.

Leżała w wannie, opierając głowę o jej krawędź. Nogi wystawiła na zewnątrz do góry; były za długie. Umył wcześniej jej włosy, mokre ściemniały. Cała woda była mętna od piany i brudu.

– Okropny brudas z ciebie i śmierdziuszek. Spuszczę wodę i naleję drugą, dobrze? – uśmiechnął się, wyciągając korek. – Śmierdzisz jak zwierzątko w klatce w zoo. Tam siedzą takie małe futrzaki w dziuplach i patrzą się. A cuchnie od dziuplaków okropnie. Zupełnie jak ty. Też masz spojrzenie

przerażonego zwierzątka.

– Trzymali mnie tam jak zwierzę, to śmierdzą jak zwierzę. Spodziewali się, że zrezygnujesz ze śmierdzącego brudasza.

– Z kochanego brudasza? Żartujesz? Nie wiem, czy dwie wody wystarczą na kochanego brudasza.

Woda formowała w spływie energiczny wirek.

– Obwisłam zupełnie, co? – spojrzała podejrzliwie. – Oklapły jak uszy spaniela. Zresztą zawsze były za małe.

– One? – przypatrzył się jej piersiom. – Akurat nie – odpowiedział. – Wyglądają jak miesiąc temu.

– Złośliwa świnia – roześmiała się pierwszy raz i chlapnęła na niego wodą.

– Mój miesiąc... twoje cztery lata, tylko cztery lata – bronił się, wycierając piekące oczy.

– Ale jestem jak koścista szkapa. Słabo tam żywili.

– Schudłaś – przyznał. – Najważniejsze, to przestań się garbić, wtedy będzie w porządku. Dawniej się nie garbiłaś. Wystarczy, że jedno ramię masz wyższe. Przywiążę ci kij od miotły do pleców, jak mnie nie posłuchasz.

– To garbienie wzięło się od nierównych ramion. Skrzywienie kręgosłupa pogłębia się.

– Kompensacja była twoim świetnym pomysłem. Będziemy już zawsze razem.

– Zobaczymy.

W wannie zbierała się woda.

– A ja się zmieniłem?

– Trochę. Taki dziwny się zrobiłeś. Wyglądasz za młodo. Odwykłam od ciebie, ale przyzwyczaję się.

– To dobrze, nie? Powinnaś być zadowolona.

– A ty? Żona się postarzała, zaczniesz gonić za młódkami.

– Ja? Bez sensu...

– Och, Gavein, Gavein, jak ja żałowałam swojej decyzji. Nie zdajesz sobie sprawy, jak trudne to były lata.

Umilkła, a w myślach Gaveina wykwitła znenawidzona postać pilota wodnopłotowca, który

przeciągnął się w ciepłych promieniach zachodzącego słońca i przy tajemniczym plusku fal sennego oceanu uwodzicielsko spoglądał na słabnącą w swym oporze Ra Mahleine. Właśnie wyimaginowany przeciwnik zamierzał wydać straszliwy okrzyk triumfu nad skruszoną niewinnością, gdy rozległ się głos Ra Mahleine:

– Chce mi się spać.

Była bardzo osłabiona. Leżała nieruchomo, musiał ją szorować i masować. Wiele strupów z jej otarć oderwało się. Właściwie to dobrze, bo i tak rany były zakażone. Wyplucze się ropa.

– Żebym tylko nie zakaziła się od dołu. Wtedy byłoby gorzej. Leżałam w tym wszystkim. Sikałam równo w majtki, ale nic większego.

– Ja wiem – skinął głową. – Coś większego będzie dopiero w przyszłym tygodniu.

Druga woda wystarczyła. Nie przypominała spienionych pomyj.

Nagle Ra Mahleine bezwładnie opuściła głowę, zamknęła oczy i przestała reagować. Przestraszył się i przyłożył ucho do jej piersi: serce biło. Zemdlała. Spuścił wodę z wanny; rozłożył ręcznik kąpielowy na materacu, na którym sypiał. Zawinął jej włosy w mały ręcznik, a następnie podniósł ją z wanny. Była znacznie cięższa niż poprzednio. Bezwładne ciało wydaje się cięższe niż świadomy człowiek. Jakoś tak spływa pomiędzy rękami, trudno je trzymać.

Cucił ją, przy okazji masując i susząc ręcznikiem. Gdy otworzyła oczy, podał jej krople nasercowe. To był pierwszy posiłek Ra Mahleine na wolności. Starannie suszył jej włosy.

– No, po takiej zabawie nie rozczeszę się do końca życia – powiedziała. – Trzeba mnie będzie ostrzyc na gruchę. Raz mnie cholery tak ogoliły. Gavein, przykryj mnie wreszcie. Wstydzę się tak leżeć przed tobą rozwalona na golasa.

– Lubię patrzeć na ciebie, jak jesteś na golasa – powiedział. – Przypomnisz sobie – dodał złośliwie. – A zresztą zrobiła się z ciebie straszna jędza. Chociaż zawsze była z ciebie straszna jędza. – Było to kompletnym kłamstwem. Anioł nie potrafi być jędzą.

Troskliwie zawinął ją w koc i kołdrę. Na szczęście, ręcznik nie przemoczył prześcieradła. Na jej plecach zauważył szereg blizn. Jedne mniejsze, inne większe.

– Bili cię? – zapytał.

– Nie. To co innego. Kiedyś robiły akcję usuwania znamion. Wiesz, że miałam je na plecach i na karku. Podobno było za dużo promieniowania ultrafioletowego i groził mi rak. I tak wygląda nie najgorzej. Wiele dziewczyn strasznie pochlastały. Z zemsty. Mnie jakoś przeoczyły i wszystko zoperowała mi taka jedna, biała lekarka. To, co u mnie widzisz, to kosmetyczna robota. Rozejrzała się.

– Tu przecież nie ma żadnych mebli!

– Za to jest telefon i prawie kupiłem samochód.

– Dawniej marzyłam o naszym mieszkanku w Davabel. O dużej rzeźbionej szafie i kredensie w kuchni z szybkami w drzwiczkach i pachnącymi przyprawami w środku. Kiedy jeszcze marzyłam.

– Na razie musi ci wystarczyć wykładzina z długim włosiem i dwuosobowy dmuchany materac. Na dodatek będą kłopoty z ubraniem dla ciebie. Tamte brudne łachy wyrzuciłem, a nie ma nic innego.

– Bielizna została, to najważniejsze. Wyprałeś mi biustonosz i majtki?

– Jeszcze nie. Moczą się w detergencie. Wyłazą z nich bakcyle.

– No to dobrze, ale nie zapomnij wyprać. Resztę mogę nosić na razie twoją. Jakies dzinsy i koszulę flanelową.

– Będą za duże.

– Pomyślą, że to moda z Lavath. Trochę sobie podrzemię, dobrze?

Okrył ją lepiej. Potem wyprał jej bieliznę i ułożył się do snu na wykładzinie. Świtało.

Rano Ra Mahleine polegiwała. Otulona jego kurtką, bo marzła. Ugotował jej kostkę bulionu w metalowym garnku.

Wpadł do gospodarzy na moment, ale wystarczyło, by przykleił się do gumy do żucia podstępnie podłożonej przez Haigha. Młody Eisler dbał o swój image. Edda zaproponowała gotowanie dla Ra Mahleine za dodatkowe sześćdziesiąt paczek. Na razie zgodził się, chociaż było to drogo; przecież wkrótce Ra Mahleine sama zacznie gotować. Leo dostał skierowanie do neurologa, bo zaburzenia równowagi i omdlenia zdarzały się mu zbyt często.

Gavein wspomniał, że ma białą żonę. Chciał wysondować, jak biała Ra Mahleine zostanie przyjęta przy wspólnym stole. Nie zrobiło to wrażenia, jedynie stary Hougassian uśmiechnął się blado.

Przyniósł z dołu dwie porcje pasty, a potem dwie porcje pizzy. Jedli tylko we dwoje. Gavein zauważył, że Ra Mahleine brakuje jednego zęba.

– Wyrwała mi go taka jedna. Jeszcze na statku. To był ten krzywy ząb, co rósł na bok. Powiedziała, że zęby muszą być na baczność i wyrwała go obcęgami, zaraza. Bolało jak cholera. Szefowa strażniczek. Jakoś nie zauważyła, że parę innych też mam krzywych.

Podbite oko nie było już zielone, rozbite wargi goiły się. Patrzył uważnie na jej twarz: blizny musiały pozostać. Szczególnie zmienił się nos, był teraz bardziej płaski, jakby dłuższy. Nadawał jej twarzy wyraz zniechęcenia czy niezadowolenia.

– Złamały mi nos zaraz na początku – powiedziała, gdy się jej przyglądał. – Widać z jakiegoś powodu je wkurzał. Może był zbyt foremny. Potem zrobili mi operację i usunęły ze środka chrząstkę, żeby stał się miękki jak nos boksera i nie łamał się więcej. Mogły bić bez trwałych śladów.

– Kochany nosecek – sięgnął dłonią, chcąc go dotknąć.

– Nie, nie! Boję się – odruchowo szarpnęła się. – To nie zależy ode mnie.

Znowu zrobiła smutną minę, jeszcze smutniejszą przez nosek na kwintę.

– Opowiedz o tych latach na morzu. Było gorzej niż w tym więzieniu na kwarantannie czy lepiej?

– To kawał czasu, te lata. Nie wiem, od czego zacząć.

Zamilkła.

– Załoga była z Davabel; same kobiety, wszystkie czerwone. Urodzone w Lavath mają kompleks wobec czarnych i nienawidzą białych. Zaraz po wypłynięciu z portu odbierają imię i w zamian

dostajesz numer. Ten numer metodycznie wbijają ci do głowy. Jak się podpadnie, to szorowanie pokładu albo obieranie ziemniaków dla kilkuset osób. Ja podpadłam od razu, bo wyliczyłam, że okres podróży powinien być liczony jako pobyt w Lavath, nie w Davabel. Miałam nawet niezłe argumenty. Wtedy mnie strepowały po raz pierwszy. Potem było już tak stale. Mimo to nadal wierzę, że powinnam odbyć te lata w Lavath, bo inaczej wychodzi za mało.

– Rzeczywiście, trzydzieści pięć lat skończyłaś dopiero w porcie 0-2.

– Właśnie. Ale na statku nikt się tym nie przejmował. Strażniczki nie chciały, żeby im ktoś psuł zabawę.

Zauważył na jej skroniach małe otwarte wrzody.

– Tu? – lekko dotknęła palcem.

– Tak.

– To od za częstych elektrowstrząsów. Wtedy robi się ze skórą coś niedobrego, przestaje się goić, tylko tak jadzi.

– Coś ty? Kiedyś chorych psychicznie leczono elektrowstrząsami. Dawno zrezygnowano z tego barbarzyństwa.

– Elektrowstrząsy albo chłosta były, jak się podpadło. Często im podpadałam, ale jak mnie raz zbiły i skopały, to dostałam tak silnego krwotoku, że lekarka zaleciła wyłącznie elektrowstrząsy. One zwykle kopały po biciu. Gdzie popadło. Ale ze szczególnym upodobaniem w nią. Potem coś mi się przestawiło z okresem – spojrzała niepewnie na niego. – No, wiesz, po tym biciu.

– Masz kłopoty z okresem?

– No, wiesz, często krwawię...

Otoczył ją ramieniem. Była ciepła, bliska i taka kochana. Ta sama dziewczyna, co dawniej.

– Przyślą twoją kartotekę lekarską, to się wszystko wyjaśni.

– Jak opis krowy – powiedziała z goryczą. – Zresztą, nie zdziw się niczemu. Nawet najgorszemu.

– Nie przestałem cię kochać.

– Brakowało mi tych słów – odpowiedziała po chwili znaczącego milczenia. – Wiesz Gavein, kobiecie niewiele trzeba... Bardzo chciałam usłyszeć te słowa. Myślałam sobie, że ty tam śpisz w tym aeroplanie, że zbudzisz się i zobaczysz żonę kalekę. A wokół będzie kupa tych cholernych czarnych, czerwonych czy szarych.

– Bez sensu.

– Pewnie, że bez sensu. Dla ciebie to było parę dni. Och, Gavein, jak ja bym cię zdradziła. Tylko, że mężczyzn nie było. Taki cholerny babiniec. Chociaż może nie, może bym cię nie zdradziła... Wiesz, dlaczego?

Zrobił niewyraźną minę.

– Bo wiedziałam, że tyś nawet nie pomyślał o zdradzie, tkwiąc w cholernym letargu, gdzieś na tych pieprzonych wysokościach. Właśnie to dodawało siły, pewności.

Inne świrowały, ja nie. Może nie zdążyłam. Och, Gavein, jak ja przeklinałam cię za tę decyzję.

Słuchał. Cztery lata odosobnienia były dla niego nie do zrozumienia, ale to co mówiła, wyjaśniało wiele.

– Nienawidziłam cię, ale nie całkiem. Przecież byłam pewna, że mnie nie zdradzisz. Rozumiesz?

Skinął głową w taki sposób, by oznaczało cokolwiek chciała. On po prostu pragnął słuchać tego, co mówiła.

– Czasem było ciężko: Nienawidziłam ciebie i nienawidziłam siebie za tę decyzję. Ale nie było odwrotu, chyba, że skok do morza. Niektóre tak robiły. Co dwa miesiące w pobliżu okrętu lądował wodnopłat, jedno zabierał, inne zostawiał, wymieniał kolejną ekipę strażniczek.

– Gdybym wiedział!

– To co? To co, do cholery! To co byś zrobił? Zmieniłbyś coś? – zjeżyła się.

– Nie to miałem na myśli... Ważne, że jesteś ze mną.

– Po miesiącu!?

– Czasem trudno mi tak odpowiadać, żeby cię zadowoliło – zmieształ się. – Dla mnie to był miesiąc, a ty w tym czasie przeżyłaś tyle... Zrozum, chwilami nie dorastam do ciebie.

– Nie chrzań, Gavein. Jest, jak chciałam i jak ty chciałeś. Przetrwałam to dla ciebie i jestem twoja: biała Ra Mahleine, dla nich Magdalena, która poświęciła cztery lata, abyś mógł ją wpisać do paszportu.

– Najważniejsze, że pozostałaś ze mną. I że razem przeniesiemy się do Ayrrah na starość. Tylko to się liczy. Zaparzę ci ziółka, dobrze?

– Niech będą.

– Jakie chcesz?

– Miętaszka.

Chwilę kiwała się jak figurka.

– Tylko jak długo będziemy razem? – powiedziała cicho. – Ty wydajesz mi się żywym wspomnieniem. A ja postarzałam się bardzo.

– Niezła z ciebie staruszka. Moja rówieśnica.

– Już to mówiłeś. Naprawdę, nie zmieniłam się?

– Fizycznie? Ciało masz śliczne, jak dawniej. Jesteś trochę wygłodzona, chudsza. O twarzy trudno wyrokować: goi się. Ale w sumie nieco ci się poszerzyła. To jest zmiana. Zęba nie masz. Wzrok smutny. Zresztą może się mylę, bo drugie oko masz jeszcze zapuchnięte.

– Ale mieszczę się w drzwiach z tą twarzą?

– Nie wiem, przeniosłem cię bokiem.

Ra Mahleine dużo sypiała. Jadała mało. Wkrótce chodziła o własnych siłach. Najpierw tylko do toalety, potem więcej. Czasem miał łzy w oczach, patrząc na jej krzątaninę. Była jego kruchym odzyskanym skarbem. Rozumiał to coraz lepiej, wysłuchując jej opowieści o przerażającej podróży. Wiedział, że nie zdoła tego odpłacić, mógł jedynie być z nią, bo dlatego to zrobiła. Mógł poznawać ją na nowo, słuchać uważnie.

Leona przyjęto na oddział neurologiczny szpitala. Jakby tego nie dość, mały Duarte zaczął zapadać w stupor. Nieruchomo patrzył w sufit, a z ust ciekła mu ślina. Zdarzało się, że robił wtedy w pieluchy, czasami wstrząsały nim słabe drgawki. Przyjęto go na oddział neurologiczny, na którym leżał Leo. Przybita i milcząca Edda snuła się zamyślona, czasem powtarzała, że to coś krąży nadal wokół jej domu, że to jeszcze nie koniec.

Lailę wypisano ze szpitala z niezagojonymi oparzeniami, gdy tylko jej stan na to pozwolił. Miała wrócić tam na przeszczep. Biali płacili za leczenie. Rodziców nie było stać na jej dłuższy pobyt w klinice.

Chodziła z zabandażowaną twarzą, ramionami i brzuchem. Czasami matka ubierała ją w jakąś bluzkę, ale rzadko, gdyż spomiędzy zwojów bandaża sączyła się surowica. Podobno Laila nie miała skóry pod bandażem, ale Gavein nie wierzył w to. Bez skóry na głowie i połowie tułowia dawno by już umarła.

Hougassianowie stali się rozmowni i towarzyscy. Lepiej ich traktowano, niż się spodziewali.

Max przyniósł mały telewizor w białej plastikowej obudowie.

– Znalazłem go u nas na strychu – powiedział. – Helga go wyczyściła. Pomyśleliśmy, że nie macie jeszcze własnego. Jest wprawdzie czarno-biały, ale można oglądać, póki nie sprawicie sobie nowego. Żona dalej słaba, Dave?

– Już jest z nią lepiej, ale jeszcze nie schodzi na obiady.

– Podobno jest bardzo młoda i bardzo piękna.

– Ma tyle lat, co ja. Reszta się zgadza.

– Jest piękna jak cudowna bogini północy. Jak płatek śniegu – dorzucił Max.

Gavein nie odpowiedział. Wyświechtane powiedzonko sprawiło mu ból.

Następnie Max długo i męcząco wyjaśniał, jak włącza się i reguluje telewizor. Potem spytał Eddę o młodszego syna, na co gospodyni wybuchła płaczem. Duarte miał wrodzonego guza mózgu; jego operację zaplanowano na przyszłą środę. Leo prawdopodobnie miał cystę pod czaszką. Lekarze zapewniali, że przetrzyma zabieg.

Ra Mahleine była silniejsza. Obrażenia wygoiły się. Telewizor ją nudził. Zwykle czytała lub latała odzież. Oglądając program telewizyjny, z reguły robiła na drutach. Czasami snuła wspomnienia.

– Na wiosnę zeszłego roku bardzo długo nie podpadłam i codziennie miałam służbę na pokładzie. Ciągnęłam liny albo szorowałam deski. To bardzo niszczy ręce. Były windy elektryczne do obsługi olinowania, ale często się psuły. Wiesz, strażniczki uważały, że mam za delikatne dłonie. Potem nie wychodziłam na pokład do końca rejsu, przynajmniej dłonie zdążyły zmięknąć.

Gavein słuchał wyciągnięty, z rękami pod głową.

– Lubiłam patrzeć na morze – opowiadała dalej. – Na fale leniwe jak zupa, jak smoła. Woda ciemna, aż czarna. Niebo też było czarne, to znaczy ciemnobłękitne w dzień, a smoliste w nocy. Niektóre miały ostry wzrok i twierdziły, że potrafią wypatrzeć na niebie nieruchome samoloty. Wyobrażałam sobie, że w jednym z nich siedzisz ty. Pewnie w takim, co przez te wszystkie lata tkwił w tym samym miejscu na niebie.

– Ale przecież te samoloty w dzień nie wznosiły się wysoko i czas płynął dla nich ze zwykłą prędkością.

– Samoloty były nieruchome – pokiwała głową. – Wszystkie, które zdołały je dojrzeć, tak mówiły. Nawet, gdy wodnopłat podchodził do naszego statku, to dopiero tuż przy samej powierzchni wody gwałtownie przyspieszał, a w powietrzu, im dalej, tym był bardziej powolny, wreszcie, jeszcze spory, roztopiał się w ciemnym błękitcie jak we mgle. Przed lądowaniem albo po starcie był zawsze widoczny na niebie przez parę dni.

– Dziwne – powiedział. – Przecież przy powierzchni wody powinien właśnie hamować.

– Nie. Hamował, już płynąc. Siadał na falach z największą prędkością.

– Pogadam o tym z Haighiem.

Myśli już pobiegły ku znanemu problemowi.

– Takie wodowanie i wymiana pasażerów to było z pewnością duże wydarzenie – podsunął podchwytnie.

– Nie dla białych. Procedura była zawsze taka sama, nie zdarzył się wyjątek: gdy samolot podpływał do statku, strażniczki zganiały nas wszystkie pod pokład; co gorliwsze pałowały. Dotąd pałowanie kojarzy mi się z wodnopłatami. Następnie sprawdzano obecność, czy któraś nie ukryła się między takielunkiem. Dopiero jak się wszystko zgadzało, wpuszczały na pokład nowe pasażerki, a z cel wyciągały te, którym się kończył pobyt. Och, Gavein, jak ja wtedy marzyłam, żeby mnie

wczytały przez pomyłkę.

Sprowadził Ra Mahleine na dół. Mocno objął ją w pasie, a ona zarzuciła mu rękę na ramiona. Była w jego spranych dżinsach i flanelowej koszuli. Wychudła i trochę kanciasta, i tak prezentowała się najlepiej przy stole. Posadził ją przy innych; co chwilę zerkał na nią. Bał się, żeby nie zasłała. Edda przyniosła okopcone żelazko.

– Nie macie swojego – powiedziała. – To jest to, które kopnęło Hilgret, ale już naprawione. Możesz je jeszcze raz sprawdzić, Dave. Weź, przyda się wam. – Postawiła żelazko przed nimi. Przez moment Gavein nie wiedział, jak zareagować. Ra Mahleine była dawniej przesądna, może nadal taka pozostała.

– To jest dobra wróżba – powiedział. – Sznur po wisielcu przynosi szczęście, żelazko po porażonej też.

– Mogę jeszcze raz sprawdzić to żelazko, Dave – powiedział Massmoudieh. Nie siedział z nimi, lecz snuł się po salonie. Akceptowano jego obecność, nawet zwracał się do wszystkich po imieniu. Ra Mahleine również dobrze przyjęto. Wydarzenia ostatnich dni przytępiły davabelskie poczucie hierarchii.

Zaterkotał telefon.

– To ze szpitala. – Haigh oddał słuchawkę matce.

Edda po chwili odwróciła pobladłą twarz ku siedzącym przy stole.

– Haigh, jedziemy natychmiast do szpitala – powiedziała. – Duarte jest nieprzytomny. – Potem się rozplakała.

Edda wróciła dopiero po dwóch dniach. Duarte nie doczekał operacji; zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Pogrzeb miał się odbyć w przyszłym tygodniu. Również na przyszły tydzień wyznaczono operację Leona.

Gavein dostał pracę jako kierownik antykwariatu za dziewięćset paczek miesięcznie. Gdy był w pracy, Lailla pomagała Ra Mahleine w pracy domowej. Płacili jej za to trzydzieści paczek miesięcznie. Ra Mahleine często ją upominała, żeby wykonując brudne roboty, wdziewała coś na bandaż, bo zanieczyści rany, ale nie odnosiło to skutku. Leo przeżył tylko trzy dni po operacji. To nie była cysta, lecz nowotwór. Podczas zabiegu doszło do rozległych uszkodzeń kory mózgowej. Zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

– Może i dobrze, że umarł – powiedział Eddzie lekarz.

– Przeżyłby jako ludzka roślina.

Po śmierci Leona Edda załamała się.

– To przez ciebie, Dave, to wszystko! To coś przyszło z tobą! Krążyło wokół, a w końcu dobrało się do mojej rodziny! To jest śmierć! Idzie za tobą w ślad! Ja tego nie chcę! Wcześniej nic się nie działo. Spokojne życie... Nagle się zjawiłeś i przyniosłeś te nieszczęścia ze sobą! – szlochała i krzyczała na przemian.

– Jeśli chcesz, to rozejrzemy się za innym mieszkaniem. Przejrzę ogłoszenia prasowe.

Wieczorem Ra Mahleine dostała krwotoku. Powiedziała, że z pewnością nie jest to okres. Krwotok osłabił ją bardzo. Przez dwa dni nie podniosła się z łóżka. Musiał nosić ją do toalety. Nie pozwoliła wezwać lekarza. Zabobonnie się ich obawiała, podobnie jak urzędników.

Edda przeprosiła za bezsensowną awanturę i było niby po staremu, chociaż wszyscy pamiętali jej słowa.

Praca wypełniała Gaveinowi cały dzień z godziną przerwą koło południa, której i tak nie mógł wykorzystać, bo przejazd do domu zajmował zbyt wiele czasu.

Podlegały mu trzy osoby: dwie dziewczyny w zbliżonym wieku, Agtha i Gerda, jedna szara, a druga ruda, obie zaś ospałe i powolne, oraz Wilcox, emerytowany policjant, zasuszony i przedwcześnie posiwiiały, który pracował w antykwariacie chyba tylko po to, by móc za darmo czytać książki. Mówił, że nadrabia zaległości z okresu służby. Wilcox był kiedyś czarny, ale niestety osiwiiał, a wpis w paszporcie rozpuścił się w rozlanej kawie; dlatego zwykle uważano go za czerwonego lub zaledwie szarego, co nie wywoływało jego sprzeciwu.

Oczywiście, oficjalna zmiana kategorii społecznej była możliwa. Zdarzało się to jednak wyłącznie w przypadkach wątpliwych, a Wilcox do takich nie należał. Jednakże by podnieść komuś kategorię, należało jednocześnie obniżyć kategorię komuś innemu. Mogło to zdarzyć się jedynie przy klasyfikowaniu przybywającego z Lavath – nikt przecież sam nie wystąpiłby o obniżenie kategorii. Z tych oczywistych powodów procesy aspiracyjne ciągnęły się latami. Podań osób pozbawionych kategorii z reguły nie rozpatrywano.

Ruch w antykwariacie był niewielki. Agtha drzemała przy kasie; Wilcox wyceniał przynoszone książki; Gerda snuła się po sali, czasem wypytyjąc potencjalnych nabywców, czego szukają; Gavein zaś nadzorował pracę pozostałych. Najczęściej poszukiwał Wilcoxa, gdy ktoś przyniósł książki na sprzedaż. Z reguły znajdował go przy lekturze, na zapleczu antykwariatu.

– Jeśli ktoś stał przez dwadzieścia lat na rogu 2837 Alei i 5312 Ulicy niezależnie od pogody, to ma prawo czytać przyniesione książki, zanim wystawi je na sprzedaż – powiedział kiedyś Wilcox. Gavein zbeształ go, ale w duchu przyznał mu rację i odtąd nie ściagał Wilcoxa zbyt gorliwie.

Można było łatwo zauważyć, kiedy Wilcox trafił na dobrą książkę: parzył wtedy w półlitrowym metalowym garnku gorzką herbatę i chyłkiem wynosił ją do magazynu. Następnie siadał za regalem i ściągał zniszczone sznurowane buty, które nosił bez względu na pogodę. Jego wełniane, wielokrotnie cerowane skarpety były upstrzone nićmi o różnych kolorach (miał żonę daltonistkę). Najpierw intensywnie ruszał palcami stóp, żeby ożywić krążenie, a następnie, po pierwszym łyku gorzkiej herbaty, zapadał w lekturę.

Zwyczaje Wilcoxa nie były zbyt uciążliwe. Wkrótce Gavein się do nich dostosował i też podczytywał co ciekawsze książki.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak wyglądał kiedyś Wilcom na służbie: zamyślony, stojący tyłem do jezdni, którą powinien kontrolować, z rozwiązanymi sznurowadłami i nieregularnie ułożonym ekwipunkiem. Zdołał wytrwać do emerytury, ale nie awansował ani razu.

Kiedys zadzwoniła Anabel. Pytała, co nowego, jak się urządził i o różne drobiazgi. Splawił ją. Skąd zdobyła numer antykwariatu? Co chciała wysondować?

Listonosz Max Hoffard przechodząc przez jezdnię, wpadł pod rozpędzoną ciężarówkę. Zmarł w drodze do szpitala. Miał na Imię *Murhred*, więc policja rozpoczęła śledztwo. Jego żonę, jako *Sulledę*, przewencyjnie zamknięto w szpitalu dla psychicznie chorych. Na wypadek gdyby chciała popełnić samobójstwo. Nikt się nie przejął, że rani się ją tym jeszcze bardziej.

Śmierć Maxa znów wprowadziła napięcie w relacjach z Eddą. Podejrzliwe spojrzenia, unikanie rozmowy. Gavein czekał, aż wróćą bezsensowne oskarżenia. Wytrzymała dwa dni.

– Co ci przeszkadzał ten Max? – powiedziała przy obiedzie. – Taki spokojny człowiek, nie wadził nikomu.

Przyniósł wam ten telewizor i w ogóle...

Gavein nie odpowiedział. Usuwał spomiędzy zębów kawałek tektury. Nie był zaskoczony jej wymówkami.

– Przestań, Edda. Gdy będzie zaćmienie słońca albo rzeka wyleje, to też będzie wina Dave'a? – wyręczył go Massmoudieh. Mimo że biały, wtrącił się do rozmowy i zwrócił uwagę czerwonej.

Z twarzy Eddy można było łatwo odczytać, że tak. Gavein nie wytrzymał:

– Bzdura. Czy zanim przyjechałem, to w tym cholernym Davabel ludzie nie umierali?

Edda chwilę się namyślała.

– Z pewnością umierali... Oczywiście. Ale ich śmierci nigdy mnie nie dotyczyły. Ja nie pamiętam, żeby umarł ktoś z mojego otoczenia.

Nie było sensu tego kontynuować. Wypowiedź Eddy poszła na karb jej ciężkich przeżyć z ostatnich tygodni.

Massmoudieh zapytał, jak działają telewizor i żelazko. Niezręcznie wspomniął prezent od Maxa. Telewizor działał, ale kontrast był tak niski, że zniekształcony silną dystorsją obraz ledwie dało się zauważyć na białym ekranie. Żelazko zaś po kolejnej naprawie grzało prawidłowo. Ra Mahleine często z niego korzystała. Była silniejsza, znów zeszła na dół na obiad. Miała nawet blade rumieńce na policzkach. Odmruknęła coś zdawkowego na pytanie Massa.

Ich gumowy, pneumatyczny materac zawsze był niewystarczająco nadmuchany. Gdy Gavein układał się obok niej, Ra Mahleine wynosiło w górę.

„Znów słoń się tu tarzał” – parskała albo: „Zesypali wór ziemniaków”. Czasem wołała: „Znowu mnie wystrzelili z katapulty”. Albo: „Przyszedł niedźwiedź i uwalił się do barłogu”. Bardzo go to cieszyło, zrzędziła bowiem tylko wtedy, gdy była w formie. Po takiej uwadze stawała się znowu słodka i kochana. Gavein uważał dawniej, że potrafiła być jędrą z wdziękiem. Teraz nie zmienił zdania. Odplącał jej żartobliwie: „Jasna cholera”. Nie nadużywał tego określenia, chyba, że była naprawdę w dobrym humorze.

Kupił w komisie żelazne łóżko. Innych nie mieli na składzie. Lakier obity, ale konstrukcja solidna i trwała, a do tego solidny sprężynowy materac.

Gdy umył się i ułożył obok niej, zaczęła.

– Jak się myjesz, to jakby słoń tam się kąpał – prychnęła ze złością, zamiast pochwalić, że nie wleciała w górę. – Woda dudni o wannę, jakby kto walił młotem. A potem tak długo spływa i rezonuje, że cały dom się trzęsie. Można oszaleć!

Lubił te jej abstrakcyjne wymówki, widział, że znów była sobą. Przeciągnął się. Trzasnęły stawy. Wziął ją w ramiona. Była cudowna w dotyku, ciepła i pachnąca.

– W ogóle to tu jest duszno. Pokój jest taki mały, a ty jeszcze tak wciągasz powietrze, że nic dla mnie nie zostaje. Nie mam czym oddychać przez ciebie! – wybuchnęła, łagodnie wyrrywając się, ale nie za mocno, żeby przypadkiem jej nie puścił.

Zaczął ją pieścić, pomimo, że z początku jeszcze się boczyła na niego. Wymówki Ra Mahleine zaczynały się zawsze na serio.

– Czego najbardziej u mnie nie lubisz? – zapytał. Lekko ugryzł ją w delikatny płatek uszka. Gdy włosy rozsypywały się na boki, okazywało się, że Ra Mahleine ma odstające uszy. Nie chciał za bardzo się rozpędzać, bo z karty chorobowej żony wynikało, że aby ponownie stać się normalną kobietą, Ra Mahleine musi poddać się operacji.

– Najbardziej nie lubię, kiedy wrzucasz sobie do ust orzeszki ziemne. Nie można oglądać telewizji, bo cała kanapa podskakuje – odpowiedziała bez chwili wahania. Zaraz zmieniła temat, zorientowała się. Zaczęła opowiadać o krwotokach: powtarzają się od pamiętnego pobicia na statku więziennym, ale obecnie coraz rzadziej, więc wszystko wraca do normy.

Dopiero teraz skojarzył telefon Anabel z terminem odebrania przesyłki z kartoteką medyczną Ra Mahleine.

Cholerna suka czeka jak sęp – pomyślał. – Chciała ją dobić na koniec.

Wdowa po Maksie, Helga Hoffard, wprowadziła się do pokoju po Hilgret. Milcząca, trupioblada toczyła błędnym, przymglonym wzrokiem; zażywała końskie dawki leków psychotropowych. Często zapominała o posiłkach, wtedy Edda wysyłała po nią Lailę.

Odszkodowanie wystarczyło Eddzie na podwyższenie domu nad jadalnią o dodatkowe piętro. Mimo, że za wynajęcie nowego apartamentu zażądała czterystu czterdziestu paczek, wkrótce znalazł się chętny: pracownik lokalnego urzędu imigracyjnego. Edda powiedziała, że lokator nazywa się Ian, a jego żona, Phylliya.

Ogólne przedstawianie się nastąpiło przy obiedzie. Ra Mahleine wdziała na siebie kolorowy sweter, który właśnie skończyła robić na drutach. Inni wyglądali szaro i ponuro: Helga w żałobie, Edda nieobecna duchem, znudzony Haigh z oklapłym grzebieniem, strapiiony Gavein oraz Hougassianowie, którzy ponownie wysłali córkę do szpitala, ponieważ w ranach Laili wywiązało się miejscowe zakażenie wykluczające przeszczep.

Ian był niskim, szerokim, kanciastym mężczyzną około sześćdziesiątki z mocno przerzedzonymi włosami. Gavein zaraz przypomniał sobie, skąd go zna. Żona Iana była wyższa od niego, w okularach, o krótkich kręconych włosach, przesadnie ożywiona i rozmowna. Oboje mieli rude, farbowane na czarno włosy z pozostawionym przepisowym pasem.

– Ian *Yacrod* Hanning – przedstawił się. Choć miał się przenieść do Ayrrah dopiero za kilka lat, tamtejszym zwyczajem wymienił swoje Ważne Imię. *Yacrod* było z grupy Imion Człowieka.

– Phylliya *Yacrodda* – przedstawił żonę i oboje usiedli.

– Dużo tu białych! – Rozejrzał się wokół. Nie było to zręczne rozpoczęcie znajomości, przecież Hougassianowie wtoczyli się w swoje najelegantsze łachy, Fatima nawet zawinęła pracochłonny turban.

– Za to takich czerwonych jeszcze nie było! – palnął Haifan. Haigh ostentacyjnie wsadził palec do nosa.

Ostatecznie, to ten stół jest kuriozalny, a Ian normalny – pomyślał Gavein. – Z pewnością, w całym Davabel było ledwie kilka domów, w których jadano przy jednym stole z białymi. A ci tylko przekręcili imię Ra Mahleine, bo wszystkim przekręcają. Ostatecznie, Magdalena, Magda, też brzmi ładnie, a ze mnie zrobili Davida.

Trwało ciężkawe milczenie. Haigh z lubością zagłębiał palec wskazujący w rozciągniętych nozdrzach. Było to trudne do zniesienia.

Sytuację poprawiła Edda, wnosząc dymiącą pastę. Zmusiło to Haigha do zajęcia się posiłkiem.

– Skądś pana pamiętam. – Ian otarł usta serwetką. – Chyba gdzieś się widzieliśmy. – Chwilę się zastanawiał.

Gavein doskonale pamiętał, ale nie miał ochoty mu przypominać. – Dave, oczywiście, Dave... Załatwiał pan papiery dla dziewczyny, która nazywała się jak kot.

– Tak, to prawda.

– Oczywiście, pani Dave Throzz? – zwrócił się do Ra Mahleine, która rzeczywiście prychnęła jak kotka, rzucając oczyma złoty błysk. Oznaczało to, że jest zirytowana. Jeśli ten błysk był widoczny pomimo szkielek okularów, było wiadomo, że jest wściekła.

Do Iana dotarło, że wzbudził niechęć siedzących przy stole, obecnie usiłował zatrzeć złe wrażenie.

– Doskonale cię rozumiem, Dave. Gdybym w życiu znalazł tak cudowny płatek śniegu, to strzegłbym go jak źrenicy oka – stwierdził ryzykownie, bo zbyt szczerze.

– Chyba byś wsadził go do lodówki – syknęła Philliya.

– Kiedyś zaprosiłem was na obiad, a tymczasem zostaliśmy sąsiadami – zauważył. Starał się być maksymalnie ugrzeczny.

Phillya postanowiła udaremnić te starania.

– Czy wolno ci mówić: Dave?

Gavein skinął głową.

– A więc Dave, podobno czarni pachną, czerwoni nie mają zapachu, a biali śmierdzą. Powiedz, jak jest naprawdę. Rozumiesz: chodzi mi o zapach ciała.

Atak był precyzyjny, ponieważ Edda i Haigh byli rudzi, Gavein nie chciał żadnego z nich urazić.

– Ależ oczywiście – odparł. – I natychmiast zmieniają zapach po przeprowadzce z Davabel do Ayrrah.

– Weźmiemy pizzę na górę – szepnął do żony.

– Daj spokój. Tu leci cyrk na żywo, to lepsze niż program telewizyjny. Siedzimy i oglądamy.

– Ian mówi, że da się to wyczuć u tych, co świeżo przybyli do Davabel. Potem uczą się używać specjalnych mocnych dezodorantów dla białych, Ian dysponuje opracowaniami, w których są szczegółowe porady. Prawda, Ian? – spojrzała na męża. – Podobno białe kobiety miesiączkują inaczej i przez to szczególnie cuchną – wyjaśniała dalej.

Fatima zbladła, co podkreśliło wypryski na jej skórze. Massmoudieh zerkał bezradnie wokoło.

– To czerwoni śmierdzą – zauważył Haigh, poprawiając dłonią usztywniony białkiem z jajka, ogniście rudy grzebień. – Ja, na przykład, cuchnę jak skunks, jeśli nie wydłubię sobie wszystkiego z nosa. To w nosie mi cuchnie. – Wsadził tam palec, wydłubał nieco i ulepił kulkę, którą wystrzelił w kierunku nakrycia Phyllyi. Ra Mahleine zachichotała. Haigh wydobył następny pocisk. Tym razem, przypadkiem, trafił w gazetę Haifana.

– Właściwie powinno się trzymać białych osobno – Philliya atakowała resztką sił, gdyż trzeci pocisk wylądował na krawędzi jej talerza.

– Muszę pozbyć się zapachu ciała – wyjaśnił grzecznie Haigh.

Niestety, prowadzony przez niego ostrzał nie ustawał, więc wszyscy byli zmuszeni zrezygnować z reszty obiadu.

Gdy potem Ra Mahleine odgrzewała porcję pizzy dla nich obojga, o mało nie zrzuciła rondla z kuchenki, trzęsąc się ze śmiechu.

– Wytwornie ją skasował – zauważył Gavein. – Głupcy powinni siedzieć w rezerwatach.

– Stanowczo nie. Obcowanie z nimi poprawia samopoczucie. Wiesz, w Lavath nie przypuszczałam, że właśnie czerwoni mogą tak nas nienawidzić.

– Niestety, podobnie zachowywali się czarni przybyli z Llanaig. Chociaż segregacja społeczna w Lavath była chyba mniej poważnie traktowana niż tutaj.

– Ja nie uważałam czerwonych czy szarych za gorszych.

– Wiem. Czarnych też nie uważałaś – uśmiechnął się do niej.

– Właśnie, że uważałam. Specjalnie wyszłam za ciebie, żeby sobie poprawić samopoczucie.

– I poprawiłaś sobie?

– Nie narzekam.

Rozmowę skończyli na łóżku. Pizza się przypaliła.

Następnego dnia nie poszedł do antykwariatu. Wczesnie rano zadzwonił Wilcox z prośbą, że go zastąpi. Powiedział, że musi przeczytać jakąś książkę. Gavein nie sprzeciwił się.

Zeszli do jadalni. Ra Mahleine położyła się na kanapie, przykryła kocem i oglądała telewizor, robiąc na drutach.

Edda prasowała pościel, Haigh rozmyślał nad zapisanymi kartkami. Siedział na fotelu po turecku, ale nie uznał za stosowne zdjąć butów. Gavein był mu wdzięczny za wczorajszą obronę artyleryjską.

– Nie wiedziałam, że znałeś ich wcześniej, Dave – powiedziała Edda. Patrzyła na Gaveina nieruchomym wzrokiem.

– Tylko Iana. Załatwiał moją sprawę. Potem wcisnął mi wizytówkę i zaproszenie. Tyle.

– Dave, daruj im wczorajszy wieczór. Dość nieszczęść. Nie zaczynaj znowu. Nie bądź jak magnes. Magda, proszę cię, przekonaj go, żeby znowu się nie zaczęło.

Ra Mahleine podniosła wzrok znad robótki. Nie lubiła, gdy się jej przeszkadza w liczeniu oczek. Coś mruknęła. Natomiast Gavein został wytrącony z równowagi:

– Edda, to nie ma sensu. Jeśli chcesz, zmienimy mieszkanie, ale nie zaczynaj znowu – powiedział.

– Uspokój tego faceta, Magdalena – wtrącił się Haigh. Nie skracał jej davabelskiego imienia; uważał, że całe brzmi najlepiej. – Powinien być dumny, że go tak wysoko cenią, a nie stękać z tego powodu.

– Do jasnej cholery, dajcie mi spokój z głupotami. – Nie oderwała wzroku od robótki.

Edda bez słowa wyszła zapłacić za telefon.

– Nie przejmuj się matką, Dave. Mocno przesadza.

– Byłeś wczoraj w dobrej formie.

– Dzisiaj też jestem w niezłej – uśmiechnął się i zrobił gest, jakby zamierzał sięgnąć do nosa.

Gavein uznał jednak, że Haigh jest czymś strapiony. Spytał o to.

– Dlaczego wy się tak samo ubieracie?! – odpowiedział pytaniem Haigh. – Dwie pary dżinsów i dwie koszule flanelowe.

– Co?

– Wyglądacie dużo młodziej, niż macie w metryce, a ta twoja Magdalena to przecież piękność. Mówiłeś, że ma boskie nogi, to dlaczego nie ubierze na siebie tych modnych, obcisłych, czarnych rajtek, jakie noszą inne dziewczyny?

– Mówił, że mam boskie nogi?

– Chyba coś takiego powiedziałem.

– Hm, parę razy takie założyłam. Jeszcze w Lavath. Potem powiedział, że właśnie dlatego mnie unikał. Cholera jasna... Nie chciał się przez to ze mną ożenić. Chciał mieć wszystko dla siebie.

– No to nie nogi. Ale dlaczego nie zrobisz sobie trzydziestu sześciu warkoczyków, a on grzebienia tak jak ja?

– To nie takie proste. Musiałbym wygolić pałę na gruchę – wyjaśnił Gavein. – A tam, gdzie formujesz grzebień, wylazło mi najwięcej włosów. To byłby marny grzebień.

– Mnie też wylażą jak cholera, ale jak się da białka albo cukru, to dobrze stoją i wygląda, jakby ich tam było dużo więcej.

– Nie powiem jej, żeby sobie posplatała takie gałązki na głowie, bo lubię jej włosy. Są sypkie i fajnie pachną.

– Narzekasz, że cię łaskoczą w nos.

– Z warkoczami byłoby jeszcze gorzej. Takie sztywne patyczki, nic tylko wybić oko.

– Ubieracie się szaro, to potem taka torba wami pomiata. Głupia ocenia ludzi po stroju.

– Ludzie w Lavath ubierają się na szaro. Takie barwy ochronne.

Haigh wzruszył ramionami.

– Może i racja. To też styl.

Wstał z kanapy i przykleił coś na drzwiach.

– Muszę to zrobić, żeby uspokoić matkę. Jak znajdzie, będzie gderać, potem pościera i uzna, że świat wrócił w zwykłe tory i że ty przestałeś być zwiastunem nadchodzącej śmierci.

Usiadł i zwiesił głowę.

– Chciałeś pogadać o czym innym. Zgadza się?

– Tak. Chodzi o tę małą Lailę. Dzisiaj dzwonili ze szpitala.

– Coś złego? – Gavein nie wierzył w przypuszczenia Eddy, ale koincydencji było zbyt dużo.

– Zależy jak patrzeć. Przy okazji badań okazało się, że jest w ciąży.

– Przecież ma najwyżej dwanaście lat. – Ra Mahleine podniosła zdziwione oczy znad robótki.

– Gdzie tam. Już skończyła szesnaście, tylko jest mała.

– I co dalej?

– Wiadomo co, nie?

– No, z kim...?

– Wiadomo: ze mną. Ja byłem tam pierwszy. Dostawiał się Glicha, ale się odstawił, bo dostał po mordzie i słuchawki do radia na otarcie łez. Fasola też się dostawiał, ale bez szans, to nic mnie nie kosztował.

– Takie miała powodzenie? Przecież taka niepozorna – wyrwał się Gavein.

– Ale za to taka dziwna, bo zawinięta w białe szmaty. Musi stale siedzieć, bo jak leży, to ją wszystko boli.

– Przecież nawet nie widać, czy jest ładna – brnął Gavein.

– Jest ładna – wyjaśnił Haigh. – A od góry, jak jej dosztukują skórę, też będzie ładna, a teraz i tak nie widać...

Ra Mahleine prychnęła. Oznaczało to, że nie akceptuje. Nie chciała przerwać liczenia oczek i nie odezwała się, więc nie było wiadomo, czy nie akceptuje jego kryteriów kobiecej urody, czy tylko sposobu wyrażania się Haigha.

– To co teraz będzie z wami?

– Co ma być. Każę wpisać ją do mojego paszportu jako żonę, pomimo że biała. Tak samo, jak ty wymusiłeś wpis Magdaleny. To mi imponuje: czarna i biała żona, niebywałe w Davabel. Czerwony i biała żona, to nie aż taki szpan, ale zawsze coś, no nie?

– Pewnie.

– Nie jest za młoda na małżeństwo? – wtrąciła pytanie Ra Mahleine.

– Biała nigdy nie jest za młoda...

Ra Mahleine parsknęła wściekle.

– ...w Davabel – uładził nieco Haigh. – Powiem staremu Massmoudiehowi, że mała przeniesie

się do mojego pokoju i po sprawie. Jeszcze się ucieszy, bo mieszkanie się rozgęści. Matka nie zważa na klasyfikację.

– Ja też mam problem – powiedział Gavein.

– Bezpłatna poradnia jest na 5667 Alei, dwadzieścia minut piechotą. – Haigh musiał tak zażartować. Dbalność o image nie dopuszczała odstępstw.

– To nic z tych rzeczy. – Gavein przyjął jego żart jako formalną konieczność. – Problem jest naukowy.

– No to wal. Lubię problemy naukowe. Szczególnie z fizyki.

Wziął się za upiększanie swojej kurtki. Wydawało się, że nie da się wcisnąć już żadnej czaszki, ale Haigh stale udowodniał, że jakieś miejsce jeszcze się znajdzie.

– To się pomęcz: Ra Mahleine opowiedziała mi o swojej podróży statkiem. Wydaje mi się, że na oceanie czas przyspiesza względem Lavath albo Davabel.

– Dlaczego?

– Była ciągła noc, to raz. Z rzadka zmieniała się w ciemny błękit, choć chmur na niebie nie było – wtedy mógł być dzień. Te, które miały dobry wzrok, mogły dostrzec w górze nieruchome samoloty. Każdy wodnopłat był najpierw nieruchomy, potem obniżając się, przyspieszał lotu, zwalniał zaś i hamował dopiero na wodzie. Myślę, że na poziomie oceanu czas biegnie szybciej niż na poziomie ładu. Co ty na to?

– Brzmi rozsądnie. Taki facet nazwiskiem Mili policzył, że musi być równowaga, to znaczy, jeśli gdzieś na górze zwalnia, to w głębi powinien przyspieszać. Czyli poziom miasta Lavath z poziomem Davabel łączy tylko cieniutka powierzchnia czasu realnego, znaczy wspólnego. Właśnie liczę jej grubość na zadanie domowe.

– Skąd wiadomo, że istnieje powierzchnia czasu realnego? Skąd wiadomo, że czas biegnie tak samo w Lavath i w Davabel?

– Lubię, jak chlapiesz mózgiem. Nikomu w tej chałupie tak to nie idzie – pochwalił życzliwie Haigh.

– Dobra, dobra, teraz twoja kolej.

– Czy ja muszę tego słuchać!? – zaprotestowała Ra Mahleine.

– On inaczej nie zrozumie. Takie ma połączenia neuronów – wytłumaczył Gavein.

– Myślę, że pomogą ci nauszniki – doradził Haigh.

– Właśnie robię nauszniki.

– Dokładnie nie wiadomo – nawiązał do tematu chłopak. – Wydaje się, że powierzchnia czasu istnieje, bo obliczenia i wskazania zegarków nieźle się zgadzają. Ale wiesz, facetowi drgnie ręka i samolot jest dłużej lub krócej na wybranej wysokości.

– No, a co z tym przyspieszaniem na powierzchni oceanu? Nie kłóci się to z poprzednim?

– Ale cię złapał zatward.

– Że co? – Gavein nie znał tego określenia.

– No, zatward umysłowy. Bo to wszystko jest pięknie logiczne.

– Czuję, że ten zatward nie chce mnie puścić.

– Niby dlaczego efekt miałby zatrzymać się przy powierzchni Ziemi? Jeśli czas zwalnia w nieobecności masy, to powinien przyspieszać w pobliżu. Zauważyłeś, że wybrzeże to kilkusetmetrowy klif? A do statku zjeżdżasz windą?

– Nigdy nie byłem na brzegu.

– Ja też nie, ale tak napisano w podręczniku.

– Masz rację – włączyła się Ra Mahleine. – Winda zjeżdża tunelem wydrążonym w skale. Gna bardzo szybko i bardzo długo. Trzeba uważać, żeby nie wysunąć ręki, bo kosz windy jest niezbyt wysoki, a do środka upychają po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób. Na powrotną windę, w Davabel, musiałam czekać miesiąc. Dodatkowa kwarantanna.

– Widzisz, Gavein?

– W głębokich kopalniach górnicy powinni pracować bardzo wydajnie. – Uwaga Gaveina nie była szczególnie odkrywcza.

– Niekoniecznie. Przecież im głębiej wchodzisz w Ziemię, tym grawitacja słabsza. Policz grawitację od bryły rozciąglej, to się przekonasz. W głębi toczy się gra pomiędzy zależnością zwolnienia czasu od odległości, a spadkiem masy, a który z tych efektów dominuje, nie wie nikt. Ale w kopalniach, nawet głębokich, nie zaobserwowali widocznych zmian.

– A dlaczego niby efekt na powierzchni morza ma być silniejszy niż pod ziemią na tej samej głębokości? – Gavein nie był przekonany.

– Rachunek całkowity. Gryzłeś to kiedyś? Pion wyprawia dziwne rzeczy w pobliżu brzegu morza – tłumaczenie Haigha straciło klarowność, a jego twarz pokryła się kropelkami potu, jak kiedyś twarz Haifana.

– Może by napisać list do Milla z zapytaniem? – Gavein podsunął koło ratunkowe.

– Mill jest z naszego kolegium. Pogadam z nim, jak wróci. Wyjechał robić badania terenowe.

Rozmowę przerwało nadejście Fasoli, który stanął w drzwiach, dziobaty jak zwykle, ponury jeszcze bardziej niż zazwyczaj, a na dodatek żuł gumę.

– Chodź, Grzebień – powiedział, przestępując z nogi na nogę. – Tylko nie zapomnij parasola, bo dzisiaj na nich kolej.

Haigh wrócił z kina cuchnący i zły – tamci oszukiwali. Sikali do worków z folii i rozrzucali je po sali. Wrzucił swoją wspaniałą kurtkę do pralki. Edda niecierpliwiła się: tylko Throzzowie i gospodarze czekali na kolację.

Wreszcie przyszedł Haifan. Położył na stole przed sobą młotek i poduszkę. Nie czekając dłużej, Edda wniosła pastę.

– Jedzmy już. Inni nie przyjdą – powiedział Haifan.

Mówił spokojnie, ale wszyscy spojrzeli na niego.

– Młotek nie jest mi już potrzebny. Jest jeszcze mokry, bo go płukałem. Niestety, poszewkę z poduszki trzeba będzie przeprać. Zupełnie zaśliniona, chociaż zdążyła podeschnąć. Mam nadzieję, że wsyp nie zawilgnał.

– Haifan, dlaczego inni nie przyjdą? – zapytał Gavein. Widelec Ra Mahleine rytmicznie stukał o talerz. Gavein lekko ujął jej dłoń. Powstrzymał drzenie.

– Kochany nerwusie, Haifan żartuje.

– Ja nie żartuję. Oni nie przyjdą. Zjedzcie spokojnie obiad.

– Zajrzę do Hanningów, zobaczyć co z nimi – powiedział Gavein.

– Po co tam teraz chodzić? – Haifan pokiwał głową. – Nie zjesz potem obiadu. Myślę, że wreszcie rozwiązałem problem. Oni cierpieli w złych wcieleniach, a teraz wrócą w nowych, lepszych. Nie ma sensu zastanawiać się, kim byli poprzednio.

– Haifan, czy oni nie żyją? – Gavein zadawał ryzykowne pytania, ale wyczuwał, że Haifan nie zaatakuje.

– Nie można umrzeć. Oni nadal trwają w kręgu nieustannych narodzin. Ich ciała obróca się w inne istoty żywe. Włączyły się w obieg biomasy, choć przecież stale w tym obiegu brały udział. Należało tak zrobić, aby im pomóc. Oni nie potrafili działać nic dobrego w obecnych wcieleniach. Skrzywdzili Magdę, Fatimę i innych białych. Duch Czarny i Duch Czerwony kazali mi to zrobić. Powiedzieli mi, że Hanningowie wyczerpali już swój poziom energii w tym wcieleniu, więc powinni powrócić w innym, może już jako Czarni. Duch Biały został urażony i musiałem go przebłagać, żeby nie zapanował nad Davabel.

Pogląd, że człowiek wciela się wiele razy, za każdym razem w inne ciało, wynikał z obserwacji, że na ogół ludzie nie byli w stanie poznać wszystkich czterech Krain, bo ich życie było zbyt krótkie. Powszechnie sądzono, że człowiek rodzi się cztery razy, za każdym razem w innej Krainie. W ten sposób każdy mógł zaznać dobrego i złego w sprawiedliwej proporcji. Nie było

jasności, ile pamięta z poprzednich wcieleń oraz w jakiej kolejności rodzi się w poszczególnych Krainach. Na ogół uważano, że najwyższe stanowiska zajmują wcieleni trzeci albo czwarty raz jako najdoskonalsi, którzy zgromadzili najwięcej doświadczenia i mądrości. Po czwartym wcieleniu człowiek powinien, dla symetrii świata, rozplątać się w nieistnieniu, bo z nieistnienia się kiedyś wyłonił.

Dodatkowo, davabelska reguła wcieleń mówiła, że można rozpoznać numer wcielenia. Otóż kategoria obywatelska w dowodzie osobistym zawsze wzrasta po przybyciu do nowej Krainy, a osiągnąwszy trójkę, w następnej Krainie zostaje wymazana. Im później następuje wyzerowanie kategorii, tym doskonalszym jest się człowiekiem. (Nie wszyscy dożywają sędziwego wieku, więc doskonalszym statystycznie rzadziej wymazywano kategorię).

Gavein nigdy nie zastanawiał się, ile razy wcielił się on sam, a ile razy Ra Mahleine.

– Nie ma kogoś takiego jak Duch Biały czy Duch Czerwony, Haifan – powiedział Gavein.

– Mylisz się, Dave. Jest ich wielu. Każda ulica, każda aleja, każde zjawisko ma swojego Ducha. Dzięki temu wszystko może się dziać. Duchy popychają samochody, uruchamiają telewizor, wyciągają słońce zza horyzontu. Któż inny potrafiłby robić coś takiego? To mnie duchy wybrały na powiernika. Mówią mi o swojej pracy, o swoich kłopotach, o tym, jak niektórzy ludzie utrudniają im pracę. Przychodzą do mnie co noc. W Davabel obraża się Ducha Białego. Dlatego jest zagniewany. Powiedział mi, że planuje opanowanie Davabel, by utrzyć nosa czarnym. Po co się wyrywać z tym, kto lepszy, nie? Wystarczy zajrzeć do paszportu, żeby było wiadomo, czyje wcielenie jest bardziej, a czyje mniej wartościowe. To nieszczęście, że ktoś wcielił się w białego, po co go jeszcze poniżać?

Zwykle pewna siebie i władcza Ra Mahleine była przerażona. Jej dłonie były zimne i wilgotne, drżały.

– Powiedz Gavein, czy ja wyglądam jak paranoik? – Haifan stale się do niego zwracał. Może dlatego, że odezwał się na początku i tym ściągnął na siebie jego uwagę.

– Nie wyglądasz. Nie masz mętnego wzroku. Mówisz wyraźnie, zrozumiale, całymi zdaniami. – Gavein nie musiał kłamać.

– No, jedzcie, jedzcie... Nie chcę, żeby obiad wyglądał tak jak wczorajszy.

– Haifan, wyjaśnij nam wszystko, bo jesteśmy trochę przerażeni – powiedział Gavein. Inni milczeli.

– Dobrze, ale jedzcie. Potem zadzwonię na policję, bo chociaż prawo nie ma sensu, uszanuję je. Ludzie muszą przecież w coś wierzyć, dlatego jest potrzebne. Prawda, Gavein?

– Ja też szanuję prawo, chociaż czasem wymaga to poświęceń.

– No, właśnie. Zgrabnie to powiedziałeś – skinął głową. – Opowiem wam wszystko, ale jedzcie. Muszę się tym podzielić z wami, muszę opisać swoją misję.

Już nikt nie sprzeciwił się jego żądaniu, chociaż nitki spaghetti sztywniały w gardle jak druty.

– Było już po trzeciej, wtedy noc jest najciemniejsza. Leżałem na łóżku i patrzyłem w sufit. Od kilku nocy nie udało mi się zasnąć. W sąsiednim pokoju spał ten pomiot, morderca swego brata.

– Jego też? – Edda ze świstem wypuściła powietrze z ust.

– Tak. Dobrze mu robi, jak wcieli się w gorszego człowieka, w białego. Za spalenie Aladara. – Odchrząknął i ciągnął dalej: – Wtedy przyszedł Duch Biały. On zawsze wychodzi z szafy. Był promienisty, miał niebieskie oczy i żółte włosy. Powiedział: „Dlaczego Hanningowie mi to zrobili? Złe się dzieje w Davabel i będę musiał coś z tym zrobić”. Pomyślałem, że i ja nie mogę pozostać obojętny. Wtedy zza firanki wyszedł Duch Czerwony. Miał włosy płomieniste i oczy gorejące zielenią, powiedział: „Tak właśnie zrób”. Zapytałem go, jak mam to zrobić, a on odpowiedział: „Duch Czarny ci powie”. Dołączył do nich Duch Czarny i rzekł: „Masz ich uciszyć, aby nie gniewali innych duchów. W przeciwnym razie odbiorą mi Davabel, a czarni będą mieli kreskę zamiast trójki w paszporcie. Dlatego weź młotek Eddy, którym miałeś powbijać gwoździe do powieszenia obrazów, weź też poduszkę”. Potem przyszły do mnie duchy młotka i poduszki i wyjaśniły mi szczegóły. Poszedłem do Hanningów. Drzwi były otwarte, Ian przeczuwał, że wypełniają się jego dni plugawe i nie próbował się ukryć. Spał na boku i miał otwarte usta. Hanningowa spała na wznak i chrapała jak zarzynana. Z koszuli wysunęła się jej blada długa pierś i zwisała na bok. Pomyślałem, że Hanningowa będzie się rzucać i może obudzić Hanninga, więc zacząłem od niego.

Wszyscy słuchali chłodnej relacji Haifana. Widelce zamaryły w różnych punktach drogi między ustami a talerzem. Pasta ostygła.

– Przyniosłem garść długich gwoździ. To dla pewności, ponieważ on miał na Imię *Myzzt*. Pierwszy wszedł od jednego uderzenia.

Rozległo się westchnienie Eddy.

– Zanim zdążył się obudzić, wbiłem szybko drugi, trzeci, czwarty i piąty. Pryskało mózgiem, ale nie za bardzo. Gwoździe wchodziły do końca i jak wbijałem następny, to z poprzednich dziur trochę się wylewało. Następne wbijałem tylko do połowy i ruszałem nimi za wystające końce, żeby porozrywały mu mózg do reszty. Wtedy zaczął wykonywać kurczowe, szarpiące ruchy rękami i nogami. Przestraszyłem się, że Phylliya może się zbudzić. Zabrałem się więc za nią, nie czekając, aż będzie w porządku z Ianem. Położyłem poduszkę na twarz i ukląknęłam lewą nogą na jej szyi. Potem przygniotłem głowę udami, a rękami przyciskałem poduszkę do twarzy. Zaczęła bardzo gwałtownie wrywać się i drapać mnie w lewe udo. Bolało jak cholera, ale trzymałem z całej siły. Ta jej blada pierś podskakiwała we wszystkie strony. W końcu Phylliya osłabła: zaczęły się drgawki. W tym czasie Hanning spadł z łóżka i usiłował się czołgać, ale takimi nieskoordynowanymi, przypadkowymi szarpnięciami. Trochę hałasował. Dopiero jak Phylliya znieruchomiała do reszty, znowu mogłem się nim zająć. Resztę gwoździ wbiłem w miejsce, gdzie szyja wyrasta z potylicy. Poskutkowało. Przestał się szarpać, tylko drgał przechodzącymi falami. Potem usiadłem na krześle przy nich i ponad godzinę czekałem, żeby sprawdzić, czy zaczną stygnąć. Ale stygli – kiwnął głową. – Wsadziłem Hanningowej pierś z powrotem pod koszulę, żeby wyglądała schludnie. Potem u nich w łazience umyłem ręce i młotek. Z początku chciałem ułożyć Hanninga na łóżku obok żony, ale był bardzo ciężki

i pochłapany mózgiem, a ja nie chciałem brudzić się bardziej, niż musiałem.

– On miał na Imię *Yacrod*, a nie *Myzzt* – Edda przerwała przeciągające się milczenie.

– *Yacrod*? – zdziwił się Haifan. – To gwoździe były niepotrzebne. Miałem niezły nóż. I tak musiało się udać.

Yacrod znaczyło: „Od snu”.

– Haifan, a twój syn? – odezwała się Ra Mahleine.

– Morderca własnego brata? Wiedziałem, że ta noc ma być oczyszczeniem Davabel. Więc i z nim musiałem coś zrobić. Niestety, zbudził się, jak go wiązałem i walczył. Ale Duch Snu nie pozwolił wam usłyszeć, bo działałem w słusznej sprawie. Związałem mu ręce i nogi, a głowę wtłoczyłem do wiadra z wodą, bo to był *Flued*. Nawet zbyt nie rzucał. Potem ostygł i zeszywniał jak należy. Usnąłem, gdy już świtało, usnąłem po raz pierwszy od dawna. Musiałem wam opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami, bo duchy tego wymagały. Davabel jest oczyszczone. Pamiętasz numer na policję, Dave? – podniósł słuchawkę.

– Cztery dziewiątki – podsunęła Edda.

Haifan spokojnie zgłosił potrójne morderstwo osłupiałemu funkcjonariuszowi. Łapczywie wchłonął swoją porcję pasty. Nie przeszkadzało mu, że wystygły sos już zgęstniał.

– Edda, przynieś szybko pizzę. Chcę zdążyć, zanim przyjadą po mnie. Domyślam się, że przesłuchanie będzie trwało długo, więc muszę mieć siłę, by im wszystko rzetelnie opowiedzieć.

Syreny wozów policyjnych rozległy się, gdy kończył pizzę. Edda otworzyła drzwi. Haifan wstał, przedstawił się i poprosił, żeby mu założyli kajdanki. Zdumiony policjant zwlekał.

Skuli go dopiero, gdy zobaczyli jatkę w apartamencie Hanningów i martwego Tortha. Pobieżne przesłuchanie prowadził porucznik policji w cywilu. Przedstawił się jako Bharr Tobiany. Miał chyba ze dwa metry wzrostu i proporcjonalną masę ciała. Prowadził śledztwo, siedząc za stołem, za ostygniętą pizzą z wyciętą jedną porcją. Ciało wyniesiono. Potem policjanci odjechali. Tobiany poprosił, aby dla dobra śledztwa mieszkańcy nigdzie nie wyjeżdżali. Zaplombowano apartamenty Hanningów i Tonescu.

Gdy odjechał ostatni samochód policyjny, stało się cicho, jak wtedy, gdy Haifan snuł opowieść o duchach napędzających świat. Edda natarczywie wpatrywała się w Gaveina.

– Zrobię wszystkim gorzką herbatę, dobrze? – Ra Mahleine rozejrzała się po siedzących.

– Pomogę ci – powiedziała Helga.

Edda świdrowała wzrokiem Gaveina.

Haigh włączył telewizor. Właśnie szedł jakiś starszy film z Solobiną.

– Chudziutka jak patyczek – powiedział. – Obecnie ma więcej seksu na sobie.

– Ale mniej ubrania – zauważył Gavein.

Zaterkotał telefon. Dzwonił Wilcox. Wiedział, że o tej porze Gavein przesiaduje u Eddy. Wziął książkę do domu, bo nie mógł się od niej oderwać. Prosił o dwa dni urlopu na poniedziałek i wtorek, by ją skończyć. Gavein się zgodził. Zdziwiła go dbałość o formę, tak niezwykła u Wilcoxa – mógł przecież zaszyć się gdzieś za regałem w godzinach pracy.

– Może byśmy wynieśli się od tej Eddy – powiedziała Ra Mahleine, gdy byli już w łóżku. – Patrzyła, jakbyś to ty wymordował tych troje. Miałam ochotę wytargać ją za włosy.

Przygarnął ją ramieniem. Wtuliła się jak kotka.

– W przyszłym miesiącu przyjmą cię do szpitala. Jest długa kolejka białych, ale wyklóciłem umieszczenie ciebie w kolejce szarych i odpowiednie traktowanie... To znaczy, jak żony wpisanej do paszportu.

– Potem poszukamy innego mieszkania.

Przesłuchania zwykle prowadził Tobianyj, jednak tym razem do rozprawy nie doszło. Haifan przeciął sobie żyły nadgarstka ostrą krawędzią łyżki. Strażnik zamiast zebrać po kolacji naczynia od aresztantów, zasnął przed telewizorem i obudził się dopiero o trzeciej w nocy. Do tego czasu Haifan zdążył się wykrwawić. Trzymano go w izolatce, chociaż jego Imię – *Sulled* – wyraźnie wskazywało, co może się zdarzyć.

Wilcox nie rozstawał się z książką w tłoczonej okładce przypominającej mozaikę. Tytuł też ułożono jakby z kolorowych kamyków: Gniazdo światów. Nosił ją przy sobie.

Prawie się rozlatywała, tak była zaczytana. Nadal nie przebrnął przez pierwszy rozdział.

Gavein nie mógł doprosić się choć wypadających pierwszych stron – żeby przynajmniej zorientować się, o czym traktowała.

Wilcox przestał dbać o siebie; do późna przesiadywał w antykwariacie, nieustannie studiując kilka pierwszych stron; to znów spóźniał się i przychodził dopiero koło południa, bo, jak mówił, zasiedziało się przy lekturze.

– Też przeczytałabym coś wciągającego – stwierdziła Ra Mahleine, gdy Gavein wspomniał jej o tym. – Od oglądania reklam rozpuszcza się mózg. Wczoraj, jak siedziałeś w antykwariacie, szedł film z Maslynną. Trzy razy przerywali jej striptiz. Dwa razy reklamą frytek, a raz płatków owsianych. Syf... W Lavath bardziej szanowali telewidza.

Dwa dni później odwiedziła ich żona Wilcoxa, Ra Bharre. Kazała mówić na siebie Brenda. Była blondynką, małą, ale pulchną jak ciasto drożdżowe. Wyglądała dużo młodziej od Wilcoxa, Gavein wziął ją za jego córkę.

– Nie przejmuj się, Dave. Tu wszyscy tak... Harry bardzo postarzał się w czasie służby w policji. Kompletnie nadawał się do tego, ale jeśli ktoś całe życie kieruje się marzeniami z dzieciństwa, to tak łąduje. Harry'emu za młodu imponowali detektywi z filmów kryminalnych, więc całe życie pozostał posterunkowym.

Wilcox miał na imię Hvar, co jest nazwą karłowatego krzewu, niezwykle odpornego na mróz i wichry, rosnącego na północy Lavath. W Lavath Hvar jest symbolem uporu, wytrwałości i twardego charakteru. Brenda przerobiła to imię na modłę Davabel.

– Dziwi cię nasza różnica wieku?

– Historia jest kiczowato romantyczna. Pewna nastolatka zobaczyła raz reportaż o ciężkiej pracy policji. Pokazali jednego z funkcjonariuszy leżącego po przypadkowym postrzale w szpitalu. Wydało się to jej wspaniałe i napisała list. Potem dostała odpowiedź i poszła do szpitala z wizytą. I tak zostało na trzydzieści lat.

– Nasza historia jest mniej romantyczna – włączyła się Ra Mahleine. – Cztery lata różnicy. Skompensowane podróżą na statku więziennym. Takie prywatne zwycięstwo nad czasem. Nas dwojga. Albo raczej klęska – spoważniała.

– Odważyłaś się podróżować na statku więziennym?

– Nikt mi nie powiedział, że to jest statek więzienny. – Kilka wąskich blizn na jej twarzy zaróżowiło się bardziej, niż dopuszczała karnacja jasnej blondynki.

– No tak. Mało kto o tym wie. Harry pracował w policji i wiedział, co się święci. Wolałam schnąć za nim przez dziesięć lat w Lavath, niż kompensować różnicę wieku podróżą. Dziesięć najlepszych lat. A potem spotkanie z postarzałym Harrym, to było okropne. Nie znalazłam sobie nikogo w czasie tych lat – Brenda dalej grała. – Więc przyjechałam za Harrym. Czekał na mnie.

Wszyscy troje wiedzieli, do czego zobowiązany był małżonek pozostający w Lavath.

– Ja nawet nie miałam szans, na statku więziennym, wiesz... – Ra Mahleine urwała. – Jak poradziliście sobie z różnicą kategorii? – zmieniła niezręczny temat.

– Ja byłam za młoda, żeby na to zwrócić uwagę w Lavath. A tu? Podejrzewam, że Harry dotąd nie zauważył, że dostał tu trójkę.

– Przyszłaś chyba z inną sprawą, prawda, Brenda? – włączył się Gavein. Irytował go ton Brendy. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jakie progi musiał kiedyś pokonać Harry, by zachować dla niej prawa legalnej żony.

– To prawda. Chodzi o Harry’ego i tę książkę. Nie myje się, siedzi po nocach. Nie myśli o niczym innym. Nie zauważa mnie. Ciągle czyta. Co może być w tej książce?

– Nie wiem – Gavein wzruszył ramionami. – Nie chce mi jej dać, chociaż obiecał.

– Żeby chociaż czytał coraz dalej. Wydaje mi się, że on ciągle otwiera na tej samej stronie, na początku. Nie chcę, żeby zwariował.

– Wspominał coś o tym. Mówił, że ta książka dzieje się i zmienia za każdym razem. Dlatego czyta ją na okrągło. Ciągle wraca do początku. Bada ją, eksperymentuje.

– Nic nowego. To samo powiedział i mnie. Ja myślę, że to książka eksperymentuje na nim. Czy tak zaczyna się obłąd?

– Nie wiem. Na wszelki wypadek pogadaj z jakimś psychiatrą. Obłąd ma podłoże chemiczne. Jak podadzą mu właściwe proszki, to problem się skończy, zanim się zacznie. – Gavein odprowadził Brendę do drzwi.

– Może byś mu odebrał tę książkę, jako zły zwierchnik – podsunęła Ra Mahleine, gdy Brenda już wyszła.

Pokiwał głową – właściwie był to dobry pomysł. Milczeli. Ra Mahleine nie podnosiła głowy znad robótki.

– Nie bądź oschły. – Podniosła na niego błękitne oczy. Spojrzała jakoś tak za miękko, łagodnie. – Ja tak nie myślałam. Po prostu czułam, że ona oczekuje czegoś takiego, rozumiesz? Że szuka potwierdzenia, że wszystkie inne byłyby takie jak ona. Skłamała, przecież musiała zawrzeć małżeństwo kompensacyjne. Uwierzysz mi?

– Widzisz, Kocie Manule, żegnając mnie na lotnisku w Lavath, popatrzyłaś na mnie tak samo, jak pewna dziewczyna, której miłość zmarnowałem, kiedy jeszcze byłem szczeniakiem, w szkole. Nie chcę drugi raz popełnić tego samego błędu.

– Gdybyś tej pierwszej nie odrzucił, to ta druga dziewczyna nie spojrzałaby na ciebie w taki sposób – zauważyła. – Ty chcesz mi dopiec tym zmarnowaniem – zorientowała się po chwili.

– Nie bardziej niż ty mi. Tak naprawdę, nie to chciałem ci powiedzieć.

– Muszę trenować spojrzenia przed lustrem. Pierwsze – zadurzona bez pamięci nastolatka – powiedziała. – To znaczy drugie, bo inna jasna cholera poderwała mi wcześniej spojrzenie numer jeden. Też jasna cholera? Pewnie też, bo jesteś monochromatyczny. – Ra Mahleine potrafiła patrzeć tak, że tonął w jej spojrzeniu.

– Też. Trzeba było urodzić się wcześniej, to uprościłoby wiele spraw.

– Żartujesz? Wtedy bym na ciebie nie spojrzała. Nawet teraz wydajesz mi się czasami... – uśmiechnęła się do siebie. – Dorosłam, Gavein, dojrzałam. To jest cena bycia razem.

– Już w Lavath byłaś dojrzała. I wiedziałem, że jesteś mądrzejsza, moją przewagą było doświadczenie. Obecnie ją straciłem. Zaparzyć ci herbatę?

– Nie chcę herbaty. Zaparz mi ziółka, tylko przykryj małym spodeczkiem, żeby dobrze naciągnęły.

– Jakie?

– Może być bubawiec. – Zwiesiła głowę nad robótką.

Wrzucił torebkę dziurawca do szklanki.

Lubiła gorzką herbatę, lubiła gorzkie ziółka. On lubił, siedząc w sąsiednim fotelu, nudzić się razem z nią.

Przez dwa następne dni Wilcox nie pojawił się w pracy. Wydobyć książki od niego okazało się trudniejsze, niż przypuszczali. Stan Lailli pogorszył się, zakażenie się rozwijało, dostała wysokiej gorączki. Fatima spędzała przy jej łóżku całe dni.

Do Throzzów przyszedł facet w szarej kurtce i sztruksowych spodniach, kapitan Frank Medvedec, zwierzchnik Tobianego. Gavein wyobrażał go sobie jako kopię tamtego: olbrzym z łbem jak wiadro i mięsistymi uszami. Nic z tego: Medvedec był niższy od Gaveina, o nerwowej, bladej twarzy.

Usiadł w kucki na dywanie, ponieważ Throzzowie nie sprawili sobie biurka, a chciał pracować na swoim komputerze-notatniku.

– Chciałem zadać parę pytań w sprawie Tonescu.

– Wydawało mi się, że ta sprawa została wyjaśniona.

– I tak, i nie. Ustalono, że Haifan dokonał tych zabójstw.

– No więc? – wmieszała się Ra Mahleine. Fakt, że dotąd nie zaproponowała kawy, oznaczał, że nie traktuje Medvedca jako miłego gościa, ale ten sygnał był zrozumiały wyłącznie dla Gaveina.

– Z panią też chciałem porozmawiać, ale... później.

– Ja też nie rozumiem. Jeśli wiadomo, kto zabił, to o co chodzi? – zapytał Gavein.

– Chodzi o motywy i okoliczności. Chciałem wyjaśnić niejasności. Liczę na pana współpracę.

– Ja niewiele wiem.

– Chciałbym, żeby pan szczegółowo opisał wszystkie wydarzenia, jakie zaszły od momentu, gdy wynajął pan mieszkanie u Eislerów.

– Aaa...! Więc o to chodzi!? – Gavein roześmiał się.

Medvedec mógł nie liczyć, że Ra Mahleine zaproponuje mu kawę.

– Edda wyłożyła panu teorię o śmierci krążącej wokół jej domu i mnie jako jej zwiastunie? I uwierzył pan?

– Wie pan... Płacą mi za sprawdzanie głupich teorii. Proszę opowiadać. Ja będę notował – wskazał na klawiaturę. – To nie jest formalne przesłuchanie, tylko wywiad, to znaczy mówi pan, co chce, ale prosiłbym o jak najwięcej faktów.

– Jeśli to wywiad, a nie przesłuchanie, to nie mam nic do dodania. Wszystko powiedziałem w czasie przesłuchań. Jeśli pan chce się czegoś dowiedzieć, to proszę sobie zadać nieco trudu i załatwić nakaz.

Medvedec pożegnał się. Gavein nie miał ochoty relacjonować swoich losów w Davabel, a Medvedec, bez formalnego nakazu, nie mógł go do tego zmusić.

Na dwa dni natłok wydarzeń jakby zelżał. Gorączka Lailli opadła, rodzice wypisali ją ze szpitala.

– No, to Edda dostała po nosie – skwitował Gavein. – Nie potwierdziły się jej wymysły, chociaż było to zakażenie wywołane brudną wodą, a Lailla ma na Imię *Fluedda*, na dodatek ja byłem cały czas w pobliżu. I co? I nic, dziewczyna żyje.

Gavein odebrał Wilcoxowi książkę. Nie zaglądając do środka, odłożył na półkę u siebie. To znaczy, ustawił na dywanie wśród innych książek, bo półki jeszcze nie kupili. Brenda telefonicznie podziękowała za uratowanie małżeństwa. Helga wyprowadziła się – poważnie potraktowała wymysły Eddy. Gospodyni ucichła, ponieważ Throzzowie pozostali jedynymi lokatorami, nie licząc Hougassianów mieszkających w kuchni ledwie za osiemdziesiąt paczek miesięcznie. Co z tego, że pomagali w gospodarstwie domowym. Lailla wyleczyła zakażenie, ale o przeszczepie nie mogło być mowy, gdyż zbyt poważnie odczuwała dolegliwości początkowego okresu ciąży. Haigh chodził bardzo dumny, póki nie oberwał od Fasoli. Powetował sobie na słabowitym, którego nazywali Glicha. Kurtkę wyprał, przestała cuchnąć. Nadal nabijał ją ćwiekami, a na spodniach haftował trupie czaszki. Mówił, że przygotowuje sobie ubranie do ślubu.

Ra Mahleine przyjęto do szpitala miejskiego numer 5357 na oddział ginekologiczny kierowany przez doktor Scholl Nott. Gavein widział ją w telewizji i na tej podstawie wybrał szpital. Pani Nott miała około pięćdziesiątki, energiczny błysk w oku, raczej kościstą sylwetkę i nieproporcjonalny, obwisły podbródek. Wzbudzała zaufanie, chociaż flak podrygujący pod szczęką nadawał jej głowie kurzy wyraz.

W szpitalu nie zauważono, że Ra Mahleine jest biała. Przesłoniły to pieniądze Gaveina. Miała tam pozostać przez tydzień na obserwacji. Gavein odwiedzał ją codziennie, wracając z pracy.

Obydwa apartamenty odpieczętowano z polecenia Medvedca. Odszkodowanie wystarczyło na pomalowanie ścian i położenie wykładzin. Do mieszkania po Tonescu sprowadzili się Wilcoxowie – Brendę zachęciła niska cena, jaką zaproponowała Edda, obawiając się, że historia tych pomieszczeń zniechęci potencjalnych lokatorów.

Byłe mieszkanie Hanningów wynajęli Edgar i Mryna Patrie, starsze małżeństwo szykujące się do wyjazdu do Ayrrah. Ich córka, Lorraine, pracowała w porcie lotniczym, jadała na mieście i bardzo późno wracała do domu.

Telewizja przekazała ponure wieści: na dworcu lotniczym w Davabel wielki samolot pasażerski, startujący do Lavath, uderzył w dworzec przylotów. Załadowany dziesiątkami ton paliwa kolos eksplodował, podpalając zrujnowany budynek. Relacja z tragedii zajęła niemal cały dziennik telewizyjny. Akcja gaśnicza przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Ciągłe znajdowano ciała. Edgar i Mryna nie ruszali się przed ekranu. Co chwilę podawano nazwiska zidentyfikowanych ofiar. Edgar próbował dodzwonić się do informacji lotniskowej, ale numer był ciągle zajęty.

Gavein parzył dla siebie herbatę. Wilcox tkwił na kanapie, w skarpetkach, z podwiniętymi nogami. Jedną skarpetkę miał niebieską, a drugą wiśniowo-czerwoną. Co jakiś czas parzył gorzką, bardzo mocną herbatę dla siebie, albo ziółka uspakajające dla Mryny. Podbierał często wodę, którą Gavein gotował w metalowym, obitym garnku.

Po północy firmowy mikrobus przywiózł Lorraine do domu. Spadła z fotela w momencie eksplozji i stłukła rękę. Była brudna i zmęczona, gdyż brała udział w akcji ratowniczej.

Gdy skończyły się westchnienia ulgi i dziewczyna usiadła, Wilcox wstał, przedstawił się i wsadził jej w ręce metalowy garnek z ziółkami uspokajającymi. Oczywiście, był to garnek Gaveina, a woda gotowała się w nim na kolejną herbatę. Lorraine najpierw zaczęła pić ziółka jak wodę, potem syknęła, gdyż sparzyła wargi, a następnie odstawiła, bo nie lubiła cięliście gorzkiego smaku.

– Warto wypić do końca – zauważył Wilcox. – Pani mamusia zdążyła wypić trzy takie kubki przed ekranem.

Strach myśleć, co by się z nią działo, gdyby nie ten uspokajacz.

Oczekujący sensacji Haigh usiadł w kucki na podłodze, a za nim, na kuchennym taborecie, Lailla. Spod zmniejszonego opatrunku na twarzy widniał płat czerwonej, bibułkowatej, świeżo zabliźnionej skóry. Starsi Hougassianowie ciekawie zerkali z kuchni.

– W tym zamieszaniu okulary spadły mi z nosa i ktoś je rozdeptał.

– Masz jeszcze te stare, w drucianej oprawie. Przyniosę ci. – Stary Patrie podniósł się.

Lorraine nałożyła je na nos i rozejrzała się uważnie.

– Nareszcie mogę państwa poznać. Zwykle bywam w domu jedynie nocami, właściwie tylko nocami.

Edda przedstawiała wszystkich, kończąc na Hougassianach. Klasyfikacja obywateli została należycie zachowana.

Lorraine zamrugała. Miała intensywnie rude włosy i duże zielone oczy.

– Dave. Ależ oczywiście, pamiętam. Odbierałam twój lot.

I on nie zapomniał żywej reklamy Davabel. Zanim się odezwał, inni zarzucili ją pytaniami. Zaczęła opowiadać.

– To się zaczęło na pasie startowym. Duży, transoceaniczny, dziesięciosilnikowy liniowiec nagle zaczął się dziwnie zachowywać. To chyba nie był sabotaż. Nie wiem zresztą. Zapłonął jeden silnik, potem drugi i jeszcze dwa następne... A on cały czas kołował. Widziałam na monitorze obraz z wieży kontrolnej. Załoga wyrzuciła rękaw i po kolei spuszczała nim pasażerów, którzy odbiegali, jak zdołali najdalej. Wielu musiało przeżyć eksplozję.

Jej wersja różniła się w szczegółach od telewizyjnej.

– Nagle liniowiec przyspieszył, nieoczekiwanie skręcił i uderzył w budynek dworca. Tego nikt się nie spodziewał. Stamtąd nikogo nie ewakuowano. Zaraz po uderzeniu eksplodował. Wtedy wszystko stanęło w ogniu. Wysiadło światło. Chyba uderzyłam o coś głową. O, jeszcze mam trochę krwi! – Przejechała dłonią po włosach i pokazała innym. – Nie zauważyli, nie zawinęli.

Edda przyniosła apteczkę, zaś rodzice obejrzeli zranienie. Gavein popijał herbatę. Uznał, że nie było to nic poważnego, skoro nie pamiętała. Wilcox również nie ruszył się z miejsca, uważnie słuchał programu telewizyjnego; albo nie chciało mu się odpleść misternie splecionych, kościstych podudzi, albo jedno i drugie.

Gdy Lorraine odebrała już hołdy należne bohaterce wieczoru, a do jej włosów przyklejono spory plaster, wróciła do opowiadania.

– Wtedy się zaczęło. Przednia ściana dworca jest w większości ze szkła i samolot wjechał do środka. Zapaliła się cała hala. Akurat odbierano lot do Ayrrah i stała kolejka do paszportów i do odprawy celnej. Tam dopiero musiało być! Straży pożarnej na lotnisku jest sporo, na dodatek w dziesięć minut pojeżdżały się wozy z całego rejonu. Ale nawet wspólnymi siłami nie zdołali wiele zdziałać. W budynku dworca mało kto ocalał. Pomagałam wyprowadzać rannych. Musiało zginąć wielu ludzi.

– Na razie podali nazwiska dziewięciu ofiar, ale jest znacznie więcej zaginionych – powiedział Wilcox. – Nie wiadomo, co z załogą samolotu. Brakuje wielu pasażerów. Znaleźli jakiegoś zszokowanego, który siedział gdzieś zaszyty i przez godzinę bał się wyjść.

Ponieważ Lorraine wyszła z tego cało, zdarzenie przestało tak bardzo absorbować wszystkich. Jutro był dzień roboczy, trzeba było się wyspać.

Wilcox odzyskał książkę od Gaveina. Nie spał całą noc, w pracy był półprzytomny. Ra Mahleine kończyła pobyt w szpitalu, już były wyniki prawie wszystkich analiz. Z pracy Gavein wrócił późno. Wilcox prowadził bardzo nieuważnie.

Później zadzwonił Medvedec. Prosił o rozmowę. Gavein tym razem nie odmówił. Medvedec zaproponował, że przyjedzie natychmiast.

Zjawił się po pół godziny, niosąc nieodłączną walizeczkę. Rozłożył komputer i podpiął modem do słuchawki.

– To na koszt policji – wyjaśnił. – Potrzebuję pomocy centralnego komputera.

– Domyślam się, że właśnie wysadziłem w powietrze lotnisko w Davabel.

Po twarzy Medvedca przemknął nerwowy grymas.

– Porucznik Tobianyj nie żyje – powiedział sucho.

– Nie rozumiem.

– Zginął wczoraj po południu. Dostał nożem od jakiegoś typa, którego usiłował wylegitymować w ciemnym zaułku. Próbował nakryć lokalnego dystrybutora narkotyków.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Byłem w pracy, w antykwariacie.

Medvedec skinął głową, jakby odpędzał natrętą muchę.

– Wiem, sprawdziłem. Tobianyj czołgał się i wykrwawiał przez pół godziny, zanim go ktoś odnalazł. Ale nawet gdyby go zaraz wzięli do szpitala, miałyby marne szanse. Sekcja wykazała, że nóż był wysmarowany jakimś świństwem.

– Ależ...

– Niechże pan wysłucha do końca – Medvedec zniecierpliwił się. – Tobianyj złożył zeznanie przed śmiercią, opisał mordercę. To był wysoki, młody biały z ponurą gębą. Niestety, to nie wszystko. Wczoraj, późnym wieczorem ktoś wdarł się do mieszkania Tobianych i zabił jego żonę, Marinę oraz synów, Syrego i Hansa. To była barbarzyńska jatka. Marina dostała dwadzieścia osiem ciosów nożem. Syryj i Hans po szesnaście. Wydaje się, że sprawców było dwóch lub trzech. Usłyszysz pan o tym w wieczornych wiadomościach.

– To wszystko jest straszne, ale co to ma wspólnego ze mną? Chyba nie sądzi pan, że to ja wymordowałem całą rodzinę Tobianych? Wczoraj cały wieczór obserwowałem przed ekranem akcję gaszenia lotniska.

– Obserwował pan?

– Tak. W towarzystwie kilku osób.

– Od samego początku?

– Całą transmisję w programie szesnastym. Wszyscy tkwiliśmy przed telewizorem, bo na lotnisku pracuje córka lokatorów, Lorraine.

– Zginęła? Nie pamiętam ofiary o tym imieniu.

– Niestety, panie kapitanie – powiedział z przekąsem Gavein. – Tylko skrzyła nadgarstek, a poza tym wygląda kwitnąco.

Medvedec spojrział krzywo na niego. Nie przestawał klepać w klawiaturę.

– Grajmy w otwarte karty – odezwał się Gavein. – Edda opowiedziała o moim śmiertelnym działaniu, a pan skojarzył to z tragedią Tobianych? Tylko, że Eddzie przestało się to wszystko zgadzać.

– To i ja wyłożę karty na stół. W tym rejonie zmarło w ciągu ostatnich sześciu tygodni więcej osób niż w reszcie Davabel. To znaczy, w reszcie Davabel nie zmarł w ostatnim okresie nikt... Takie są dane z Urzędu Hierarchii i Klasyfikacji. Na moje zlecenie zrobili tę analizę i sami się zdumiali. Obecnie kontynuują niezależne badania. Nadał nie chce mi pan pomóc?

Gavein milczał. Medvedec zerknął na monitor.

– Mówi panu coś nazwisko Bryce Beddow? Gavein zaprzeczył gestem.

– Piekarz. Wpadł pod ciężarówkę.

– Już sobie przypominam. Jechał na rowerze? Medvedec potwierdził.

– To było zaraz jak przybyłem z Lavath. Edda wspominała o tym wypadku.

– Może zetknął się pan z nim wcześniej?

– No, wie pan, na ulicy widuje się wielu nieznajomych.

– Proszę wyteżyc pamięć. Czy tak właśnie było?

– Usłyszałem o jego śmierci przy stole.

– Dziwne. To jest pierwszy przypadek śmierci. Najsłabiej udokumentowany. Wyłamuje się z mojej teorii.

– Ma pan już teorię?

– Pozostałe przypadki są bardziej spójne. Z innymi zmarłymi zetknął się pan osobiście.

– Mam nadzieję, że to nie mój oddech ich zabija. Używam fluorowej pasty do zębów. Po każdym posiłku.

– To nie oddech – powiedział poważnie Medvedec. – Sposób, w jaki zmarli, jest zgodny z ich Imionami Ważnymi. W przypadkach morderstw sprawca jest znany.

– Więc jaki sens ma pańskie śledztwo?

– To nie jest śledztwo. Bo nie ma żadnych podstaw do jego wszczęcia. Sprawcy znani. Przyczyny jasne. Pan ma alibi.

– Dziękuję, że pan wreszcie o tym wspomniał.

– To są badania, częściowo na zlecenie Urzędu Hierarchii i Klasyfikacji. Nie chcę pana o nic oskarżać.

Gavein zdecydował się zrobić mu herbatę. Pomyślał, że taką samą decyzję podjęłaby Ra Mahleine. Medvedec wykazał wystarczająco dużo dobrej woli.

– Widzi pan, z tego robi się poważniejsza sprawa – powiedział Medvedec, gdy Gavein wrócił, niosąc dwa metalowe, półlitrowe garnki pełne bardzo mocnej, gorzkiej herbaty.

Zrobi się osad... i będzie się złościła, czyszcząc tę skorupę – pomyślał Gavein.

– Ustaliliśmy, że przyleciał pan do Davabel dwunastego grudnia.

– Zgadza się.

– To proszę patrzeć. – Medvedec obrócił monitor, aby obaj dobrze widzieli. Gavein pociągnął z garnka łyk gorącej herbaty. Na ekranie ukazała się twarz mężczyzny w czapce Aerolinii.

– To był kapitan Cassey Sallows, dowodził lotem dwunastego grudnia, którym pan przyleciał. Nie żyje. Natomiast ten to porucznik Roy Borchart, drugi pilot, zginął, też leciał z panem. A ten to Ossya Leblanc, nawigator, spalił się z tamtymi. I on leciał dwunastego grudnia – na ekranie migają kolejne twarze. Teraz miła dziewczyna z zadartym nosem, w furazerce Aerolinii. Gavein zapamiętał tę twarz.

– To Lorna DaCosta, stewardesa, też zginęła; a to Maud Kavabash, przełożona stewardes, i z nią to samo. A ta, to Shelly Herbert, też stewardesa, i też to samo. Rozumie pan? Po raz pierwszy od dwunastego grudnia ci ludzie mieli znowu razem polecieć. I wtedy wszyscy zginęli. Nie widzi pan zbieżności?

Gavein zwiesił głowę.

– Jeszcze pana nie przekonałem? – Medvedec skosztował herbaty parzonej według zwyczaju Throzzów. Wzdrygnął się. – Z pasażerów pańskiego lotu zginął niejaki Bharr Thorsen. Podczas wybuchu był na dworcu lotniczym, załatwiający jakąś sprawę.

– Pamiętam. Siedział koło mnie. Rozmawialiśmy – Gavein pokiwał głową. Czuł się jak motyl, który sam siebie przypiął szpilką do korka.

– To nie koniec – Medvedec był bezlitosny. – Służbę pełniła ta sama zmiana obsługi lotniskowej, co dwunastego grudnia. – Jedyne odwet brała na Medvedcu herbata: każdy łyk był jego klęską w starciu z goryczą. Nie wypadało nie pić. A Throzzowie nie pijali innej herbaty.

– Pamięta pan tego? – Na ekranie zajaśniała twarz starszego mężczyzny.

– Ten facet potwierdzał klasyfikację społeczną, wbił mi trójkę do paszportu.

– Tom Vantrook, lat pięćdziesiąt siedem, zginął na i miejscu. A ten? – Medvedec pokazał następną portret: kanciasta twarz o kwadratowej szczęce i wysuniętym podbródku.

– Tego sobie nie przypominam.

– Doug Vatzke, celnik, też zginął na miejscu; jeśli pan załatwiał u Vantrooka, to potem przesunął się do niego. Duży, masywny, rudy...

– Nie wykluczam tego. W gumowych rękawicach?

– Celnicy noszą gumowe rękawice.

– A ten? Gummo Zuidema, też tam pracował dwunastego grudnia.

– Nie pamiętam. Chociaż to może on skierował mnie do tamtego drugiego. Mylą mi się te twarze. Ma pan lepsze zdjęcie? Z profilu, albo trzy czwarte?

Na ekranie mignęło kilka ujęć.

– Zgadza się – Gavein sposepniał.

– Pracujemy dalej? – zapytał Medvedec. Widział, że Gavein jest już zmęczony.

– Tak... Odwalmy to za jednym razem.

Tym razem zdjęcie starego, łysego mężczyzny.

– Tego pamiętam dobrze. Pracownik Urzędu Klasyfikacji. Przywiózł mnie do Eddy. Narzekał, że wkrótce przenosi się do Ayrrah.

– Rees Cozier. Nie będzie musiał. Zmarł. A ten?

– Nie wiem.

– To kierowca mikrobusu, Al Johnson. Prawdopodobnie wiozł pana. Walczy o życie w szpitalu. Czy pamięta pan jeszcze kogoś z obsługi lotniska z dwunastego grudnia?

– Oczywiście, Lorraine. Mówiłem panu wcześniej. Ona mieszka w apartamencie od frontu, na piętrze.

Medvedec nie odpowiedział.

– Skoro umierają tylko ci, z którymi się zetknąłem, to znaczy, że inni ranni wyżyją.

– Nie wiadomo. Jest tam poparzona kobieta o Imieniu *Flomirra*. – Medvedec poddał się i odstawił garnek z herbatą.

– Może mi pan wyjaśni, co to wszystko znaczy – powiedział Gavein.

– Skoro pan nie wie, to nikt nie wie. Po prostu jest koincydencja.

– Do cholery, a skąd ja mam wiedzieć?! – Gavein podniósł głos.

Medvedec przytaknął skinieniem głowy. Nie wykluczone, że wierzył Gaveinowi.

Dwa dni później odebrał Ra Mahleine ze szpitala. Doktor Nott miała ponurą minę. Jej podbródek wydawał się bardziej obwisły, ramiona zaś jeszcze bardziej wieszakowate niż zwykle. Najgorsze zaś były wiadomości: Po wielokrotnym pobiciu przez strażniczki, Ra Mahleine miała trwale zrosty czy blizny wewnętrzne i najprawdopodobniej była bezpłodna. Na dodatek musiała przejść operację, ponieważ miała nowotwór, chociaż nie wiadomo, czy złośliwy, bo nie zgodziła się na badanie wycinkowe w obawie, by się nie rozsiał po nożu. Doktor Nott zdecydowała się zbadać guz dopiero po wycięciu.

Haigh przyniósł Gaveinowi artykuł wydarty ze szmatławej popołudniówki, „Kuriera Centralnego Davabel”, pod znamionym tytułem: „Śmierć jest rodzaju męskiego i ma na imię David”. Dalej widniało, co następuje:

(Inf. wł.) Według poufnych danych Urzędu Hierarchii i Klasyfikacji, znacząco wzrosła śmiertelność. Wszystkie zgony miały miejsce w Centralnym Davabel. Ofiary zetknęły się wcześniej z jakimś Davidem, S, który niedawno przybył z Lavath. Wprawdzie policja wyklucza bezpośredni udział wyżej wymienionego w którymkolwiek z przypadków, jednakże wszyscy zmarli, bez wyjątku, zetknęli się z nim przed śmiercią. Umierają zarówno osoby, które zetknęły się z nim bliżej, jak i ci, z którymi zamienił chociaż parę słów. Zjawisko dotychczas nie zostało wyjaśnione, chociaż prowadzone są szeroko zakrojone badania. Z całą pewnością stwierdzono, że w każdym z przypadków śmierć nadeszła tak, jak mówiło Imię Ważne denata.

Na koniec pozostaje jedynie radzić, abyście Państwo w miarę możliwości unikali Davidów, którzy właśnie przybyli z Lavath, gdyż jeden z nich może okazać się Davidem Śmiercią. A jeśli już... No cóż, jeśli już go znacie, to dbajcie o jak najlepszą z nim zażyłość, gdyż ponoć zwiększa to szansę przeżycia...

– Wyrwałem to, żeby matka nie zobaczyła. To jest syf.

Ja w to nie wierzę – skwitował Haigh. – Matka histeryzuje, a na dodatek trafiła na idiotę policjanta.

W telewizji właśnie pokazywali ofiary eksplozji na lotnisku. Łóżka w izolatkach obwieszane kroplówkami, lub kolorowymi przewodami. Następnie zbliżenie jednej z osób: szczelnie zabandażowana twarz, rurka wsunięta do nosa, wąskie szparki oczu, wywinięte, opuchłe wargi.

– Irma Rahm, P – mówiła spikerka – została ciężko poparzona w wypadku. Stała na końcu kolejki pasażerów, którzy właśnie przybyli z Lavath. Wczoraj po południu odzyskała przytomność. Można się z nią porozumieć.

Kamera zrobiła przeskok do innej z sal. Na łóżku leżał mężczyzna cały w gipsie.

– Walden Ravitzer, S, oprócz oparzeń ma złamany kręgosłup. Wydobyto go spod zwalonych konstrukcji. Także był jednym z pasażerów z Lavath oczekujących na odprawę celną. Obecnie jest przytomny i posiada czucie w obu nogach. Stan pozostałych ofiar jest zadowalający.

– Chwilami zaczynam wierzyć w to, co mówi Medvedec – powiedział Gavein. – Ta katastrofa prawie mnie przekonała. Dla ciebie to byłby niezły temat pracy mistrzowskiej. Lokalne zaburzenia prawdopodobieństwa zdarzeń w przestrzeni fizycznej.

– Myślisz? – Zadumał się Haigh. – Brzmi niezłe.

– Trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć – Ra Mahleine zaczęła głośno liczyć oczka. Oznaczało to, że chce dodać coś ważnego, ale nie może przerwać liczenia, żeby się nie pomylić. Miała na nosie nowe okulary w ładnej niebieskiej oprawie.

– Takiego osła to trzeba lać dechą po głowie. Po ciemieniu! – wybuchnęła, gdy już mogła. – Co głupi pomysł, to w łeb. Aż w końcu przestanie wymyślać.

Zaterkotał telefon. Gavein podniósł słuchawkę: znowu Medvedec.

– Lewis zmarł na zawał serca. To policjant, który przyjechał z Tobianym i ujął Haifana Tonescu, on zakładał Haifanowi kajdanki. Był tu też, kiedy wybuchł gaz i zginęła Gunda i dziewczynka Hougassianów.

Skończył, ale Gavein milczał, więc dodał:

– Poza tym nie było innych zgonów w Davabel.

W wiadomościach wieczornych podano, że wskutek zatrucia organizmu, zmarła Irma Rahm. Stan Waldena Ravitzera pogorszył się. Przy obiedzie Edda oznajmiła, że znalazła się osoba chętna zamieszkać w pokoju po Heldze.

Nazajutrz w antykwariacie głównym tematem rozmów był tajemniczy David Śmierć. Oczywiście, obie pracownice czytały artykuł z „Kuriera”. Gerda wyobrażała sobie, że David Śmierć musi być zabójczo przystojny. Agtha żartowała, że to z pewnością jest Gavein i w związku z tym powinna zostać jego żoną, aby zabezpieczyć się przed nieszczęśliwym wypadkiem. Gavein odburknął tylko, że zdążył się już ożenić. Wilcox był zbyt zaabsorbowany książką, by włączyć się do rozmowy. Gavein obawiał się kolejnego telefonu od Medvedca.

Niestety doczekał się – przed samym końcem pracy. Medvedec mówił innym tonem.

– Wreszcie jest inny przypadek zgonu niż dotychczasowe – powiedział. – Nie należy cieszyć się z czyjejś śmierci, ale moim zdaniem passa została przerwana. Zmarła Solobina. Ta aktorka filmowa z rozbieranych ról. Wczoraj miała wypadek samochodowy. Jazda z nadmierną szybkością. We krwi sporo alkoholu. Dzisiaj rano zmarła, nie od – I zyskawszy przytomności.

– Ostatnio oglądałem ją w jednym czy dwóch filmach z Maslynnają – Gavein powiedział cicho, aby któraś z dziewczyn nie usłyszała..

– Zaraz, mówi pan: Maslynnaja... Maslynnaja przerwała zdjęcia na wybrzeżu, żeby przybyć na pogrzeb Solobiny. Może jeszcze zdążę – Medvedec odłożył słuchawkę.

Wieczorem poznali nową lokatorkę. Okazała się nią Anabel. Zapanowało niezręczne milczenie, gdy Ra Mahleine, przyprowadzona pod ramię przez Gaveina, zasiadła do obiadu naprzeciw niej.

Pierwsza odezwała się Anabel.

– Cześć, Dave – powiedziała do Gaveina. – My się już znamy – dodała patrząc na Ra Mahleine. Gavein wyczuł jak żona pręży się i napina, jakby chciała rzucić się Anabel do gardła. Mimo że wyższa, Ra Mahleine była osłabiona chorobą i nie miała większych szans w starciu z wyszkoloną strażniczką. Ponadto wysokie stanowisko Anabel mogło skomplikować sytuację w razie bójki.

Haigh uprzedził wszystkich.

– Pani była strażniczką Magdaleny, prawda? – zaczął i nie dając jej czasu na odpowiedź, kontynuował: – Ja za trzynaście lat mam przenieść się do Ayrrah. Tam czarni mają zero w paszporcie, a rudzi trójkę. Czy mogłoby się zdarzyć, że byłbym pani strażnikiem na kwarantannie?

– Raczej nie. – Anabel była zła, bo została wytrącona z uderzenia, a ponadto jakiś czerwony ośmielił się ją zaatakować, zanim należycie ustawiła relacje ze współlokatorami. – Kobietami

zajmują się strażniczki. One są czerwone. Ja nie jestem strażniczką. Ja kieruję działem.

– No, proszę... Te złośliwe pomówienia – Haigh uśmiechnął się obłudnie.

– Dotąd nie mogę wrócić do zdrowia po tym jej kierowaniu – powiedziała Ra Mahleine. Do pewnej granicy nie musiała obawiać się starć słownych. Była żoną wpisaną do paszportu Gaveina.

– Jest mi przykro z powodu tego, co zaszło – powiedziała Anabel. – To zwykła procedura. Taka jest moja praca.

– Obecnie katujesz inną dziewczynę w ramach zwykłej procedury? – zapytał Haigh.

Anabel go zignorowała.

– Przyznaj, Anabel – Ra Mahleine zwróciła się bezpośrednio do niej. Z lubością zaakcentowała imię, gdyż dotąd zawsze musiała zwracać się: „Pani kierowniczo, melduje się numer 077-12-747” – że traktowałaś mnie ze szczególną troską i zainteresowaniem służbowym. Swoją drogą, to imię: Anabel, takie lokalne, będzie zabawnie brzmiało w Ayrrah. Chociaż nie, przecież dadzą ci fajny numer i koniec.

– Ty! Uważaj, na co sobie pozwalasz! – Anabel na chwilę straciła panowanie nad sobą. Na dodatek, wpajana od dzieciństwa reguła jasno mówiła, że ona sama była ledwie pierwszy raz wcielona, a znieawiedzona więźniarka już drugi.

Milczeli. Anabel jadła, wycierała usta, zachowywała się swobodnie, pewna swojej pozycji. Była górą, siedząc naprzeciw swojej byłej ofiary. Parę drobnych docinków swobodnie odparła.

– Domyślam się, Anabel, dlaczego tu się sprowadziłaś – powiedział Gavein. – Wykorzystałaś swoje kontakty służbowe i wyciągnęłaś z archiwum nazwisko domniemanego Davida Śmierci. Drżysz o swoją skórę. Chcesz przebywać bliżej Davida Śmierci, żeby zwiększyć szanse przeżycia, prawda?

– Też mi coś! – Anabel prychnęła. Po obrusie poleciały kropelki sosu spaghetti.

– Przecież wiesz, że to właśnie Dave jest Śmiercią – powiedział Haigh. – Popatrz, jakie ma ostre białe zęby.

– Z pewnych rzeczy się nie żartuje – wtrąciła się Mryna.

– Ależ ja nie żartuję – powiedział Haigh. – Śmierć ma białe ostre kły i nimi kłapie.

– Wkrótce będzie świecić białym czerepem, jak do reszty wyłysieje na czubku głowy – Gavein teatralnie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale mu jeszcze czerepu nie widać – dodała Ra Mahleine. Lekko podrapała Gaveina w czubek głowy, tam, gdzie miał najrzadsze włosy. – No, to jeszcze trochę pocieszysz się swoim nędznym życiem, Anabel. Ale co wieczór mu się przyglądaj, bo jak zobaczysz, że kościany czerep już

prześwieca...

Tym razem Anabel dostała celne trafienie. Milczała.

– Lorraine ma zwolnienie do końca przyszłego tygodnia. Ale czuje się już zupełnie dobrze i mogłaby wpaść, pomóc pani w gospodarstwie domowym – wtrąciła się znowu Mryna. Była kochającą matką i uwierzyła w artykuł z „Kuriera”. – Nie trzeba jej płacić. To tak z dobrego serca. Córka chętnie pomoże, dobrze?

– Co ty na to, Manule? – przetłumaczył jej imię. – Chcesz mieć czerwoną i... sympatyczną pomocnicę? – Jego śmiech i celowe szczyrzenie zębów zmroziło Anabel i Mrynę.

– Pewnie – Ra Mahleine zachichotała. – Może być czerwona, jeśli przyjacielska. Czarna przyda się wyłącznie do mycia kibla.

– Myślę, że kibel to twoja jedyna szansa, Anabel. Drugiej nie dostaniesz – zarechotał Haigh. – Ja już się załapałem: piszę pracę mistrzowską pod tytułem: „Fluktuacje prawdopodobieństwa generowane intelektem”. Dave będzie przedmiotem moich badań naukowych.

– Za każdym razem zmieniasz tytuł – zauważył Gavein.

– Szeroko zakrojone prace zacząłem od tytułu. Dzieło ma być wybitne, więc i tytuł winien być należycie dopracowany.

Rozmowa przy stole potoczyła się dalej. Anabel ignorowano.

Lailla włączyła telewizor. Powiedziała, że przez świąd nie usiedzi na miejscu. Drapała się zawzięcie, rozluźniając bandaż. Haigh łapał ją za ręce, a mimo to rozdrapała sobie do krwi świeżo zagojoną skórę na twarzy.

– Dajże spokój wreszcie. W końcu chciałbym zobaczyć twoją buzię. A ty nie pozwalasz się jej zaleczyć.

– Już zapomniałeś?

– Przed tym wybuchem było inaczej.

Spiker czytał wiadomości:

– *...dzisiaj w godzinach popołudniowych, w katastrofie lotniczej zginęła Gaisa Maslynnaja, P. Leciała swoim samolotem na pogrzeb Solobiny, który planowano na jutro.*

W powietrzu zapalił się silnik maszyny. Maslynnaja zamiast wprowadzić samolot na wysokość minutową i tam oczekiwać na pomoc samolotów gaśniczych, obniżyła lot i spadła na park miejski. Dwie osoby zostały poparzone.

Zginął niejaki Hans Hartnung, S, nigdzie nie pracujący, który spał na ławce.

Postanowiono przesunąć o jeden dzień pogrzeb Solobiny, aby wspólnie pochować obie zasłużone artystki. Po dzienniku zostanie nadany program poświęcony dorobkowi twórczemu obu aktorek.

– Ale miała niską kategorię – zauważył Haigh. – Pewnie dlatego goliła się na gruchę.

– Musiała dostać specjalne pozwolenie, żeby zgolić obowiązkowy ślad klasyfikacyjny.

– W jej zawodzie to jest możliwe.

– Nie wzniosła samolotu do góry, żeby zdążyć na pogrzeb – zauważył Gavein.

– Zdąży – powiedziała Ra Mahleine.

– Ten Hans był z naszej paczki. Trochę ćpun, ale był w porządku – mruknął Haigh.

W związku z wypadkami pobicia dwóch mężczyzn o imieniu Dave, którzy ostatnio przybyli z Lavath, Urząd Hierarchii i Klasyfikacji stanowczo dementuje artykuł z „Kuriera”. Nie

stwierdzono korelacji pomiędzy zgonami mającymi miejsce w Davabel, a jakimś jednym człowiekiem – kontynuował spiker.

Po dzienniku był godzinny program wspominkowy. Pokazywano fragmenty z filmów, w których występowały razem, bądź z innymi aktorami: Clintonem Prado, P, Miriam Ohindez, S, Edem Tayleyem, C, czy Lopezem de Gabrielem, S.

Haigh zauważył, że nie pokazano scen, w których Solobina i Maslynnaja występowały na golasa.

– Z pewnością, w tym programie zmieściły się wszystkie inne sceny ze wszystkich ich filmów – mruknął Gavein.

Gdy kładli się już spać, Gavein stwierdził:

– Z tymi białymi zębami to przesada. Pozostały mi tylko z przodu. Trzonowych mam niewiele.

– Dla mnie wystarczy – odpowiedziała, czesząc się przed lustrem. Niby obojętna, starała się siedzieć bardzo prosto i wypinać piersi. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Co byś powiedziała na służącą, Anabel? Taki mały rewanz. Po co my mamy zdzierać ręce szorując kibel, skoro może to robić ta suka?

– I tak byłabym dla niej lepsza, niż ona była dla mnie, Jak chcesz, możesz jej zrobić dziecko, bo ja ci i tak nie zdołam dać. Tak może mnie zastąpić.

Przez chwilę milczał, zdumiony. Coś podobnego nie przyszłoby mu na myśl.

– Zwariowałaś? Ja nienawidziłbym takiego dziecka, jak brzydzę się nią samą. Ty też byś nienawidziła.

– Nie wiem, czy zdążyłabym go znienawidzić.

Następnego dnia zmarł Walden Ravitzer; liczba ofiar wybuchu na lotnisku sięgnęła piętnastu. Wieczorem Lailla dostała gorączki, drapała się po całym ciele.

Gavein wypytywał Haigha o zawilóści fizyki. Dziś dowiedział się niewiele, za to zarobił tytuł „fizyka honoris causa, który wali mózgiem lepiej niż wielu debili z roku”.

– Ty jesteś cholernie nudny, Dave – wtrąciła się Lorraine.

Gavein odwrócił głowę. Rzadko zjawiała się w jadalni, znów pracowała na zmiany.

– Bo tylko żona i żona. A potem praca i znowu żona.

I to nudne hobby, gadanie z tym punkiem.

– Nie gadaj, że nie chciałabyś się zamienić z Magdaleną – wtrącił Haigh. – A tu biała ci dokosiła.

– Najbardziej wpięprzają mnie takie zarozumiałe czerwone szczeniaki. Z oczkami jak guziczki i ząbkami jak u wiewiórki.

– Wydaje mi się, że wcale nie jestem nudny, tylko bardzo interesujący – powiedział Gavein. – Zęby już mam białe i ostre. A jak mi do końca wylezie na wierzch czerep, to potem reszta czaszki też wyłoni się spod skóry. Wtedy będę jeszcze bardziej interesujący.

– Nie powtarzaj dwa razy tych samych dowcipów, Dave.

– Starzeję się.

Rozmowę przerwał telefon od Medvedca.

– Zmarł Ravitzer – poinformował.

– Wiem, że zmarł Ravitzer. Niepotrzebnie go tak dokładnie pokazali na ekranie. Jeszcze ktoś umarł? – Rozmowa wprawiła Gaveina w wisielczy humor, oczekiwał potwierdzenia swojej śmierteczności.

– Tak, ale myślę, że nie ma związku...

– To się okaże.

– Doktor Alfer Bode. Zawał serca.

– Ze szpitala, w którym leżała Ra Mahleine?

– Z innego, chirurg.

– Zetknąłem się też z jeszcze jednym lekarzem. Wtedy, gdy wracałem z portu 0-2. To było... zaraz... To było dwudziestego grudnia. Odbierał kierowcę, który zmarł na serce. Nie pamiętam, przy której ulicy był ten szpital.

– To może okazać się ważne. Sprawdzę to.

– No, pewnie. – Dobry humor nie opuszczał Gaveina. – Jeszcze jedno, kapitanie: oglądałem program telewizyjny poświęcony Solobinie i Maslynnajej. Występowało w nim wiele osób, Miriam Ohindez i inni. Może pan przejrzeć taśmę.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nic. Po prostu ich ujrzałem.

Gavein odłożył słuchawkę.

Lorraine zbladła, a kogut na głowie Haigha sterczał tak pionowo, jakby chciał się oderwać.

– Ja naprawdę jestem cholerną śmiercią – powiedział Gavein. – Ty, Lorraine, nie odstępuj nas na krok. Śpij pod progiem jak pies, jeśli chcesz jeszcze żyć. A ty, Haigh, tak samo, zamiast włączyć się z jakimiś opryszkami.

– Zaczynasz wierzyć w ten artykuł – przerwał mu chłopak. – Tym mogą rządzić inne prawa, niż napisali w „Kurierze”. Tylko trzeba je poznać.

Wieczorem Ra Mahleine dostała krwotoku. Nie powinna brać prysznic – zemdląła w kabinie. Gavein zaniósł ją mokrą na materac i cucił jak wtedy po przyjeździe. Odzyskawszy przytomność, zrobiła mu awanturę, że zmoczyła się pościel. Mógł przecież wcześniej chociaż częściowo ją wytrzeć...

Od rana zaczęło się. Zadzwoił Medvedec, że w porcie morskim 0-2, na kwarantannie białych, wybuchł bunt. Zanim okiełznano zdesperowane kobiety, zginęły trzy osoby, a mianowicie konwojentki Ross Berg i Linda Newton, które przytransportowały Ra Mahleine z kwarantanny do domu oraz Agippa Meljanz, szefowa strażniczek podczas rejsu numer 077-12. Zginął również porażony prądem szofer Syryl Pruja, który wiozł Ra Mahleine do domu. Gavein znał te osoby osobiście bądź z opowieści Ra Mahleine. Nie żałował ich.

W nadzwyczajnym wydaniu wiadomości poinformowano o wybuchu bomby na cmentarzu. Eksplozja przerwała wspólny pogrzeb obu artystek. Zamach był czynem szaleńca filantropa, który w liście do policji wyjaśnił, że chciał przyspieszyć nowe, doskonalsze inkarnacje ulubionych aktorów.

– Frank, dopisz nowych do twojej listy – powiedział Gavein.

– Co?!

– Jeśli masz gdzieś w pobliżu telewizor, to go włącz.

– Nie mam.

– ...w wybuchu bomby zginęli: Clinton Prado, P, Miriam Ohindez, S oraz Lopez de Gabriel, S – Gavein powtarzał do słuchawki wiadomości z ekranu. – Ed Tayley, C, zmarł w karetce, w drodze do szpitala. Kilkanaście osób odniosło drobniejsze obrażenia. Bombę podłożono w wiązance kwiatów. Zbyt wiele zbiegów okoliczności, Frank – powiedział Gavein.

Potem na jakiś czas się uspokoiło. W antykwariacie Gavein starał się przesiadywać na zapleczu, aby przypadkiem nie zapamiętać lub, co gorsze, nie nawiązać bliższej znajomości z którymś z klientów. Wywołało to niechęć wypłoszonego ze swej kryjówki Wilcoxa. Gdyby Gavein mniej interesował się swoimi kłopotami, zauważyłby, że Wilcox przychodzi do pracy brudny, nie ogolony, blady z niewyspania, z podkrążonymi oczami. Nadal obsesyjnie czytał *Gniazdo światów*.

Wieczorem do ich domu przyszedł drobny, chudy człowieczek w średnim wieku, z sumiastym wąsem, i czarnymi włosami zaczesanymi na bok, żeby ukryć powiększającą się łysinę czołową. Niektórzy drobni mężczyźni zapuszczają przesadnie okazałe wąsiska. Prawdopodobnie dlatego, że na ogół oglądają się w małym lusterku przy goleniu i w nim, dzięki wielgachnym wąsiskom, wyglądają okazalej. W rzeczywistości upodabniają się do chrząszczy. Ted Puttkamella był psychologiem zatrudnionym w Urzędzie Naukowym. Obecnie włączono go do zespołu badającego fenomen Dave'a

Throzza. Powiedział, że wyznaczono go na kierownika grupy, ponieważ nikt inny nie chciał się tego podjąć.

– Blady strach padł na panów profesorów – powiedział. – Każdy obawia się o swoją skórę. Woleli pozostać w cieniu... nieznani.

– A pan? Użył pan pseudonimu? – Gavein był złośliwy.

– Nie. Nie użyłem. To nie miałoby sensu. Jeśli obaj z Medvedcem nie jesteście stuknięci, to jest obojętne, czy pan zna moje nazwisko, czy nie.

– Psycholodzy nie prowadzą badań grożących utratą życia, raczej fizycy, biolodzy albo chemicy – zauważyła Ra Mahleine. – Jak się pan czuje w takiej sytuacji?

Puttkamella siedział na dywanie. Zaplótł nogi w półkwiat lotosu i popijał ciekawą davabelską kawę. Ra Mahleine na razie go oszczędzała i nie zrobiła mu herbatki Throzzów.

– Dobrze się czuję – odpowiedział swobodnie. – Ciepło tu, przytulnie. A jak mi się powiedzie – uśmiechnął się – i jeśli przeżyję, to sygnalizuję publikacjami jak z rogu obfitości. Chyba, że to wszystko bzdura, wtedy trochę wstydu.

– Jego nie nakryjesz – zachichotał Gavein. – To psycholog. Ekspert od mówienia i wyciągania zwierzeń z innych. Byle nie z siebie samego...

Puttkamella wykonał wieloznaczny gest i uśmiechnął się blado. Zaraz przystąpił do szczegółowego wypytywania. Zbierał wszelkie informacje, jakie mógł wydobyć od Gaveina lub jego żony. O nim samym, jego życiu, dzieciństwie, nauce, pracy, zdrowiu. W końcu przyznał, że nie natrafił na nic szczególnego. Podobnie jak Medvedec, spisywał ludzi, z którymi stykał się Gavein. Wizyta przeciągnęła się do późna.

Telewizja milczała na temat Gaveina, ale wiadomości rozchodziły się szybko. Dowodem była choćby informacja w dzienniku, że wiele osób przenosi się z Centralnego Davabel na peryferie. Najdroższe mieszkania w centrum taniały, te zaś na obrzeżach miasta-kontynentu drożały. Edda obniżyła miesięczny czynsz Throzzom do trzystu paczek, wliczając obiad. Podobno Helgę Hoffard hospitalizowano z podejrzeniem wylewu krwi do mózgu. Medvedec powiedział, że ma ona na Imię *Intralla*, co znaczy „Przez wnętrze”, więc właściwie można ją już dopisać do listy.

W nocy ktoś rozbił kamieniem szybę w jadalni. Szkło poraniło twarz Massmoudieha.

Zaraz potem Gavein, przy świetle latarki trzymanej przez Edgara, wstawiał nową szybę. Panował nieprzyjemny, wilgotny ziąb, a chodniki pokrywała mokra bryja.

W ciemności dostrzegł ruch.

– Nie chciałbym być w skórze głupca, który stłukł tę szybę – powiedział przesadnie głośno. – Dobrze wiadomo, co go czeka, jak pomyśli o nim straszliwy David Śmierć. A straszliwy David Śmierć potrafi sprowadzić zgon, nie znając imienia ofiary ani nie widząc jej twarzy. Wystarczy, że pomyśli: capnę tego, który rzucił kamieniem. Nie poleciał więcej żaden kamień.

– Mówiłeś prawdę, czy to było tylko straszenie? – spytał Edgar.

– Już sam nie wiem.

Nazajutrz podano, że rozwścieczony tłum ukamieniował niejakiego Davida Lanu, S, podejrzewając, że jest Davidem Śmiercią. W następnym wydaniu doniesiono o Davidzie Colesie, S, którego podczas snu żona zabiła brzytwą oraz o Davidzie Bharozzie, S, wyrzuconym przez okno. We wszystkich przypadkach chęć uwolnienia społeczeństwa od potwora była motywem lub pretekstem do pozbycia się kogoś.

– Nie wiem, co mi wolno robić, a czego nie Gavein żalił się żonie. – Co wywołuje te zgony? Czy moje jawne myśli, czy podświadomość. Może przypadkiem pomyślałem o tych cholernych Davidach.

Poprawił jej pościel.

Ra Mahleine była dziś zbyt słaba, żeby chodzić. Nott wyznaczyła termin operacji na przyszły miesiąc, za dwa tygodnie zaś miała zacząć przygotowywanie Ra Mahleine odpowiednimi lekami. Jak twierdziła, nie było powodów do pośpiechu, ale i nie było sensu zwlekać.

Wilcox cuchnął. Siedział w brudnych skarpetkach na podłodze za regałem z książkami, spocony, spod tłustych, niemytych włosów wyglądał łupież. Wzrok jego kleił się do stronic książki. Wilcox pochłaniał, pożerał zawartość, nie zwracając uwagi na otoczenie. Czasem bezwiednie wpychał palec do nosa albo drapał się po plecach. Kiedy Gavein odebrał mu książkę, przyjął to z błyskiem ulgi w oczach. Gavein zatelefonował, żeby żona odebrała Wilcoxa z pracy. Niestety, już przed południem Brenda była kompletnie pijana. Odwiózł go jego własnym samochodem.

Wieczorem, w jadalni, zastał Haigha na lekturze.

– Co czytasz? – spytał. Włączył telewizor.

– Chciałeś powiedzieć: co wrzucam? – uprzejmie poprawił go Haigh.

– Właśnie tak.

– Coś masz nieustający zatward z nauką mowy.

– Och – Gavein wykonał dłonią gest Puttkamelli.

– Naturalna kolej rzeczy jest taka: najpierw się wrzuca, a potem wywala – pouczył go Haigh. – Wiedzę też najpierw się wrzuca, żeby potem walić albo chlapać mózgiem.

– Jasne. Co wrzucasz?

– A... taki jeden syf, kryminał. Jak przeczytasz jeden, to jakbyś przeczytał wszystkie. Niby zwyczajnie, a tu nagle ciach-ciach, pif-paf i przez resztę książki udają, że zgadują, kto i dlaczego. Jałowizna i chałtura. Jedyne czytelnik nie może być zabójcą, a bohaterowie... jak się autorowi zwidziało. Rachunek prawdopodobieństwa i tyle. Ale lepsze to, niż nieczytanie – zauważył filozoficznie. – Dziś na wykładach mówili o tobie, Dave. Sprawa robi się głośna. To chyba ten gnojek, Puttkamella, chrzani na lewo i na prawo, zamierza na tym zrobić karierę.

– Co mówili?

– Corbell stwierdził, że to przypadkowa koincydencja, która skończy się lada chwila. Że losy człowieka determinuje wyłącznie Imię Ważne. Potem Vodcev... Bo z seminarium zrobiła się otwarta dyskusja naukowa. Sala była pełna. Mnóstwo ludzi przyszło spoza kolegium. Siedzieli w przejściach, siedzieli też wokoło mówcy, tak że kolejni referenci tkwili w ciasnym kręgu wolnym od słuchaczy. No i ten Vodcev stwierdził, że od rozpoczęcia serii, od zgonu Brycego, w zdefiniowanym przez niego obszarze Davabel zmarło już więcej ludzi niż w ciągu całego zeszłego roku. Rozumiesz, jakie jajo?

– Pamiętasz, co to za obszar?

– Całkiem spory fragment Davabel. Od dworca lotniczego aż po nasze okolice. Dokładnego

kształtu ci nie opiszę.

Ich rozmowę przerwała wiadomość telewizyjna o śmierci spikerki, która zapowiadała pogrzeb Solobiny i Maslynnajej.

– Zaraz zadzwoni Medvedec, żeby mi to oznajmić. Zapyta też, czy przypadkiem jej nie zabiłem. Przecież tych cholernych spikerów codziennie oglądam na ekranie – urwał. – Jakies konkluzje z tego wykładu?

– Nic, zupełny zatward grupowy. Epidemia zgonów. Ale każdy przypadek da się racjonalnie wytłumaczyć. Powody zgonów są różne. To nie jest choroba. A mimo to umierają tylko niektórzy, wyłącznie ci, z którymi w jakiś sposób się zetknąłeś.

– Doskonale pamiętam cię, jak przyleciałeś do Davabel, Dave – włączyła się Lorraine. – Różniłeś się od innych podróżnych. To znaczy, też błąd ze zmęczenia i ubrany na szaro, jak wszyscy z Lavath, ale spojrzenie miałeś ostre, przenikliwe, oczy zaglądały mi do środka czaszki...

– I trójka w paszporcie – zarechotał Haigh.

– Całą drogę myślałem o Ra Mahleine. Może miałem smutek w oczach.

Matka Lorraine włączyła telewizor na dziennik. Spiker czytał kolejne wiadomości:

– Dzisiaj rano zabito Davida Rottmana, S, Davida Rao, S, Davida Kopecho, S i Davida Zolta, S. Wszyscy niedawno przybyli z Lavath.

Nagle spiker krzyknął:

– Został tylko jeden... To on jest David Śmierć, teraz już wiadomo na pewno! Throzz! Nazywa się Throzz! Mieszka przy 5665 Alei! Zabijcie go! Zdążyłem ostrzec! Uratowałem Davabel!

Wypowiedź spikera przerwało gwałtowne zamieszanie. Ktoś zasłonił kamerę. Wyłączono wizję.

– Zwariował facet – powiedział Haigh.

– Może zmarł jakiś jego bliski – zauważył Gavein.

– Złapie niezły wyrok za namawianie do morderstwa.

– Dave, teraz nie możesz się już ode mnie wyprowadzić – powiedziała Edda, stojąc w drzwiach. – Miałam od początku rację, a ukrywany przede mną artykuł mówił prawdę.

Gavein nie mógł tego znieść. Uciekł na górę do siebie. Ale i tam dopadł go Puttkamella. Znow wypytywał o kontakty, nazwiska, powiązania personalne, próbował wyciągać detale.

– Myślę, że powiedziałem już wszystko – zniecierpliwił się Gavein.

– Potrzebujemy każdej informacji. – Puttkamella starł pot z czoła. – Białe z transportu pana żony mrą jak muchy, jedna za drugą.

– Nie dziwię się! – powiedziała Ra Mahleine. – Po podróży na statku więziennym i późniejszej kwarantannie, to są ludzkie wraki.

– Ale umierają tylko te, które widział Dave. Pani Anabel de Grouvert zapamiętała, z której kamery korzystał. Niestety, zgadza się: zmarły już prawie wszystkie więźniarki, które znalazły się w zasięgu tej kamery. Na skutek zatrucia talem lub w wyniku wyczerpania podróżą. Pułkownik Medvedec jest zawalony robotą. Dlatego nie dzwoni. Zrobili z niego szefa Biura Ewidencji Zgonów. Sporo komputerów, morze danych. Efekt nasila się...

– To niech mnie zabiją. Sprawa rozwiąże się sama. Puttkamella rzucił szybkie spojrzenie.

– No, wie pan...

– Zabić taką fajną Śmierć? – podjęła Ra Mahleine. – To zaraz znajdzie się inna, mniej przystojna. Przecież ludzie zawsze będą umierali, a lepiej mieć śmierć pod kontrolą. Nie byłibyście takimi głupcami?

– Oczywiście, że nie. Wie pan, że w tym momencie nie żyje już nikt z tych, co przylecieli z panem z Lavath?

Gavein milczał.

– Ten spiker narobił bigosu swoim wystąpieniem. Na peryferiach zaczyna brakować wolnych mieszkań.

– Po co pan to wszystko mówi?! Po co mu pan to opowiada?! – Ra Mahleine uniosła się. – Czego pan właściwie chce od niego?

– Ja? Nie, nic... No, po prostu, przekazuję informacje, których nie ma w prasie, ani w telewizji.

Rozmowę przerwał gwar ludzkich krzyków i brzęk tłuczonego szkła. Gavein wybiegł, narzucając kurtkę, a za nim Puttkamella, przytrzymując skajową torbę dyndającą mu na ramieniu.

Na jezdni zgromadziło się kilkadziesiąt osób, krzyczących i wygrażających. Kamieniami tłukli szyby.

– Co za dranie – syknął Gavein. – Cholerne bandziory! Tłum był coraz bardziej agresywny. Skandowano:

– David, wychodź!

– Śmierć, wychodź!

– Wykurzyć go, będzie spokój!

Kilku wyrostków przyniosło skrzynkę rozpuszczalnika benzynowego z pobliskiej drogerii. Gavein rozpoznał Glicę i Petruka. Zaczęto zestawiać koktajle Mołotowa. Darto szmaty na strzępy i zanurzano końce tak zaimprovizowanych knotów do wnętrza butelek.

Pocisk, rzucony niewprawną ręką, rozbił się na chodniku, i rozlał plamą ognia. Żar zmusił napastników do cofnięcia się.

Właśnie wtedy zza rogu, wezwane przez kogoś, wyjechały dwa ciężarowe wozy Sił Obrony pełne uzbrojonych żołnierzy. Kierowca pierwszego w ostatniej chwili zobaczył zbiegowisko przed maską wozu. Zakręcił gwałtownie w lewo i trafił w latarnię. Wóz wywrócił się do góry kołami akurat w środku płonącej plamy benzyny. Przygniótł kilku atakujących. Kierowca drugiej ciężarówki ciasnym skrętem ominął przewrócony pojazd i wpadł na tłum stojących za nim. Roztrącając i miażdżąc ludzi, wóz wbił się w oszkloną witrynę kwiaciarni po przeciwnej stronie ulicy. Rozległ się trzask, brzęk tłuczonego szkła, po którym nastąpiła chwila nienaturalnej ciszy przerywana jękami poranionych ludzi.

Po tej szczególnej chwili obie ciężarówki i tłum ludzi ogarnęła kula ognia. Podmuch eksplozji przewrócił Puttkamellę, a Gaveinem rzucił o mur. W okienkach płonących ciężarówek widać było gwardzistów, którzy nie zdążyli opuścić metalowych pułapek. Ktoś, płonąc jak pochodnia, wybiegł poza granicę ognia, po to tylko, aby znieruchomieć na bruku parę metrów dalej.

W pierwszym odruchu Gavein chciał ruszyć na pomoc, ale żar był zbyt mocny, palił twarz i oczy.

Wrócił do mieszkania. Ra Mahleine wstała z łóżka i zamierzała wyjść. Wpadli sobie w objęcia. Coś mówiła, szlochając.

– Śmierć przecież nie może zginąć. – Zrelacjonował jej pokrótce, co zaszło. – Idę pomóc Eddzie i innym. Oni siedzieli w salonie od frontu. Ty zostań tu, jesteś zbyt słaba.

– Mowy nie ma.

Zdarzały się sytuacje, kiedy z Ra Mahleine nie było dyskusji. Narzuciła sweter i kurtkę i zeszła, wspierając się na jego ramieniu.

Plama ognia już dogasała. Wokoło leżało wiele zwęglonych ciał. Gavein obszedł płonący obszar. Jęków nie było słycać. Ogarnięci ogniem zginęli, lżej zaś poszkodowani zdołali uciec. Od ciężarówki zajęła się drewniana kwiaciarnia. Właściciele patrzyli, jak ich majątek zmienia się

w popiół. Wcześniej zawiadomili straż pożarną i pogotowie.

Salon zaścielały kawałki potłuczonego szkła. Telewizor grał na cały głos. Właśnie szedł program rozrywkowy, baletki gibały się zapamiętałe w takt hałaśliwej muzyki. Spod stołu, zza kanapy i z innych zakamarków pokoju gramolili się mieszkańcy. Na szczęście skończyło się na drobnych skaleczeniach. Ostrzeżeni wrzaskami tłumu, w porę się ukryli.

Lorraine poszła na górę.

Na ulicy rozjęczały się syreny policji, karetok pogotowia i straży pożarnej. Gasili zgliszczą kwiaciarni, zbierali zwłoki. Do salonu weszło dwóch mundurowych, żeby spisać protokół, zebrać zeznania świadków.

Wróciła zapłakana Lorraine.

– Ojciec...! Leży i nie rusza się. Głowę mu rozbili kamieniem... Dranie!

– Gdzie leży? – spytał policjant.

Matka Lorraine pobiegła po schodach, wskazując drogę. Drugi z policjantów wezwał obsługę karetki. W parę minut zniesiono nieprzytomnego Edgara już podpiętego do kroplówki. W karetce kontynuowano reanimację, podawano tlen. Niestety, lekarz stwierdził zgon. Rozhisteryzowana Mryna oraz Lorraine odjechały karetką razem z sanitariuszami.

Przyczłapał Wilcox. Prawdopodobnie nie rozumiał, co się zdarzyło. Cuchnęło od niego wódką i sfermentowanym potem. Wsparł się o framugę i bełkotał:

– To wszystko... To jest tak... Ja tak samo zrobiłem. To przez takiego kogoś, jak ja. Nie mogę już wytrzymać. Nie mogę przestać – wyrzucał z siebie frazy bez związku.

Czknął i zatoczył się.

– Możemy zwinąć tego menela – powiedział policjant.

– Nie trzeba. On ma depresję. To porządny człowiek – odrzekł Gavein. – Pobyt w areszcie więcej by mu zaszkodził, niż pomógł. Nikt nie składa skargi na niego.

– Jak państwo chcecie – policjant wzruszył ramionami i wyszedł.

– Gavein – wybełkotał Wilcox. Był jedynym, który zwykle nie przekręcał jego imienia. – Nie wydaje ci się, że jesteśmy jedną osobą, tym samym człowiekiem.

– Mamy różne żony.

Dyskutowanie z pijakiem niepotrzebnie przedłużało bełkotliwe wywody.

– To popatrz do lustra. Sylwetki są podobne. No, ja jestem stary, ale poza tym...

– Nigdy nie pracowałem w policji.

– Praca jako kierownik antykwariatu wymaga tyle samo żądzy władzy, co praca jako stójkowy.

– Logika Wilcoxa wędrowała sobie tylko znanymi ścieżkami.

– Jeśli tak uważasz, Harry – Gaveina ogarniało zniecierpliwienie.

– Mam na imię Hvar i urodziłem się w Lavath – Wilcox kontynuował z uporem pijaka. – Ra Mahleine i Ra Bharre – recytował z przerwami. – Kotka Manuł i Niedźwiedzica... Imiona zwierząt północy.

– Prześpij się, Harry, dobrze ci to zrobi – włączyła się Ra Mahleine, niezadowolona z porównania do Brendy.

– Patrz dalej, Dave... Obie to blondynki, dość podobne do siebie. Brenda przytyła, ale dawniej była smukła jak twoja żona.

– Ra Mahleine nosi okulary.

– Brenda też jest krótkowidzem, ale unika okularów.

– Dlatego mruży oczy?

Harry przytaknął, ale mogło to być pijackie, bezsensowne machnięcie głową.

– Harry, zapomniałeś o mnie – wtrącił swoje nieodłączne trzy grosze Haigh. – Ja też chcę być *alter ego* Dave'a. Obaj mamy białe żony. On jest fizykiem hobbystą, a ja zawodowcem. Poza tym ja wydobywam mózg z głowy za dwóch. Znaczą: za niego i za siebie.

– Głupi jesteś, Haigh – Harry mimo oszołomienia potrafił rozpoznać, gdy ktoś kpił z niego jawnie. – Ty jesteś czerwony, a on czarny. A poza tym on jest Śmierć, ja jestem Los, a ty jesteś tylko zwykłym człowiekiem. Ale to określenie *alter ego* jest dobre. Właśnie o to mi chodziło.

Wilcox mówił coraz ciszej, pochłaniały go własne myśli – W tej książce odkryłeś, że ty i Gavein jesteście tą samą osobą? – zapytała Ra Mahleine.

– No, jasne. Ta książka otwiera oczy jak jasna cholera, Gavein parsknął, łypiąc na żonę.

Wozy policyjne odjeżdżały sprzed domu. Edda szukała w zakamarkach szafy polisy ubezpieczeniowej. Podobnie jak wczoraj, Gavein z Massem wzięli się do wstawiania szyb, bo wieczorami panował ziąb. Szczęśliwie było jeszcze kilka zapasowych w składziku. Puttkamella odjechał z policjantami.

45.

Rano zaterkotał telefon. Gavein podniósł słuchawkę. Znów Medvedec.

– Dzwonię jako przedstawiciel Urzędu Naukowego.

– Gratuluję awansu.

– Dziękuję. Zawdzięczam go panu. Urząd zaprasza na spotkanie. Pański fenomen zainteresował najwyższe czynniki.

– Jak długo trwałyby te badania? Pan rozumie żona jest chora. Muszę się nią opiekować.

– UN jest szybki. Sądzę, że uporają się w kilka dni, najwyżej tydzień.

– A zwolnienie z pracy? Zwrot kosztów?

– UN jest agendą rządową. Dopilnuje, żeby wszystko zostało należycie załatwione.

– W takim razie nie mam wyboru, muszę się zgodzić.

– Gdzie chcą cię zabrać?

– Mówi, że na badania do Urzędu Naukowego – przysłonił słuchawkę dłonią.

– Coraz więcej umiera. Prawda, Medvedec? – rzucił do mikrofonu.

– Powiem inaczej: ciągle umierają. Dokładna liczba jest jeszcze trzycyfrowa.

– To gdzie mam się zgłosić? Pod jaki adres?

– Przyjedziemy po pana. Chodzi o bezpieczeństwo.

– Kiedy?

– Za godzinę.

Termin był szokująco bliski. Gavein nie czuł się przygotowany, ale nie odmówił.

Zarówno Lorraine, jak i Anabel zadeklarowały się usługiwać Ra Mahleine pod nieobecność Gaveina.

Obie mają nadzieję zmieścić się pod parasolem ochronnym wokół Davida Śmierci – pomyślał. – Instynkt samozachowawczy działa.

Ra Mahleine z obsesyjną dokładnością przecierała okulary. Uważała, że w Davabel sypią za

dużo soli na jezdnię, aż szkła jej okularów matowieją. Do tego zastanawiającego wniosku wiodło długie, skomplikowane rozumowanie. Otóż, gdy spadnie śnieg, zostaje natychmiast (w domyśle: złośliwie) posypany solą przez władze miasta. Tworzy się rozmiękła bryja, którą samochody chlapią na jej okulary, a sól wyżera w szkłe dziurki. W wyniku tego rozumowania wiele czasu poświęcała usuwaniu domniemanych resztek soli. Ra Mahleine wychudła. Niknęła w puszystej poduszce kanapy. Wydawało się, że osłabiona całą energię zużywa na pedantyczne czyszczenie okularów.

Podniosła wzrok na Anabel. Bez okularów jej oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle.

– Biorę cię, Anabel ale musisz być bardzo posłuszna – powiedziała z mocą. – Będziesz pod ochroną mojej mocy, to znaczy, ta ochrona będzie działać, póki... – urwała. – Ale pilnuj się... Jedno nieposłuszeństwo i koniec z tobą. Nędzny jak i ty sama.

Czyżby postanowiła zamęczyć Anabel? – pomyślał Gavein. Ra Mahleine drżała ze wstrętu na jej widok, ale właśnie ją wybrała. Może chciała odreagować dawne męki i upokorzenia.

– Jeszcze pamiętam, jak mnie skopałaś na pożegnanie. I w co kopałaś ze szczególnym upodobaniem.

Gavein zadrżał z oburzenia. O tym fackie dotąd nie wiedział.

– Nie martw się, Lorraine – kontynuowała. – Ciebie nie będę karać jak ją. Będziesz chodzić ze mną na spacer. Jestem jeszcze słaba, a niedługo zrobi się wiosna. Śnieg szybko topnieje. Zamierzam dużo chodzić, a ty będziesz się mną opiekować.

– Ale przecież ja pracuję.

– Chcesz żyć? W tym celu trzeba być blisko Gaveina, a przynajmniej blisko mnie, prawda?

Nawet ona uwierzyła w tę historię – pomyślał. – Świetnie wczuła się w rolę żony Śmierci.

– Pani Throzz ma rację – włączyła się matka Lorraine.

– Tak będzie najlepiej. Do czasu, aż sprawa tych wszystkich zgonów się wyjaśni, weźmiesz urlop. Na pewno ci nie odmówią. Najważniejsze jest bezpieczeństwo.

Z piskiem opon i miauczeniem sygnałów zatrzymała się kolumna pojazdów: Na początku dwa opancerzone wozy Sił Obrony uzbrojone w karabiny maszynowe lub działka małokalibrowe i rakiety. Pokryte zielono-szarym kamuflażem, z niewielkimi biało-czarno-czerwonymi herbami Davabel. Za nimi biały mikrobus szpitalny, dwa osobowe samochody cywilne, ciężarówka z żołnierzami i jeszcze jeden pojazd opancerzony.

Poważna sprawa, skoro przyjechali z taką świtą – pomyślał Gavein.

Z samochodów wysiadło kilku cywilów. Weszli do salonu. Dwóch uzbrojonych żołnierzy stanęło przy drzwiach.

Medvedec przywitał się.

– Senator Botta – przedstawił wysokiego, siwego.

– A to doktor Syskin z Urzędu Naukowego – wskazał na drobnego, szarego.

– Gdzie Puttkamella? W tak dobrym towarzystwie nie powinno go zabraknąć.

– Nie żartuj, Dave. Puttkamellę rozpoznali ocaleli podpalacze, zrobili samosąd... lincz.

– Generał Thomp – wskazał na trzeciego, masywnego cywila z wydatną łysiną oddającą kształtem dokładnie zasięg wojskowej czapki zwykle wciśniętej na głowę.

– Miło mi poznać – odezwał się Thomp. – Nie wygląda pan na siebie. Każdy z moich sierżantów wygląda groźniej.

– Przykro mi, że pana rozczarowałem. Chętnie bym zamienił się z którymś z pańskich sierżantów.

– Medvedec poinformował pana o wszystkim telefonicznie. Szkoda czasu. Jedźmy – powiedział Thomp.

– Wykonam jeden telefon przed odjazdem.

– Obawiam się, że nie ma czasu – odpowiedział Thomp.

Żołnierze stojący przy drzwiach zrobili krok do przodu.

– Jestem więźniem? Nie wspominał pan o czymś podobnym – zwrócił się do Medvedca.

– Proszę zadzwonić – wtrącił Botta. – Oczywiście, nie jest pan więźniem. Jedynie zależy nam na pośpiechu, bo sprawa jest bardzo ważna.

Gavein pokiwał głową i podniósł słuchawkę. Poinformował doktor Nott o swoim wyjeździe na badania.

– Będę w kontakcie z pana żoną – powiedziała. – Domyślam się, że obecnie jest osłabiona, ale podczas przygotowania do operacji wzmocni się. Proszę się nie obawiać.

– Jestem wolny. – Odłożył słuchawkę. – Czy żona jedzie ze mną?

– Niestety nie. To jest zamknięty ośrodek badawczy – odezwał się Syskin. – Rozumie pan: tajemnica wojskowa.

Spodziewał się takiej odpowiedzi, ale co szkodziło spróbować. Pożegnał Ra Mahleine.

– Właściwie, to na jak długo wyjeżdżam?

– Sześć... siedem dni – powiedział Botta. – Mogę zagwarantować, że nie dłużej.

– No, to chodźmy. Niech tych siedem dni upłynie jak najszybciej.

Gavein chciał wsiąść do jednego z samochodów osobowych, ale okazało się, że przeznaczono dla niego miejsce w sanitarce. Siedzieli tam dwaj faceci w plastikowych kombinezonach i szczelnych hełmach na głowach. Kazali mu ułożyć się na noszach, ale Gavein zaprotestował i nadal siedział. Mógł wyglądać przez okno pędzącej na sygnale sanitarki. Tymczasem tamci zaczęli pomiary przypominające obrzędy magiczne. Omiatali go jakimś czujnikiem.

– Dawka w normie. Leży w tle – powiedział jeden.

Drugi przytaknął.

Gavein widział na wyludnionych ulicach popalone samochody, stłuczone szyby i rozrzucone papiery. Konwój minął kordon uzbrojonych żołnierzy.

– Niech się pan lepiej położy na noszach, bo mogą polecieć kamienie – powiedział jeden z badaczy.

Z dala widać było wzburzony tłum.

– Dlaczego oni to robią? – zapytał, posłusznie wsuwając się pod grubą piankę.

– Infekcja się szerzy, chcą zwalczyć przyczynę. Ostatnio umierają złapani przez przypadek kamerą, których pan dojrzał kątem oka na ekranie telewizora. Skoro nie wiadomo, kto ma wypisany wyrok, to wszyscy zgodnie chcą wyeliminować przyczynę.

– A wy dwaj? Dlatego macie maski?

– My jesteśmy ochotnikami. Kazali założyć maski, to założyliśmy, ale przecież to nie ma znaczenia, prawda?

– Wszystko na to wskazuje.

Parę kamieni zadudniło o pancerz. Konwój przyspieszył. Włączono sygnały. W tłum wystrzelono parę granatów gazowych.

– Dobrze, że nie strzelają – powiedział jeden.

– Jeszcze nie strzelają, Yull. Nie wiadomo, kiedy zaczną.

– Wiadomo: kto ma broń, będzie odpowiadał przed sądem. To ich powstrzymuje.

– Tak. Na razie.

Tłum się przerzedził, po chwili było już prawie pusto. Konwój pomknął ulicami wyglądającymi normalniej.

– Panie Śmierć – Yull szturchnął leżącego Gaveina. – Już po wszystkim. Przejechaliśmy. Udało się.

Gavein rozejrzał się. Szpaler ciekawskich stojący wzdłuż linii wyznaczonej przez policję był rzadki. Nikt nie rzucał kamieniami w konwój. Niektórzy odwracali się w ostatniej chwili lub zasłaniali twarze.

Oddają mi honory jak głowie państwa – pomyślał. – Nic dziwnego, przecież witają Śmierć.

– To szaleństwo opanowało tylko Centralne Davabel – powiedział drugi z badaczy, Omer. – Wielu ludzi załatwiło swoje prywatne porachunki przy okazji Davida Śmierci.

– Jak obecnie wygląda kraj? – zapytał Gavein.

– Wyludnione Centralne Davabel otacza kordon wojska. Jest szczelny, ale czasem przedostają się przezeń jacyś desperaci. Żołnierze też potracili członków swoich rodzin. Czasem patrzą przez palce. Stąd ta agresywna banda.

– Czego chcą ci desperaci? – Gavein pomyślał o żonie.

– Zabić cię – powiedział po prostu Yull. – Ja uważam, że jest to niemożliwe. Dowodem choćby dzisiejszy karambol przed twoimi oknami. Kordon jest po to, aby ochronić desperatów przed ich własną głupotą.

– Obawiam się o żonę. Natychmiast ogłóście przez telewizję, że zostałem przewieziony do Urzędu Naukowego.

– W porządku. Dopilnuję tego.

– Co jest za kordonem?

- My. W miarę normalne życie. Normalne, gdyby nie te zgony. Wszystkie przypadkowe, wytłumaczone, zawsze w zgodzie z Imieniem Ważnym. Ale zawsze twoja nieodłączna asysta...
 - Jeśli przypadkowe, normalne, uzasadnione, to dlaczego ta panika?
 - Panika...? Bo tylu ich umiera. Poza tym ogniskowaniem, to normalna epidemia.
 - Epidemia?
 - Tak. Zgonów jest znacząco więcej niż przed wystąpieniem korelacji. Jak przy epidemii: o kilkanaście procent.
- Konwój mknął z wyłączonymi syrenami, jedynie światła migały kolorowo.
- Co mierzyliście tymi czujnikami?
 - Poziom promieniowania. Nie przekracza tła. Czyli nie ma efektu. To znaczy, myślę, że w końcu coś znajdziemy. Wszystko musi mieć racjonalny powód, no nie?
 - Może nie być racjonalnego powodu. Może to zbieg okoliczności. Choć prawdopodobieństwo czegoś takiego jest znikome. Ostatecznie, dowolnie nieprawdopodobne zdarzenie zajdzie, jeśli dostatecznie długo zaczekać – odpowiedział Omer. – Może właśnie obserwujemy coś takiego?
 - Nie wierzę w taką możliwość – uciął Yull.

Jazda pełnym gazem trwała dobrych kilka godzin. Gnali ulicami, na których policja wstrzymała wcześniej ruch.

Później już nie było szpaleru. Przypadkowi przechodnie obojętnie spoglądali na pędzące pojazdy. Tu życie toczyło się zwyczajnie. Nikt nie kojarzył konwoju pojazdów z sensacją telewizyjną.

Nagle opuścili obszar zabudowany – rzecz niespotykana w Davabel, gdzie miasto szczelnie pokrywało cały kontynent z wyjątkiem lotnisk. Równie gęsto zabudowane było Ayrrah. Puste obszary znajdowały się w Lavath, daleko na północy, gdzie wieczny lód pokrywał ląd, a także na południowych skrajach Llanaig, gdzie promienie słońca zmieniały ziemię w pustynię.

Pusty obszar powstał przez rozległe wyburzenia zabudowy mieszkalnej. Ruiny zgrubnie wyrównano spychaczami.

W oddali piętrzył się potężny kompleks gmachów UN-u.

Zatrzymali się przy linii zasieków. Żołnierze ciekawie zerkali do środka sanitarki.

Po co się gapią, jak nie muszą, durnie? – pomyślał. – A nuż to się sprawdza.

Przebywszy zasieki, pojazdy ruszyły ku budynkom.

– Te wyburzenia, to na moją cześć?

– Tak, to też – mruknął Yull. – Sporo ludzi zaangażowało się w tę sprawę. UN dostał furę pieniędzy.

– Kto właściwie jest szefem tego?

– Głównym szefem jest Botta, ale obecnie swój program realizuje Syskin.

– Swój program?

– Było kilka konkurencyjnych projektów. Wybrali Syskina. Ale inne trzymają w zanadru, jeśli ten nie wypalił.

– Pochlebia mi to.

Omer poprosił Gaveina, żeby ten założył plastikowy kombinezon podobny do ich strojów. Miał oddychać powietrzem zasysanym przez filtr i wydychanym do butli. Cienkie tworzywo nie utrudniało rozmowy. Samochody wjechały na dziedziniec instytutu. Wnętrze sanitarki spryskano mocnym środkiem dezynfekującym.

– Po co to?

– Syskin zaplanował wszechstronny program. Niemal na pewno nie są to żadne cholerne bakcyle, ale nie warto ryzykować.

Odkazanie nie trwało długo. Drzwi samochodu otworzyli ludzie ubrani w skafandry, następnie tunelem z przezroczystego tworzywa wprowadzili Gaveina do wnętrza gmachu.

Umieszczono go na terenie specjalnie przystosowanego oddziału zakaźnego szpitala instytutowego. Wszyscy, z którymi się stykał, nosili identyczne, plastikowe stroje. Proszono go, by nie zdejmował swojego, póki nie będzie wyników badań bakteriologicznych. Nawet toaleta była odpowiednio skonstruowana. Strój dopinał się do deski sedesowej, zaś użycie powiązane było z myciem siedzenia oraz suszeniem w strumieniu ciepłego powietrza. Następnie automat pakował kawałki kału jak najcenniejsze skarby; podobnie mocz czy ślinę. Gavein nie spotykał się z szefami programu, nie oglądał ich nawet na ekranie. Szczegółowymi testami kierowali biolog Yullius Saalstein oraz Omer Ezzir, fizyk.

Gavein wiedział, że ich zwierzchnikiem jest jakiś tajemniczy lekarz. Bawiła go ta drabina służbowa, widocznie komuś niezbędna; bawiło go tchórzostwo nieznanego lekarza. Wystarczało przecież, by Gavein zwrócił na niego uwagę.

Ludzie Medvedca prowadzili biuro ewidencji zgonów. Wynajdywali ciągi przyczynowe wiodące od ofiar do Gaveina. Gromadzili wszelkie szczegóły. Fakty, które jak nitki pajęczyny mogły wieść do siedzącego w jej środku mimowolnego sprawcy. Mniej interesowały ich przyczyny zgonów, bardziej zaś to, czy śmierć wiąże się w jakiś sposób z Imieniem Ważnym denata. Reszta należała do policji.

Na przesłuchaniach pytali Gaveina o drobiazgi, gdyż ważniejsze fakty znali od dawna. Powtarzał to samo, co relacjonował już wiele razy. Wątpił w sens takiej działalności: przecież gdyby równie starannie analizować wszystko, co robił każdy obywatel, to udałoby się zawsze znaleźć jakieś powiązania jego losu z losem dowolnego innego człowieka.

Jednakże nieznanymi szefowie bardziej wierzyli ludziom Medvedca i ich statystykom. Zgony klasyfikowano według stopnia powiązania z Gaveinem. Aktualną liczbę zgonów z rozbiciem na kategorie, codziennie ogłaszano w lokalnej telewizji UN-u. Za każdym razem Gavein oczekiwał na przypadek bez związku z nim, ale w tej rubryce niezmiennie widniało zero. W rubryce: „Prawdopodobny brak związku z G.T.” też widniało zero.

Gavein nie mógł korzystać z telefonów, ale zapewniano go, że codziennie ktoś komunikuje się telefonicznie z Ra Mahleine. Gavein mógł słuchać jej głosu nagranych na kasecie.

– Scholl przywozi mi regularnie pigułki, po których jestem silniejsza i nie sypiam w ciągu dnia – mówiła Ra Mahleine. – Dostarczyli mi fotel na kółkach. Lorraine wozi mnie ulicami wokół domu. Ostatnio Lailli pogorszyło się. Fatima uprosiła, żeby i Lailla od czasu do czasu woziła mnie na spacer. Wilcox powiesił się i od tego czasu Brenda pije na okrągło. Rzadko widzę ją trzeźwą. Okoliczne domy są opuszczone, sklepy pozamykane, a całe zaopatrzenie, w tym alkohol dla Brendy

i to wszystko, czego sobie zażyczymy, dowozi policyjna furgonetka.

Zachrobotąło coś w słuchawce.

– Za nic nie trzeba płacić, podobno otworzono nam wszystkim duży kredyt z kiesy rządowej. To nie jest dobrze, to nie jest normalne – mówiła dalej. – Haigh wziął się do czytania *Gniazda światów*. Stwierdził, że ma obecnie rozwodnienie umysłowe, bo go nie odmóżdżają wykładami, dlatego rozpracuje i książkę, i sprawę Wilcoxa. Dodał, że musi przecież czymś zrewanżować się za temat pracy mistrzowskiej. Edda chciała tę książkę zniszczyć, ale Haigh wytłumaczył jej, że ma na Imię Ważne *Murhred*, więc nie książka mu zagraża, lecz ludzie, a ponadto we wstępie przeczytał, że książka ta załatwi tylko Wilcoxa. Nie wiem, czy to ją przekonało, ale na razie dała spokój z paleniem książek. Haigh wiele czyta, robi notatki, dużo notatek, mówi, że to będzie jego praca mistrzowska. Zmienił się bardzo. Ściął grzebień. Ubiera się na szaro. Potrafi nudzić godzinę, czy jego szarość osiągnęła już standardy Lavath. Pasja Haigha buduje go, to zupełnie co innego, niż było z Wilcoxem. Harry’ego to niszczyło, z dnia na dzień widać było, jak się rozpada, jak zbliża się koniec. Dwa dni później Ra Mahleine powiedziała: – Brenda porznęła się po pijanemu i weszła do wanny, na szczęście stara Hougassianowa ją odratowała. Kiedyś była pielęgniarką. Obecnie Brenda ma pobandażowane ręce, a jeden palec jej usztywniło. Oni się z Harrym bardziej kochali, niż dawali po sobie poznać innym ludziom. Wolę jak Lorraine wozi mnie na spacer, bo jest silniejsza. Lailla nie może sobie poradzić, kiedy kółko wózka wpadnie w dziurę na chodniku. Jej ciężę już widać. Może dlatego tak słabuje. Po domu chodzi w samych bandażach i majtkach. Twierdzi, że jest jej gorąco. Uważam, że to nieprzyzwoite, bo sporo się podgoiła, bandaży ma mniej i wszystko spod nich wyłazi. Wprawdzie to taka cieniutka, różowa, bibułkowata skórka, ale zawsze. Majtki też ma przezrocyste i dziurawe. Haigh raz ją opieprzył, ale ostatnio interesuje się wyłącznie książką. Zresztą, ostatnim mężczyzną w domu jest stary Hougassian, który nie rusza się z łóżka, bo miał atak korzonków.

Raz zbiłam po pysku Anabel i wytargałam za włosy, bo kible brudne, a na dodatek rozlała kawę na pościel. Zachowała się zdumiewająco pokornie, sama tę gębę nadstawiała. Ona boi się śmierci, jest przerażona, dlatego pozwala robić ze sobą wszystko. Zupełnie bez oporu. Mój odwet traci sens. Potem czułam się głupio, nie nadaję się do znęcania. Postanowiłam nie znęcać się nad nią, póki nie będzie znowu harda jak dawniej.

Instytutowa sieć telewizyjna pokazywała stare filmy, w których grali zmarli aktorzy. Często sły obrazy z Solobiną i Maslynnają, za którymi Gavein nie przepadał.

Testy fizjologiczne wykazały, że Gavein jest zdrowym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną z początkami reumatyzmu, lekką anemią i dwoma popsutymi zębami. Nie rozsiewał tajemniczych bakterii ani wirusów. Pozwolono mu zdjąć nieporęczny foliowy kombinezon, a chore zęby wyleczono na koszt podatników w czasie trzech męczeńskich wizyt.

Saalstein poinformował go, że zmarł na zawał Marius Balayev, lekarz, szef grupy badawczej. Był tajemniczym zwierzchnikiem, który tak bardzo chciał się ukryć. Sieć telewizyjna instytutu pokazała zdjęcie Balayeva: łysego tłuściocha. Był pierwszym zmarłym pracownikiem UN-u od przybycia Gaveina.

Stosunek otoczenia do niego uległ zmianie. To było trudno uchwytnie, ale wyczuwalne. Badania bakteriologiczne zakończono i zaproponowano mu przeprowadzenie operacji sondażowej, ale Gavein zaprotestował. Zgodził się natomiast na serię prześwietleń.

Siostra Winslow, starsza, masywna, o kanciastej, wysuniętej do przodu szczękę, rozpuszczała biały proszek w niewielkiej ilości roztworu soli fizjologicznej; przy skanerze krzątał się Czeczuga, technik rentgenowski. Gavein czekał na podłączenie do kroplówki. Nadzorowała następczyni Balayeva, doktor Hepditch.

– Od tego będzie widać moje żyły?

– Proszę nie przeszkadzać – zbyła go Winslow. – Proszę relacjonować swoje wrażenia z zabiegu i to wszystko.

– Chłodno tu. Ciągnie spod drzwi.

Winslow nabrała do strzykawki zawartość ampułki.

– W tyłek? – znowu odezwał się Gavein. Był w znakomitym humorze.

– Może być w tyłek – mruknęła siostra. Czeczuga przygotowywał kasety. Winslow wzięła zbiornik z płynem do kroplówki i starała się wstrzyknąć białawy płyn do środka.

– Po co kasety do tomografii? Winslow i Czeczuga drgnęli.

– To będzie zdjęcie kontrastowe – powiedział technik.

– W takim przypadku powinienem wyrazić specjalną zgodę, bo takie zdjęcie jest ryzykowne, prawda?

Winslow upuściła słoik z przygotowanym roztworem. Roztrzaskał się na podłodze. Czeczuga gwałtownie odwrócił się, żeby zobaczyć, co się stało i rękawem kitla strącił inny słoik.

Gavein parsknął śmiechem.

– Jasna cholera – zaklął Czeczuga. – Rozlałem spirytus po katgucie.

Winslow bez słowa patrzyła na Hepditch, oczekując jej reakcji. Rozszedł się charakterystyczny zapach alkoholu.

– Siostró, proszę wziąć inny słoik z płynem fizjologicznym i sporządzić nowy kontrast – powiedziała chłodno lekarka. – Proszę też wezwać salową, żeby posprzątała wyniki waszej pracy.

– Ale...

– Słoik stoi na drugiej półce od góry. – Hepditch wróciła do notowania.

Winslow wzięła drugi słoik i od nowa zaczęła procedurę. Czeczuga pracował przy zasilaczu aparatu rentgenowskiego. Alkohol silnie cuchnął.

– Nie obawia się pani, że posądzą nas o alkoholizm? – Gavein był tu najważniejszy, więc pozwalał sobie na wiele.

– Ma pan rację. – Hepditch uchyliła okno. – Ale teraz może się pan przeziębic.

– Zaraza – znów zaklął Czeczuga. – Siadł cholerny zasilacz. Wezwę serwis. To pewnie przez ten wstrząs sejsmiczny.

Rano znów dał się odczuć wyraźny wstrząs, nawet lampy się zakołysały. Tylko w Ayrrah zjawiska sejsmiczne były powszechne.

– To co? Jedziemy z powrotem? – Gavein nie miał ochoty na grubą igłę wbitą w żyłę na udzie.

– Chyba tak... – powiedziała z wahaniem Hepditch. – Powtórzymy jutro na dwunastce. Trzeba przygotować tamtą salę.

– Nie dziwię się, że UN osiąga skromne rezultaty...

Uwaga Gaveina pozostała bez odpowiedzi.

Po korytarzach obowiązkowo wożono go wózkiem operacyjnym. Pomimo, że opierał się, nie zezwolono mu chodzić samemu. Tym razem odwiozła go Winslow.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zmarły sześćdziesiąt trzy osoby. Grupa Medvedca wyszukała w czterdziestu ośmiu przypadkach niewątpliwy związek z Gaveinem, a w pozostałych bardzo prawdopodobny; szczegółów nie podano. Do wieczora pokazywali idiotyczne seriale.

Wieczorem Winslow przyszła zrobić przygotowawczy zastrzyk przed badaniami tomografii radiowej. Okazało się, że terminy badań się pozmieniały i rentgen trzeba było przesunąć, bo na jutro rano przygotowano *teer*.

Najpierw podała garść tabletek, które miał połknąć, ponieważ chciał jednocześnie wykrzywić się do niej nieprzyjemnie, ostatnie z nich stanęły mu w gardle i zaczął się dusić. Charczał i rzeził, a Winslow stała bezradnie. Wreszcie przypomniał sobie starą metodę, postawił dłonie na ziemi przy ścianie, odbił się mocno i stanął na rękach, oparty stopami o ścianę. Energicznie wykasłał to, co utkwilo w gardle. Wypadły dwie kolorowe tabletki z częściowo rozpuszczoną powłoczką. Pozbierał się, zaczerwieniony i spocony.

– Takie zakrztuszenie to cholerna rzecz – powiedziała Winslow. – Wiele osób rocznie umiera od tego.

– Coś takiego, to w Davabel ktoś umarł przed moim przyjazdem? – uśmiechnął się kwaśno.

Winslow przygotowywała zastrzyk. Mętnawa jasnobrązowa ciecz w małej fiolce z zakrętką. Gavein z niechęcią pomyślał, że trafi to do jego żył. Winslow wkuła igłę strzykawki przez korek słoiczka i patrząc pod światło, starannie wciągnęła tłokiem zawartość, a następnie wystrzeliła parę kropel z igły.

Nagle budynek zadrżał w posadach. Wstrząs był tak silny, że tynk posypał się z sufitu. Winslow straciła równowagę i oparła się o szklany stolik na kółkach. Stolik przytłoczony jej dużym ciałem nie odjechał, lecz przechylił się głęboko. Ze szklanego blatu sypnęły się flaszeczki, bagietki, tubki, igły, szpatułki i strzykawki. Winslow, nie kontrolując upadku, niechcący wbiła sobie strzykawkę, na dodatek przyciskając tłok.

– Teraz pani mogą zrobić *teer* – skwitował Gavein, pomagając jej zebrać się z podłogi.

Drugi wstrząs był silniejszy niż pierwszy. Znów sypnęło tynkiem. Gavein upadł obok siostry Winslow.

– To też z mojego powodu – mrugnął do niej łobuzersko.

Winslow wzruszyła ramionami. Niechęć była obustronna i jeszcze nie nadszedł moment, by to uległo zmianie.

Trzęsienie ziemi zrobiło na Winslow mniejsze wrażenie niż fakt, że się pokłuła. Wpatrywała się

w pokłute miejsce.

- Całe to świństwo... Wbiłam sobie całe to świństwo – powtarzała.
- Dostał się pęcherzyk powietrza? Nie znam się na tym, ale chyba by to pani poczuła.
- Właśnie. Jasna cholera! Niech pan tutaj zaczeka. Doktorze Barth! – zawołała już z korytarza.

Gavein nie znał tego nazwiska. Przez okno oglądał gorączkową krzątanicę pracowników UN-u, usuwających skutki wstrząsu sejsmicznego. Niektórzy w białych kitlach, inni w zielonych wojskowych mundurach, jeszcze inni w szarych roboczych kombinezonach. Zgodnie uwijali się wokół małego bunkra na dziedzińcu. W oddali jaśniała kopuła elektrowni zasilającej centrum UN-u, na horyzoncie szarzały dzielnice Davabel.

Ostatnie wstrząsy otworzyły szczelinę głęboką na kilka i szeroką na dwa metry, idącą w poprzek całego kompleksu zabudowań UN-u. Runął leżący na jej drodze budynek centrali telefonicznej. Wysokość brzegów szczeliny różniła się o metr. Inne budynki nie ucierpiały, jednakże zerwana została podziemna sieć wodociągowa i energetyczna. Wkrótce uruchomiono awaryjną siłownię i na wieczór było światło. Eksperymenty przerwano, zamiast posiłków wydano suchy prowiant i soki w kartonach.

W serwisie telewizyjnym poinformowano, że epicentrum leżało tuż pod UN-em. Nadmorski teren obniżył się o metr, chociaż ktoś inny twierdził, że to Davabel wypiętrzyło się w górę. Jak ze śmiechem relacjonował Ezzir, wszyscy koledzy uważają, że Urząd zostanie wkrótce pochłonięty przez rozszalałe fale oceanu za sprawą strasznego Davida Śmierci. W telewizji jakiś ekspert twierdził, że właśnie tędy może przechodzić granica pomiędzy płytą Davabel i taflą Ayrrah. Były to tylko domysły, gdyż nikt nie znał budowy geologicznej terenu wystarczająco dobrze. Wyłącznie w Ayrrah prowadzono systematyczne badania sejsmologiczne. Zamierzano zasięgnąć opinii ekspertów stamtąd, ale musiało to potrwać, bo wprowadzając pytania przesłano bezpośrednio do Ayrrah pocztą lotniczą, lecz odpowiedź mogła nadejść dopiero przez Llanaig i Lavath.

Gavein otrzymał kolejne nagranie rozmowy telefonicznej z Ra Mahleine. Słuchał, gdy relacjonowała codzienne troski i tęsknoty, ale coś przestało mu się podobać. Starł się nie reagować emocjonalnie na jej głos, tylko śledzić treść. Oczywiście: te zdania słyszał już wcześniej, zostały zmontowane z poprzednich taśm. Zauważał różnice w brzmieniu jej głosu z różnych nagrań.

Zadrzał z niepokoju. Chwilę zastanawiał się, co zrobić, wreszcie zdecydował. Wcisnął dzwonek alarmowy i zablokował zapalką. Rozsiadł się wygodnie na łóżku, przygotowując batalię.

Pierwsza przybiegła dyżurująca siostra Aurelia. Młoda, chuda jak patyk, o cienkich wargach.

– Proszę stanąć pod oknem i zaczekać – powiedział takim tonem, że usłuchała. Nie chciał, żeby zdążyli się skonsultować przed rozmową z nim.

W chwilę później wbiegł Saalstein w rozpiętym kitlu.

– Zaraz panu wyjaśnię – pospieszył Gavein. – Na razie proszę tu zaczekać – wskazał miejsce. – I niech się pan pozapina.

Przybiegli jeszcze: nieznanemu mu wcześniej młody lekarz w okularach na szurzej twarzy i siostra Nylund. Jedyna dotąd biała pielęgniarka, jaką spotkał w UN-ie. Szczupła i wysoka, miała białe rzęsy i setki piegów na różowawej skórze.

Chudogęby chciał coś powiedzieć, ale Gavein uciszył go gestem ręki.

– Zaraz wyjaśnię. Gdzie doktor Ezzir?

– Przeziębł się. Jutro kończy zwolnienie – powiedział Saalstein. – Czy... – zaczął, lecz Gavein mu przerwał:

– Ktoś z was wyjaśni mi sprawę kasety, czy mamy wezwać Syskina albo Thompa?

– Jakiej kasety? Nie rozumiem? – wyrwał się lekarz.

– Pan?

– Barth.

– Nagranie ostatniej rozmowy telefonicznej z moją żoną zostało sfabrykowane. Chcę usłyszeć prawdziwe nagranie. Czy wasze kompetencje są wystarczające, czy mam porozumieć się z którymś z waszych zwierzchników? Może zresztą ktoś jeszcze przybiegnie.

Gavein czuł, że uderza mocno i celnie. Barth znowu zaczął coś bełkotać.

– To nie ma sensu, Barth – powiedział Saalstein. – Trzeba mu powiedzieć prawdę.

Chudogęby odmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, poczerwieniał.

– Jeśli chcesz, Saalstein. Na twoje ryzyko. Ja nie udzielam zezwolenia. – Ostatnie zdanie było bzdurą. Gavein zdziwił się, że UN mianował kogoś takiego kierownikiem zespołu.

– Najpierw chcę wiedzieć, czy Ra Mahleine żyje – zwrócił się do Saalsteina. Bartha zignorował.

– Tak.

Gavein odsapnął.

– Czy jest zdrowa?

– Nie jest bardziej chora niż przedtem. Doktor Nott opiekuje się nią troskliwie. To nie o to chodzi.

– Dobrze. Więc o co?

– Popelniono zbrodnię. Haigh Eisler i Lailla Hougassian nie żyją.

– Oni... Akurat oni.

– Sam chciał pan wiedzieć. Wokół domu Eislerów rozpościera się opuszczony obszar otoczony kordonem wojska. Ale nikogo stamtąd przemocą nie wysiedlono, niektórzy pozostali. Haigh i Lailla byli na spacerze. Znaleziono ich leżących na chodniku. Haigh został zabity około dwudziestoma uderzeniami noża. Lailla została kilkakrotnie zgwałcona, a następnie utopiona w wiaderku. Wcześniej zalepiono jej usta plastrem, a także zdarto większość bandażu. Sposób przeprowadzenia

morderstwa sugeruje, że sprawcy znali Imiona Ważne ofiar. Teraz wiesz tyle, co ludzie Medvedca, bo on prowadzi tę sprawę. Nagrania zostały zmontowane, żebyś nie miał bezpośredniego kontaktu z otoczeniem. Podejrzewano, że morderstwo wywołała rozmowa telefoniczna, w której Magda wspomniała o nich. Podejrzewają coś w rodzaju ogniskowania prawdopodobieństwa myśłą.

– Bez sensu. Przecież ciągle myślę o różnych ludziach. Saalstein, podjąłem decyzję: zgadzam się na tę operację. Możecie mi zajrzeć do środka, pod warunkiem, że to zakończy mój pobyt w UN-ie. Nie wierzę, abyście coś szczególnego tam znaleźli, ale chcę już wrócić do domu.

– Zaraz zawiadomię doktora Syskina – przypieczętował zgodę Gaveina Barth. – Ucieszy się, że wreszcie pan się zdecydował.

Saalstein spojrzał na niego z niechęcią.

– Panie są tu niepotrzebne – Barth zwrócił się do pielęgniarek. Odzyskał pewność siebie.

Pan tu jest jeszcze mniej potrzebny – pomyślał Gavein.

– Mam warunek – przerwał Barthowi.

Ten nadstawił ucha.

– Chcę wcześniej osobiście porozmawiać z żoną. To jest warunek zgody na operację.

– To nie będzie możliwe – powiedział Saalstein. – Jej wypowiedź nagrana poprzednio stanowi ważny materiał śledztwa. To właśnie Magda natknęła się na zwłoki w czasie spaceru. Wiozła ją panna de Grouvert.

Dziwne. Przecież zawsze wiozła ją Lorraine – pomyślał.

– Nalegam na rozmowę. Będziecie mieli więcej materiałów do śledztwa.

Jeszcze tego samego dnia powiadomiono go o zgodzie Thompa i Botty. Czuł, że się ugną. Rozmowa miała być podsłuchiwana, oraz mogła być w każdej chwili przerwana przez kontrolującego policjanta.

Wieczorem powtórzyła się seria słabych wstrząsów sejsmicznych. Główne budynki UN-u wzniesiono jako betonowe klatki, więc dobrze znosiły lekkie wstrząsy, tylko tynk się sypał. Mniejsze zabudowania pomocnicze podparto drewnianymi stemplami.

Rozmowa telefoniczna odbyła się następnego dnia. Jakość była wystarczająco dobra, by mógł rozpoznać jej głos. Oboje zostali ostrzeżeni, aby unikać niektórych tematów.

– Jak się czujesz? – zaczął.

– Prawie nie wstaję z fotela. Anabel pomaga mi się myć. Stałam się lepsza dla niej.

– A co z operacją?

– Przygotowanie przeciąga się. Scholl przywozi mi różne prochy. Łykam wszystko. Brakuje mi ciebie. *Gniazdo światów* chciała pożyczyć Lorraine, ale nie zgodziłam się, bo mówiłeś, że będziesz chciał przeczytać je zaraz jak wrócisz.

– Czy Nott mówiła coś o konkretnych terminach?

– Teraz wszystko się pozmieniało. Dają mi dużo leków na nerwy, po tym, co się stało z Haighiem i Laillą. To wyglądało nie do wytrzymania, jatka...

Wypowiedź Ra Mahleine została przerwana przez nieznanego funkcjonariusza.

Zaraz z rana rozpoczęto przygotowanie do tomografii radiowej. Tym razem Aurelia przywiozła wózek elektryczny. Zrobiła mu zastrzyk. Była najmłodszą z pielęgniarek.

Sprawna i spokojna, miała miłą, choć trochę bezmyślną twarz, krótkie szare włosy, perkaty nos i za wysoki, piskliwy głos.

Jej twarz wydawała się to szersza, to węższa, a czarne paski na czepku wyginały się na boki.

– Ale mi faluje – powiedział. – Czuję się jak na lekkich obrotach...

– Zaordynowałam panu „matołka” na lepszy humor. Doktor Barth polecił.

– No to w drogę. Doktor Throzz ordynuje spacerek na kółkach z przodu i z motorkiem od tyłu.

– Zaraz przejdzie. Będzie pan spokojny i senny.

W gabinecie tomografii radiowej nawet zwykły chłód bijący od białych kafelków nie raził. Zapachy były inne od zwykłych szpitalnych, raczej jakieś techniczne, elektryczne. Podstawowym sprzętem w pokoju był dwumetrowy pierścień elektromagnesu oraz okazała konsola z różnymi wskaźnikami, ekranami i dziesiątkami światełek, które wesoło mrugały na Gaveina.

Za biurkiem tkwił mężczyzna w białym kitlu zapiętym na plecach. Łypnął spode łba. Miał dużą, kanciastą głowę i łysinę czołową.

– Niech pan przesunie się na ten wózek – mężczyzna wskazał nosze na kółkach, które mogły wjeżdżać w głąb magnesu.

Gavein posłusznie przetoczył się z jednego wózka na drugi. Uważał, że ma za mało ruchu i wypada z formy. Niemniej rutyna szpitalna UN-u była nieubłagana. Technik trzymał obudowaną plastikiem sondę połączoną kablem z resztą przyrządu. Gavein patrzył za okno i widział twarze zaglądale do wnętrza przez szybę. Twarze te formowały się z framug, z obłoków na niebie, a czasem wypływały po prostu z błękitnego nieba. Zresztą, gdy sformułował myśl, że niebo jest błękitne, to zaraz zaczęło zmieniać odcień. Przez chwilę do wnętrza zaglądał błękitny ptak.

Nadszedł Barth. Gavein nie lubił jego chytrej twarzy i lizusowatego sposobu bycia. Teraz ta twarz wydała mu się jeszcze bardziej chytra, a sposób bycia już zupełnie lizusowaty. Gdy Aurelia nabierała powietrza, biust jej wysuwał się do przodu, a pośladki cofały; przy wydechu wszystko wracało na swoje miejsce.

– Jak idą przygotowania, Leroy? – rzucił Barth.

– W porządku. Chcę podnieść moc nadajnika, żeby mieć wgląd na piętnaście centymetrów do środka.

– Kiedy zaczniemy? Chciałem zadzwonić po Syskina. – Za parę minut. Barth podniósł słuchawkę, a wtedy coś dziwnego zaczęło dziać się z Leroyem: najpierw wrzasnął głośno, potem zatrzepotał jak ryba wyciągnięta z wody, próbował coś powiedzieć, ale jego szczęki zaciskały się rytmicznie. Barth wrzeszczał do słuchawki, Aurelia stała jak wmurowana, Gavein zaś przypatrywał się temu jak spektaklowi odgrywanemu przez aktorów. Miał ochotę bić brawo i wołać o bis. Leroy, drgając, zsunął się z krzesła na posadzkę i długo jeszcze dygotał. Aurelia krzyczała, że nie potrafi wyłączyć aparatury, Barth zaś wrzeszczał, żeby nie dotykała Leroya. Ptaki raz za razem zaglądały przez szybę. Niektóre mrugały porozumiewawczo do Gaveina. Po jakimś czasie pojawili się nieznani ludzie w zielonych uniformach. Gavein usnął, gdy siostra Nylund wiozła go z powrotem na salę. Zasnął z myślą: dlaczego nie Aurelia?

Później dowiedział się, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Leroy został śmiertelnie porażony impulsowym napięciem wielkiej mocy. Nie zauważył pęknięcia plastikowej obudowy sondy. Jego palce zacisnęły się na niej i przez kilka minut był pod napięciem. Kilkanaście razy na sekundę w nieregularnych odstępach uderzenie prądu. Serce nie miało szans.

Słabe wstrząsy sejsmiczne powtórzyły się w ciągu dwóch następnych dni. Szczelina poszerzyła się. Przerzucono przez nią prowizoryczny aluminiowy most. Wznowiono prace nad efektem Dave'a Throzza, jak ochrzczono zjawisko skorelowanego umierania. Nikt nie taił, że dotychczasowe próby wyjaśnienia były bezskuteczne. Jedyne wydział pułkownika Medvedca wykazywał się wynikami: Dla każdego zgonu w Davabel znajdowano bezsporne lub bardzo uzasadnione związki z osobą Gaveina. Codzienne zestawienie zawierało nadal zera w innych pozycjach; sumaryczna liczba przypadków rosła z dnia na dzień.

Gaveinowi nie pozwolono zadzwonić do Ra Mahleine. Umowa z UN-em przewidywała jedną rozmowę – miało przecież nie być opóźnienia. Saalstein, Ezzir, a nawet Barth zapewniali go, że codziennie kontaktują się telefonicznie z jego żoną i wszystko jest w porządku. Nadal toczyło się śledztwo w sprawie zamordowania Haigha i Lailli, więc treść rozmów z Ra Mahleine utajniono. Gavein nie wierzył tym wyjaśnieniom, ale musiał ich słuchać. Czekał. Kończył się już trzeci tydzień jego pobytu w Urzędzie.

Pokroją mnie jak wieprza dla dobra ludzkości – myślał. Nie wierzył, że zabieg cokolwiek wykaże.

Syskin obiecał, że rany pooperacyjne wygoją się w dwa tygodnie, perspektywa powrotu nie była odległa. Z tomografii zrezygnowano, obecnie nie miał kto jej przeprowadzić.

Gavein zjadł w towarzystwie Saalsteina i Bartha pożywne i smaczne śniadanie. Barth osobiście badał ciśnienie, pytał o samopoczucie. Wszyscy trzej wiedzieli, że cały zespół UN-u drepce w miejscu. Gavein zdziwił się, że pozwolono mu jeść przed operacją. Barth wyjaśnił, że nie będą otwierać ani jelit, ani żołądka, więc nie ma przeciwwskazań. Potem nie będzie miał apetytu, więc lepiej napchać się na zapas. Gavein nalegał, żeby Ra Mahleine zawiadomić dopiero po operacji. Saalstein zgodził się.

W południe Aurelia zaprowadziła go do szpitalnej łazienki. Pieszko i boso, bo chodziło o symulację lekkiego wysiłku. Gavein dość nasłuchał się o szpitalnych zakażeniach. Niestety, Aurelia nie przyniosła pantofli. W przebieralni zostawił niebieski kombinezon szpitalny i poszedł i do sali przedoperacyjnej. Mieli go otwierać w kilku różnych miejscach. Namiastka wiwisekcji, którą powinien] przeżyć. Gdy leżał na wózku przykryty prześcieradłem wróciła Aurelia i zrobiła mu zastrzyk.

Znowu oglupiony chemikaliami i bezbronny – pomyślał z goryczą. – Upokarzający rytuał.

– Znowu „matołek”?

– „Matołka” rąbie się do tyłka, domięśniowo – uśmiechnęła się – a to był dożylny. Doktor Barth zaordynował.

Zaraz przyszedł Barth, Syskin i kilku nieznanymi lekarzy, Saalstein, Ezzir, a także sam generał Thomp.

Cóż oni chcą we mnie znaleźć, skurwiele? Śmierć trzyma swoją kosę w ręku, a nie w brzuchu.

– Dostał środki tonizujące? – rzucił Barth. Aurelia potwierdziła gestem.

– Doskonale. Zaczynamy procedurę.

Nylund wjechała na salę z wózkiem, na którym stał szereg ampułek i słoiczków.

– Gdzie jest Botta? – zapytał Thomp. – Też chciał być przy tym.

– Zawiadomiłem jego sekretarkę – odparł Barth. – Lada chwila się zjawi.

Ktoś zamocował na głowie Gaveina koszyk przewodów encefalografu, ktoś inny przykleił elektrody ekg. Barth przygotował zastrzyk.

– Zostawiła pani igłę w żyłę? – upewnił się. Potwierdziła.

– Co to jest? – rzucił Syskin.

– Na razie porcja zerowa. Po pięciu minutach podam następną. Po następnych pięciu, ostatnią.

Powoli wcisnął w żyłę Gaveina zawartość strzykawki. Aparatura rejestrująca parametry jego organizmu cicho popiskiwała.

Gavein stawał się jakby lżejszy, świetlisty. Otoczenie nabierało barw, falowało bardziej niż po „matolku”. Nos Bartha naciągał się do paradoksalnych rozmiarów. Kanciasta twarz Thompa była odblaskowo różowa, z każdą chwilą bardziej przypominała ryj prosiaka. Spojrzał na Syskina: dla odmiany, jego chudą twarz otoczyła aureola płomienia. Z najwyższym wysiłkiem dostrzegał, że to jedynie rude włosy. Wytěżając umysł i ogniskując wzrok, mógł osłabić widziane halucynacje.

– Jak zapisy? – głos Botty dźwięczał jak dzwon.

Odpowiedź nie dotarła do uszu Gaveina.

– Zaraz podam drugą porcję – Barth zwracał się do Syskina. Gdy mówił, przesuwając językiem koniec nadzwyczaj długiego nosa z lewa na prawo i z powrotem. Aurelia rozpostarła białe skrzydła kitla i uniosła się w powietrze, lokując się w górnym rogu pokoju. Okna powiększały się lub zmniejszały, miały wykrój kobiecych ust. Zaslony przypominały krzywe zęby Ra Mahleine. Przyjrzał się uważniej fruującej postaci w bieli i stwierdził, że to nie Aurelia, tylko jego żona. Ra Mahleine bardzo korzystnie wyglądała w białej sukni i ze skrzydłami. Gavein czuł, jak Barth naciąga mu palcami żyłę. Z pewnością chciał wsadzić nos do środka, żeby wywęchać, dlaczego umierają tylko ci, którzy zetknęli się z Davidem Śmiercią.

– Przyjął drugą porcję. Wszystko idzie zgodnie z planem. Mówiłem, że to jedyny sposób.

Gavein dostrzegł pod sufitem jakąś czarną postać obok Ra Mahleine. Nie mógł zogniskować wzroku. W końcu się powiodło. To on sam unosił się obok niej. Był w czarnym kombinezonie ze skaju, haftowanym w trupie czaszki. Każda z nich miała oczka z czerwonych, błyszczących kamyków. Na plecach była największa, srebrzysta, a poniżej niej dwa skrzyżowane piszczele.

Przecież widzę się od przodu, to skąd wiem, co mam na plecach? – zakołatało mu w głowie.

– Tętno przyspieszyło, ale reakcje w normie.

Tętno było małym, tłusciutkim amorkiem, fruującym coraz szybciej po pomieszczeniu. Z oczu Ra Mahleine rozchodziły się żółte promienie słońca. Jak ma w oczach złoty błysk, to jest wściekła – pomyślał.

– Przestań wreszcie tak łapczywie wciągać to powietrze, bo dla innych nie starcza – warknęła Ra Mahleine.

Była wściekła. – Jak się myłeś pod prysznicem, to tak rzucałeś tą wodą z wysoka, że nie mogłam spać. Mogłeś ją zlewać z mniejszą siłą.

Obok przemknął Wilcox. Był całkiem siwy. Wygiął się dziwacznie jak żuraw.

– Uważaj, żeby ci żyły nie przegryzł i nie wyssał – ostrzegła Ra Mahleine. – On zbiera krew dla Brendy, bo się porznęła i wszystko z niej wypłynęło.

Wilcox wyprostował się. Stał się niezwykle wysoki i szeroki na pół pokoju. Jego twarz przypominała kawał rozpiętego płótna z namalowanymi oczyma, nosem i ustami.

– Wydaje mi się, że jest jeszcze przytomny. Reaguje na światło – powiedział Wilcox.

– Tak jest, panie senatorze – powiedział Barth i przełożył sobie językiem koniec nosa z lewego ucha do prawego. – Zaraz dostanie trzecią porcję i uśnie.

Żółt w na kółkach jeździł po całym pokoju. Na jego skorupie stały butelki z alkoholami, ciecze żółte, bezbarwne lub czerwone. Skorupa żółtwa była płaska, nogi wysokie, zakończone kółkami. – Tylko mi się nie przezięb – powiedziała Ra Mahleine i pogroziła palcem. – Zawinęli cię ledwie w prześcieradło.

Wilcox zassał mu krew z żyły.

Jak dla Brendy, to może trochę wyssać – pomyślał Gavein. Wilcox wytarł usta rękawem i zawiązał żyłę na supelek.

– I co po trzeciej porcji? – zapytał Syskin, a jego głowa wyskoczyła na sprężynie i spojrzała na Gaveina z wysoka.

Otoczenie pulsowało i wysyłało tęczowe, różnobarwne pierścienie. W ich obrębie, jak w ramach obrazu mieścili się: Ra Mahleine, Wilcox, on sam w czarnym kombinezonie, Barth, Syskin,

Thomp i biały żółw z cylindryczną głową.

– Źrenice przestały reagować. Chyba usnął.

– Tym razem wreszcie powinno się udać – powiedziała świnia głosem Thompa. – Tyle wysiłków, tyle ofiar.

– Teraz zawęży mu się pole świadomości. Gdy ciało zdrętwieje do reszty, podamy gaz – syczał Barth.

– Jak ma na Imię? *Yacrod* czy *Myzzt*? – zapytał Wilcox.

– *Ariel*.

– To nie będzie operacji? – dalej dopytywał się Wilcox głosem Botty.

Gaveinowi wydawało się, że jest telewizorem, który przedstawia toczącą się akcję, ale sam nie jest w stanie ruszyć się z miejsca.

– Będzie bardzo dokładna sekcja – zachichotał Barth.

Gavein widział go przez mętniejący obłok i nie mógł dostrzec, czy Barth nadal przekłada sobie nos z ucha do ucha.

– Jeśli przeżyje ten gaz, to będzie wiwisekcja – dodał.

– To powinno podzielać na niego, panie senatorze – mówił Syskin. – Pozostawimy wycięte wnętrze na powietrzu, bo to *Ariel*. Żeby przypadkiem się nie odrodził.

– Co z jego żoną? – zapytał Wilcox.

– Jeszcze żyje.

– Ona też jest Śmierć?

– Tego nie wiadomo na pewno. Chyba nie, bo sama ma raka.

Głosy te dobiegały ze środka czaszki Gaveina. Cichły. Coraz gorzej rozróżniał rozmawiających. Tylko on sam, w czarnej kurtce, nie odzywał się. Coraz trudniej było mu formułować myśli. Szara mgła przed oczyma rozrastała się jak pleśń. Nie czuł bólu. Pole widzenia miało wielkość tarczy zegarka; postaci były miniaturowe. Wkrótce przypominało migotającą różnymi barwami małą metaliczną kulkę zawieszoną w ciemnym kosmosie.

Nagle kulka zatoczyła się raz i drugi. Zaczęła podskakiwać na wszystkie strony. Gavein poczuł ostry, nasilający się ból. Kulka odplynęła gdzieś daleko. Stracił świadomość.

Zbudził się; dręczył go ból całego ciała i nudności. Zwymiotował raz, drugi i trzeci. Nie miał już czym, a dalej targały nim skurcze żołądka. Serce łomotało jak opętane. Odplynał w niebyt.

Gdy ponownie odzyskał świadomość, było zimno. Poruszył się. Był częściowo przysypany, potłuczony i nagi. Wokół cuchnęło wymiocinami, ale przebijał inny zapach, świdrujący w nosie. Oczy przyzwyczyły się do ciemności, nie było pełnego mroku. Poruszył głową nadspodziewanie łatwo. Strzepnął z niej kawałki gruzu i obłoczek pyłu, który wymusił serię kichnięć. Spróbował przesunąć się, ale tysiące występów, tysiące kamyków i pył zaczęły zgodnie zdzierać mu skórę.

Najpierw uwolnił lewą rękę, potem powoli, metodycznie usuwał kamień po kamieniu, fragment cegły po cegle.

Był posiniaczony, ale przysypany pyłem i drobnym gruzem, nie odniósł poważniejszych obrażeń. Odkopywał się coraz energiczniej. Najtrudniej było wyciągnąć prawą nogę spod wywróconego wózka szpitalnego, unieruchomionego stertą gruzu. Ostrożnie wysunął się spod niego, uważając, by sterta nie runęła nań.

Spróbował stanąć, ale strop był zbyt niski. Wokół mroczno i tajemniczo, dzięki niezwyklej czerwonawej poświacie. Drażnił ostry zapach siarki. Ogłuszający ryk pochodził z zewnątrz, nie z wnętrza czaszki. Obmacał całe ciało: w wielu miejscach był skaleczony, podrapany, sińce odpowiadały na ucisk głuchym bólem, ale to wszystko. Poruszanie nie sprawiało trudu. Pokrywała go warstwa potu zmieszanego z pyłem ceglanym. Bał się zrobić krok, by nie poranić stóp o leżące wszędzie kawałki szkła. Podłoga wznosiła się ignorując poziom, gdzieś w mroku łączyła się z sufitem. Sala operacyjna wyglądała, jakby gigant dla zabawy najpierw obrócił ją, a następnie zmiążdżył jedną ścianę.

Wkrótce stało się na tyle jasno, by lepiej widzieć posadzkę i omijać płyty potłuczonego szkła. Było cieplej, ruch rozgrzewa. Gavein wspinał się po nachylonej podłodze do widniejącego u góry mrocznego otworu drzwi. Niestety, wiodły tylko do maleńkiej przebieralni. Przynajmniej znalazł swoje ubranie. Starannie otrzepał z pyłu, następnie wytarł się jakąś szmatą czy ręcznikiem i nałożył kombinezon szpitalny, identyczny jak uniformy pracowników UN-u. Trzewiki szpitalne były zbyt lekkie, ale nie znalazł lepszych. Przez podeszwy wyczuwał każdy odłamek. Drugie drzwi były zablokowane, musiał wrócić do sali operacyjnej. Ryk nasilił się. Podeszedł do ziejącej czeluści odsłoniętej zwaloną ścianą. Świtało, ryk tężał falami. Trzeba było szukać wyjścia od innej strony. Z przerażeniem wyczuł wibracje podłogi. Uszkodzony gmach mógł w każdej chwili runąć.

Zauważył wystającą spod gruzu rękę. Po chwili częściowo odkopał zwłoki Nylund. Miała pecha: jej głowę roztrzaskał ostry kawał muru.

On sam miał więcej szczęścia. Przed padającą ścianą osłonił go stół operacyjny i wywrócony wózek, a później kamienie tylko zsunęły się na niego.

Krążył po sali na oślep, szukając wyjścia. Podłoga zakolebała się. Należało jak najszybciej opuścić grożącą zawaleniem ruinę.

Przez pulsujący ryk, przypominający chwilami raczej serię wybuchów, usłyszał czyjś głos. Spod gruzu wystawały ramiona i głowa Saalsteina.

– Co z tobą?

– Cholernie boli mnie lewe ramię. Nie mogę się ruszyć – przytomnie odpowiedział Saalstein.

– Leż spokojnie. Możesz mieć połamane kości – Gavein zabrał się do pracy. Usuwał fragmenty płaskich płyt gipsowych. Obawiał się, czy tamten nie ma uszkodzonego kręgosłupa.

– To było cholerne trzęsienie ziemi. Zaczęło się dokładnie, kiedy Barth skończył trzeci zastrzyk – powiedział Saalstein. – Wszystko stanęło na głowie.

– A ja myślałem, że to tylko moja świadomość fika koziołka.

Skończył robotę.

– Spróbuj sam się podnieść, Saalstein. Nie chcę mieć na sumieniu twojego paraliżu, jeśli masz złamany kręgosłup.

Saalstein poruszył ręką, nogą, następnie zaczął się niezdarne gramolić.

– Jest nieźle. Boli mnie lewe ramię, aż promieniuje. Za to z kręgosłupem jest chyba w porządku. Pomóż mi wstać, Throzz.

Podniósł Saalsteina.

– Teraz musimy się stąd wydostać. Przydałby się temblak. Ręka boli jeszcze bardziej.

– Co ja ci znajdę? – Gavein wzruszył ramionami. – Tu nie ma, może w innej sali. Sprawdźmy wyjście na korytarz. Tam jest dużo potłuczonego szkła.

Podłoga znów zadrżała.

– Warto się pospieszyć.

Gavein usuwał gruz. Saalsteinowi biegały przed oczyma mroczki. Jego lewe ramię prawdopodobnie nie było złamane, tylko mocno stłuczone. Gruz osypywał się. Gavein odsłonił zimne, pocięte szkłem zwłoki Syskina. Śmierć dosięgła go, gdy wybiegał z sali. Odwlekli trupa za nogi, dzięki temu udało się otworzyć jedno skrzydło drzwi. Z metalowej ramy odpadły resztki szyby. Drgania podłogi nasiliły się. Tym razem huk przypominał przetaczający się grzmot.

– To chyba jeszcze gorszy syf niż trzęsienie ziemi – zauważył Gavein.

Saalstein wzruszyłby ramionami, gdyby nie miał stłuczonego obojczyka.

– Będziemy się martwić, jeśli stąd wyleziemy – burknął.

Szli wznoszącym się, zawalonym gruzem korytarzem.

W niektórych miejscach strop był zerwany i widać było wyższe lub niższe kondygnacje. Trafiali na leżące zwłoki. Sprawdzali, czy nie ma oznak życia, ale ich nie znajdowali. Żywi zbiegli wcześniej. Gdzieś zebrała się kałuża wody z rozerwanej instalacji. Gavein umył dłonie i twarz. Na uwagę Saalsteina, żeby się pospieszył, odparł, że może lepiej, jeśli David Śmierć przestanie istnieć.

– To nie takie proste. – Saalstein kopnął kawałek cegły i jęknął, bo szpila bólu przebiła ramię.

Klatka schodowa była zrujnowana; odpadła ściana zewnętrzna. Schodzili po trzęsących się schodach, wiszących od jednej strony nad przepaścią. Z góry sypał się tynk.

Gavein wychylił się i spojrzał na dziedziniec.

– Saalstein, popatrz, tam lecą spore głazy!

Ziemię zaścielały kamienie różnej wielkości, ciągle ich przybywało, spadały jak rzadki, nieregularny deszcz.

– Uważaj, bo spadniesz.

Udało się pokonać dwie kondygnacje. Niżej schody były zerwane. Pozostały trzy piętra. Byli na poziomie biur i pomieszczeń administracyjnych. Drgania osłabły. Świt rozgościł się na dobre. Opustoszały gmach sprawiał przygnębiające wrażenie. Niżej stropy były całe, chociaż jedno ze skrzydeł budynku runęło aż do fundamentów; ściany działowe popękały, inne były zwalone; pod stopami chrzęściło szkło.

– Saalstein, po której stronie szczeliny jesteśmy?

– O co ci chodzi? – Saalstein kulił się, ściskając bolące ramię.

– Od strony oceanu czy od strony Davabel?

– Przecież jest most przez szczelinę.

– Był most.

W jednym z pomieszczeń znaleźli obrus i sztućce, również noże. Saalstein okupił założenie temblaka kilkoma syknięciami, ale ożywił się, ramię mniej dokuczało. Nawet nabrał kolorów, nie był już trupioblady, choć nadal włosy kleił mu pot. Próbował odszukać wejście do którejś z ewakuacyjnych klatek schodowych wijących się spiralnie na zewnątrz budynku.

Nagle zatrzymał się.

– Throzz, chodź ze mną. Coś sprawdzimy.

Pobiegł korytarzem. Gavein z trudem nadażał za rannym Saalsteinem. Na tym piętrze nie było trupów. Właściwe drzwi były zatrzaśnięte. Za to z obu ścian działowych pozostała sterta potrzaskanych płyt gipsowych, Podłogę zaś małego pomieszczenia zalegała warstwa banknotów. Gavein westchnął. Saalstein niezgrabnie ukląkł. Całymi garściami napychał sobie kieszenie.

– Za to jest czapa, jak cię złapią.

– Nie przesadzaj, Throzz. Czapa jest za to może w Lavath. Brygada ratownicza zrobi to samo. Ty też bierz, ile zdołasz unieść. Przydadzą się na operację twojej Magdaleny.

Ostatnia uwaga przekonała Gaveina. Zaczął zbierać banknoty. Z początku próbował je układać w pakiety, ale dochodzące odgłosy detonacji zmuszały do pośpiechu. Wzorem Saalsteina rozpiął zamek błyskawicznego jednoczęściowego kombinezonu i wtykał garście banknotów pod kurtkę. Był szybszy, bo pracował obiema rękami. Wkrótce miał całkowicie wypchany kombinezon. Z trudem zaciągnął suwak. Nie miał bielizny pod spodem i banknoty zsuwały się niżej.

– Pierwszy raz w życiu forsa łaskocze mnie w jaja.

– Możesz sobie jeszcze forszą tyłek podetrzeć. Też będzie nowość – mruknął Saalstein. Gorzej radził sobie z upakowywaniem pieniędzy pod uniform.

– Dobra myśl – Gavein rozpiął kombinezon i przepchał banknoty do tyłu. Zmieściło się ich jeszcze sporo.

– Wolisz być dupiasty niż cyncaty i brzuchaty? – rzucił Saalstein.

– Urosła mi kompromisowa środkowa pierś – Gavein poklepał się po warstwie banknotów pod kurtką. Pomógł Saalsteinowi zapiąć wypchany kombinezon. Był już najwyższy czas do ucieczki. Mocne wstrząsy nadchodziły seria za serią.

Gavein uderzeniem barku otworzył drzwi ewakuacyjne. Stalowy warkocz schodów awaryjnych wisiał swobodnie. Większość wsporników była zerwana. Na ich poziomie schody zwisały luźno, o metr od ściany budynku, a pięterko – mały pomost, był przynajmniej półtora metra niżej.

Gavein cofnął się do wnętrza.

– No i co będzie?

– Jest druga taka sama.

Wychylił się: druga klatka schodowa leżała skrzycona na kupie gruzów.

Dziedziniec Urzędu wyglądał, jakby go zryły gigantyczne krety – zawałony betonowymi płytami i drobniejszym gruzem. Z nieba nieustannie padały większe lub mniejsze kamienie. Leciały, sycząc. Ktoś w białym płaszczu leżał nieruchomo.

W oddali niebo było jasne, odległe domy w Davabel oświetlało słońce, ale nad UN-em ciemniała fioletowo-brunatna, cuchnąca chmura.

– Słuchaj, Saalstein. Na tym piętrze są tylko dwie klatki awaryjne?

– Dwie.

– To druga leży sobie grzecznie na dziedzińcu. Saalstein zmeł pod nosem przekleństwo.

– Co robimy? – zapytał.

– Skaczemy. Metr w dal, półtora metra wzníž...

– Nie skoczę. Nie dam rady z tą ręką.

– Masz lepszy pomysł?

– Cienko mi tam na zewnątrz wygląda. To coś gorszego niż trzęsienie ziemi.

– Widzę przecież! Rodzi się wulkan.

– Jeśli z tej szczeliny, to po nas.

– Na razie nie podeszliśmy do niej – zauważył Gavein. – Tu nie ma na co czekać. Nikt po nas nie przyleci.

– Wręcz przeciwnie – mruknął Saalstein.

– Ja skoczę pierwszy, ty po mnie. Spróbuję cię przytrzymać.

Gavein skoncentrował się. Skok nie był trudny, tyle że nie można było chybić. Spadając z trzeciego piętra, połamałby nogi.

Trafił i złapał za pręty balustrady, żeby nie stoczyć się dalej po schodach. Uderzył boleśnie kolanem.

Konstrukcja klatki schodowej trzymająca się na jednym lub dwóch wspornikach u góry budynku, zaczęła drgać jak gigantyczna sprężyna. Metr w dół, metr w górę. Gavein trzymał się kurczowo; plastycznie wyobrażał sobie, jak ostatnia kotwa trzymająca całą konstrukcję, obluźowuje się i lada chwila wszystko runie.

Nie tym razem: drgania słabły.

– Teraz twoja kolej, Saalstein. Spróbuję zamortyzować twój skok.

– Boję się, jak cholera – powiedział Saalstein. – O tę rękę się boję – dodał.

Zaraz potem skoczył w ramiona Gaveina, niestety, trafiając lewym ramieniem w pręt. Ryknął jak zwierzę i jęczał, póki drgania konstrukcji nie ustały.

– Teraz to po rękę – syknął, gdy odzyskał mowę. – Musiało mi urwać nerw.

– Nie chrzań, Saalstein – powiedział Gavein. – Uciekajmy stąd, bo zlecimy z tym wszystkim. Jak będziesz martwy, to ręka przyda ci się tylko do ładnego ułożenia w trumnie.

Jakby na potwierdzenie jego słów, konstrukcja jęknęła, trafiona bombą wulkaniczną. Ostrożnie, ale w miarę szybko, zaczęli schodzić. Akompaniament wybuchów i syków nasilał się. Od strony morza jaśniała ruda luna. Właśnie stamtąd nadlatywały bomby.

Klatka schodowa wisiała w powietrzu, nie sięgała gruntu. Schody kończyły się dwa i pół metra nad ziemią.

– Ja pierwszy – zakomenderował Gavein.

Wybrał równe miejsce i skoczył, przewracając się i parę razy przetaczając na bok. Miał nadzieję, że w ten sposób zamortyzuje upadek. Mimo to upadł twardo i boleśnie. Szpitalne trzewiki nie nadawały się do akrobacji. Pod wpływem skoku cała konstrukcja jęknęła i wpadła w drgania. Utykając, pokracznie uskoczył spod zasięgu schodów. Kotwa wytrzymała.

Gdy drgania ustały, Saalstein skoczył ciężko, na obie stopy. Próbował ustać; obawiał się o kontuzjowane ramię. Trafił na równą płytę betonową, aż stęknął z bólu.

– Chyba mi flaki wyszły dołem – burknął. – Aż coś w środku trachnęło. Kręgosłup też.

– Trzeba było upaść jak ja. I tak ci urwało nerw, więc rękę masz załatwioną, a tak na dodatek masz przepuklinę.

Starali się jak najszybciej wyjść spod zasięgu padających kamieni. Gavein utykał, Saalstein stąpał przesadnie ostrożnie, zdrową ręką przytrzymując ramię na temblaku, bądź sprawdzając, czy

wnętrznosci jeszcze siedzą w brzuchu.

Teren był nachylony. Ostatnie trzęsienie ziemi spowodowało wypiętrzenie gruntu w pobliżu szczeliny. Musieli wspiąć się, aby opuścić teren UN-u.

Minęli leżącą postać w białym kitlu. Przypominała białą ćmę z rozpostartymi skrzydłami. Aurelia wypadła z okna podczas wstrząsów. Jej głowę otaczała ciemna plama krwi.

Od strony morza nadal jaśniała luna. Poblyskiwała i rozbrzmiewała hukiem detonacji. Stożka wulkanu nie było widać – może się jeszcze nie uformował. Kamienie padały gęsto, niektóre pękały w powietrzu na części. Na ziemi syczały i parowały. Gavein oberwał w plecy, ale banknoty wytlumiły uderzenie.

Łatwo przebyli częściowo zasypaną szczelinę, której brzeg formował skarpe. Za to wspinanie się w stromej, sypkiej ziemi okazało się uciążliwe. Zmęczony Saalstein ciężko sapał.

Już niemal na szczycie skarpy Gavein zauważył nadlatujący śmigłowiec.

– Trzeba mu jakoś dać do zrozumienia, że tu jesteśmy. Żeby nas zabrali.

– Nie śpiesz się z tym, Throzz. Lepiej przykucnijmy, może nas nie zauważą. Tu tak darń wystaje... Będziemy jak pod dachem.

Gavein był zdumiony.

– Lepiej czekaj i obserwuj.

Maszyna zawisała nad ruinami UN-u. Potem okrążyła słup ognia i pióropusz dymu z wulkanu.

Śmigłowiec trzymał się niskiego pułapu, żeby uniknąć spowolnienia czasu, teraz leciał prawie na poziomie dachów. Nagle linia białych punkcików poleciała od śmigłowca ku ziemi. Strzałów nie było słychać, ginęły w huku eksplozji wulkanicznych.

– Co on robi?!

– Generał Thomp działa. Może zobaczyli zwłoki Aurelii albo jakieś inne.

Ale ze mnie głupek – pomyślał Gavein. Przypomniał sobie dziwaczne wypowiedzi, gdy go usypiali.

Nad ich głowami przemknęła eskadra ciężkich bojowych śmigłowców uzbrojonych w kierowane bomby i rakiety. Maszyny również trzymały się wysokości realnej, huk ich wirników dał się słyszeć pomimo wulkanu.

Pod zwisającym płatem darni uciekinierzy byli niewidoczni z góry. Eskadra przeprowadziła wzorowy atak, dokładnie bombardując i ostrzeliwując rakietami ruiny Urzędu Naukowego. Po wykonaniu zadania śmigłowce uformowały szyk, zakręciły nad oceanem i zawróciły ku Davabel. Tamten pierwszy śmigłowiec stale krążył, prawdopodobnie kierując ogniem.

Ponad nimi przemknęła druga eskadra, potem trzecia, czwarta i piąta. Wszystkie po kolei bombardowały teren. Śmigłowiec rozpoznawczy też ostrzeliwał wybrane cele.

– Ciekawe, czy to sam Thomp siedzi w tej maszynie?

– Bardzo możliwe. To w jego stylu. Lubi brać osobisty udział w zaplanowanych przez siebie akcjach. Throzz, strąć ten śmigłowiec!

– Gdybym potrafił...

– To co z ciebie za Śmierć?

– Przynajmniej nie mam wyrzutów sumienia z powodu tego szmalu – Gavein poklepał się po brzuchu.

– Przestał cię drapać?

– Nie może drapać, przesunąłem go do tyłu, a na tyłku mam skórę jak nosorożec. Rozumiesz: lata pracy za biurkiem... – urwał. Od strony Davabel nadlatywały kolejne eskadry. Metodycznie kontynuowały niszczenie.

– To te same śmigłowce, co poprzednio. Poznałem po oznaczeniach. Uzupełniły amunicję i paliwo i znowu do roboty.

– Thomp to systematyczny facet.

– Ma sporo zachodu, żeby mnie załatwić.

Saalstein pokiwał głową.

– Po co był ten cały cyrk z badaniami? Mogli mnie zakatrupić jeszcze w domu.

– Zabić kogoś w majestacie prawa, to nie jest prosta rzecz. Tym bardziej kogoś, kto nikogo nie zabił, czyli formalnie niewinnego. Więc próbowali zrozumieć zjawisko. Przeprowadzali badania, zgodnie z planem Syskina.

– No, ale w końcu podjęto decyzję pokrojenia mnie żywcem na stole.

– Nie wtedy. Wcześniej. Podjęli tę decyzję, jak umarł Balayev. Przyjęli plan Thompa. Przestraszyli się o swoje tyłki. Dodatkowym straszakiem były statystyki Medvedca. Robiły wrażenie. A potem te nieudane próby.

– Jakie próby? Coś robiliście?

– Jakże nie... Najpierw Winslow miała ci zrobić kroplówkę ze spirytusu. Czeczuga miał z rentgena dołożyć ci taką dawkę, od której topnieje cienka blaszka. Nie wyszło, więc Winslow miała wstrzyknąć ci komórki raka, ale sama się pokłuliła i pewnie już jej coś rośnie.

– Słuchaj Saalstein, czyście... Czy te sukisyny wszczepiły coś mojej żonie?! – Gavein zbladł, zacisnął usta.

– O niczym takim nie słyszałem. Jej choroba pochodzi z czasów, kiedy nikt nie wiedział, że jesteś Śmiercią. To, co zrobiły z nią strażniczki podczas transportu z Lavath, nie ma nic wspólnego z nami.

Wyglądało, że mówi szczerze.

– Było dużo roboty z przygotowaniem tego wszystkiego na mnie?

– Kilkogodzinne narady, jak zrobić, żebyś się nie zorientował; głosowania w środku nocy. Na końcu ten Leroy... Miał cię podłączyć do wysokiego napięcia, a ty go załatwiłeś.

– Ja nic nie zrobiłem.

– Ale umarł. To się liczy. A potem operacja przerwana przez trzęsienie ziemi. W końcu to ty załatwiłeś Urząd, a nie odwrotnie.

– Wulkan załatwił, nie ja.

– Na jedno wychodzi.

– Mówiłeś, że były głosowania. A ty jak głosowałeś?

– Oczywiście za. Uważałem, że to najlepsze rozwiązanie.

– To dlaczego nie wypchniesz mnie z tej kryjówki, jak przelatuje któraś z eskadr? Dostanę serię z karabinu maszynowego i po sprawie. Thomp zmarnuje mniej państwowych pieniędzy.

– Są trzy powody – odpowiedział Saalstein po zastanowieniu. – Wymienię je w przypadkowej kolejności. Po pierwsze, uratowałeś mi życie, wyciągając spod gruzów. A Thomp i cała reszta chcą mnie zabić. Gdyby nie ty, leżałbym tam porozrywany na kawałki ich bombami – wskazał w kierunku ruin. – Po drugie, gdyby chłopcy Thompa zobaczyli cię, to nie skończyłoby się na strzelaniu z karabinu maszynowego, ale cały teren w promieniu kilometra obsypaliby taką liczbą bomb i rakiet, że i ze mnie nic by nie zostało. A po trzecie, gdybym nawet zdecydował się poświęcić dla ludzkości i zginąć, to jestem przekonany, że zginąłbym tylko ja. A ty znowu uszedłbyś z życiem. Nie można przecież zabić Śmierci.

– Wierzysz, że jestem Śmiercią?

– To nie jest wiara. To przyjęcie najprostszej rozsądnej hipotezy tłumaczącej fakty. Po prostu jesteś.

Raz za razem nadlatywały eskadry Thompa i rozbijały budynki UN-u w coraz drobniejszy pył. W miarę jak ruiny były coraz niższe, wyłaniał się zza nich powstający wulkan: jezioro ognia, krateru jeszcze nie miał. Z wnętrza bluzgały języki lawy i wystrzeliwały płonące głązy, a strumień dymu formował ciemną chmurę. Gavein pomyślał, że powstający stożek na zawsze pogrzebie resztki UN-u. Kilkakrotnie śmigłowce zrzuciły ładunek tak blisko, że odłamki zaświstały wokół głązów, ale w kryjówkę pod skarpą nie trafiły.

Czekali do wieczora, chociaż śmigłowce nie pojawiały się już od paru godzin. Mimo mroku, ledwie rozjaśnianego błyskami wulkanu, trzeba było znaleźć wyłom w nawieszającej się darni lub zwisających płatach asfaltu. Gavein wspiął się pierwszy, pomógł Saalsteinowi. Na górze rozejrzeli się: obszar nadmorski obniżył się o kilkanaście metrów względem poziomu Davabel. Widać było języki lawy ściekające z tworzącego się wzgórzka wulkanu. Cały obniżony obszar był pofalowany i pocięty dziesiątkami szczelin i pęknięć. Za tym potrzaskanym skrawkiem terenu był już ocean, chociaż skrywał go klif i mrok.

Kto by przypuścił, że trzy tygodnie temu stały tu imponujące gmaszyska – pomyślał Gavein.

Poszli w kierunku widocznych w oddali budynków Davabel. Wokół walał się gruz, fragmenty murów, framug, okien i inne przedmioty pochodzące z budynków zburzonych na cześć przybycia Gaveina do Urzędu Naukowego.

Nurtowała go natrętna myśl.

– Słuchaj Saalstein, czy zabicie Haigha i Lailli mogło być częścią planu Thompa?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Sądząc po dzisiejszym wyczynie, potrafi wiele. Mogli mu podsunąć jakąś teoryjkę o zakażeniu śmiercią.

– Ty wiesz coś o Ra Mahleine! – wrzasnął Gavein i szarpnął Saalsteina za kurtkę. – Gadaj, skurwielu, bo ci łeb rozwalę kamieniem!

– Uspokój się, Throzz. Nic nie wiem. Wczoraj na pewno jeszcze żyła. Jeśli wczoraj była ta twoja operacja... A jak będziesz się darł, to ściągniesz nam na głowę jakiś patrol.

Podziałało. Gavein zwiesił głowę i szedł spokojnie.

Mijali obszar, gdzie z ziemi unosiły się z sykiem kłęby pary wodnej. Znów śmierdziało dwutlenkiem siarki. Na ziemi tworzyły się jasne wykwitry, małe nieregularne wzniesienia, jakieś grzybki, paliki.

– Fumarole – powiedział Saalstein. – Wykształca się piękny obszar wulkaniczny ze wszystkimi szyskanami. Dotąd znałem to tylko z książek. Wulkany są wyłącznie w Ayrrah, na północy i na samym południu.

Znowu szli w milczeniu.

– Jutro Thomp wjedzie tu czołgami. Sądzę, że tej nocy wpadnie na ten pomysł. Pewnie nie śpi i medytuje, czy właściwie wypełnił swój obowiązek.

– Jak się przedostaniemy przez kordon, który otacza cały teren?

– Może nie ma kordonu. To trzęsienie ziemi musiało być solidne, skoro teren się zapadł i powstał wulkan. Jeśli dosięgło zabudowań Davabel, to kordonu może już nie być.

– A jeśli jednak będzie?

– To damy się złapać. Tobie i tak nic nie zrobią – jak uczy doświadczenie. A do mnie nic nie mają.

Wreszcie dotarli do pierwszych domów. Kordonu nie było. Szli mroczną ulicą, deptając po potłuczonym szkłe. W poświacie rozgwieżdżonego nieba widać było, że wiele budynków zostało poważnie uszkodzonych. W żadnym z okien się nie świeciło. Tu i ówdzie stały porzucone samochody. Saalstein spróbował uruchomić jeden, potem drugi.

W którymś kolejnym znaleźli kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył Saalstein prowadził jedną ręką, Gavein zmieniał biegi. Jechali wolno, niepewnie. Saalstein odważył się zapalić światła. Miasto wyglądało na wymarłe. Jechali aleją, więc nie oddalali się od wybrzeża. W ciemności nie dało się odczytać jej numeru.

Po godzinie jazdy dotarli do normalnie oświetlonych ulic. Gavein odetchnął. Przestał obawiać się, że kataklizm zniszczył całe Davabel, a wszyscy zginęli.

Mijali pojedyncze samochody. Na chodniku trafiali się przechodnie. Saalstein skręcił w prawo, na północ. Tu nic nie wskazywało na to, że na południowo-wschodnim skraju Davabel miało miejsce trzęsienie ziemi.

Podjechali do stacji benzynowej. Saalstein przygotował banknot.

– Do pełna – rzucił facetowi z obsługi, nie wysiadając z wozu. Ręka na temblaku i kombinezon mogły wydać się podejrzanym. Gavein, jak przystało na Śmierć, siedział ukryty w mroku.

Mężczyzna wrócił po zapłatę.

– U was też się trzęsło? – zapytał. – Bo u mnie nawet budzik spadł z komody.

– Jeszcze bardziej – odburknął Saalstein zgodnie z prawdą. – Myślałem, że mi flaki wyskoczą gardłem.

Mężczyzna zachichotał.

– Tego Śmiercia załatwili dzisiaj na dobre. Podobno zbombardowali cały teren. Nawet mysz nie przeżyła. Mówili w telewizji.

– Słyszeliśmy, jak przelatywali.

– Albo go wulkan załatwił, albo nasi chłopcy. Wreszcie będzie spokój.

Zajrzał do wnętrza wozu.

– Hej...! Ty masz łapę rozwaloną. Trzeba ściągnąć pomoc.

Saalstein podał mu banknot.

– Poradzę sobie. Mogę nią ruszać. Jest tylko potłuczona.

– Ty masz, chłopie, mundur UN-u... A może ty Śmierć? – Spojrzenie nieznanego stało się poważne, resztki uśmiechu błąkały się jeszcze na ustach.

– Nie wiesz, że temu Śmierciowi ciało odchodziło od kości i że biegał z gołą czaszką? – Saalstein powtórzył stary dowcip.

– Kości mu się też rozleciały w różne strony, jak go nasi chłopcy obsypali bombami – mężczyzna roześmiał się i wydał Saalsteinowi resztę.

Ruszyli.

– Myślisz, że to kupił? – zapytał Saalstein.

– Myślę, że właśnie dzwoni na policję. Saalstein skinął głową.

– Ja też tak sędę. Masz jakiś pomysł?

– Mam zupełny zatward.

– Co?

– Nie wiem. Skręć w bok i omiń parę przecznic, a potem jedź równoległą do tej tak szybko, jak możesz.

– Dość głupawe.

– Zgadza się. To tak zrób. Jeszcze jedno: ściągnij ten temblak. Ręka ci już nie odleci. Po co każdy ma go widzieć.

Saalstein przyspieszył. Jechali całą noc i nikt ich nie zaczepił. Widocznie mężczyźni na stacji benzynowej nie chcieli się zadzwonić na policję, a może spotkał innych uciekinierów z UN-u.

Następnego dnia przed południem dotarli do Centralnego Davabel. Tak jak i okolice UN-u, zostało opuszczone przez mieszkańców. Kordonu nie było.

Może już nie jest potrzebny? – pomyślał ze zgrozą Gavein.

Dojechali do 5700 Alei. Saalstein zatrzymał wóz na skrzyżowaniu.

– Wsiadaj, Throzz. Odwiozłem cię na miejsce. Masz przed sobą najwyżej pięćdziesiąt przecznic. Za dzień dojdiesz. Wracam do domu, pieprzę to wszystko. Dalej cię nie zawiozę, bo możesz mieć w domu gości, których nie chciałbym spotkać.

– W porządku, Saalstein. I tak dużo dla mnie zrobiłeś.

– Wyświadcz mi za to jedną przysługę.

– Jaką?

– Raz mi uratowałeś życie, to nie załatw mnie po swojemu, dobrze?

– Gdybym miał na to jakikolwiek wpływ, to ani ciebie, ani nikogo innego... Rozumiesz? – Gavein uściskał mu dłoń.

– Rozumiem, to znaczy chciałbym zrozumieć. Żeby chociaż ta twoja Ra Mahleine była zdrowa i cała.

– Skąd znasz jej imię z Lavath?

– Z protokołów przesłuchań.

Saalstein skinął Gaveinowi i zatrzaskał drzwiczki.

W tym momencie Gavein dostrzegł ich kątem oka i zanurkował do bramy. Był szybki, nie zauważyli go. Zza rogu wyszedł patrol, chyba z ośmiu gwardzistów. W hełmach i panterkach; na plecach nieśli broń automatyczną.

– Hola! Hola! – krzyknął ich dowódca do Saalsteina. – Nie tak szybko. Wsiadać!

Żołnierze wycelowali broń w furgonetkę. Dwóch miało ręczne granatniki. Mogli rozbić wóz na strzępy.

Saalstein wysiadł. Gavein tkwił w bramie, bojąc się ruszyć, całą scenę widział w szczelinie uchylonych wrót.

– Rączki – powiedział jeden z nich i machnął lufą automatu.

Saalstein posłusznie podniósł ręce do góry.

– Obszukać go – rozkazał dowódca. Mówił cicho. Nie musiał krzyżeć. Ton jego głosu nie dopuszczał sprzeciwu.

– Chwileczkę! Jestem doktor Yullius Saalstein z Urzędu Naukowego.

– Spokojnie! Nie ruszaj się! – żołnierz dźgnął Saalsteina lufą automatu w plecy.

Drugi z nich rozpiął mu zamek kombinezonu i wyciągnął garść banknotów.

– Sierzancie...! On jest nadziany jak kaczka świąteczna – pokazał dowódcy pieniądze.

– To wybierz nadziewkę, Brown. Kratz, nadstaw nocnik.

Żołnierz wybierał garściami banknoty spod kombinezonu Saalsteina. Wsuwał rękę po łokieć i wydobywał ciągle nowe. Drugi z nich zdjął hełm i do niego składali łup.

– Z tyłu też ma garba – zauważył ten, który mierzył Saalsteinowi w plecy.

– Wyleczymy garba – Brown wsadził mu łapę aż na plecy.

– Jestem doktor Yullius Saalstein z Urzędu Naukowego, Yullius Saalstein, kierownik Wydziału Biologicznego UN – powtarzał jak ogłupiały. – Żądam natychmiastowego skontaktowania z generałem Thompem!

– Ho! Ho! Ho! Ale mu się zachciewa! – zarechotał sierżant.

Brown wyciągał pieniądze garść za garścią. Kratz ubijał je pięścią w podłożonym hełmie. W końcu przestał.

– To będzie tyle. W dupie mu grzebał nie będę.

– Wystarczy. Brown, odsuń się na bok – powiedział powoli sierżant.

– Co wy chcecie zrobić!?! – krzyknął Saalstein. – Żądam skontaktowania z Thompem! – znowu zaczął swoje. – Pożałujecie! Thomp wam nie daruje!

– To jest pieprzony złodziej – powiedział sierżant. – Właśnie obrabował kasę sklepową. Prawda, Bobrov?

– Tak jest, sierzancie. Widzieliśmy, jak rabował kasę sklepu – odpowiedział ten, co mierzył wcześniej Saalsteinowi w plecy.

– Rozbił witrynę i rabował sklep – powtórzył obojętnie inny. Podeszedł do najbliższej witryny

i rozbił ją kolbą. – O, właśnie ten sklep obrabował.

– Nie wygłupiajcie się...! Ja...! Ja...! – krzyknął Saalstein. Nagle odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Sierżant od niechcienia pociągnął za spust. Rozległ się suchy trzask serii wystrzałów. Na bruk posypały się łuski. Saalstein runął, jak ścięty kosą; jeszcze trzepotał w konwulsjach. Wokół niego zbierała się kałuża krwi.

– Rzucił się na mnie. Działalem w obronie własnej – powiedział sierżant.

– Tak jest, działał pan w obronie własnej – powtórzył Bobrov.

– To był chyba jakiś szaleniec, może gwałciciel – podsumował Brown.

– No, to teraz podzielić to na osiem równych części – rozkazał sierżant.

Gwardziści nadstawili hełmy, a Brown, głośno odliczając kwoty, rozdzielał łup. Swoją część chował od razu do kieszeni.

Bobrov podwinął rękawy munduru – przedramiona miał głęboko podrapane; krew zastygła w brunatne linie.

– Regulamin zabrania podwijać rękawy, jeśli temperatura nie przekracza dwudziestu pięciu stopni. Masz nauczkę, Bobrov – przyganił sierżant.

– Miała suka cholerne pazury. – Bobrov założył hełm. – A do tego skurwielsko brudne łapy. Grzebała nimi wcześniej w popielniku albo sobie w kroku.

– Stałaś jej na ręce, dlatego były brudne – zauważył kapral Jura.

– Musiałem stanąć, bo wywijala nimi jak wiatrak. Stara kłępa. Będzie mi teraz ropiało przez miesiąc. – Bobrov starannie oglądał zadrapania. – Gruba, a taka zwinna.

– Tylko Brown miał frajdę – powiedział jeden z żołnierzy.

– Jasne, Kratz. Ty jak zwykle miałeś pecha.

– Żebyś wiedział. Stara była jak ropucha, jeszcze się munduru czepiała. Musiałem jej przyłożyć kolbą, żeby się przestała lepić. Nie to, co Pani Śmierć, prawda, Brown?

Gavein struchlał z przerażenia.

– Pewnie, taka młodziutka. Palce lizać.

Miał ochotę rwać ich na strzępy. Czuł przygniatającą bezsilność. Trudno dyskutować z sześcioma pistoletami automatycznymi i dwoma granatnikami naraz.

Przez chwilę myślał, żeby ich zaatakować gołymi rękami i liczyć na swą dziwną nietykalność. Zaraz jednak wydało mu się to bezsensowne: jeśli nie jest nietykalny, zginie, zanim wymierzy im karę, a jeśli oni mówią o kimś innym, nie o Ra Mahleine?

Kiedy wreszcie skończą dzielić się pieniędzmi?

Z ich rozmowy wynikało, że zamordowali kilka osób: bardzo młodą dziewczynę, o której mówili Pani Śmierć; jakieś starsze kobiety, z których jedna broniła się zajadle, oraz starego mężczyznę, obłożnie chorego, którego zakłuł bagnetem Kratz.

Gavein słuchał ze zgrozą. Przed oczyma przebiegały straszne obrazy.

– Kratz, Brown, spalcie to pudło – sierżant wskazał na furgonetkę.

Oddział cofnął się kilkanaście metrów, a wyznaczeni żołnierze puścili po serii w zbiornik paliwa. Wyciekło i zapaliło się niewiele benzyny, nie wystarczyło do podpalenia samochodu.

– Ciech... – mruknął sierżant. – Przyjechał na pustym baku. Pewnie z daleka.

– Może naprawdę był z UN-u. Taki podobny kombinezon... – powiedział tłusty, z rzadkimi zębami.

– Bez żartów, Olszovsky – warknął sierżant i butem odwrócił ciało Saalsteina twarzą do góry. – Z dupy, a nie z UN-u – zawyrokował. – Tamtego Śmiercia znam z fotografii. Ten jest inny, starszy.

– Ty to się, kutasie, zawsze wyrwiesz! – zachichotał Bobrov i poczęstował Olszovsky'ego papierosem.

– No, to zabieramy się stąd. Warto wrócić do koszar. Tylko mi gały wybałuszać we wszystkie strony, jak skurwielskie bazyliuszki. Tacy złodzieje trafiają się parami, jak nieszczęścia. Może będzie drugi do pary, to i chwała ojczyzny większa. – Sierżant oparł karabin na ramieniu.

– Sierżant Kusyj to zawsze służbista – mruknął kapral.

– Za mną marsz – zakomenderował Kusyj.

Zmusił się, aby odczekać w bramie kwadrans. Był piękny, wiosenny, słoneczny poranek. Do ciała Saalsteina zlatywały się muchy.

Wreszcie wyrzwał z kryjówki. Niepokój o Ra Mahleine tłumił inne myśli. Mijał potłuczone witryny sklepowe, napotykał wraki spalonych samochodów.

Przyspieszył kroku. Porozbijane latarnie uliczne, rozrzucone gazety, rozprute, cuchnące, czarne worki ze śmieciami. W końcu pobiegł. Niezgrabnie, nierówno, utykając na skrzyżowaniu. Saalstein podwiózł go całkiem blisko. Wkrótce rozpoznał znajomą 5665 Aleję. W płucach mu grało, przed oczami latały mroczki. Musiał zwolnić; potem znowu przyspieszył. Jeszcze kilka ulic, jeszcze kilka porzuconych samochodów; wreszcie dwa wraki wojskowych ciężarówek i spalona kwiaciarnia. Skrzyżowanie 5665 Alei i 5454 Ulicy.

Dostrzegł ją z odległości dwustu metrów. Siedziała w fotelu na kółkach i patrzyła w jego kierunku. Ostatnie metry biegł sprintem. Zdyszany ukląkł przed nią i objął ją ramionami, nie mogąc złapać tchu. Przycisnęła jego głowę do piersi.

– Gavein, jednak zdążyłeś.

Potem zmierzwiła mu włosy.

– O mało mi nie rozbiłeś okularów – powiedziała i zaczęła się śmiać i płakać jednocześnie. On też. Nie przypuszczałby wcześniej, że to potrafi.

W pewnym momencie już bardziej chcieli rozmawiać, niż się tulić.

– To było dłużej, niż obiecywałeś – powiedziała z wyrzutem.

– Nadużyli mojego zaufania.

– Aleś ty gruby! – roześmiała się.

– Nie gruby, tylko wypchany. Opowiem ci za chwilę. Co z nią? – wskazał na drobną postać, skuloną w kłębek na bruku i szlochającą. Widać było kłęb ognistych rudych włosów. Twarz wtuliła w kolana.

– Zastrzelili jej matkę. Płacze od rana.

– Zastrzelili? Kto to zrobił? – przed oczyma stanął mu oddział sierżanta Kusyja.

– Nie wiem. Wywiozła mnie na spacer. Widziałyśmy tylko z daleka, jak wychodzili z domu. Ośmiu, może dziesięciu gwardzistów. Odjechali gazikiem. Potem rozbili go na latarni i poszli pieszo. Mogli być pijani.

– Nie byli pijani.

– W domu jest jatka. Wszystkich zabili. Przecież nie ciebie szukali, skoro cię wypuścili... Sama nie wiem. Chodziłam tam i to oglądałam. Potem musiałam odciągnąć Lorraine od trupa jej matki. A wiesz przecież, że ledwie chodzę. Częściej jeżdżę na wózku.

– Pójdę zobaczyć.

– Lepiej nie. To zbyt straszne. Eddzie rozbili głowę. Podłoga jest pochlapana jej mózgiem. Mass leży podżgany nożem. Mrynę zastrzelili. Nad Anabel znęcali się szczególnie. Ona jest w naszym mieszkaniu. Przyszła posprzątać. Leży naga z paskiem zaciśniętym na szyi. Wiesz, ona ma ciało jeszcze nie rozwiniętej dziewczyny. Takie małe piersi i za duże dziurki od nosa. Widać je, jak leży. Ja jej nienawidziałam, a teraz mi jej żal. W mundurze wyglądała staro.

– Oni wzięli ją za ciebie. Podśluchałem ich rozmowę. Sądzę, że wysłał ich Thomp. Zabili człowieka, który przywiózł mnie z UN-u. Przypadkiem nadzialiśmy się na nich. Ja zdążyłem się skryć, a jego zastrzelili. Wiesz, że UN-u już nie ma?

– Mówili dziś rano w telewizji. Okropnie bałam się o ciebie.

Odsunął się i lekko ujął jej twarz w dłonie. Przyjrzał się jej uważnie. Szczupła twarz Ra Mahleine wydawała się chuda. Skóra była napięta na kościach policzkowych. Cerę miała opaloną dzięki częstym spacerom w towarzystwie Lorraine. Oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle.

i jeszcze bardziej błękitne. Wzrok był bardzo mocny, natarczywy. Może dlatego, że zdjęła szkła, które pomniejszały jej oczy. Za to otoczenie oczu było sinobiałe, chorobliwe, ale może mylił się, może to tylko efekt opalania się w okularach. Włosy zdążyły spłowieć od wiosennego słońca i przyjemnie odcinały się od opalenizny.

– Jesteś piękna jak młoda bogini. Uśmiechnęła się bardzo blado i smutno.

– Kiedy ty wreszcie zobaczysz prawdę?

W odpowiedzi wsunął dłonie w jej włosy. Były sypkie i puszyste.

– Kocham twoje włosy.

– Prawie mi łysaczek prześwieca. Bardzo rzędną.

– To będziesz kochany Łysaczek. Opalisz go sobie na taki sam kolor, jak buziaka.

– Wiesz, że mną jest już naprawdę źle. Widzę, jak wyglądam. Pod spodem – gestem wskazała na swoją bluzkę.

– Bardzo chudnę. Za to brzuch mi wydyma jak balonik, a piersi to już chyba wiszą do pasa. A przecież jeszcze niedawno nie wisiały.

– Przywiążę cię do wózka, żebyś nie pofrunęła za tym balonikiem.

Lekko ścisnął palcami jej skronie. Lubiła to.

– Teraz poścągamy Kotkowi Manułowi potencjały, żeby łepetka nie bolała... i nie wymyślała głupot.

– To ciało wymyśla, a łepetka tylko rejestruje.

– No to, żeby nie rejestrowała.

– Nie uda się. Wystarczy popatrzeć do lustra i od razu zaczyna. A nie patrzeć się nie da.

– Daj spokój. Problem może być dopiero, kiedy zaczniesz potykać się o nie. Wtedy będziemy musieli coś zaradzić, bo można sobie rozbić głowę, a na razie nie ma sprawy. – Żarty wychodziły marnie.

– Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Gdybym mogła urodzić tego stawonoga, to może byłby spokój. Mogłabym wtedy urodzić ci kogoś innego. A tak, to tylko ten stawonóg mnie obgryza, aż wióry lecą... czerwone.

– Co na to Nott?

– Scholl? Od trzech dni nie dzwoni.

– Miała przecież zrobić ci tę operację.

– Do pewnego czasu się kontaktowała, przywozili od niej lekarstwa, które mi przepisała. A teraz nic, cisza. Wszystko się urwało.

– Trzeba zrobić z tym porządek. – Podniósł się.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zadzwoń do Thompa. Przerwać mu triumfalną odprawę po akcji.

– Zwariowałaś? Dowie się skurwiel, że żyjesz.

– To co? Musimy coś jeść. Ktoś powinien wywieźć trupy. I muszą cię leczyć. Ostatecznie zrobili mnie Davidem-Śmiercią i z tego powodu winni mi są wiele.

– Gavein – powiedziała. – Udało nam się przetrwać wielkie niebezpieczeństwo. Nie trzeba kusić losu dalej. David Śmierć to wymysł Eddy, podchwycony przez głupiego Medvedca, który uruchomił to paranoiczne śledztwo. Myślę, że równie dobrze można udowodnić, że Śmiercią jest Medvedec. Albo ten Thomp czy ktokolwiek inny. Jediną informację o śmierci niosą Imiona Ważne i nic poza tym.

Słowa Ra Mahleine potwierdzały jego wewnętrzne przekonanie. Nie chciał uwierzyć, że jest Śmiercią.

Podszedł do niej od tyłu i wsunął dłonie w jej włosy.

– Zaplotę ci warkocz, Kocie Manule. Chcesz?

Nie odpowiedziała, ale oparła głowę wygodniej.

– Lorraine – odwrócił się. – Przynies jakiś grzebień, tylko czysty, nie pochlapany.

Nie zareagowała.

– Wybacz, Lorraine – spieszył się własnym zarozumiałstwem. – Ale nie traktuję cię jak służącą...

– Jest w porządku. – Tym razem usłuchała i zniknęła w drzwiach.

Zaraz jednak wróciła, przerażona i szlochająca.

– Przepraszam, Dave, ale grzebień jest w komódce pod lustrem, a tam na podłodze leży mama i patrzy na mnie. Ja nie mogę – rozplakała się w głos.

Na parterze zastał poprzewracane meble, połamane stołki; wszędzie plamy krwi. Edda leżała na podłodze, jej rozbita czaszka odsłaniała mózg; zastygłe, przekrwione oczy były otwarte; palce lewej ręki zgruchotano; w wyciągniętej prawej dłoni trzymała strzęp tkaniny.

Massmoudieh leżał na kanapie w kuchni otoczony ciemną kałużą; w kącikach ust miał zaschlą, różową pianę; jego ciało na piersiach stanowiło krwawą, postrzępioną masę. Musiał dostać kilkadziesiąt pchnięć bagnetem. Kanapa była podziurawiona w wielu miejscach. Chłopcy sierżanta Kusyja nie zawsze trafiali do celu. Fatima siedziała w fotelu z głową odchyloną do tyłu. Na wysokości prawego obojczyka zaczynała się brunatnoczerwona głęboka bruzda i kończyła na wysokości lewego biodra. Jak wstęga upiornego orderu. Seria z karabinu przebiła oparcie fotela na wylot, kałuża krwi zebrała się za nim.

Wbiegł na piętro. Drzwi były rozbite. Mryna leżała na podłodze; widać było, gdzie została trafiona – krwawych plam było przynajmniej osiem; mętny wzrok wbiła w sufit; usta rozdziawione jak do krzyku. Ostrożnie obszedł ją, aby nie wdepnąć w kałużę. Lustro stłuczono, ale komoda ocalała. Wziął grzebień z szuflady i schował do kieszeni.

Apartament Wilcoxów był zdemolowany. Wokół walały się puste butelki po wódce. Brenda leżała na tapczanie zwinięta w kłębek. Tutaj spotkała ją seria pocisków. Woniało alkoholem.

Może dobrze – pomyślał. – Może była nieprzytomna.

Nie zgwałcili jej. W przepoconej, brudnej odzieży, cuchnąca wódką, nie wydała się im wystarczająco ponętna.

Drzwi do jego mieszkania też rozbito. Anabel leżała z rozrzuconymi nogami na materacu. Głowę miała odgiętą do tyłu, twarzy nie było widać, tylko dziurki od nosa. Ciało miała półdziecinne, białe i nie uszkodzone. Podeszedł krok bliżej. Na szyi zaciśnięto jej pasek od podomki.

Jej twarz wyglądała przerażająco: oczy nieruchome, białka nabiegłe krwią; skóra sinoszara, obrzmiała; z ust wyłaził napuchły język; pod jej lewą piersią zauważył niedużą owalną ranę od uderzenia bagnetem. Któryś z oprawców skrócił jej mękę. Uderzenie było bardzo silne, ostrze przebiło na wylot ją i materac.

Wrócił na parter. Włączył telewizor. Na ekranie ukazał się Thomp. Wyglądał starzej niż zwykle; wzrok miał przygaszony; twarz wisiała na kościach policzkowych, jak pranie na sznurku.

Byłby niezłą Śmiercią... – pomyślał Gavein. – Jest niezłą Śmiercią – poprawił się w myśli.

– ...Komitet kierowany przeze mnie podjął niezbędne kroki, aby uwolnić Davabel od strasznego zjawiska związanego z Davidem Śmiercią. Obecnie mogę zagwarantować, że człowiek ten nie żyje. Wierzmy zatem, że epidemia zgonów dobiegnie końca. Nie wiemy, ilu z nas jeszcze umrze, kto jeszcze zetknął się z Dawidem Śmiercią. Ja też się z nim zetknąłem. Ale wiem, że nie rozprzestrzeni się to na nikogo nowego. Ochroniliśmy nasze dzieci. Ochroniliśmy Davabel. Niestety cena, jaką za to zapłaciliśmy, jest wysoka. Zupełnemu zniszczeniu uległ Urząd Naukowy. Centralne Davabel przypomina wymarłą pustynię. Nie można winić nikogo, że chroniąc swoje życie, opuścił miejsce zamieszkania, nie będą wyciągane z tego powodu żadne konsekwencje. Ale teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, zostaną zapewnione warunki powrotu do domów rodzinnych. Jednocześnie zwracamy się do ludności z prośbą o cierpliwość i wyrozumiałość, ponieważ powrót do opuszczonych dzielnic miasta będzie możliwy dopiero po zabezpieczeniu opuszczonego mienia przez Gwardię i Obronę Cywilną. Chcemy uniknąć przypadków grabieży. Słowa szczególnego uznania chciałbym skierować do funkcjonariuszy Gwardii i żołnierzy Obrony Cywilnej. Oni to odegrali główną rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa ludności podczas ewakuacji oraz podczas rozwiązania problemu Davida Śmierci...

Ostatnie słowa rozwścieczyły Gaveina. Thomp przebrał miarkę!

Wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i owinął nią zakrwawioną słuchawkę. Doskonale pamiętał numer. Po tamtej stronie linii zachrypiał czyjś głos.

– Z pułkownikiem Medvedcem. To ważne.

– Pułkownika nie ma. Jest w ministerstwie. Proszę powiedzieć, o co chodzi, a ja mu to przekażę, gdy wróci. Mówi porucznik Adams.

– Słuchajcie no, Adams – Gavein nauczył się rozmawiać z funkcjonariuszami. – Jeśli chcecie jeszcze jutro pierdzieć w swój służbowy stołek, to dajcie mi Medvedca, Natychmiast! Mówi David Śmierć.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Ktoś przytknął dłonią słuchawkę. Rozległ się ledwie słyszalny stuk włączającego się aparatu zapisującego i namierzającego.

– Taak... proszę powtórzyć – powiedział Adams.

– Słyszeliście wyraźnie. Teraz ja czekam. Przez chwilę trwała milcząca rozgrywka.

– Nie ma Medvedca... Wróci za godzinę.

– Podajcie numer, pod którym go złapię. – Gavein starał się mówić możliwie najzwięźlej.

Uważał, że w chwilach milczenia, nie są w stanie namierzyć, skąd dzwoni.

Mylił się oczywiście.

– To nie jest możliwe. Numery ministerstwa są utajnione. Proszę podać swój numer, pułkownik Medvedec zadzwoni zaraz, gdy wróci.

– To żarty – prychnął Gavein. – Za dziesięć minut chcę usłyszeć Medvedca. – Odłożył słuchawkę.

Po dziesięciu minutach Adams przełączył rozmowę dalej. Zatrzeszczało.

– Słucham? – rozległ się głos Medvedca.

– Mówi Gavein Throzz. Czy mam wyjaśniać, że nie z zaświatów?

– To jednak pan...

– Dokonaliście zbiorowego morderstwa na niewinnych ludziach. Domagam się ukarania morderców, to znaczy oddziału sierżanta Kusyja, jak i inspiratorów, nawet jeśli w grę wchodzi sam Thomp. Ostatecznie, to pan jest od tego, żeby pilnować przestrzegania prawa.

– Rozmowę nagrywamy. Zostanie przedstawiona na posiedzeniu Komitetu Obrony.

– Doskonale. Przypominam panu, że policja ma chronić prawo – powtórzył Gavein bardziej uroczystym głosem. – A decyzje waszego komitetu są tegoż prawa pogwałceniem. Nie kwestionuję waszej obawy przede mną, gdyż dzieje się wiele rzeczy niejasnych. Ale nic nie tłumaczy zamordowania niewinnych ludzi tylko dlatego, że mieszkali w tym samym budynku co ja. Sprawcy, wracając z tej akcji, zabili doktora Yulliusa Saalsteina. Z pewnością pamięta go pan. Domagam się ukarania winnych tej zbrodni.

Po drugiej stronie słuchawki trwała cisza.

– Żądam ujawnienia przez telewizję wszystkich zbrodni komitetu Thompa. Żądam zapewnienia mojej żonie pomocy medycznej oraz zaopatrywania nas w żywność, energię i wszystkie potrzebne rzeczy. Jednakże widzę zagrożenie, jakie stanowi moja obecność dla Davabel. Widzę związek epidemii zgonów z moją osobą. Jasne, że mój wyjazd do Ayrrah przed upływem należytego czasu nie jest możliwy. Dlatego też, jeśli moja żona zostanie w zupełności wyleczona, zostanie jej zapewnione utrzymanie... otrzyma otwarte, dożywotnie konto, gotów jestem dla dobra publicznego rozważyć swój zgon – dodał ciszej, by Ra Mahleine nie dosłyszała. – Medvedec, słucha mnie pan?

– Tak.

– Proszę przekazać tę taśmę rządowi, a nie komitetowi Thompa. To zbrodniarz i głupiec.

– Ja nie jestem właścicielem taśmy. Trzeba podjąć decyzję. Wkrótce dostanie pan odpowiedź do domu.

– Medvedec, mam do pana zaufanie. Proszę go nie zawieść...

– Robię wszystko, co w mojej mocy!

Gavein odłożył słuchawkę i wyszedł przed dom. Trudno było wytrzymać w dusznym

pomieszczeniu wśród zmasakrowanych zwłok. Na zewnątrz było ciepło, przewiewnie i słonecznie.

Ra Mahleine stała wsparta o Lorraine. Wcześniej sama wstała, żeby ją pocieszyć, ale obecnie z trudem trzymała się na nogach.

– Gdzie ty byłeś?! – fuknęła zagniewana. – Nie ruszaj ich, bo się jeszcze zakazisz! – Ta uwaga wywołała głośny szloch Lorraine.

Wylewność Ra Mahleine malała w miarę tego, im dłużej byli razem. To, że był w pobliżu, stawało się oczywiste jak to, że słońce wschodzi. Wtedy właśnie nadchodziła chwila, kiedy zaczynały ją denerwować drobiazgi.

Potrafiła wyklócać się o nieprawdopodobne rzeczy: że oddycha zbyt głęboko i dla niej nie starcza powietrza; że oddycha zbyt cicho i nie wiadomo, czy mu się coś nie stało; że jest zbyt pożądlivy i naerotyzowało go tak, że iskry idą i nic innego go nie obchodzi; albo przeciwnie, że jej wcale nie zauważa, a ona nie dość, że poświęciła dla niego tyle lat na statku, to jeszcze pozostała równie piękna, jak dawniej; że jak się myje, to woda łomocze o wannę, jakby kto walił młotem w wielki kocioł do prania – co miał robić: u Eddy była blaszana wanna; albo przeciwnie, że myje się niestannie, kiedy starał się robić to ciszej.

Dawno przywykł do tego, nawet zdziwiłby się, gdyby nagle zaczęło być inaczej.

– Oni tam leżą, a muchy po nich łążą i roznoszą zarazki. Jeszcze się czymś zakazisz.

– Przestań, Magda. Tam leży moja matka.

– No wiesz! – prychnęła Ra Mahleine. – Mryna leży u siebie na górze, a tam jest okno zamknięte i żadna mucha nie wleci.

Lorraine rozplakała się. Gavein pomógł żonie usiąść.

Powiedział jej o rozmowie z Medvedcem, chociaż nie wspomniał o umowie. Spodziewał się eksplozji, ale Ra Mahleine spytała:

– Wierzysz, że zrobią, jak prosiłeś? Nie odezwał się.

– Medvedec pierwszy powiedział, że zadzwoni tutaj?

– Dokładnie: że dostanę odpowiedź do domu.

– Ależ on jasno powiedział, że wiedzą, gdzie jesteśmy i co zrobią!

– Nie wierzę, żeby jeszcze raz próbowali mnie zabić.

– Ten generał rozbije w proch wszystko w promieniu pięciu kilometrów. Nie zostanie z nas ślad!

– Znam Medvedca. Mógł nas ostrzec. To porządny człowiek.

W perspektywie to rozwiązanie nie jest takie złe – pomyślał. Ale jeśli jestem naprawdę Śmiercią, to nic się nie stanie – dodał w myślach. Po chwili ogarnął go niepokój o nią. Nie mógłby wytrzymać sytuacji, gdyby tylko ona zginęła.

– Gavein, zmiatajmy stąd jak najszybciej. Pchaj wózek.

Odjechali parę ulic dalej i schronili się na jakiejś przypadkowej werandzie. Gavein stłukł szybę. Otworzył drzwi i zobaczył gustownie umeblowany pokój. Owiało ich zatęchłe powietrze. Ciszę przerywało tylko bzyczenie much.

Thomp działał szybko. W niespełną godzinę później, od wschodu dobiegł łoskot nadlatujących śmigłowców. Wkrótce na niebie ujrzeli sześć czarnych punkcików. Nadlatywały przepisowo, na wysokości zerowej, niemal muskając dachy podwoziem. Duże, opancerzone maszyny, obciążone bronią. Pewnie te same, co bombardowały ruiny UN-u.

Z zachodu i ze wschodu 5665 Aleją zbliżały się oddziały Gwardii wsparte wozami bojowymi. Śmigłowce leciały z małą prędkością, oczekując na rozkaz ataku.

Byli zbyt blisko napastników. Gavein źle ocenił zasięg zagrożenia. W przypadku bombardowania musieli ucierpieć. Z drugiej strony, wyjść teraz na ulicę równałoby się samobójstwu. Ułatwiliby tylko robotę żołnierzom Thompa.

Ra Mahleine zacisnęła dłonie na oparciach fotela, aż skóra zbieleła. Postawą przypominała królową upadającego państwa, która z godnością i pogardą patrzy na nadciągające oddziały zwycięskiego wroga.

– No i widzisz, co zrobiłeś! – nie wytrzymała, tracąc majestat królowej. – To przez ciebie! Trzeba było cicho siedzieć! To łajdacy i mordercy! Z takimi nie ma dyskusji.

– Miałaś rację. Thomp okazał się głupszy, niż sądziłem.

Śmigłowce były już blisko. Wydawało mu się, że słyszy uderzenia pojedynczych łopat o powietrze. Miały po dwa duże wirniki, jeden z przodu, drugi z tyłu kadłuba; po bokach, na krótkich wysięgnikach gondole z bombami i rakietami; z przodu zaś pod kabinami zdalnie kierowane działka lotnicze. Niemal fizycznie odczuwał spojrzenia lotników wpatrujące się w niego przez dalocelowniki. Patrzyli teraz, obserwowali, namierzali...

Za toczącymi się majestatycznie czołgami migały sylwetki żołnierzy. Czekali na wynik ataku z powietrza. Nie miał wątpliwości, że podobnie obstawili wszystkie ulice. „Thomp to sumienny facet” – dźwięczały słowa Saalsteina.

Wtedy nadszedł rozkaz ataku. Gavein wyczuł to instynktownie. Jednocześnie stała się rzecz nieprawdopodobna, choć przeczuwana.

Jeden ze śmigłowców zachwiał się, zarzucił, bezskutecznie próbował wyrównać, jakby słabła ręka, która nim kierowała. Znowu rzuciło nim w dół i w bok. Wpadł pomiędzy budynki 5665 Alei, w tym miejscu kilkupiętrowe i trafił w jeden z nich, eksplodując z siłą kilkunastu ton bomb i rakiet. Zmienił się w kulę ognia, aby szalonym ognistym deszczem opaść na idący ulicą oddział. Gavein dostrzegł, jak jedna z łopat wirnika wybuchającej maszyny zatoczyła błyskawiczny łuk i trafiła w tylny wirnik sąsiedniego śmigłowca, rozbijając przekładnię. Ten utracił stateczność, skręcił ku dołowi i zniknął pomiędzy domami. Gavein miał prawo przypuszczać, że również ten roztrzaskał się o ziemię. Odłamki wylatujące z centrum eksplozji trafiły kolejny śmigłowiec, który zapalił się.

Aparat szybko nabierał wysokości, ciągnąc za sobą smugę czarnego dymu, aby osiągnąć obszar zwolnienia czasu i tam doczekać pomocy. Pomimo że płonący, śmigłowiec ściemniał, Gavein nie zdołał powstrzymać uśmiechu – przypadek wyeliminował połowę nadlatującej eskadry. W oddali widział płonące czołgi i transportery opancerzone. Słyszał kanonadę amunicji eksplodującej od żaru. Dostrzegał szamoczących się w ogniu żołnierzy. Żałował ich, pomimo że przyszli go zabić. Ostatecznie to Thomp posłał ich na śmierć. Na myśl, że wśród nich mógł znaleźć się sierżant Kusyj i jego chłopcy, żal minął.

– Działa! To działa, Kocie Manule! Nie odpowiedziała, więc dodał:

– Nic nam tu nie grozi. Sama widziałaś.

– Lorraine – odwrócił się. – Wracamy do siebie. Strach minął. – Gotów był założyć się, że Lorraine boi się go bardziej niż tych wszystkich żołnierzy i ich pancernych maszyn do zabijania.

Ocalałe śmigłowce odleciały. Na płonącej zaś ulicy panował nieopisany zamęt, usiłowano prowadzić akcję ratowniczą. Oddział w zachodniej części 5665 Alei zatrzymał się w miejscu. We wschodniej części nadal płonęły wozy bojowe. Śmigłowców, oprócz jednego, płonącego w zwolnionym tempie, nie było. Wyrzwał za róg 5454 Ulicy: stojące w oddali oddziały wojska nie przejawiały ochoty do ataku.

Ra Mahleine zawołała, że dzwoni telefon. Poszedł odebrać – parasol ochronny jego obecności nie był obecnie niezbędny.

– Wygrałeś, Throzz – powiedział Medvedec. – Oni zgodzą się na twoje żądania.

– Dlaczego nie atakują następne eskadry?

– Bo nie ma innych eskadr – głos Medvedca drżał z rozbawienia. – Ktoś przez nieuwagę zaproszył ogień i wyleciały w powietrze zbiorniki paliwa, a razem z nimi dwadzieścia cztery śmigłowce załadowane po brzegi bombami. Cała flota powietrzna generała Thompa. Prawie całe lotnictwo wojskowe Davabel. Zostały trzy maszyny, połowa pierwszej eskadry, której nie zestrzeliłeś. Mało ci?

– Bawi cię to, Medvedec?

– Od początku mówiłem im, że tak się musi skończyć.

– A Thomp, jak to przyjął?

– Mało mnie to obchodzi. Siedzi w areszcie. Zamknąłem go na rozkaz prezydenta. Prowadzę śledztwo w sprawie tych morderstw. To byli komandosi Thompa. Działali na jego polecenie nie uzgodnione z pozostałymi członkami komitetu. Stary osioł bardzo się na ciebie zawziął.

Przerwał, jakby ciekaw wrażenia wywartego na Gaveinie. Ten jednak milczał.

– Jedyne szkopuł, że ten oddział był dzisiaj w akcji i nie wiadomo, czy jeszcze żyją – dodał.

– Słuchaj Medvedec: Pozostały trzy godziny do zmroku. W tym czasie mają tu przybyć twoje ekipy. Wywieźć ciała, wysprzątać dom, pomalować ściany, potem umyć podłogi i wnieść nowe meble, także przywieźć żarcie. Moja żona jest zbyt słaba, żeby spać na ulicy, więc musicie zdążyć przed zmrokiem. Tyle chcę od Davabel. Ponadto macie ogłosić w telewizji całą prawdę o Komitecie Obrony i planie Thompa, o bombardowaniu ruin Urzędu Naukowego też. Jutro mamy dostać lekarstwa dla Ra Mahleine. Nott ma przyjechać z wizytą. Tylko bez żadnych sztuczek. Wiesz przecież, czym się skończą...

– Nie jestem idiotą, Throzz. Z mojej strony nie musisz się obawiać podstępu... Badam to zjawisko od początku, a obecnie nie mam nad sobą żadnego utytułowanego i poobwieszanego

orderami głupka. Śledztwo prowadzi naczelny prokurator Davabel.

– Chciałbym w to wierzyć – mruknął Gavein. Mógł sobie wyobrazić zbyt wiele scenariuszy, kiedy sprawy znów przybrałyby taki bieg jak poprzednio.

– Jest dodatkowy problem: Jedna z lokatorek ocalała przed siepaczami Thompa. Nazywa się Lorraine Patrie.

Zostanie przy nas, aby opiekować się Ra Mahleine, a także dlatego, że ci, którzy oddalili się ode mnie, umierają zastraszająco szybko. Chcę ją ocalić. Urządzicie jej sypialnię na parterze i osobny telewizor, żeby się nie narzucała. Dla nas urządzicie apartament od frontu.

– W porządku, Throzz. To wszystko? Ludzi już wysłałem, będą dwie kontenerowe ciężarówki z meblami i ekipą. Kordon przekroczą na 5665 Alei od zachodu. Białe kontenery.

– Dobrze. Czekam. – Gavein odłożył słuchawkę. Pozostało wierzyć w rozsądek rządzących Davabel.

Wkrótce dotarły zapowiedziane ciężarówki. Obydwa wozy zatrzymały się przed bramą. Najpierw przeprowadzono rutynową procedurę policyjną. Błyski fleszy widać było przez okna. Potem kolejno wyniesiono na noszach pięć ciał w plastikowych pokrowcach i załadowano do karetek. Do akcji wkroczyły ekipy porządkowe. Jedni wynosili meble, inni wstawiali szyby, mylił ściany i podłogi. Następnie zrywali wykładziny i automatycznymi rozpylaczami malowali ściany. Gavein naliczył przynajmniej dwudziestu robotników. Ponieważ farba miała schnąć godzinę, przerwali pracę. Niektórzy palili papierosy. Wszyscy byli zamaskowani.

Jeden z nich podszedł ku Gaveinowi i kobietom. Przez szparki nałożonej, czarnej maski widać było błyszczące oczy.

– Pan jest David Śmierć?

– Tak – Gavein zasłonił sobą żonę.

– Nie. Ja nic... Chciałem tylko spojrzeć panu w oczy. Ekipa Medvedca była szybka i sprawna. Gdy ściany podeschły, jedni kładli nową wykładzinę, inni lakierowali framugi.

– Będziemy spać w nowym apartamencie.

– Lepiej niech się pospieszą, bo zsikam się na tę książkę.

Ra Mahleine od godziny siedziała na *Gnieździe światów*. Oboje uznali wcześniej, że będzie to najlepsze miejsce: pod wyściełaną poduszką fotela na kółkach.

Robotnicy już wnosili meble. Gdy zakończono prace, do Gaveina podszedł jeden z nich. Zasalutował.

– Porucznik Adams. Mam dla pana list od pułkownika Medvedca. – Podał zaklejoną kopertę.

Gavein rozerwał ją palcem. Wyjął złożoną we czworo kartkę dokładnie zapisaną drobnym, niewyraźnym pismem:

Szanowny panie Throzz,

wybrałem tą formą rozmowy, aby uniknąć zwłoki, zanim wiadomość zostałaby odnotowana i przemielona przez naszą maszynę organizacyjną. Większość z przekazanej informacji nie jest poufna, niemniej proszę nie przysyłać odpowiedzi. Chciałbym uniknąć nużących konsekwencji służbowych.

Z pewnością zetknął się pan wcześniej z doktorem Ornerem Ezzirem, fizykiem z UN-u, choć może Pan go nie zapamiętał. (Mógłby pisać zwięźle – pomyślał Gavein). Ezzir zginął w czasie

trzęsienia ziemi, ale wcześniej, na jednym z naszych zebrań przedstawił tezę, że nikt oprócz Pana nie jest w stanie rozwikłać zagadki epidemii zgonów.

Nie pamiętam jego uzasadnień – widocznie ich nie zrozumiałem lub były to domysły – Ezzir był intuicjonistą, a wtedy wysłuchiwaliliśmy wszystkich domysłów.

Tym niemniej proszę, aby Pan nie zajmował się czymkolwiek innym, jak tylko próbą zrozumienia przyczyn swojego fenomenu. Może uda się Panu znaleźć klucz do wyjaśnienia przyczyn tragedii Davabel.

Gwarantuję, że tym razem nie ma pułapki. Stwarzamy Panu idealne warunki do życia i myślenia. Instalujemy trzy aparaty telefoniczne: biały – to ogólny, miejski, może Pan mówić z dowolnym numerem w mieście – ale będzie on na podsłuchu; beżowy – to gorąca linia ze mną albo z naukowcami naszego komitetu, mamy do dyspozycji speców z różnych dziedzin; czerwony jest najważniejszy – to gorąca linia z prezydentem, został zainstalowany na życzenie jego biura.

W pańskim apartamencie jest telewizor z programem ogólnym Davabel, ale na kanale trzydziestym trzecim można oglądać program przygotowany specjalnie dla Pana – filmy z aktorami i statystami, którzy dawno już nie żyją, wyniki naszych badań, hipotezy dotyczące Pana działalności – jak w UN-ie, ale uczciwie, bez przemilczeń. Oczywiście, nie możemy nic nakazać, ale prosimy o oglądanie tego programu, by zminimalizować efekt epidemii.

Ostatnia sprawa to oddział morderców. Mordercy okazali się bohaterami. Sierżant Kusyj z Olszovskym wyciągnęli transporter opancerzony ze środka pożaru. (Ratowali własne tyłki... – pomyślał z niechęcią Gavein). Obaj są ciężko ranni, reszta podejrzanych splonęła. Zamierzają ich odznaczyć. Będą problemy: prestiż armii, itp. Jednak prokurator przyjedzie na pewno i przesłucha świadków.

Jeszcze jedno: telewizor na dole, przeznaczony dla pani Patric, będzie odbierał wyłącznie program ogólny.

Załączam wyrazy szacunku i wiary, że również Pan dołoży starań, aby oddalić to dziwne nieszczęście, które spadło na Davabel.

Frank Medvedec

Dlaczego niby ja mam rozwiązać tę tajemnicę? – pomyślał. – Zwieźli do UN-u najtęższe umysły Davabel, badali, analizowali, trzymali mnie tam trzy tygodnie i nic. W końcu zbombardowali ruiny. Przecież ja nie mam żadnych dodatkowych danych o tym zjawisku. Mogę znaleźć rozwiązanie tylko przypadkiem, jak każdy z ulicy.

Złożył kartkę we czworo.

Co ja zbombarduję, jak nie znajdę rozwiązania? – uśmiechnął się złośliwie. – Swoją drogą, nieźle muszą sobie patrzeć na łapy, skoro sam szef chwyta się takich sztuczek, a może ta cała sprawa

została uzgodniona – zamyślił się Gavein.

Można było znów się wprowadzić. Gavein został oficjalnie poinformowany o telefonach i telewizorach.

– Brzydkie meble, dobrane bez sensu i nie pod kolor, chociaż kosztowały kupę państwowych pieniędzy – podsumowała Ra Mahleine.

To prawda. Wyglądało, jakby ktoś kupił po kolei wszystkie najdroższe kłamoty z najbliższego sklepu meblowego.

Był to dziwny wieczór. Pierwszy od niepamiętnych czasów, spędzany w umeblowanym mieszkaniu i pierwszy od trzech tygodni, który spędzali razem. Telewizor grał bardzo głośno do późna, ale nikt go nie oglądał. Ra Mahleine, siedząc na kanapie, po dawnemu robiła na drutach i starannie liczyła oczka. Nużąca i jednostajna robota, którą lubiła, wciągała ją na tyle, że mogła oderwać się od wspomnień ostatnich dni.

Lorraine bezmyślnie patrzyła w ekran. Dostała potężną dawkę środków uspokajających, jednak nie usnęła. Lepiej było ją mieć na oku.

Gavein rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Może przynajmniej zdołam rozwikłać zagadkę Wilcoxa – pomyślał i sięgnął po *Gniazdo światów*. – Co też on znalazł w tej książce?

Zanim otworzył tłoczoną w kamyki mozaiki okładkę, poczuł luby prąd płynący od książki przez palce do swojego wnętrza. Lubił książki, szczególnie te starannie oprawione, wypieszczone rękami drukarzy.

Po samobójstwie Wilcoxa książkę czytał Haigh. Potem, gdy został zamordowany, Ra Mahleine znalazła ją wśród jego rzeczy. Odtąd nie rozstawała się z nią. Dla ochrony przed ewentualną rewizją uszyła specjalną kieszeń we wsypie poduszki i co noc tam wkładała książkę.

Między stronicami tekstu tkwiły kartki z uwagami Haigha. Nie numerowane, ale każda datowana. Pismo drobne, niezbyt wyraźne.

Gavein otworzył na stronie tytułowej.

GNIAZDO ŚWIATÓW

Lavath-Davabel-Ayrrah-Llanaig

Towarzystwo Wydawnicze Omni

Wersja druga

Egzemplarze numerowane

Gałąź drzewa niesie gniazdo,

Gałąź jest gniazdem,

Drzewo jest gniazdem.

Przedmowa

Na wstępie parę słów wyjaśnienia. Zajrzyj do innego egzemplarza tej książki, a potem do jeszcze innego. Przekonasz się, że treść każdego z nich różni się od treści pozostałych. To reguła.

Przeczytałeś już wiele książek, ale czy choć raz pomyślałeś, że czytasz w nich coś innego niż inni czytelnicy? Tu chodzi nie o słowa, o krople czarnej farby wprasowane w papier, ale o całą resztę, o treść. Kiedy bierzesz książkę do rąk, jej bohaterowie ożywają: mówią, walczą, kochają, jedzą. A gdy odkładasz, czy ich czas staje w miejscu, do którego doczytałeś, czy życie toczy się tam dalej, chociaż pusto, bo bez istotnych zdarzeń? Czy świat powstający w twojej wyobraźni jest podobny do świata stworzonego dla innego czytelnika? Sam zdecyduj, czy uznać, że świat książki istnieje niezależnie; czy uważać, że powstaje dzięki czytelnikowi. W obu przypadkach masz rację.

Tylko od ciebie zależy, czy staniesz się Czytelnikiem Najważniejszym tej książki, a losy świata w niej zawartego potoczą się naprawdę. Czytelnik Najważniejszy nie będzie miał wątpliwości, że wydarzenia, które mu zostały odsłonięte, dzieją się równie realnie, jak jego własne życie. Więcej: tak rzeczywiście będzie, gdyż niezależnie od stopnia zagnieżdżenia, światy zagnieżdżone tworzą wspólnotę i pod niektórymi względami są zdumiewająco podobne do siebie (i do Twego). To ich zwykła cecha.

Wstęp

Tu świat dzieli się na dziewięć Krain. Noszą one nazwy: Lamieh, Tahian, Mougarrie, Tolz, Schpiez, Buhl, Gorah, Dozya oraz Abil. Ponoć kiedyś Ocean oblewał je ze wszystkich stron, jednak nawet najstarsze kroniki nie wspominają o jego istnieniu czy wysychaniu. Obecnie płaskowyż każdej z Krain oddzielony jest od innych głęboką niecką wyschłego morza. Wszystkie Krainy są oazami,

w których życie umożliwia tryskające źródła czystej wody; depresje są pustyniami. Co piętnaście lat i dwadzieścia dekad każdy człowiek przebywa pustynię, aby udać się do następnej Krainy. Pustynia ogranicza kontakty ludzi w różnym wieku. Wydaje się to proste: żona jest młodsza o sześć miesięcy, więc wyrusza trasą sześciomiesięczną i na miejscu macie oboje właściwy wiek, prawda? Tak nie jest w świecie zagnieżdżonym, chociaż istnieją drogi czasu realnego. Tym samym szlakiem z Mougarrie do Tolz karawana jedzie raz kilka dni, innym razem kilka tygodni. Nikt nie wie, ile wtedy czasu upłynęło w Tolz, a ile w Mougarrie.

Karawany giną w czarnej mgle. Pojazdy trzymają się wytyczonej linii, a rejs o wyższym numerze porządkowym nie dotrze przed rejsiem o niższym. Jeśli dotarł już kurs następny, a poprzedni jeszcze nie, znaczy to, że ten przepadł.

Komunikację lotniczą utrzymuje się wyłącznie ponad obszarami płaskowyżów, gdyż żaden ze śmigłowców, które kiedyś wyleciały ze śmiałkami nad pustynię, nie wrócił, ani nie dotarł do celu. Nawet nad Krainami unika się niepotrzebnych lotów, aby silny wiatr lub błąd w nawigacji nie zniósł maszyny znad płaskowyżu.

Było już bardzo późno, gdy Gavein podniósł zmęczone oczy znad pożółkłych stronic.

Nie jestem najważniejszym czytelnikiem tej książki – stwierdził. – Może Wilcox nim był.

Ra Mahleine spała na fotelu, podwinawszy nogi. Na jej kolanach leżała odłożona robótka. Wyjął z jej rąk druty. Lorraine skulona w kłębek spała z rozdziawionymi ustami. Telewizor cicho trzeszczał i migał różnokolorowymi plamkami. Już dawno odegrano hymn Davabel. Przekręcił gałkę wyłącznika. Potem zaniósł żonę do łóżka. Była lekka. Obudziła się na jego rękach i poszła umyć. Lorraine nie budził, gdyż mogła nie usnąć drugi raz. Ra Mahleine wyszła z łazienki w długiej nocnej koszuli, ukrywającej wychudzenie. Dla niego była piękna jak dawniej. Powiedziała, że ma zawroty głowy. Objął ją w pasie i doprowadził do łóżka. Usnęła natychmiast.

Spali prawie do południa. W kuchni Lorraine pichciła jedzenie. Zaraz po przebudzeniu Ra Mahleine dostała ostrych bólów i ledwie zdążyła do toalety, dostała silnego krwotoku. Zasłała na sedesie. Powiedziała potem, że wylała się z niej szklanka krwi. Ambulans przybył w samą porę, towarzyszyła mu furgonetka. Scholl nie przyjeżdżała wcześniej, bo miała zakaz wydany przez komitet Thompa. Zrobiła zastrzyk i krwotok ustał. Posadzili Ra Mahleine w cieniu przed domem. Był słoneczny, chłodny dzień wiosenny. Lorraine zawinęła ją w zielony koc z nadrukiem: „Siły Zbrojne Davabel”. Ra Mahleine wypła coś zimnego, zażyła parę pigułek na wzmocnienie i spokojnie zasnęła.

– Chciałam z tobą porozmawiać, Dave – powiedziała Scholl.

Nie oczekiwał niczego dobrego po tej rozmowie. Mogłaby usunąć tego sznycla – pomyślał, niechętnie spoglądając na jej drugi podbródek.

– Chodzi mi o Magdę – zaczęła. Wydawało się, że obwisły podbródek spełnia rolę rezonatora i nadaje szczególnej głębi i dźwięczności jej słowom.

– Tak?

– Ta operacja nie ma najmniejszego sensu. Po co ją kroić, jeśli niczego to nie zmieni...? To jest guz wtórny, są inne przerzuty, operacja tylko przyspieszy ich rozsiewanie. Prawdopodobnie guz pierwotny usunięto w czasie rejsu więziennego.

– Ra Mahleine nie mówiła o żadnej operacji na statku.

– W kartotece jest zapis, że był zabieg. To nie była operacja. Ona mogła myśleć, że to zabieg kosmetyczny.

– Scholl, musisz zrobić wszystko, żeby ją uratować. Ona musi żyć.

– Są sytuacje, kiedy lekarz może tyle, co ktokolwiek z ulicy, to znaczy nic. Musisz liczyć na cud, Gavein – taka jest prawda.

– Ten cud musi się zdarzyć, Scholl. – Gavein patrzył na nią natarczywie, aż straciła pewność siebie: może on właśnie tak zaraza śmiercią?

– Też tego chcę, ale cuda zdarzają się zbyt rzadko. – Rozłożyła ręce. – Natomiast krwotoki będą powtarzały się coraz częściej. Zakładając, że na statku wykryli w porę guz pierwotny, miała trzydzieści procent szans na wyzdrowienie. Obecnie, niestety, zero.

Złapał się na tym, że bezwiednie rozdrapuje sobie skórę.

– Jak długo będzie żyć? – wydusił.

– Dwa tygodnie, może trzy.

Zapadło milczenie.

– Musi być inne wyjście. To nie może tak się skończyć. Po co to wszystko?

– Sam jesteś zdumiewającym zjawiskiem, Dave – Scholl spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem drapieżnego ptaka. Jednak zwisły podbródek zdemaskował – to ptactwo domowe.

– Rozsiewasz śmierć wokół siebie, więc może też potrafisz przedłużyć życie? To mogą być dwie strony tej samej rzeczy. Musisz lepiej poznać samego siebie. Może właśnie tam jest rozwiązanie?

– To podsunął ci ktoś od Medvedca?

– On sam.

Rozmowę przerwali policjanci. Dostarczyli żywność, gazety, drobiazgi dla Lorraine. Medvedec solidnie wywiązywał się z umowy. Gavein chciał zapłacić – miał dość pieniędzy – ale koszty pokrywał rząd Davabel.

Gdy wozy odjechały, Gavein rozsiadł się na kanapie i sięgnął po Gniazdo światów.

Nie zamierzał nic rozwiązywać. Miał nadzieję, że lektura oderwie go od przygniatającej rzeczywistości.

Rozwarł książkę znacznie dalej, niż skończył wczoraj.

Spig Bolya, otwierając puszkę, rozlał piwo. Teraz biernie oczekiwał ataku żony: na obiciu fotela widniała brązowa, śmierdząca plama. W telewizji demonstrowano właśnie nowy model amido. Zachwalany wóz ochoczo podskakiwał na bezdrożach, ciągle czysty i lśniący, mimo brutalnych, bardzo malowniczych odkosów błota puszcanych spod rozpędzonych kół. Donośny głos spikera proponował nowe, szczególnie korzystne warunki zakupu – bez wpłaty na początku i bez płacenia rat przez pierwsze trzy miesiące eksploatacji.

Ten nowy amido civic byłby w sam raz... – ospale zakolała pod czerepem Spiga.

Poprzedni samochód, Sitta Vekand, spłacili ledwie częściowo, a już się im znudził. Palił trochę za dużo, a bagażnik wydawał się za ciasny. Amido był wprawdzie mniejszy, ale za to tańszy, więc raty powinny być znośniejsze.

Żona Spiga, Suzi, szykowała późny obiad. Jej obłe fragmenty pojawiały się w drzwiach kuchni. Suzi była niska i tęga jak jej mąż. Miała twarz dobrze odżywionego gryzonia o oczkach jak czarne koraliki i puciołowatych policzkach. Byli oboje tak podobni do siebie, że brano ich za rodzeństwo. Podniecona Suzi mówiła dużo i bardzo szybko, wysokim nerwowym głosem.

Świadomość nieuchronnej reakcji żony nadawała sączonemu piwu metaliczny posmak. Czuł się, jakby kawałek metalu wgniatano mu między żołądek a wątrobę.

Produkują dziadostwo, co się rozlewa... Zerknął na niestarannie nadrukowaną etykietkę: spod rozsuniętych barw wyzierała srebrzysta aluminiowa blacha. Z zemsty pogniótł cieniutką blaszkę, ale nie dość mocno, tak by resztką piwa się nie wylała, ani by się nie zranić.

Należy uregulować kredyt w sklepie.

Pobyt w Mougarrie dobiegał końca. Wkrótce mieli przenieść się do Tolz. Najpierw Spig, a dwa dni po nim Suzi. Wiązało się z tym wiele spraw do załatwienia – przede wszystkim umowy kredytowe, a było ich kilkadziesiąt. Bolya nie byli wyjątkiem: Wszyscy kupowali na kredyt, gdyż mało kto miał dość gotówki. W miarę pobytu w Mougarrie wzrastało zaufanie banków i można było negocjować coraz korzystniejsze oprocentowanie. Spig i Suzi mieszkali tu już piętnaście lat, więc byli obywatelami szczególnie godnymi zaufania. Kupowali wiele i w porównaniu z innymi żyli na niezłym poziomie.

Spig wpadł na pomysł uniknięcia awantury. Tym pewniejszej, że odgłosy z kuchni donosiły, jak istotne porażki kulinarne ponosi jego żona.

Zadzwoił do sąsiada z góry. Piwo, zaskoczone gwałtownym ruchem, złośliwie oblało nogawkę

spodni. Opalizujące bąbelki przemieniły się w owalną plamę. Stęknął boleśnie.

Gary Wialic był kierowcą wielkiej ciężarówki. Woził przesiedleńców do Tolz. Spig zaprosił go na piwo. Nie przepadał za nim, bo za nikim nie przepadał, ale Suzi chętnie posłucha o podróży i łatwiej przełknie zniszczone obicie i poplamione spodnie Spiga. Wieczór był krótki (oboje pracowali do późna), ale wykrojenie z niego godzinki na rozmowę nie powinno rozwścieczyć Suzi.

Gary dostał puszkę piwa Samotny Żagiel, które i jemu sprawiło psikusa. Wyssał pochłapany mankiet. Był w zielonej, flanelowej koszuli w czarną kratę, na której plama po piwie nie była widoczna. Od ostatniego prania wiele kropel piwa wsiąkło w tę koszulę. Wialic właśnie wrócił z kursu. Nie zdążył jeszcze się przebrać. Był w ciemnoszarym kombinezonie roboczym na szelkach. Napis głosił: „Linie Transportowe Emigrant”.

Piegowata twarz Wialica była szara i pomięta, oczy podsiniaczone. Nie spał prawie dobę. Zaproszenie przyjął wyłącznie dlatego, że w lodówce skończyło się piwo, a sklepy już pozamykano.

Suzi rozdzieliła przypalone frytki do trzech tekturowych rynienek i dorzuciła po łyżce pikantnego sosu.

– No i jak kurs? – Spig miał nieprzyjemny, zbyt wysoki głos.

– Zwyczajnie. Dwadzieścia dni w kółko. Dobra robota, dobrze zapłacona.

– Była czarna mgła?

– Zawsze jest. Tym razem tylko parę godzin. Znaczący, w ciągu całej drogi parę godzin.

– Ciekawe, jak taka mgła wygląda? – W kącikach ust Suzi zebrały się dwie lepkie, brunatne krople sosu. W czasie pierwszej przeprawy (z Tahian do Mougarrie) ze strachu ani razu nie wyjrzała przez okno.

– Taki czarny, postrzępiony kleks. Jak jest gdzieś z boku, to mnie nie obchodzi. Jak rozłazi się po trasie, to trzeba w nią prosto wjechać i uważnie śledzić wskaźniki, żeby wóz nie zboczył z linii.

– Często zdarza się, że jakiś wóz albo cała karawana zaginie? – Suzi nieładnie mlasnęła. Zaabsorbowana, słabiej kontrolowała odruchy. Myśl o przenosinach napełniała ją obawą, mimo że poprzednie odbyły się bez problemów.

– Zdarza się – Gary przełknął piwo. Mówił powoli, dozując napięcie. – Jak jakiś żółtodziób prowadzi, to wypadek może się zdarzyć. Strach jest silny, jeśli się w to wjeżdża po raz pierwszy. Niektórzy nie przywykają przez lata. Daphne za każdym razem mnie budzi, gdy to świniństwo skądś wylezie. Daphne Casalf była zmienniczką Gary’ego. Jeździli razem od dwóch lat. Wcześniej bez powodzenia próbowała zajmować się dziennikarstwem.

– Ze mną nie ma strachu. Ani razu nie zgubiłem linii. Siedem lat za kółkiem.

– Jak to dobrze, że pana znamy – Suzi rozlała piwo. – Weźmiemy pańską firmę, gdy będziemy przenosić się do Tolz. I poprosimy, żeby nam dali pana. – Odruchowo roztała rozlane piwo na obiciu fotela.

– W porządku. Tu na odwrocie jest numer telefonu. Warto wcześniej zrobić rezerwację, bo może zabraknąć miejsc – Gary podał wizytówkę „Emigranta”. Miał ich zawsze kilka w kieszeni. Pomyślał, że zapracował na puszkę piwa od Bolyów i drugą od firmy.

Zwykle parkowali swój ciągnik naczepowy koło domu Daphne. Ośmielony nawiązaniem znajomości z Bolyami, Gary przyjechał nim do siebie. Ciągnik stał na maleńkim, prywatnym parkingu za domem. Wysokie, blaszane pudło lśniące chromowaniami i białym, błyszczącym lakierem. Dwie niklowane, symetryczne rury wydechowe dumnie celowały w niebo, daleko ponad kabinę, nawet powyżej wysokiego ekranu z blachy poprawiającego opływ powietrza. Gdy spajał się ze swoją naczepą, nabierał majestatu potwora drogowego; samotnie, wyglądał jak niepoważny fragment większej całości.

Gary, leżąc na asfalcie, coś reperował pod wozem. Daphne mozolnie pucowała chromowane oprawy potężnych reflektorów. Firma zobowiązywała. Zaniedbany wóz mógł stracić licencję, a wcześniej dobre oferty. Zmiana Krainy jest poważnym wydarzeniem, które zdarza się co piętnaście lat i dwadzieścia dekad. Każdy chciał wyruszyć w nowe życie, jeśli nie luksusowym, to przynajmniej zadbanym pojazdem, a nie zabłoconą i odrapaną ciężarówką.

Gary szczupłą dłonią, o suchej skórze pokrytej rudymi piegami, po omacku szukał pozostawionego narzędzia.

Daphne bez słowa wsunęła mu w dłoń szukany klucz. Mówiła szybko, gwałtownie gestykulując. Chodziła pochylona do przodu, przesadnie wypychając do tyłu za szerokie biodra. Gary podejrzewał ją o tłumione szaleństwo, chociaż może to tylko białe rzęsy nadawały nieprzytomny wyraz jej bladym oczom. W ciągu dwóch lat wspólnej pracy nie dała podstaw do takich przypuszczeń, przeciwnie – była przygnębiająco normalna.

Głośny klakson odegrał fragment głupawej melodyjki. Na placyk wtoczył się nowiutki czerwony amido. Gary siedział na asfalcie, wycierając poplamione smarem palce w szmatę. Daphne zmywała detergentem maskę wozu. Cienki, spieniony strumyczek cieczy ściekł pod siedzenie Gary'ego. Ten zerwał się, czując przemoczone spodnie.

– Myślże czasem, ty cholerna babo!

– To pracuj, a nie siedź, jakby ci tyłek przyrósł do asfaltu – zareplikowała.

Z wnętrza amido wytoczył się spocony, zaczerwieniony, ale szczęśliwy Spig. Bez słowa otworzył wszystkie drzwiczki, podniósł klapę silnika i bagażnika. Rozbebeszony samochód przypominał czerwoną kwokę przymierzającą, jak rozsiąść się na jajach.

Spig w milczeniu wpatrywał się w głąb bagażnika, to znów popatrywał na silnik. Przeształ na nogi na nogę, co chwilę zerkając to w kierunku Wialica, to na Daphne.

– Miejże litość, człowieku – Daphne rzuciła Gary'emu w ręce szmatę nasyconą detergentem. – Pochwal...

Gary podszedł do Spiga.

– Masz fajny samochód, Spig. O! W środku też jest czerwony. – Uważał amido za wyjątkowo podłą markę.

– To rzadka okazja – Spig odpowiedział po chwili, jakby radość utrudniała mu formułowanie myśli. – Zaproponowali mi znakomite warunki. Będę płacił dopiero w Tolz. Za część pozostałych po Sittie pieniędzy możemy jeszcze coś wziąć na kredyt.

– Sittę miałeś już prawie spłaconą.

– W trzech czwartych. Co z tego?

Daphne milcząco potakiwała Spigowi, zerkając nerwowo to na jego twarz, to na samochód. Gdyby się nie garbiła, byłaby wyższa od niego.

– Dość tej terapii, Gary – mruknęła. – Trzeba skończyć robotę.

– Czego? – Spig nie doczekał się odpowiedzi.

Przez świat marzeń przedostał się głos Ra Mahleine.

Obiad był gotowy. Zabrał się za podgrzaną pastę z pudełka, jak za dobrych czasów, kiedy oczekiwał na powrót żony, kiedy nie wiedział jeszcze, że odzyskają nieuleczalnie chorą oraz że rozpęta się epidemia skorelowanych zgonów. Brakowało kawałków rozgotowanej tektury wyciąganych spomiędzy zębów. Na początku pobytu w Davabel egzystencja wydawała się niewygodna, pobyt nudny, a jedzenie niesmaczne. Z perspektywy czasu widział, że tamte dni niosły nadzieję wspólnego szczęścia, teraz ta nadzieja gdzieś się rozviała.

W czasie obiadu Ra Mahleine dostała ataku bóleści. Zbladła, jej czoło pokrył zimny pot. Bolało ją tam, gdzie zwykle. Zażyła aż trzy tabletki przeciwbólowe, zanim męki minęły. Lorraine posprzątała po obiedzie. W dzienniku telewizyjnym podano aktualną statystykę – zgonów przybyło niewiele, ale wszystkie powiązane były z Davidem Śmiercią.

Ból Ra Mahleine powrócił.

– Czytaj już... – stęknęła, wjąc się po łóżku. – Weźże się do czytania tej książki.

– Dam ci najpierw tabletki.

– Nie chcę żadnych tabletek. Zaczynj znowu czytać.

Majaczy? – pomyślał. – Oczywiście, nie. – Zerknął badawczo. – Dlaczego więc tak nalega?

Nie zwlekał dłużej, otworzył na założonej stronie.

Wialic sam wprosił się do Bolyów. Towarzyszyła mu Daphne. Niechęć Spiga zmniejszyła się, gdy ujrzał, że goście przynieśli karton z piwem.

– Kupiliśmy nową lodówkę, kuchenkę, dwa rowery i szafkę-barek – oznajmiła Suzi. – Okazało się, że przysługują nam preferencyjne kredyty przed wyjazdem. Zaliczono nas do najlepszych klientów naszego banku.

– Bo tyle bierzemy kredytów.

– Wszystkie nowe umowy będziemy spłacać dopiero w Tolz – kontynuowała nie zrażona Suzi. – A teraz używamy tego jakby za darmo.

Gary wypił duszkiem pierwszą puszkę, sięgnął po następną. Daphne zrobiła to samo. Jej ręce drżały. Była sinoblada. Suzi umilkła, widząc, że tylko Spig słucha.

– Ale dzisiaj było... – Gary odezwał się ochryłym głosem. – Myślałem, że nie dojedziemy.

– Nie dzisiaj. Przecież jest przesunięcie czasu. To było z pewnością wcześniej – poprawiła go Daphne.

Suzi nadstawiła ucha. Oczekiwała niezwykłości.

– Co było? – spytał Spig.

– Czarna mgła. – Gary odstawił opróżnioną puszkę.

– Tyle co nigdy wcześniej – włączyła się Daphne. – Coś niesamowitego... Wszędzie te kleksy, przez całą drogę. Podobno wewnątrz kleksa czas płynie inaczej. Jeden wóz przed nami wpadł w dziurę. Razem z ładunkiem. Widzieliśmy jak naczepa zadziera pionowo do góry i znika we mgle... Zanim dojechaliśmy, dziura zdażyła się zasklepić.

– Dziury na szlaku? Przecież takich dziur nie ma. Powiedzieliby w telewizji...

– Daphne histeryzuje. Nie wierzę, żeby dziura mogła tak szybko zniknąć. Tamten kierowca stracił orientację we mgle i spadł ze szlaku.

– Kiedyś w telewizji dwaj eksperci spierali się, czy czas w czarnej mgle przyspiesza czy zwalnia – powiedziała Suzi.

– I co? – zapytała Daphne.

– Nic, audycja się skończyła. – Suzi nie miała talentu do zapamiętywania referowanych myśli.

Znów wizyta furgonetki zaopatrzeniowej i ambulansu, Nott ograniczyła się do zbadania Ra Mahleine i obietnicy operacji, jeśli stan nadal będzie stabilny. Nie wierzył jej obietnicom.

Gavein spojrział za migającym światłami, odjeżdżającym ambulansem. Po co jeżdżą na sygnale, skoro ruch uliczny ustał?

Do śniadania zasiedli przy stole wyniesionym przed dom, dzień był ciepły i bezwietrzny. Wiosna zagościła w Centralnym Davabel na dobre.

Ra Mahleine nagle zaczęła swoją dziwaczną awanturę.

– Weź się wreszcie do czytania tej książki z okładką z paciorków! – wybuchnęła.

Miał jeszcze na talerzu kanapkę z gąbczastego i lekkiego jak piórko chleba, z trzema plasterkami przesolonej na sposób davabelski szynki, półsyntetycznym twarożkiem z mleka w proszku, plasterkiem jajka na twardo oraz obfitym mażnięciem keczupu. W Davabel śniadanie winno składać się z takich kanapek, a obiad z pasty i pizzy.

– Zaraz się zabiorę. Tylko skończę jeść – powiedział potulnie. Miał ochotę zakosztować pełni wyrzutów Ra Mahleine. Wynikało to z irracjonalnego przekonania, że póki ona ma siłę na takie awantury, poty można jeszcze mieć nadzieję.

– Bo jesz tak powoli – nabierała rozpędu. – A zaraz mnie znowu rozboli w dole brzucha. Jak czytasz tę swoją książkę, to nic mi się nie dzieje. Mogę godzinami czytać, drzemać albo oglądać telewizję i nic – Wreszcie wyjaśniła cel nalegań. – A jak jesz, albo rozmawiasz... albo rozmawiamy, to zaraz dostaję bóleści, jakby Czerwona Łapa zgniatała wszystko, co mam w kroku. – Czerwona Łapa była jej najnowszym pomysłem. Od wczoraj nie mówiła inaczej o swojej chorobie. – Powiedz sama, Lorraine. Czy jak on czyta, to nie ma spokoju? Możemy godzinami plotkować, robić na drutach, opalać się, prawda?

Lorraine wyglądała marnie. Zawsze miała jasną cerę, a obecnie bladość wydobywała nowe piegi na jej twarzy i dekolcie. Niska, drobna niknęła za stołem. Zatrzepotała powiekami. Rzęsy miała rude, ale starannie przyczernione.

– To jest prawda, Dave. Nigdy nie zdarza się, żeby Magda miała bóle albo mdlała, kiedy czytasz.

Abstrakcyjne wyrzuty Ra Mahleine miały swój wdzięk, przez to, że były nonsensowne; jednak, gdy ktoś trzeci potwierdzał jej argumenty, wszystko spadało na ziemię i przestawało być absurdalnym dowcipem, zmieniało się w męczącą bzdurę.

Zbył uwagę Lorraine milczeniem. Przełknął ostatnie kęsy.

Jedyna żona na świecie, która woli, żeby mąż czytał, niż jej słuchał... – pomyślał kwaśno. – Masz, czego chciałaś. – Bez słowa przesiadł się na fotel i otworzył *Gniazdo światów*.

Dzień przenosin nadszedł bardzo szybko. Spig wbrew obietnicy danej Wialicowi wydzwaniał do wielu kompanii przewozowych. – W końcu i tak okazało się, że „Emigrant” daje najmniej niewygodne warunki.

Bolyowie nie próbowali niczego odsprzedawać, gdyż zawarte umowy kredytowe jasno stanowiły, że w razie rezygnacji lub próby zwrócenia przedmiotu, pozostaje on własnością sprzedawcy, a wpłacona kwota przepada.

Dwie ogromne, czerwone naczepy podciągnięto pod ich dom. Spig i Suzi mozolnie przenosili mebel za meblem. Wialic pomagał im taszczyć co większe sztuki. Zwykle wynajmowano do tego celu ekipę tragarzy, ale Bolyowie po ostatnich zakupach pozostali bez gotówki i musieli radzić sobie sami. Wialica opłacili dwiema skrzynkami piwa wstawionymi do szoferki ciągnika.

Wkrótce ujawniły się minusy tragarzy amatorów: Gary i Spig musieli przenosić we dwóch meble, które łądowałiby czterej mężczyźni. Spig sapał ciężko. Twarz miał czerwoną, gorącą i spoconą. Jego ruchy przypominały desperacką szamotaninę: były gwałtowne, kanciaste. Suzi bardziej pchała przemieszczane kłamoty, niż je unosiła.

Wreszcie stało się. Komoda Bolyów z rozmachem uderzyła w drewnianą framugę, posypał się tynk, a fornir odkleił się z trzaskiem. Spig z bólem w sercu pogładził zraniony mebel.

– Dobierzesz brąz i pokryjesz akwarelą. Nie będzie widać – pocieszył go Gary. – W Tolz połowa mieszkańców ma poobijane meble.

Spig znieruchomiał z rozdziawionymi ustami.

– No, bo przywieźli je z Mougarrie.

– Aha... ha! ha! ha! – zagdakał.

Komoda była ledwie wstępem. Masywny stół z jadalni palnął we wrota pojemnika, aż odpadł z nich czerwony lakier. Spig rozpaczał nad pokancerowanym meblem.

– Stół to pryszcz – zgasił go Gary. – Jak się wrota nie domkną, to „Emigrant” obciąży cię za uszkodzenie.

Przerażony Spig zamrugał okrągłymi oczkami gryzonia. Gary przesadził, ale chciał uniknąć gderań. Wziął młotek i wyklepał wgiętą blachę. Sypnęło się więcej farby.

Z wielkiego kredensu odpadły oszklone drzwiczki i stłukła się szybka. I tak cudem przetaszczyli gigantycznego grata. Wrota obydwóch kontenerów zostały wgięte w kilku miejscach. Próby wyklepania blachy niewiele pomogły.

Amido zgrabnie wtaczał się w mroczną czelusć pojemnika. Zmęczony Spig nie dał jednak rady długo kontrolować nerwów. Napięcie zmusiło go do fałszywego skrętu kierownicy. Głuche uderzenie rozbiło prawy reflektor i kierunkowskaz oraz zgięło błotnik. Ostra szpila przeszła rozmiękłe serce Spiga: amido już nie będzie tak piękny jak nowy. W jego głowie załęgła się zdradziecka myśl o zwrocie i kupnie innego wozu.

Gary latarką oświetlił rozbity błotnik.

– Zmienisz jedną blachę i będzie w porządku – pocieszył. – Dobrze, że nie uszkodziłeś kontenera.

Reszta załadunku przebiegła spokojniej.

– Wieziesz puste puszki po piwie?

– Też są coś warte. Może w Tolz jest wyższa cena skupu...? „Emigrantowi” płacę od kontenera... To co? Ma jechać pusty...?

– Gazet nie bierz. W Tolz nie skupują makulatury.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Był przyjemny, słoneczny wieczór po wspaniałym dniu. Od wschodu niebo powoli nabierało głębszego błękitu. Na jego tle widniał eksplodujący śmigłowiec z eskadry Thompa. Wczoraj wieczór jeszcze płonął, dzisiaj – chyba już od rana – eksplodował. Gavein oparty o framugę przypatrywał się, jak odrywają się kawałki blach, otaczając go chmurą fragmentów, zaś potężniejący bąbel wybuchającej benzyny formuje żółto-czerwoną kulę. Sądząc po szybkości eksplozji, pilot wznosił maszynę na wysokość dalece przewyższającą sekundową. Nie udzielono mu pomocy – żaden inny statek powietrzny nie zbliżył się do nieszczęsnego śmigłowca w ciągu tych dni. Gavein był przekonany, że eksperci w Siłach Lotniczych skrupulatnie wyliczyli nieprawdopodobieństwo pomocy. Podniesienie maszyny na tak wysoki pułap było błędem pilota, a może wynikiem mimowolnego ruchu ręki opartej na drążku sterowym. Maszyny wojskowe nie mogły wznosić się na dużą wysokość, gdyż nagrzewająca się konstrukcja powodowała wybuch paliwa lub amunicji. W tym helikopterze eksplodował silnik, a paliwo rozrywające rurki instalacji przeniosło płomień do zbiornika paliwa. Gavein zastanawiał się, czy trwa jeszcze rozciągnięta na godziny agonია załogi śmigłowca. Jeśli wzniesli się powyżej wysokości sekundowej, to ich umieranie mogło trwać jeszcze dni.

Ra Mahleine przewijała na kłębek motek włóczki trzymanej przez Lorraine. Rozmawiały z ożywieniem. Ra Mahleine odwróciła się w fotelu i powiedziała do niego:

– Nie czytasz? Lorraine odgrzeje obiad, tylko skończymy zwijać. Już jest gotowy.

Nie czuł głodu. Stał i przypatrywał się.

Ra Mahleine odebrała to jako niezadowolenie.

– Wiesz, zrobiliśmy eksperyment: nie przerywałyśmy ci, żeby sprawdzić, czy znowu będę cierpieć.

– No i jaki wynik?

– I wyobraź sobie: nic a nic mi nie dolegało – ciągnęła po chwili milczenia, niezbędnej, aby zrobić lepsze wrażenie. – Te wszystkie godziny upłynęły, jak jedna chwila, Teraz mogę określić ogólnie: siedziałam, opalałam się, robiłam na drutach, gotowałam obiad... ale szczegóły uciekły z pamięci.

– Ja też tak to odebrałam – włączyła się Lorraine. – Bez szczegółów... Siedziałam i robiłam to lub tamto. Ale nie pamiętam nic konkretnego.

– Znowu gniecie mnie Czerwona Łapa – jęknęła Ra Mahleine.

Zauważył, że zbladła.

– To mam się wynieść, żebyś lepiej się poczuła?

– Teraz musisz zjeść, żeby mieć siłę, ale czytaj, czytaj jak najwięcej. Kocham cię bardzo, ale musisz czytać – kontynuowała, widząc jego zakłopotanie. – Wiesz, gdy czytasz, moja choroba nie postępuje. Czytanie wzbudza nadzieję.

– Co będzie, jak skończę tę książkę? Co wtedy powstrzyma Czerwoną Łapę? – Oboje doskonale wiedzieli, że Ra Mahleine ma raka, ale unikali tej nazwy.

Połknęła tabletki przyniesione przez Lorraine.

– Wolę nie myśleć. Ale masz czytać, bo to pomaga.

W pośpiechu pochłonął obiad i wrócił do lektury. Uważał, że to ułuda, ale w inny sposób nie potrafił jej pomóc.

Tym razem droga przebiegała normalnie. Bez emocji. Czarne kleksy kurczyły się lub pęczniały, stale jednak z dala od szlaku.

Daphne, rozciągnięta na kozetce za fotelami, sięgnęła po Gniazdo światów, książkę w oprawie wytłoczonej w kolorowe kamyczki. Popijała napar z ziółek. W tak spokojny dzień mogła poświęcić się wyłącznie czytaniu. Gary lubił prowadzić, będzie kierował przez długi czas. Podczas niepewnej pogody oboje nie schodzili z foteli kierowców: jedno prowadziło, a drugie dodawało ducha swą obecnością. Dziś nie było to potrzebne.

Daphne pociągnęła łyk ze szklanki z grubego, mętnego szkła. Od tej goryczy cierpły dziąsła. Znalazła udający zakładkę zniszczony blankiet czekowy. Lubiła Jaspersa, głównego bohatera książki. Był sympatyczniejszy i, według opisu, dużo przystojniejszy niż Gary.

Jaspers wyciągnął się wygodnie, aż chrupnęło w łokciach, a prycza skrzypnęła. Podłożył ręce pod głowę, ale zaraz wyjął, bo zaczęły mrowić i drętwieć. Najlepiej było, jak leżały wyciągnięte za głowę, a dłonie zwisały poza kant pryczy.

Zawsze po wieczornym, obowiązkowym myciu w lodowatej wodzie, długo rozgrzewały się jego stopy, a znacznie wcześniej pokrywał je zimny, szybko fermentujący pot.

– Jaspers, przestań podskakiwać, bo mi się siano sypie na łeb! – warknął Krivyj, leżący na dolnej pryczy.

– Jaspersowi jaja odleciały z zimna i teraz szuka ich po sienniku – zachichotał Lee, który skręcony w kłębek dygotał z zimna na pryczy.

Krivyj i Lee byli najważniejsi na całej sali. Krivyj dlatego, że był najsilniejszy i choćby przez to zasługiwał na uznanie nawet u strażników; Lee, ponieważ był tu najdłużej ze wszystkich – całe dwa lata – i pełnił funkcję starszego sali.

Obaj skończyli pracę już godzinę temu, Jaspers zaś przywłókł się dopiero przed kwadrans, wyczerpany do granic harówką przy taśmie produkcyjnej. Krivyj został wyznaczony na kontrolera i jego praca polegała na dozorowaniu wszystkich stanowisk pracy w hali i poganianiu innych. Wystarczała jego siła fizyczna, nie nosił pałki, jak strażnicy. Krivyj nie przemęczał się i zawsze wieczorem szukał ofiary wśród udręczonych pracowników. Lubił przyłożyć komuś przed snem, poprawiało to jego mniemanie o sobie, upewniało, że nie wychodzi z formy.

Dłonie Jaspersa dokuczały nie do zniesienia, gdy wychłodzone lodowatym prysznicem rozgrzewały się znowu. Były poparzone po całodziennym dokręcaniu gorących jeszcze słoików z pasteryzowanymi przetworami warzywnymi. Pracował w przepisowych gumowych rękawicach, ale to nie chroniło ani od oparzenia, ani od zmacerowania skóry. Krzyże bolały po wielogodzinnym siedzeniu w wyprostowanej pozycji. Za garbienie się obrywało się od strażnika kijem w plecy. A strażnicy umieli pojawiać się niespodzianie. Nie było czasu, żeby się rozglądać, gdyż słoiki sunęły nieprzerwaną linią, a za niedokręcenie któregoś można było dostać głodniaka i na dodatek osiem albo nawet dwanaście kijów. Głodniak to był dzień, kiedy wydawali tylko picie. Dlatego Jaspers siedział dwanaście godzin wyprostowany jak struna i dlatego plecy tak go piekły. Sala była długa i ciemna, po bokach stały dwa rzędy dwupiętrowych prycz. Chung gotował na kuchence wodę na gorzką herbatę. Nie poszedł dzisiaj do pracy, miał gorączkę i felczer dał mu pigułki. Jaspers zazdrościł Chungowi gorączki.

– Jaspers, przestań się tam wiercić, bo mi się sypie na pysk! – doszedł go ryk z dołu. Była to oczywista prowokacja, gdyż Jaspers ostrzeżony poprzednią uwagą Krivyja leżał bez ruchu.

– Sypie się czy kapie? – włączył się Bennet. – Naogląda się tych bab, to potem siennik przecieka.

Jaspers nie znosił Benneta za podlizywanie się Krivyjowi. Spotykał nieraz kobiety, gdy wyznaczano go do ładowania skrzynek ze słoikami na wózek akumulatorowy. Wtedy jeździł odbierać wyprodukowane przetwory do hali, w której pracowały. Czasem pomagał im przetaczać ogromne pasteryzatory na kółkach. Wielkie kadzie wypełnione gorącą wodą z zanurzonymi dziesiątkami słoików pikli. Jaspers pamiętał nieznośny smród zbombażowanych przetworów panujący w halach i w magazynie pod gołym niebem.

Kobiety, z którymi się stykał, nie były piękne, więcej, były aerotyczne. Zapamiętał jedną z nich – miała przypominającą suchą gruszkę, pomarszczoną twarz staruszki i długie, czarne, tłuste włosy zaplecione w warkocz. Powiedziała mu, że ma czterdzieści pięć lat. Inne kobiety wyglądały podobnie: przedwcześnie zniszczone lub karykaturalnie otyłe.

Krivyj widocznie uwierzył w słowa Benneta, gdyż po czasie niezbędnym, by zaszedł u niego proces skojarzenia, ryknął:

– Nie będziesz mi tu, gnoju, nad głową wiercił dziury w sienniku! Ja ci tu zaraz go złamię!

Wymierzył mocnego kopniaka w środek materaca górnej pryczy, aż zajęczały sprężyny, a Jaspers wzleciał do góry.

Krivyj zajęczał z bólu i wrzasnął:

– Kurwa! – Widocznie zranił bosą stopę o drucianą siatkę podtrzymującą materac. Zaraz potem zaczął gwałtownie krztusić się i kaszleć, gdyż wzniecona kopnięciem chmura kurzu i pyłu opadła mu na twarz.

– Wpierdala mnie ta pluskwa na górze – stwierdził Krivyj nieoczekiwanie spokojnie i podniósł się z posłania. Oglądał zranioną stopę.

– Zrobił mi bydlak krzywdę, kiedy chciałem go uspokoić – ciągnął dalej, śliniąc palec i ścierając nim krew z ranki. Ze znanstwem smakosza dozował napięcie, chcąc zniszczyć psychicznie przeciwnika, zanim pofatyguje się na górę. A że pofatyguje się, było już pewne. – I psuje taki powietrze. I niszczy materac, bo robi w nim dziury – przemawiał do swej ofiary z wystudiowanym spokojem.

Jaspers nie był ułomkiem, ale starcie z potężnym jak góra Krivyjem musiało wywołać podobny skutek jak zderzenie z ciężarówką. Jaspers z reguły podejmował walkę, nie pozwalał obijać siebie bezkarnie jak Chung czy Truba. Może dlatego obrywał bardziej i może dlatego Krivyj zaczął go częściej. Dzisiaj Jaspers nie był bezbronny: udało mu się przemycić do sypialni półcalową rurę gazową. Trzymał ją pod poduszką.

– To był dobry kop. Chybaś mu złamał małego, bo nic nie mówi – wyrwał się Bennet.

– Ciesz się, że nie tobie, bo takie kopy chodzą parami! Jak przyszedł jeden, to i przyjdzie drugi! – wycedził Krivyj, a Bennet skulił się ze strachu. Widać stopa nie przestała boleć Krivyja.

– No, to do roboty. – Krivyj podniósł się, wsunął trepy. Nie miał jeszcze jasnej koncepcji, czy

użyć pięści, czy może drewnianego trepa.

Jaspers zacisnął dłoń na rurce. Owinął ją koszulą, żeby nie zabić, bo za to byłaby czapa.

Krivyj ze zręcznością niedźwiedzia wspiął się po drewnianej drabince i stanął na pryczy Jaspersa. Ten dokładnie wyliczył drogę gazurki, która ciasnym młynkiem miała trafić i zdruzgotać gołenię olbrzyma.

Dokładnie w tym momencie do sali weszło trzech strażników oraz ktoś w szarym stroju pracowniczym.

– Krivyj! – ryknął jeden z nich, stając w rozkroku i uderzając pałką w dłoń. – Co robicie?!

Krivyj równie szybko jak wspiął się, tak zbiegł po drabince i wyprężył się na baczność, nerwowo poprawiając szarą pidżamę. Obok stanął Jaspers i też wyprostował się jak struna. Wobec strażników byli równi.

– Co to było? – warknął strażnik.

– To by... – zaczął się jękać Krivyj. Szybkie i precyzyjne odpowiedzi nie były jego specjalnością.

– Strażniku Lasaille, pracownik Jaspers melduje posłusznie, że starszy pracownik Krivyj wspiął się na pryczę, aby obejrzeć moją zranioną dłoń i udzielić mi pomocy medycznej – szybko recytował Jaspers, a oczy Krivyja robiły się coraz bardziej okrągłe.

– Tak było, Krivyj? – Lasaille spojrzał na niego surowo.

– Tak jest – wreszcie Krivyj zareagował właściwie.

– Gdzie jest starszy sali? – Lasaille rozejrzał się wokoło. Był przekonany, że ci obaj lżą.

– Starszy sali Lee melduje się. – Chudy, drobny Lee dopinał ostatnie guziki pidżamy. Niknął zupełnie przy masywnym jak niedźwiedź Krivyju i podobnie wysokim, chociaż znacznie szczuplejszym Jaspersie.

– Jak było? Opowiedzcie, Lee.

– Pracownik Jaspers mówi prawdę – łgał bez zmrużenia oka Lee. – Pracownik Krivyj udał się, żeby mu udzielić pomocy medycznej.

– A dlaczego nie wy? Przecież to obowiązek starszego sali...

– Pracownik Krivyj chce rozwijać swoją wiedzę medyczną, a ja mu to umożliwiam.

– No, dobrze – mruknął Lasaille, widząc, że przegrał. – Wracać na prycze.

Gdy wszyscy trzej znowu leżeli z kocami naciągniętymi przepisowo pod brodę, stopami złączonymi oraz wzrokiem skierowanym do góry, Lasaille ujawnił cel nieoczekiwanej wizyty:

– To jest wasz nowy kolega, młodszy pracownik Lepco. Przyjmijcie go dobrze. Będzie spał na pryczy nad Jaspersem, bo jest wolna.

Nowy zawsze dostawał pryczę na samej górze, żeby więcej siana sypało się na innych i ich denerwowało.

Strażnicy zgasili główne światło i wyszli. Znow był zwykły półmrok. Nowy stał niezdecydowany i drżał jak galareta. Płakał. Trzymał w rękach worek z dobytkiem. Tłusty brzuszek podskakiwał mu w takt szlochów.

Jaspers zauważył, że Lepco dostał stare, rozlatujące się trepy, które będzie musiał zszywać.

– Zabrali mi kartę kariery. Jak tak można? – szlochał Lepco. – A w Darah byłem dobrym księgowym.

– Wszystkim zabierają – mruknął Jaspers. – Wyłaż na górę i śpij, bo jutro będziesz harował od rana.

Nowy dalej popłakiwał, aż brzuszek chciał mu wyskoczyć spod pidżamy.

– Słyszysz puchlu, co powiedział mój kolega?! – zadudnił Krivyj. – Szoruj na górę! Bo jak cię kopnę w dupę, to tak polecisz, że ci się szczeble pomylą!

Fakt, że nazwał Jaspersa kolegą, oznaczał awans w hierarchii Krivyja i było pewne, że dopóki nie zapomni, nie będzie znęcał się nad Jaspersem.

– Kopać? Starego człowieka kopać? Ja mam prawie pięćdziesiąt dwa lata.

– Chyba mu przyłożę na dzień dobry... bo mu ta histeria nie chce przejść. Trzeba pomóc gościowi. – Krivyj zaczynał normalne przygotowania do ataku. Wyraźnie brakowało mu ruchu.

Na szczęście dla siebie, Lepco wspiał się wreszcie po trzeszczącej drabinie na pryczę pod samym sufitem.

Poranne, obowiązkowe ćwiczenia były rzeczą, której Jaspers nie znosił. Codziennie na dziedzińcu przed barakami, jedynie zimą w niedogrzejanej sali gimnastycznej, na zimnym parkiecie, w smrodzie potu. Każdy przynosił własnoręcznie uplecioną ze sznura konopnego matę do ćwiczeń, boleśnie drapiącą w plecy przez cienki drelich pidżamy.

Słońce tak wczesnym rankiem ledwie zdołało wysunąć tarczę ponad horyzont. Niedawno skończyły się roztopy i od gleby ciągnął wilgotny chłód.

Skończyli ćwiczenia w staniu, obecnie Jaspers wyciągnięty na wznak, zapamiętałe machał nogami w takt komend strażnika.

– Na raz – nogi złączone i wyprostowane do góry na piętnaście centymetrów, na dwa – w dół, podnieść się do siadu na trzy i położyć na wznak na cztery.

– Raz... dwa... trzy... cztery... – odliczał strażnik. – Hm... hm... hm... osiem... – Odliczanie zaczynało go nudzić.

Mnie też się nudzi – pomyślał Jaspers. – Mogę przestać...

– I...! I... I... dwanaście. – Dzisiaj ćwiczenia prowadził Lasaille.

Jaspers sapał z wysiłku.

– Szesnaście... dwadzieścia... – Lasaille zrezygnował ze spójników udających liczby. Mówił, zachowując proporcjonalne odstępy czasu.

– Dwadzieścia sześć... trzydzieści jeden... – ciągnął.

Popierniczyło mu się... – stwierdził Jaspers i podniósł się.

– Co jest, Jaspers?

– Pan strażnik pomylił się – zameldował.

– Dlaczego?

– Ani dwadzieścia sześć, ani trzydzieści jeden nie są podzielne przez cztery.

Lasaille milczał, stukając pałką w dłoń.

Obrzydliwy uśmiech triumfu wypływał, znikał i znowu wypływał na twarz Krivyja. Nie rozumiał słów Jaspersa, ale wyczuwał, że to był błąd i Jaspers zdrowo podpadł, a słuszna kara go nie minie. Lepco, czerwony jak burak, łapał ustami powietrze jak ryba wyrzucona z wody. Dla niego

ćwiczenia były walką o życie i chwilowa przerwa pozwalała nieco uciszyć serce walące jak oszalałe.

– Pracownik Jaspers – wycedził Lasaille, a Jaspers wyprężył się jak struna.

– Tak jest, panie strażniku – wyszczeakał.

– Zgłosicie się po ćwiczeniach w biurze strażników.

Paskudne zadowolenie nie opuszczało nieforemnej gęby Krivyja.

Z baraku, w którym mieściło się biuro strażników, Jaspers wracał późnym wieczorem. Przez cały dzień rozwiązywał skomplikowane testy matematyczne lub zagadki logiczne. Był zmęczony, ale szczęśliwy. Wiał chłodny, marcowy wiatr. Skulony z zimna, ścisnął za pazuchą drogocenne zawiniątko: prawdziwą książkę.

„Macie, weźcie tę książkę na własność”, dźwięczały mu w uszach słowa Lasaille’a. Wprawiał w dumę otrzymany awans na sekretarza baraku, oznaczający z rana dwie godziny snu więcej i wieczorem mniej pracy również o dwie.

W baraku jeszcze się świeciło. Krivyj siedział na pryczy i moczył rękę w garnku z wodą. Na widok Jaspersa uśmiechnął się niechętnie.

– Całą dłoń mam porozbijaną – uzalił się. – Na takim cholernym karpie. Szkoda ręki. – Z uwagą obejrzał swoją dłoń.

Przy zlewie, koło okna, stał Truba i podtrzymywał słaniającego się Lepco, który płukał twarz pod kranem. Spływająca woda miała kolor różowy. Drelich jego pidżamy był mokry. Lepco zmywał brunatne plamy i wysmarkiwał z nosa czarne skrzepy.

Szlochając, cicho rozmawiał z Trubą. Było już po wieczornej egzekucji. Zdarzało się to regularnie, tylko ofiarą był coraz kto inny. Fajrant zawsze doprawiała szczypta strachu, że właśnie dziś wypadnie zderzenie z twardymi pięściami Krivyja.

Zwykle Jaspers nie zareagowałby, nawet ucieszyłby się, że nie on oberwał, ale dziś był wyjątkowy dzień, a poza tym żal mu się zrobiło nowego.

Staął na rozstawionych nogach naprzeciwko Krivyja i ryknął na cały głos jak strażnik:

– Starszy pracownik Krivyj! Baczość! Zameldować się!

Krivyj drgnął, aż woda wychlapnęła z garnka.

– Ja ci...! Ja cię...! – zadudnił, z nienawiścią patrząc na kolejną ofiarę. Nie spuszczać wzroku z Jaspersa, po omacku odstawił za siebie garnek. Znowu rozlała się woda.

– Uważaj, do kogo mówisz! – ryczał Jaspers, zmagając się wzrokiem z Krivyjem. – Spierdalaj z tego łóżka, ty cholerna kupo mięsa!

Na sali zapanowała cisza jak makiem zasiał, od trzech miesięcy, odkąd Jaspers przybył na salę, nikt nie ośmielił się mówić tym tonem do Krivyja, nawet strażnicy traktowali go lepiej niż innych więźniów.

– Ja cię... zabiję...! – wychrypiał czy wyrzęził w końcu Krivyj.

– Baczość! Do kogo mówię!? Zwracaj się do mnie: panie sekretarzu! – ryczał dalej Jaspers, uświadomiwszy sobie, że wprawdzie Krivyj dostanie głodniaka i dwanaście kijów, ale wcześniej zdąży go poturbować. Dla pewności machnął mu przed nosem rękawem z trzema naszywkami oznaczającymi funkcję sekretarza.

– Cco...? – Do Krivyja wolno docierała wypowiedź Jaspersa. – Sekretarzu...? – Energia wypływała z niego, jak powietrze z przekłutego balonu. Powoli, niezdarnie wydobywał swoje niedźwiedziowate ciało i ospale się prostował.

– Słuchajcie no, gównu Krivyj! – powiedział Jaspers. Było to kolejne wyzwanie, chciał zgnieść przeciwnika. – Śpicie na dolnej pryczy z lampką nocną... a lampka nocna służy do czytania, do pracy umysłowej sekretarza.

Krivyj nie przerywał; milczał, łypiąc spode łba; znów zbierał się wewnątrz.

– Przeniesiecie się na moją, dotychczasową pryczę i weźmiecie swoją pościel. Wymienicie też materace, bo nie będę sobie dupy moczył w waszej rozlanej, brudnej wodzie... I leżeć mi tam spokojnie, żeby mi się nie sypało na głowę albo na książkę. Bo za niszczenie mienia zakładowego dostaniecie głodniaka. Zrozumiano?!

Krivyj skinął głową. Funkcja sekretarza była ważna: zapisywał wyniki pracy, więc mógł je zaniżyć, a wtedy wymierzano przykre kary.

– Wykonać.

– Tak jest, panie sekretarzu.

W sali panowała głucha cisza.

Krivyj, sapiąc i gramoląc się, przeniósł swoją pościel na pryczę Jaspersa i pościel Jaspersa na dolną.

– Sam sobie pościelę – rzucił Jaspers. Nie należało przeciągać struny: Krivyj mógł się zbuntować.

Zaparzył gorzkie ziółka, bo w tym czasie Krivyj ścielił swoje poślanie, a sypiące się siano aż wierciło w nosie.

Potem przepisowo naprężył prześcieradło i wsunął się pod chłodną kołdrę. Sącząc ziółka, przy świetle małej lampki obejrzał książkę.

W twardej oprawie, karbami naśladowującej mozaikę i tytułem jakby ułożonym ze złotych samorodków: *Gniazdo światów, wersja trzecia*, drukowana na cienkim, sprężystym, kremowym papierze. Otworzył ją, nie na samym początku, lecz nieco dalej, tak po kilkudziesięciu stronach.

Wiatr zrywał tumany miąłkiego, szarobiałego pyłu. Trudno było wypatrzyć wstęgę nie odnawianej od lat asfaltowej drogi. Szosa wiodła najkrótszą drogą przez grupę skałek przypominających wymarłe miasto czy labirynt na niegościnnym pustkowiu. Stepem nadkładało się wiele drogi.

Ta część Schhian nosiła nazwę Fnorrah, co znaczyło Dźwięki, Głosy lub Grające Miejsce. Wszelkie życie bało się pyłu Fnorrah. Domy dawnych mieszkańców zrównano z ziemią, by nikt nie zamieszkał tu na stałe. Zdarzały się nawet zgony przejeżdżających kierowców czy pasażerów, ale tylko osób, których Imię Ważne kończyło się na Int lub Myz.

Wielu podróżnych słyszało głosy dochodzące jakby z wnętrza czaszki, nierozróżnialny bełkot, chór szeptów. Jakby mówiło naraz kilkaset osób, choć inni rozpoznawali pojedyncze słowa. Jedni słyszeli nawoływania, inni grupowe recytacje, jeszcze inni głosy pamiętane z dzieciństwa. Głosy Fnorrah były groźne nocą lub podczas zawiei pyłowych: kierowcy gubili drogę, utykali w wydmach.

Ozza prowadziła wóz, oczy łzawiły jej od wypatrywania drogi. Stare oczy. Dawniej wzrok miała ostry i precyzyjny, pozostał niezły tylko na długie dystanse. I tak lepiej niż Hobeth, którą dosięgła starość krótkowidza – wzrok nieostry zarówno z bliska, jak i z daleka. Teraz drzemała, kołysząc się na poślanu w takt podskoków kół na dziurach w asfalcie.

Ich barakowóz zrobiono ze starej ciężarówki. Zamiast skrzyni niósł pudło starego kiosku przerobione na pokój mieszkalny, kabinę z prysznicem i wnękę kuchenną. Okazały cylinder zbiornika wody umieszczono nad szoferką.

Wspólny samochód kupiły, by stale wędrować mimo podeszłego wieku. Co pięć lat i dwieście

dziewiętnaście dni każdy prznosił się do nowej Krainy, ale władze niechętnie patrzyły na koczowników. Próbowano powstrzymać wzrost ich liczby. Przez „ulotnych” pustoszały mieszkania, kamienicznicy bankrutowali, nie inwestowano w nieruchomości, zabudowania szły w ruinę. Liczba nowo wznoszonych kamienic spadła niemal do zera. Uważano, że koczownicy są gorszymi pracownikami, nawet jeśli zatrudniali się na dłużej.

W Schhian, dokąd przybyły z wiosną, ledwie tolerowano koczowniczy styl życia. Tęgi, rumiany pogranicznik uważnie obejrzał wnętrze pokoju mieszkalnego i szoferki. „Ale fajne laski na tych zdjęciach!”, krzyknął do budki, gdzie grzał się jego kolega. „Przyniesiesz broszury, Gerd? Mnie dziś serce nawala”. Ozza spróbowała uśmiechu, którego dotąd się wstydzi. Nawet zaproponowała jakieś krople. Drugi wygramolił się na dwór. Popatrzył zimno, z pogardą. Wcisnął im w ręce broszurę prawną, a po drobiazgowej kontroli technicznej załatwił formalności. „W każdym mieście zaraz meldować się na policji. To obowiązkowe”, powiedział na koniec. „Co ty mi tu chrzaniś, Appe?!”, rzucił, wracając po odprawie. „Dwie nędzarki, ulotne. Jedna sucha jak stara miotła, druga połamana i półślepa”. „Zdjęcia, chłopie, mówiłem: zdjęcia”, odpowiedź z budki doleciała okraszona rechotem. Gerd podniósł szlaban graniczny. Gdyby Ozza była młodsza, policzki zapłonęłyby ze wstydu, teraz ledwie zaróżowiały.

Może złośliwie nie dał wszystkich informatorów? Czy informacja z wymiętoszonego zeszytka wystarczy? Ledwie parę dni, a już zdołały podwinąć się rogi. – Broszura z przepisami prawnymi Schhian tkwiła zatknięta w schowek na drzwiczkach szoferki. Ozza zerknęła w jej kierunku.

Jeśli w Schhian wprowadzono nowe restrykcje, oznaczało to, że koczownictwo nadal się rozpowszechnia. – No, pewnie. Coraz więcej ludzi wpada na nasz pomysł – pomyślała.

W nieustannej wędrówce, która dzieliła życie na równe odcinki, rozstawano się i witano tych samych ludzi, jakby ta sama załoga obejmowała kolejne statki. Nowe nakazy oznaczały, że wyprzedzający je w ciągłej wędrówce próbowali sprostać nowym wyzwaniom.

Ozza wiedziała, że większości z nich nigdy nie pozna, chociaż przekazywanie dla nich informacji było możliwe: opuszczający Krainę na kilka dni po twoim przybyciu znali ludzi, których ty nigdy nie spotkasz, bo ci wyjechali na dni czy miesiące przed twoim przyjazdem. Podobnie przybywający do Krainy, na kilka dni przed twoim wyjazdem, znali innych, dążących po tobie w wędrówce życiowej. Wieść mogła wędrować tylko łańcuszkiem, podróżowano tylko w jednym kierunku. Nie było możliwości uzgodnienia wspólnego czasu pomiędzy Krainami.

Zamieć pyłowa zgęstniała.

Przyda się nowy filtr powietrza do silnika, którego wlot wznosił się srebrzystym kominem ponad zbiornik wody. Chociaż wkład zaraz będzie do wymiany.

Wieje zdrowo – pomyślała.

Słysząc było szum wiatru, łopot zapomnianych szmat wywieszonych z pudła mieszkalnego, szelest pyłu uderzającego w burty i okna wozu.

Rozwali nam dom albo nawieje jakiejś trucizny do środka. – Zjechała z szosy, zaparkowała wóz w cieniu odosobnionej skałki. – Tu nam nic nie grozi. – Pod kołami zaraz zaczęła zbierać się wydma.

Przecisnęła się z szoferki do skrzyni mieszkalnej. Hobeth spała pod szarym kocem. Na półce stały *Gniazda światów*, wszystkie osiem istniejących wersji; kompletne, ze wszystkimi stronami, niektóre w okładkach. Obie uwielbiały czytanie sprawiające, że w książce toczyło się życie. Lubiły relacjonować sobie nawzajem akcję tej samej książki, wyławiać fakty, które ujawniły się tylko jednej z nich. Poznawanie obcych mikroświatów było dla dwóch samotnych staruszek przygodą ciekawszą niż wędrówka po zanieczyszczonych przez przemysł Krainach. Z własnego życia pozostały fotografie, którymi wykleiły ściany mieszkalnego pudełka.

Nastawiła wodę na kuchence gazowej i zaparzyła dwie kawy. Jej samej kawa niezbyt służyła, ale Hobeth przepadała za nią i znęcona zapachem zrezygnuje z drzemki. Nieustannie kłóciły się ze sobą. Ale do dobrej kłótni potrzebna była obudzona Hobeth, bo przecież na śpiącej osobie trudno odreagować wspomnienie rogatek Schhian.

Gdy znakomita woń kawy wypełniła całe pomieszczenie, Hobeth poruszyła nozdrzami i otworzyła oczy. Miała szarosiwe włosy zaplecione w warkocz, zwinięty w kok. Warkocz mizerny, nie jak za młodu. Ozza miała jeszcze rzadsze włosy.

Hobeth mruknęła coś, podparła się na łokciach i usiadła na pościeli.

– Dlaczego nie jedziemy? – zapytała, zamiast ucieszyć się, że czeka na nią ulubiony napój.

Zirytowało to Ozzę:

– Nos ci odleciał, siwy potworze?

– Dlaczego nie jedziemy?

Ozza wiedziała, że póki Hobeth nie usłyszy odpowiedzi właśnie na to pytanie, nie zainteresuje się czymkolwiek innym. Niektóre myśli opanowywały ją z siłą natręctwa. Ozza celowo nie odpowiadała. Starannie mieszała kawę, aby grubo mielone ziarna opadły na dno fajansowego kubka.

– Bardzo wieje? – nie ustawała Hobeth.

– Co z twym nosem, potworo? Leży pod stołem czy masz go na swoim miejscu? Ruszże tym kinolem.

– Uspokój się, Ozza. Ty sobie nie wyobrażaj!

– No, no... – Ozza pokiwała suchym palcem. – Bo on na ciebie patrzy – powiedziała, wskazując palcem na zdjęcie.

– On na ciebie też patrzy.

Ozza rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku zdjęcia.

– Niech sobie patrzy – wzruszyła ramionami.

Podstawowa różnica wieku pomiędzy siostrami wynosiła aż trzysta cztery dni, co wykluczało wspólne wędrowanie, ale w czasie jednych przenosin, Ozza nadrobiła dokładnie tę różnicę czasów, wypadła jej bowiem droga, która zajęła aż trzysta sześć dni, oczywiście zaliczona w poczet pobytu w następnej Krainie, podróż Hobeth trwała zaś jedynie dwa i dlatego pozostało im obu do spędzenia tyle samo dni. Skorzystały z tej szansy i odtąd nie rozstały się.

Trzystusześciodniowej drogi z Lalz do Tahl Ozzaomal nie przypłaciła życiem. Zwykle zaopatruje się ludzi w żelazne racje na trzysta dni. Ozza dotarła do Tahl po sześciodniowej głodówce, pijąc brudną wodę, używaną wcześniej do mycia. Odtąd obsesyjnie bała się pragnienia. Swoją ciężarówkę zaopatrzyły w zbiornik wody, wystarczający na przeżycie czterystu dni.

Ozza rozsiadła się na kanapie z książką. Hobeth dokładnie oglądała zęby przed lustrem, a potem zaczęła dłubać w nich szpilką. Prawie wszystkie były jeszcze własne, może zachowała je dzięki tej przesadnej trosce. Ozza odnalazła zagiętą kartkę, gdzie wczoraj przerwała czytanie. Papier był pożółkły, kartki pozaginane, rogi zaokrąglone od wielokrotnego czytania. Czytała tę książkę od młodości, ale nie przebyła nawet pierwszych pięćdziesięciu stron. Treść i akcja rozwijały się autonomicznie, w miarę wnikania w sens przybierało faktów, zdarzeń, opisy nabierały barw.

Ciekawy świat gra się w jej wnętrzu... – pomyślała z dumą.

Jej pedantyczna natura wykluczała pobieżne kartkowanie tekstu. Dlatego ludzie w wykreowanym świecie wiedli życie intensywne, pełne przygód. Swą dokładnością obdarzała wszystkie światy zagnieżdżone, czytając cyklicznie wszystkie osiem książek. Nie myliła wątków ani bohaterów, byli przecież całkowicie jej tworam, więcej niż jej dziećmi.

Hobeth czytała pobieżniej, niecierpliwiąc się, co przyniesie dalsza akcja, ale zaszła w tekst niewiele dalej.

Nie było żadnej rozsądnej siły, która mogłaby oderwać Ozzę od ulubionej lektury.

Hobeth poszła do szoferki. Ona sama z największą niechęcią przerywała czytanie, wiedząc, że ta prosta czynność, zawiesza życie bohaterów i istnienie całego świata.

Po kilku bezowocnych próbach, rżąc wysilonym silnikiem, wóz wreszcie wykopał się z nawianej zasy. Zatrzymanie go w środku burzy pyłowej groziło ugrzęźnięciem. Ozza, zwykle uporządkowana i systematyczna, przejawiała czasem zdumiewającą beztroskę.

Hobeth chciała koniecznie przed nocą dotrzeć do Zatr. Ciężarówka właśnie pokonywała skalne miasto Fnorrah. Hobeth czuła się nieswojo. Zapragnęła, żeby Ozza towarzyszyła jej w szoferce, ale zaraz wyobraziła sobie jej gderanie. Obie umiały zadręczać się gderaniem. Może dlatego, że nie wyobrażały sobie życia osobno. Gdy wielkie zwycięstwo zostało odniesione, można było walczyć o rzeczy drobne, które z innej perspektywy są bez znaczenia.

Wichura nie słabła. Ozza wyłączyła się zupełnie, czytała *Gniazdo światów*.

Wokół ścian pokoju ustawiono sfatygowane kanapy. Jedne składane, inne nie. Izby nie odnawiano od lat: ściany brudne; na suficie czarne plamy od klimatyzatora; firanki obrosły szarym kurzem. Poprzedni mieszkańcy opuścili mieszkanie z końcem wiosny, a Linda i Jack Lasco zamieszkali tu parę dni temu. Otyły i powolny Jack sprawiał wrażenie nieporadnego. Linda niska, o krótko przyszyżonych włosach i okrągłej twarzy, była jego przeciwieństwem: energiczna i ruchliwa. Rozkwitała w towarzystwie. Oboje byli dokładnie zsynchronizowani, Krainy zmieniali tym samym transportem.

Nie byli sami. Na kanapie siedziała Gail Rottman. Jej mąż, Zbigen, z obrzydzeniem odchylił firankę, zerkając przez okno na mizerny lasek, spoza którego przeświecała tafla jeziora. Bardzo chudy, wysoki i pogarbiony, przypominał wodnego ptaka na patykowatych odnóżach. Roffmanowie zamieszkiwali drugą połowę parterowego domu nad jeziorem.

– Dom jest fascynującą formą terenu. To zdumiewające, że naturalną – powiedziała Gail, zerkając na męża.

Piątą osobą był Zekhe Gomesh. Parę dni temu przybył z Magaysch. Krótki czas pobytu sprawiał, że przebywający w każdej Krainie na ogół znali się od dawna. Gomesh należał do wyjątków. Dlatego chociaż niższy i starszy od Jacka, dla Lindy stanowił atrakcję najwyższego rodzaju. Dla niego przeznaczona była jej mimika i ożywienie.

– Kolega Jacka, Taylor – zaczęła Linda (Taylor był poprzednim obiektem jej zainteresowań, ale już przeniósł się do Tolzdamag) – twierdzi, że domy mogą być konstrukcjami sztucznymi. Mają zbyt skomplikowaną strukturę, żeby powstały całkowicie naturalnie.

– Powszechnie znany eksperyment pokazuje, że podczas tężenia lawy nasyconej gazem tworzą się pustacie o dowolnej wielkości i o dowolnie cienkich ścianach. Wysiłkiem technicznym można przecież zbudować obiekt przypominający naturalne formy terenu, ale to żaden dowód. Jest oczywiste, że praktyczni użytkownicy uzupełniali naturalną pustacę o szyby, framugi czy drzwi. Teraz tego zaprzestano jako zbyt kosztownego i mało efektywnego. – Wysoka Gail, choć młodsza od Lindy, wyglądała poważniej. Pracowała w Urzędzie Ewidencji Ludności Godaab. Dla swojej rodziny bez trudu załatwiła przydział mieszkania z szybami. – Jest tak wiele niezamieszkałych domów w lasach i na stepie, że wydaje się niepodobieństwem, aby je wszystkie ktoś zbudował. – Gail miała dostęp do pełnych danych o ludności, trudno było z nią dyskutować. – Po drugiej stronie jeziora jest fabryka. Tylko częściowo zasiedlona, bo w wielu jej pomieszczeniach zalegają hałdy trujących związków chemicznych. Dla mnie to przekonujący dowód, że jest naturalną, powulkaniczną formą terenu. Związki te stanowią pozostałość po erupcji lub zdeponowała je woda, podobnie jak odkłada złoża innych minerałów. Przeciętny dom jest prostszą i mniejszą kopią fabryki, Też jest formą naturalną. Także zatrucie jeziora jest wynikiem tych samych procesów wulkanicznych. Te same związki

chemiczne – podsumowała pewnym siebie tonem.

– Ale pochmurno. Rano myślałem, że się poopalamy nad jeziorem – mruknął Zbigen. Palcami rozgarniał zmierzwioną brodzę i wyszukiwał pryszcze, które wyrastały pod włosami, Znalezonego ścisnął dwoma palcami i z lubością, przez narastający ból wyczuwał, kiedy ciśnienie tkanki gwałtownie spada, gdy na zewnątrz wytryskuje kropelka żółtej ropy, a po niej leniwie wypływa większa kropla ciemnej krwi. Wycierał miejsce boju palcem, a następnie lokalizował kolejnego pryszcza. – Lubię Godaab, tu jest dobra pogoda. – W Magaysch było zimno i padało.

– Ty zawsze się wyrwiesz – zgasła go Gail. – Przecież w Magaysch była zima, a potem wiosna...

– Podobno informacja genetyczna została zapisana sekwencją podjednostek jednego związku chemicznego, biopolimeru. – Linda chciała popisać się wiedzą przed Zekhem,

– Taylor tak twierdzi? – rzuciła Gail, a Jack posłał jej szybkie spojrzenie, nie pasujące do jego ospałości.

– Tak – ciągnęła niezrażona Linda. – Jest biologiem, a biolodzy mówią na tę sekwencję: Kod Życia. Myślę, że Imię Ważne można by nazwać Kodem Śmierci, przez analogię. Ja mam na Imię Ważne: *Flo-Vor-Myz-lnt-Udda*.

– I poznałaś jego sens? – Jack przejechał dłonią po pokrytej jasnym meszkiem łysinie. Powtarzał brodate dowcipy. Nie potrafił się powstrzymać, chociaż utrzymywało to jego opinię jako niedorajdy.

Znaczenie Imienia Ważnego stawało się jasne dopiero po śmierci posiadacza. W przypadku Lindy oznaczało to: „Od ognia wywołanego przez walkę wywołaną przez mózg wywołany przez wnętrze wywołane przez piorun”. Co mogło oznaczać śmierć wywołaną przez nabyte w czasie burzy przeziębienie, które spowodowało gorączkę i majaki, a podczas nich zaplątanie się w prześcieradło i zrzuć w czasie szamotaniny z prześcieradłem świeczki i pożar albo równie dobrze ciężkie porażenie prądem wywołujące zaburzenia zdrowia (i świadomości), w związku z tym bezładną szamotaniną i nie odnalezienie wyjścia z płonącego budynku. Mogło też znaczyć co innego.

– Krótki polipeptyd – zauważył Zekhe.

– Co? – Linda nie zrozumiała tej uwagi.

– Ma tylko pięć podjednostek i dwanaście możliwości na każdą z nich, Biolodzy mają do czynienia z polimerami o bardzo wielu podjednostkach, z których każda może być aminokwasem, a tych są dziesiątki.

– Jack ma książkę, która dzieje się w trakcie czytania – oznajmiła. Woląta pewniejszy grunt. – Zostało w niej zagnieżdżonych wiele książek. Dotarł do takiej, w której mają Imiona o dwunastu członach.

– Dwanaście do dwunastej Imion Ważnych, to jest coś – mruknął Zbigen. – Żadne z Imion się

nie powtarza.

– Też mam taką książkę – wtrącił Zekhe.

Książki dziejące się były popularne. Znano ich trzynaście wersji. Ludzie lubili, gdy w trakcie czytania toczyło się życie bohaterów.

– Nie lubię jej czytać. Męczy mnie – powiedziała Linda. – Żal mi cierpień tych ludzi, gdy wiem, że cierpią tylko dlatego, że mnie chciało się sięść na kanapie i podnieść okładkę.

– Będziecie coś tu zmieniać? – Zekhe zmienił temat.

– Naprawię krzesła i zbiję stół – powiedział Zbigen. – Reszta jest w porządku.

– Nie sprawicie sobie jurty? – zapytała Linda. – Coraz więcej osób tak robi. Przynajmniej ma się coś własnego. Wygląda schludniej niż mieszkanie, a poza tym jest dziełem ludzkim. Słyszałam, że wymyślono ją do uszczelniania pokojów bez szyb. Teraz rozbijają jurty również poza domami.

– Należy mieszkać w domach – stwierdziła Gail. Jej i Zbigenowi nie groziło mieszkanie bez szyb. – A poza tym jurta nie jest zdrowa. Ciągnie od ziemi...

– Można wypleść matę z wikliny albo z konopi na podłogę.

– Wy kupujecie jurtę? – spytał Zbigen.

– Linda mnie namawiała – odpowiedział Jack. – Mieliśmy za mało pieniędzy na kupno, ale starczyło na materiał i wielkie nożyce krawieckie – uśmiechnął się. – Postanowiłem więc uszyć jurtę samodzielnie. Właśnie wczoraj skroiłem brezent według zalecanej formy.

Zbigen pokiwał z uznaniem głową. On sam nie miał zdolności do rękodzieła.

Był ciepły, słoneczny poranek. Słońce stało jeszcze nisko, ale już zapowiadało południowy upał. Szary piasek rozniesiony stopami plażowiczów sięgał w głąb rzadkiego, sosnowego lasu; tam zaś był chłodny i wydawał się wilgotny. Woda w jeziorze nie była zabarwiona, nie śmierdziała ani nie niosła piany. Zatrucie było bardziej wyrafinowane: niewidoczne i przez to mniej wiarygodne. Może dlatego wzdłuż plaży ustawiono tak wiele tablic zakazujących kąpieli.

Wszyscy mieli ochotę iść na plażę, ale Linda zebrała się wcześniej i wyciągnęła Zekhego, a ten wziął aparat. Rozłożyła na piasku koc i troskliwie nasączała skórę olejkiem do opalania. Miała na sobie dwuczęściowy kostium w kwiatki. Zekhe fotografował, pastwił się nad kolejnymi źdźbłami suchej trawy o wąskich liściach. Jack miał wkrótce przyprowadzić Gail i Zbigena.

Słońce wznosiło się, ale światło jeszcze nadawało się do fotografowania. Brak wiatru powodował, że ani zielska nie drgały, ani piasek nie włąził w tryby aparatu.

– Lubię fotografować kobiety – powiedział kurtuazyjnie Zekhe, chociaż nie miał ochoty uwiecznić Lindy. Nie miała nadwagi, ale wydawała mu się zbyt przysadzista. – To najładniejsze obiekty. Jeśli mi pozwolisz i zarumienisz się nieco od słońca zabiorę się do fotografowania ciebie.

– Możesz już teraz. – Skierował na nią obiektyw. Linda siedziała bokiem i przez ramię uśmiechała się do obiektywu. Zwolnił migawkę raz i drugi. Czegoś brakowało w sylwetce. – Jasne, poziomej linii dzielącej plecy na pół: paska od biustonosza.

Uśmiechnięta Linda odwróciła się przodem. Biust miała niewydatny, ale nie aż tak, jak kobiety, które w ogóle biustu nie mają i wzrok przyciąga zbyt wąska klatka piersiowa; przeciwnie: był zaznaczony łagodną, miękką linią foremnej wypukłości, wyglądał ładnie, choć zbyt zaznaczały się brodawki i aureole.

Majtki też zdjęła – zauważył. Kadrował pionowo, z nieco większej odległości, aby zmieścić całą jej sylwetkę. Linda podobała mu się coraz bardziej.

– Mogę pobiegać po plaży. Będziesz miał ujęcia w ruchu, ale też ściągnij... – urwała, usiadła, przykryła biodra leżącą spódnicą i szybko założyła stanik. Od domu nadchodził Jack z Rottmanami. Z tej odległości tylko on mógł nie zauważyć, że Linda wkłada majtki.

– Ozza, chodź do szoferki, jest mi nieswojo samej... Tak ciemno – z głośnika doszedł głos Hobeth.

Przestała czytać.

– Teraz nie odejdę od książki.

– Przyjdź tu, proszę... Powiem ci, co się z nimi stanie. Ozza westchnęła z udaną bezradnością, zebrała się z kanapy i wzięła książkę pod pachę.

Krzeselko obok kierowcy było niewygodne. Nieznośnie grzała spękana, choć pieczołowicie połatana derma.

– Nie możesz, potworo, wytrzymać sama – mruknęła z zadowoleniem.

– Posiedź tu trochę. Opowiedz, co oni tam robią. – Hobeth nie nawiązała walki słownej.

– Jack ma zamiar wieczorem wywołać film Zekhego. Są na nim trzy, może nawet cztery zdjęcia rozebranej Lindy.

– Ja też to czytałam – powiedziała Hobeth. – Kilka razy przerwałam akcję, przestałam czytać... żeby Zekhe mógł zrobić więcej zdjęć rozebranej Lindy. Z każdym zdjęciem uczył się jej ciała, podobała mu się bardziej. Wytrzaskał prawie całą rolkę filmu.

– A co będzie z tym filmem?

– Jack rzeczywiście go wywoła, nic nie mówiąc Zekhemu.

– To żadna przyjemność dla maniaka fotografii, kiedy ktoś inny wywołuje jego filmy.

– Bo to miała nie być przyjemność dla Zekhego. Jack nie jest głupi, tylko udaje takiego. Od dawna podejrzewał Lindę. Za te zdjęcia z zimną krwią ją zabije. Zakłuje ją nożycami krawieckimi, mało przekonująco pozorując wypadek.

– A Zekhe?

– Jeszcze nie doczytałam – powiedziała Hobeth. – Jack zamierza jego też zabić, chociaż to z Taylorem Linda dłużej romansowała.

Znów prowadziła Ozza. Głosy Fnorrah nie rozległy się. Już majaczyły zabudowania Zatr. Zmierzchało, ale wszystkie okna oazy były mroczne. Nie przejechał żaden samochód. Osobliwością Zatr były trzy linie tramwajowe utrzymujące regularną komunikację na wąskich uliczkach, ale tramwaj też nie nadjechał.

Ozza zaparkowała wóz przy witrynie sklepowej. Gdy umilkł silnik, zapanowała niezmacona cisza. Wiatr zupełnie ustał, bo przecież zaszeleściłby listowiem czy rozrzuconymi papierami, lub chociaż kłapnąłby niedomkniętym oknem. Wszystko wokół – ulice, stojące samochody, nawet uliczne drzewa zaścielała warstwa rudego pyłu.

Pył uciszył miasto, jak dźwiękochłonna wykładzina – pomyślała Ozza. – Trzeba ruszyć stare gnaty – powiedziała.

– Prawie mi macica wyskoczyła od tych wybojów – mruknęła Hobeth. – Muszę się wysikać.

– Na co ci macica w twoim wieku?

– Przyzwyczaiałam się do niej. – Rozzłoszczona Hobeth poszła do toalety. Ozza powoli schodziła po szczeblach drabinki. Sił brakowało. Nie wyglądała źle, gdyż trzymała się prosto i była szczupła, to znaczy wychudzona.

Przytrzymała się drzwiczek, żeby rozhułałe gwałtownymi ruchami serce wróciło na swe zwykłe miejsce pod obojczykiem. Rudy osad na chodniku i ulicy to nie pył, lecz warstwa przypominająca zaschłe błoto. Może mżawka zestaliła pył przyniesiony wiatrem.

Dołączyła do niej Hobeth. Szła o lasce.

– Słyszałam, że coś chlupnęło w kiblu – powiedziała Ozza.

– To pewnie twoja macica, potworo?

– Siedzi sobie, gdzie trzeba – Hobeth chciała się poklepać po brzuchu wolną ręką, ale złapała się za bok, uderzona ostrym bólem.

Nie usunięto wraku samochodu rozbitego o skrzywiony słup uliczny; szkło walało się wokół stłuczonej witryny sklepu.

Weszły do środka. Na posadzce w różnych pozach tkwiło kilkoro ludzi, kasjerka opierała czoło o kasę.

Ozza zadrzała ze zdenerwowania. Była pewna siebie, skłonna do dręczenia słownego Hobeth, ale tylko, gdy nie było bezpośredniego niebezpieczeństwa. Hobeth zachowała się bardziej zdecydowanie. Podeszła do kasy i laską pchnęła leżącą. Ciało odchyliło się do tyłu i zatrzymało na

oparcu krzesła, wystawiając do góry straszną, sinoczną twarz z rozdziawionymi ustami o smolistych wargach i wybałuszonych, czerwonych gałkach oczu pokrytych siateczką czarnych żyłek.

– Aaah...! – Ozza wydała ochrypły ryk strachu.

Zesztywniałe palce kasjerki sterczały do góry w niemym geście. Były ciemne jak jej twarz. Hobeth opuściła laskę, ale zwłoki pozostały w zadartej pozie.

– Nie ma sensu tego ruszać – powiedziała. – Myślę, że inni wyglądają podobnie. To może być jakaś zaraza. Lepiej tego nie dotykać. Chodźmy stąd.

Ozza posłusznie dała sobą kierować.

W ciszy usłyszały stuk, może chrobot dochodzący zza drzwi, potem jakby cichy jęk. Ktoś w Zatr jeszcze żył i prosił o pomoc.

Znów były na nie kończącym się szlaku wędrówki. Wóz podskakiwał na wybojach, aż połatane fotele drżały z jękiem. Ozza prowadziła, a obok siedziała Hobeth. Dziś były w dobrych humorach. Dzień był słoneczny, bezchmurny.

Hobeth trzymała na kolanach nowy nabytek, który grzał jej pomarszczone dłonie. Miał długie, puszyste, ciemnofioletowe futro; brakowało mu kiści lewej, przedniej łapy – świadectwo minionego dramatu. Potem nabytek lekko, ale stanowczo wysunął się z jej rąk i, utykając, zaczął łązić po desce rozdzielczej samochodu. Mruczał przy tym cicho i wyprężał elastyczny grzbiet. Ozza popatrzyła na niego z niepokojem.

– Żeby się nie zesikał, bo zaleje stacyjkę.

Oprócz tej dziwnej obawy, nowy nabytek wzbudzał jej ogromny zachwyty. Nieustannie poila go mlekiem albo podsuwała motek włóczki, chociaż nie miał ochoty na dziecinne zabawy. Teraz zwinął się w kłębek; głęboko ziewnął, pokazując cieniutki języczek; zamknął ogromne, zielone oczy i zasnął.

– Myślisz, że będzie chciał z nami zostać? Koty są zwierzętami terytorialnymi – powiedziała Hobeth.

– Tu może być jego terytorium.

– Ale ma głupie brwi – uśmiechnęła się Hobeth. – Po siedem włosów w każdej... i do tego całkiem siwe...

– Dziecinniejesz, stara – zauważyła Ozza, jednak zerknęła zza kierownicy na kota.

– Jak go nazwiemy? – Nic nie mogło popsuć humoru Hobeth.

Na chwilę zapanowało milczenie.

– Roan – powiedziała Ozza.

– Fajnie, znowu Roan jest żywy. Chyba nie będziesz miał nam tego za złe? – dodała, spoglądając na fotografię zatkniętą za blachę karoserii.

– Nawet jest podobny. – uśmiechnęła się Ozza. – Poszedł spać, a my mamy przygotować jedzenie.

– Od wczoraj nie zaglądałaś do Gniazda światów – zauważyła Hobeth.

– Linda uciekła z Zekhem, zanim Jack zrealizował swój plan – Ozza wzruszyła ramionami.

– Jak to uciekła? Zabił ich oboje.

– Jack przegapił zdjęcia Lindy, przeglądając film pierwszy raz, a oni zorientowali się, czym grozi sytuacja i odjechali, zanim film wysechł. Gail może im sprowadzić Jacka na głowę. Przecież muszą dać się zewidencjonować w nowym miejscu. Nie zaglądam do książki, żeby Zekhe zdążył coś wymyślić.

– Zekhe dostał za swoje. Linda nie przestanie uwodzić obcych facetów.

– Myślisz? Polubiłam ją.

Czy Ra Mahleine przypadkiem znalazła rozwiązanie? Czy powinienem czytać, by zatrzymała się epidemia zgonów? Czytając, wyłączam się z otoczenia, nie myślę o innych sprawach. Może wtedy śmiertelna korelacja zanika, a życie wraca we właściwe koleiny?

Uśmiechnął się do siebie: Medvedec nie dzwonił od dawna. Może nie miał powodu dzwonić? Może rzeczywiście choroba Ra Mahleine się zatrzymuje?

A Haigh, co on zauważył?

Gavein wyłuskał spomiędzy stronic książki pierwszą notatkę Haigha. Była pokryta drobnym maczkiem. Literki wyraźne, pochylone. Jakies liczby, wzory.

Wprowadzę hierarchię światów – im głębiej zagnieżdżona książka, tym stopień zagnieżdżenia wyższy. Trywialne, ale jakoś trzeba zacząć. Gdy stopień zagnieżdżenia wzrasta, wzrasta liczba Krain; maleje czas przebywania w jednej Krainie; wzrasta liczba Imion Ważnych oraz liczba wersji Gniazd światów. Struktura wersji przypomina gałęzie drzewa: kolejny stopień zagnieżdżenia, to nowe rozgałęzienie. Dokładnie jak dwa drzewa – na dwóch wersjach Gniazda światów.

Wraz ze stopniem zagnieżdżenia zmienia się fizyka świata zagnieżdżonego: Krainy w Świecie Gary'ego i Bolyów otacza pustynia, o wyodrębnionych niciach wspólnego czasu – dla każdej trasy spowolnienie czasu jest inne; w świecie Jaspersa czy światach głębiej zagnieżdżonych niejednorodności są tak silne, że nie da się uzgodnić wspólnego czasu dla różnych Krain.

To rozważania jakościowe, a teraz ubierzmy te spostrzeżenia w liczby.

Wprowadzę skalę: niech świat Gary'ego, Daphne i Bolyów ma numer 1; świat Jaspersa numer 2; świat Ozzy i Hobeth numer 3; zaś świat Lindy i Jacka numer 4.

Potrafię zestawić liczby Krain: w świecie numer 1 jest ich dziewięć, w świecie numer 2 – szesnaście, w numer 3 – dwadzieścia pięć oraz w numer 4 – trzydzieści sześć. Widzisz, Dave, jak prosta formuła je wiąże? (Haigh często zwracał się w swoich notatkach do Gaveina). Liczba Krain $= (n+2)^2$, gdzie n to jest numer świata. Ładna, elegancka formuła.

Gavein z niechęcią przyjrzał się wzorowi. Nie lubił zapisu symbolicznego. Z trudem radził sobie z takim sposobem myślenia, chociaż rozumiał go.

Próbowałem zestawić czasy przebywania w kolejno zagnieżdżonych światach. Będzie to: 15 i 5/9 roku, 8 i 3/4 roku i 5 i 6/10 roku dla światów numer 1, 2 i 3. Daje to: 5677, 3194 i 2044 dni.

Co z tego? Nie widzę zależności. Tylko na razie!

Myślę, że liczba światów zagnieżdżonych musi być skończona, bo jeżeli by było inaczej i w każdym z nich napisano by przynajmniej jedną literę, to Gniazdo światów musiałoby mieć nieskończoną długość, a przecież mogę wziąć do ręki tę książkę! A na dodatek mogę podnieść tylną okładkę i zajrzeć na ostatnią stronę, chociaż treści ostatniej strony nie rozumiem! – Widzisz, jaki prosty i elegancki wywód, Dave?

– To nie takie proste. Chyba tu się, bracie, mylisz... Ta książka rozciąga się jak akordeon. – Przypomniał sobie słowa Wilcoxa, tkwiącego całymi dniami na tej samej stronie. I tę udrękę w jego oczach. Gavein uważał, że nie da się przeczytać całej treści zawartej w *Gnieździe światów*. Działał, jak go nazwał, „efekt lupy”, albo „efekt mikroskopu”. Mianowicie, gdy czytał coraz uważniej i coraz bardziej pochłaniała go lektura, opis stawał się dokładniejszy i ujawniał ciągle nowe fakty, których wcześniej tam nie było. Tak samo się działo, kiedy trafiał na świat zagnieżdżony, którym się szczególnie zainteresował.

Haigh był bardzo pobieżnym czytelnikiem światów, skoro doszedł do tego wniosku... – Według Gaveina nic nie stało na przeszkodzie, aby liczba światów zagnieżdżonych w książce nie była skończona, gdyż dowolny czytelnik i tak wyłowi tylko niewielką część spośród nich.

Miał też inne, intuicyjne wyjaśnienie: czytelnicy ze światów zagnieżdżonych mogli więcej niż on dowiedzieć się o światach im bliższych. Ozza mogła długo czytać o świecie Lindy i Jacka. A jego wgląd był ledwie fragmentaryczny. Spomiędzy kartek wysunął świstek z notatkami Haigha. Zmięta kiedyś, ale rozprostowana kartka pokryta maczkiem.

Chciał to wyrzucić, ale zmienił decyzję... – pomyślał Gavein.

Haigh pisał niewyraźnie. Gavein naigrawał się, że ten bazgrze, bo jest mańkutem. Mówił to tylko wtedy, gdy Ra Mahleine nie było w pobliżu. Ra Mahleine też była leworęczna, choć nie bazgrała.

Liczba zagnieżdżonych światów musi być skończona również z innego powodu – pisał Haigh. – W każdej Krainie jest mniej więcej tyle samo ludzi, gdyż rodzą się średnio z tą samą częstością, a w świecie numer około 173204 jest trzydzieści miliardów Krain, więc pojedynczy człowiek przebywa w co piątej, co dziesiątej z nich. A to, że spotkają się kobieta i mężczyzna, zdarza się w co pięćdziesiątej do co dwusetnej Krainie; z tego jasno wynika, że ludzkość w takim świecie wymrze.

Na dodatek, poród trwa około godziny, więc nie mogą istnieć światy tak wysokich rzędów, że mieszkaniac przebywa w nich krócej.

Te argumenty brzmiały bardziej przekonująco.

Lepco co wieczór przesiadywał u wezglowia Jaspersa, czekając aż Krivyj uśnie. Bał się prowokować go pyłem sypiącym się z siennika. Jaspers nie mogąc wtedy czytać, zaczął wypytywać Lepco o zasady rachunkowości, identyczne w Darah jak i w Taayh.

Wkrótce awansował, nie tkwił już przy taśmie. Snuł się godzinami po halach produkcyjnych z notatnikiem w dłoniach i spisywał, podsumowywał, przekazywał. Żmudne, wymagające zajęcie. Musiał co godzinę zgromadzić komplet liczb opisujących obecną produkcję, stan zapasów i wprowadzić do maszyny planującej. W odpowiedzi dostawał rozpis produkcji na następną godzinę. Roznosił te polecenia, wdrażał otrzymane wskazówki, zmieniał reżym pracy urządzeń.

Potem było piętnaście do dwudziestu minut wolnego czasu na gazetę. Ledwie przejrzał informacje o wyprodukowanej żywności, odzieży, obuwiu; rozważania o przewidywanych przydziałach dóbr dla pracowników młodszych i starszych, a już cykl jego pracy zaczynał się od nowa.

Zaglądał na oddziały, gdzie pracowały kobiety. Zwykle plątał się w pobliżu stanowiska jednej z nich. W zwykłym, szarym stroju pracownicy i szarej chustce spinającej włosy, wyróżniała się nieoczekiwaną subtelnością. Może to, jak zwieszała głowę, pracując; może to, że w przeciwieństwie do większości innych kobiet przy taśmie, była szczupła i zgrabna; dość, że trasa Jaspersa wiodła obok jej stanowiska. Dziewczyna miała smukłą białą szyję o delikatnej, świeżej cerze. Sądził, że była bardzo młoda, tylko poważna nad wiek. Oczywiście, szybko dowiedział się, jak ona ma na imię. Heather podobała mu się coraz bardziej.

Książkę czytywał wieczorami przed snem lub nastawiał budzik na wpół do piątej i zaczynał od bladego świtu. Przedstawiała świat tak odmienny od rzeczywistości zakładu, że niosła wytchnienie. Losy dwóch staruszek, których życie upływało na nieskrępowanym wędrowaniu, były niezwykle jak sen.

Dwukrotnie przez to spóźnił się do pracy. Strażnicy potraktowali jego spóźnienia pobłażliwie, ponieważ radził sobie z obliczeniami produkcji bieżącej zakładu i wyznaczaniem współczynników statystycznych. Mało kto umiał liczyć tak akuratnie.

Lepco nie zniósł trudów pracy fizycznej: zmarł na zawał serca. Jaspers bardzo go żałował.

Krivyj stał się spokojniejszy, ostrożny, w baraku nie znęcał się nad innymi. Bił ich na terenie zakładu, ofiary wracały już opatrzone. Jaspers pozbawił go zwykłej, cowieczornej przyjemności, za którą przepadał, jak inni za spacerem. Znienawidził za to Jaspersa jeszcze bardziej.

Po dwóch tygodniach nadeszły wyniki testów Jaspersa. Lasaille wyciągnął go wczesnym rankiem z sali. Oderwał od lektury. Na korytarzu serdecznie poklepał go po plecach i uścisnął dłoń, ściągając skórzaną rękawiczkę.

– Gratuluję – powiedział ciepło. Jaspers napęczniał z dumy, pomimo że ręka Lasaille była zbyt miękka, nieprzyjemna w dotyku.

Udali się do samego komendanta. Hullic niknął za masywnym biurkiem z surowych płyt paździerzowych. Na apelach produkcyjnych wydawał się zwalisty, masywny i stary; w rzeczywistości był drobny i znacznie młodszy. Na powitanie uścisnął im obu dłonie i wskazał fotele.

Jaspersowi wydawało się, że pofrunie. Przecież rozmawiał z komendantem.

– Więc to jest największe odkrycie roku – zagaił Hullic, życzliwie przyglądając się Jaspersowi. – Uzyskał pan znakomity wynik, Jaspers. Winszuję – powiedział. Fakt, że zwrócił się do Jaspersa przez pan, oznaczał awans. – Bardzo się cieszę z nowego kolegi, brakuje nam strażników... Rozumie pan... Stałe, wysokie wymagania. Mało kto może im podołać. – To było wyjaśnienie obecnej pozycji Jaspersa.

– Pan, Lasaille, też awansuje za to trafienie – Hullic uśmiechnął się. – Proszę zaopiekować się wprowadzanym kolegą. Rozumie pan... Wyfasować mundur. Kurs strażników. Zapoznać ze wszystkim. Zapoznać z załogą – Hullic wykonał gest, który miał wyjaśnić, że Lasaille wie, co ma zrobić, a także, że temat został już wyczerpany i on, Hullic, ma dużo roboty, więc najlepiej będzie, jeśli Jaspers i Lasaille dadzą mu święty spokój.

Jaspersa przeniesiono do pokoju strażników, czteroosobowego. Oprócz niego pokój zajmowali: Lasaille, chudy i mrukliwy Dub oraz Tyang, gadatliwy staruszek, od którego nieraz oberwał pałką po plecach.

Mundur wyfasowano na miarę. Najpierw Jaspersa w formierni wysmarowano syntetycznym tłuszczem, a modelarz nałożył nań bryły pianki tężejącej na powietrzu i uformował ją w sploty mięśni i szerokie ramiona, następnie tak otrzymane elastyczne poduszki umiejętnie wszyto do munduru, by sprawiały wrażenie normalnej sylwetki.

Po założeniu munduru Jaspers wyglądał jak masywny osiłek, kopia Krivyja. Twarz skryto za siatkową, przezroczystą maską, by utwardzić rysy oblicza. W czasie pracy munduru nawet rozpinąć nie było wolno.

To dlatego strażnicy wydawali się nieprzeciętnie muskularni, a ich zacięte, zdecydowane twarze budziły respekt. Przetworzenie postaci było niezbędne dla zachowania posłuchu u pracowników. By uniknąć przypadkowego rozpoznania przez dawnych kolegów, każdy nowo mianowany pełnił służbę w odległych wydziałach fabryki.

Jaspers uczęszczał na kurs przez trzy miesiące. Wykłady prowadził wysoki, ponury strażnik, Koleh. Na jego turnusie były jeszcze trzy osoby: dwie starsze, tęgie kobiety – Gabbie i Josa oraz drobny, szarawy osobnik – Porz. Treść wykładów dziwiła Jaspersa, podobnie jak wcześniej zdumiał go sposób ubierania się strażników. Najpierw uczono musztry i noszenia munduru. Codziennie kilka godzin przed lustrem: jakie ruchy należy wykonywać, a jakich nie wolno dla własnego bezpieczeństwa, aby poduszki pod mundurem wyglądały jak mięśnie, a nie jak atrapy. Strażnik pod żadnym pozorem nie mógł zdradzić, że jego sylwetka nie różni się niczym od sylwetki zwykłego pracownika, i nie jest on w lepszej formie fizycznej niż zwykły robotnik. Nie wolno było zdemaskować się nawet w przypadku bezpośredniej napaści. Na tę okoliczność przewidziano płaski mikrofon wklejony w maskę. Natychmiast sprowadzał pomoc grupy uderzeniowej złożonej z osiłków pokroju Krivyja. Nigdy dotąd nie zdarzył się przypadek czynnej napaści na strażnika. A przecież było ich bardzo niewiele, i to dobieranych według walorów intelektualnych, a nie siły fizycznej.

Gdy Jaspers opanował już umiejętność prawidłowego noszenia munduru i poruszania się, zaczęto wykłady poświęcone pilnowaniu pracowników. Kursanci poznawali strukturę i organizację wydziałów fabryki, na których mieli pełnić służbę. Starannie omawiano, w jakich godzinach którzy pracownicy odczuwają szczególne zmęczenie (lub przeciwnie: znużenie). Już dawno to zbadali i opisali strażnicy-naukowcy. Zgromadzono olbrzymią wiedzę, ale dalsze, dobrze umotywowane wnioski zwierzchnictwo premiowało jednym, a czasem dwoma dniami urlopu, który można było spędzić w czytelnicy. Później Jaspers zauważył, że meldunki giną bez śladu w czeluściach biurk zwierzchników.

Później zaczęto wykłady z przemocy. Uczono mówić tak, by to budziło przestraszenie i krzyknąć tak, by zawsze narzucić swą wolę. Następnie odbył kurs bicia dłonią, potem pałką. Zadany cios – zawsze

jeden – miał sprawić wrażenie, że bijący ma niezwykłą siłę. Ból po ciosie powinien być ostry, bardzo silny, lecz krótkotrwały. Cios winien nie pozostawić trwałych następstw.. Miał na celu nakłonienie pracownika do wydajniejszej pracy, a nie wyrządzenie mu krzywdy. Zbyt silny cios zmniejszyłby jego przydatność na stanowisku produkcyjnym lub obniżyłby dochody osobiste (gdy będzie pobierał zasiłek chorobowy).

Do książki zaglądał rzadziej i z mniejszym zainteresowaniem. W zestawieniu z ogromem oczekujących zadań losy dwóch staruszek i kulawego kota wydawały się błahe. Uważał ich styl życia za dezercję. Świat, w którym żyły, kruszył się i rozpadał, a coraz więcej ludzi uciekało od swoich obowiązków. Zresztą miasta nie były bezpieczne, skoro z wysypisk dawnych fabryk chemicznych wiatr zrywał trujące chmury zdolne uśmiercić Zatr.

Jaspers uważał, że rozpad instytucji, zaprzestanie działania fabryk spowodowane zostały brakiem ludzi sumiennych i fachowych, utrzymujących społeczeństwo w działaniu. Droga, którą podążał tamten świat, nieuchronnie wiodła do upadku. Aby go nie przybliżyć, Jaspers odłożył książkę. Dzięki niemu Ozza i Hobeth nie umarły.

Przestał spotykać się z Heather. Nie bez znaczenia był tu fakt, że decydując się na nią, straciłby prawo do skorzystania z katalogu wszystkich wolnych pracowników fabryki. Duży wybór dawał wiele możliwości, atrakcyjność Heather zmniejszyła do zera. Stosując choćby metodę Lasaille'a, należało wybrać opuszczającą wkrótce Taayh. Związek stawał się nieważny natychmiast po jej wyjeździe, więc zaraz można było rozejrzeć się za następną.

Gdy pierwszy raz miał pełnić służbę na hali produkcyjnej, ze zdenerwowania długo nie mógł usnąć. Pół nocy rzucał się z boku na bok, aż Dub, znany z tego, że w ciągu tygodnia mówił nie więcej niż dwieście pięćdziesiąt słów, wliczając w to odzywki w licytacji brydzowej, zwrócił mu głośno uwagę.

Rano zgłosił się już godzinę wcześniej na posterunek. Służba przebiegła bez niespodzianek. Z początku peszył go skrzyp własnych butów i rzemieni munduru, wkrótce polubił ten dźwięk. Nie musiał podnosić głosu. Koleh, który pełnił służbę z Jaspersem, by go wprowadzić, powiedział, że było bardzo dobrze, aż nazbyt służbiście i przepisowo. Był to raczej komplement niż przygana.

– Teraz jesteś innym rodzajem człowieka, Jaspers. – Tyang siedział przy stole i sączył ziółka na wrzody żołądka. – Przeniesiesz się do Lauhl i pozostaniesz strażnikiem. Ze strażnika się nie spada. Pracownicy nie mogą dowiedzieć się, bo wszystko by się zawaliło. Poprzednicy muszą budować dla następców...

– Skąd wiesz, Tyang? – wtrącił się Lasaille. Leżał wyciągnięty na pryczy z rękami pod głową. – Może trafisz do Lauhl, a tam wszystko zniszczone, bo stwierdzili, że skoro idą dalej, to po co zostawiać cokolwiek wartościowego...

– Nie ma żadnego oni, ani żadnego my – orzekł Tyang. – Każdy przenosi się indywidualnie i trafia w zastany świat, dlatego nic nie rozwali. Wystuka ci osiem lat i dziewięć miesięcy i ruszasz dalej.

– Pokolenie niszczycieli byłoby nieodwracalną katastrofą – zauważył Jaspers. – Po nich nikt by tego nie odbudował. Kto chciałby budować, wiedząc, że przed sobą będzie spotykał tylko zniszczenia, będzie stale zostawiał swoje rozpoczęte dzieło, nie wiedząc nawet, czy następcy będą chcieli je kontynuować.. Raz zniszczony, mechanizm społeczny nie zostanie odtworzony.

– Jednak ktoś to zbudował – wtrącił Dub.

Zamilkli. Zostali zaskoczeni nie tyle trafnością jego spostrzeżenia, ile samym faktem, że się odezwał.

– Zawsze obawiam się, co zastanę dalej – przerwał milczenie Lasaille. Za miesiąc przenosił się do Lauhl.

– Zawsze tak samo się obawiasz? – spytał Tyang.

– Zawsze.

– Ja myślę, że przewrót i zburzenie porządku świata nie są możliwe. Niszczyciel musiałby być nieprzeciętnie zdolnym człowiekiem, a takich wyławia się, żeby pracowali jako strażnicy. Masz tu

żywy przykład... zresztą, każdy z nas jest przykładem. Nikt nie niszczy systemu, w którym skutecznie awansuje. Nie ma kto i nie ma powodu.

– Nie lubię podróży. Nigdy nie wiem, ile czasu na nią stracę... – mruknął Lasaille.

– Czasami wydaje mi się, że cała umowa społeczna wisi na włosku, a tylko dzięki naszemu wysiłkowi to wszystko jeszcze się nie rozwalilo.

– *Gniazda światów* opisują rozpadające się światy – podsunął Jaspers. – Im dłużej czytasz, tym bardziej wszystko się rozłazi... Ludzie porzucają domy, koczują... Nie budują, nie odnawiają... Gubią wiarę w to, co robią.

– Potomkowie gigantów? – świsnął Tyang. Ostatnio usunięto mu zęb i jeszcze nie wstawiono protezy.

– Nie. – Lasaille pokręcił głową. – Nie było gigantów. Po prostu książka zaczęła się w zadanej sytuacji. Ale stworzony świat rozwija się według swoich reguł. I idzie ku rozpadowi.

– Zawsze? – zapytał Jaspers.

– Nie wiem – Lasaille wzruszył ramionami. – Sam wiesz, jak to się wolno czyta. Może wreszcie osiąga formę równowagową, narzuconą założeniami i los świata stabilizuje się.

– Myślę, że *Gniazda światów* mają uczyć, byśmy nie zniszczyli tego, co mamy – podsumował Tyang.

Jaspers chodził po sali przepisowym, elastycznym krokiem, który zdążył mu wejść w nawyk. Stukał pałką w dłoń skrytą w czarnej rękawiczce. Lubił lekko akcentować swoją obecność. Kto chciał, ten pomimo hałasu maszyn słyszał rytmiczne stuknięcia. Zauważył, że od pewnego czasu pracownicy, widząc go, jakby mniej wysiłku wkładali w swoje powinności, jakby obijali się (jakieś półuśmiechy). Przynajmniej odnosił takie wrażenie.

Szczególnie jeden z nich, młody i szczupły o badawczym spojrzeniu, które jakby demaskowało Jaspersa, obnażając siatkową maskę z wszytym mikrofonem i atrapy mięśni z pianki poliuretanowej. Nie lubił tego człowieka. Teraz tamten siedział przy taśmie tyłem do Jaspersa i dokręcał słoiki, zupełnie jakby miał nie ręce, lecz dwie kłody drewna. Jaspers nie miał wątpliwości, że on obija się, gdyż lekceważy dyscyplinę pracy, nie czuje należnego respektu, a teraz prawdopodobnie uważa, że strażnika nie ma w pobliżu.

W jednej chwili był przy nim. Inni nie zdążyli lub nie śmieli go ostrzec. Jednym wytrenowanym ruchem wymierzył pałką przepisowy cios w dolną część kręgosłupa. Tamten jęknął i, rżąc, osunął się na ziemię. Na usta wyszła mu piana, zaczął konwulsywnie dygotać. Inni pracownicy szemrali, niektórzy nawet przerwali pracę.

Jaspers nie stracił zimnej krwi. Spokojnie, przez przylepiony do maski mikrofon, wezwał pomoc medyczną do przypadkowo poszkodowanego pracownika.

Ponieważ szemrania nie cichły, stanął w przepisowym rozkroku i nabrał głęboko powietrza.

– Bacność! – wydał przepisowy ryk.

Pracownicy zerwali się ze swoich miejsc. Sytuacja została opanowana.

– Siadać! Do pracy! – kolejne komendy przypieczętowały zwycięstwo.

– Niech pan siada, Jaspers – Hullic był miły i nieoczekiwanie bezpośredni. – Pali pan?

Jaspers zaprzeczył. Szybko w pamięci przelatywał ostatnie wydarzenia – jedyne co się nasuwało, to wypadek, kiedy na hali zbyt mocno przyłożył pracownikowi i tamtego trwale sparaliżowało. Po raz pierwszy uderzył pracownika i od razu zbyt silnie. Odtąd już nikogo tak mocno nie uderzył. Sumiennie ćwiczył należyłą siłę ciosu, aby się to więcej nie powtórzyło. Tak, tylko w tym kierunku mógł pójść atak szefa.

– Jak pan wie, przenoszę się do Lauhl – zagał Hullic.

Szkoda, mimo swoich wad, to był sensowny szef – pomyślał Jaspers.

– Powinienem wybrać swojego następcę – ciągnął Hullic – i jestem w poważnym kłopotcie...

To prawda – myślał Jaspers. – Najlepszy byłby Lasaille, ale wkrótce się przenosi. To nie mój problem, tylko starego... – Niemniej pochlebiał fakt, że komendant poprosi go o radę.

– ...otóż wszyscy kandydaci, których mógłbym brać pod uwagę, również wkrótce opuszczają Taayh.

Nie ma sensu wybierać kogoś na kilka miesięcy.

Jaspers przełknął ślinę.

– Doszedłem do wniosku, że najrozsądniej będzie wybrać pana. Znakomite oceny, inteligencja, będzie pan w Taayh jeszcze dwa i pół roku. Co pan o tym myśli?

– Po pierwsze, jestem zbyt młody – Jaspers zdążył już ochłonąć. Nie paliło mu się do szybkiego awansu. Nie chciał zadrażnień z kolegami.

– Po drugie, wie pan przecież o tym wypadku na hali... Niechcący okaleczyłem pracownika. Leży w szpitalu przeze mnie.

Hullic machnął ręką.

– Cedar? – zapytał. – Dowiadywałem się o niego. Obecnie rusza rękami. Będzie mógł wykonywać pracę na siedząco. To był przypadek. A wiek? Nie jest ważny w pana przypadku. Zgadza się pan objąć po mnie funkcję komendanta?

– Tak – Jaspers odpowiedział bez wahania, ale w głębi serca wątpił, czy słusznie postępuje.

Jaspers był zapracowany. Funkcja komendanta okazała się trudna i wyczerpująca. Przesiadywał w biurze do późna. Działanie fabryki spożywczej, zapewniającej żywność dla wielu tysięcy ludzi, było sprawą kluczowej wagi dla Taayh. Dla niego ten fakt był wystarczającą rekompensatą włożonego wysiłku. Wspominał (choć coraz rzadziej) czasy, gdy był prostym strażnikiem i martwił się tylko o sprawy porządkowe. Z obecnej perspektywy każde stanowisko wydawało się mniej absorbujące.

Był młody, ale zauważał, jak szybko się starzeje; za każdym razem, gdy przeczesywał włosy, zostawało ich między palcami kilkanaście. Z rejestrów wynikało, że jest najmłodszym komendantem fabryki od stu dwudziestu trzech lat, pochlebiali mu to, ale liczył dni pozostające do przeniesienia się do Lauhl.

Koło południa załatwiał sprawy personalne, skargi, konflikty, prośby o przeniesienie. Myślał z sarkazmem, że strażnicy mogą w tym czasie coś zjeść, poplotkować, odpocząć. Tylko członkowie komendantury wtedy pracują.

Dzisiaj na rozmowę zapisał się Jesse, strażnik od kilkunastu lat. Przenosił się z Krainy do Krainy, wiedząc, że nie spadnie niżej. Jawny rutyniarz. Jaspers wiedział, że i jemu grozi to w przyszłości, gdyż awansował na strażnika tak wcześnie.

– W baraku B3 mam takiego jednego... – Jesse nieskładnie referował sprawę. – Nazywa się Macura. To jest starszy pracownik. Jest potwornie silny.

Barak B3... – zamyślił się Jaspers. To był jego barak, w którym przy lichym świetle nocnej lampki pochłaniał książkę o umierających światach.

Gdzie? W którym miejscu przerwał czytanie? Kiedy zatrzymał upływ czasu w świetle dwóch dobrych, choć kłótliwych zrzęd, Ozzy i Hobeth?

Muszę kiedyś wrócić do tej książki... – złożył postanowienie, którego nie dotrzymania.

– Ten Macura z sadystycznym upodobaniem maltretuje innych pracowników – powiedział Jesse. – Chodzą poobijani, poranieni. Nie wiem, co z nim zrobić.

– Nie czytał pan Metodyki pracy społecznej strażnika?

– Ależ oczywiście...

Oczywiście nie czytał – pomyślał Jaspers.

– Taki pracownik jest niezastąpiony w kolektywie – powiedział. – Wyręcza pana w pracy. Trzyma salę w posłuchu. Interwencja strażnika nie jest konieczna, gdy pracownicy sami utrzymują się w zależności. Może pan Macurę wyróżniać, ale nie musi.

– Ależ to jest potwornie prymitywny osobnik!

– To też jest regułą. Prymitywny, lecz bardzo sprytny. Taki pracownik nigdy nie awansuje. Wystarczy mu poczucie chwilowej władzy nad innymi. Wie, komu się kłaniać, a na kim można się wyżyć.

Jesse nie zadawał więcej pytań, więc Jaspers wykonał typowy ruch ręką oznaczający, że ma jeszcze kilka spraw do załatwienia. Jesse wyszedł.

Jakież znaczenie ma poziom umysłowy tego Macury, czy jak mu tam. Gdyby był inteligentniejszy, z pewnością zająłby bardziej eksponowane stanowisko służbowe. To oczywiste, że strażnik jest inteligentniejszy niż pracownik. Co to przeszkadza Jessemu? – pomyślał. – Gdyby przysiadł fałdów nad podręcznikiem, nie trzeba by było tracić czasu na wykłady.

Daphne zwlekła się z kozetki. Historia romansu z Heather zniechęciła ją do Jaspersa. Wokół siedzenia kierowcy wałały się puste puszki po piwie Samotny Żagiel. Stukały, gdy ciężarówka podskakiwała na wybojach. Gary prowadził, zaczerwienione oczy wlepił w drogę. Był blady, spocony. Sączył któreś tam piwo. Musiał mieć nieźle w czubie. Prowadził wóz wolno, ostrożnie.

Już roгатka Tolz: szlaban ze zgiętej rury stalowej. – Kiedyś była trójbarwna. Obecnie lakier oblażł i przybyła barwa rdzy. Za szlabanem mały, betonowy budynek z koślawym napisem: „Tolz” na tablicy z desek.

Wóz zatrzymał się. Z budki wyszedł pogranicznik i kręcąc korbą, podniósł szlaban. Gary wprowadził ciężarówkę na parking, gdzie czekała naczepa w barwach „Emigranta”, opróżniona już z czyjegoś dobytku. Nieco trwało, zanim obsługa odpięła naczepę z dobytkiem Bolyów, a Gary podjechał po pusty kontener.

Nie widział Spiga. Myślał, że przyjdzie się pożegnać, ale ten się nie pojawił. Widać zbyt zaabsorbowały go formalności wjazdowe.

Kolumna dwóch ciężarówek ruszyła w powrotną drogę.

Gary z zamkniętymi oczyma pólleżał na siedzeniu pasażera. Daphne siedziała za kierownicą.

– Ta cała historia to przykład, jak facetowi może odbić od kariery zawodowej. Nawet taki porzuca kobietę. – Zerknęła na zasypiającego towarzysza podróży. – Tyś to już czytał?

– Porzuca? Jako strażnik nie może się kontaktować wprost, na dodatek dostał służbę na innej hali.

– Bo to było dlatego... – Daphne odczuwała nieodpartą chęć dyskusowania. – Porozbierał ją i wziął, a wtedy przestała mu się podobać.

– Nic tam takiego nie było. Durzy się w tej dziewczynie.

– Ależ było. Pierwsza rysa pojawiła się, gdy spotkali się po pracy i ubrała się inaczej.

– Po pracy? Przecież to niemożliwe. Do baraku i lulu.

– Oczywiście, że możliwe. Uskładali parę godzin przepustki i poszli do kantyny. A ona założyła spódnicę zamiast spodni roboczych. Wtedy uznał, że ma za szerokie biodra i pomimo że szczupła, jej pośladki wystają za bardzo do tyłu. A potem posypało się do reszty... że w ogóle piersi nie ma... zbyt muskularne nogi, szyję zgrabną, ale kark już tyje... albo już się roztył... a w ogóle to ma brzydką głowę z małym mózgiem, a za dużą twarzą... I oczy ma wprawdzie duże, ale dziurki od nosa też...

– Nie spotkali się, odkąd został strażnikiem.

– Bo to było, jak jeszcze był kontrolerem. Aha... Na dodatek mówiła beczącym głosem, więc Jaspers stwierdził, że to idiotka! – Dobijała, jakby Gary ponosił osobistą odpowiedzialność za postępowanie bohatera książki.

– Jaki Jaspers? Co ty, babo, bredzisz? – Gary spojrział na nią zdumiony. – Cedar! Facet nazywał się Cedar.

Daphne patrzyła na niego bezradnie.

– No, patrzcie na drogę, bo wjedziesz we mgłę. Tu, z lewej strony wyłazi nowa plama.

Skontrolowała kierownicą przyciąganie czarnego kleksa.

– Jaspers to drobny rzezimieszek. Patologicznie agresywny facet. Trwale okaleczył kolegę z baraku, Krivyja. Pogruchołał mu piszczele. Uznano, że zazdrościł mu funkcji kontrolera. Jaspers gnije gdzieś na karnym oddziale fabryki. Strażnikiem został Cedar.

– A Heather? Co z nią będzie? – Ta bohaterka wydawała się jej dziwnie bliska. Miała nawet

podobne wady budowy.

– Dotąd nie było żadnej Heather.

– Pracowała przy taśmie.

– Przy taśmie pracuje Cynthia. Wysoka, zgrabna, ma bardzo gęste, kędzierzawe włosy. Cynthia nie może się nie podobać – teraz on recytował ze złośliwą satysfakcją. – Cedar kombinuje, jak zrobić z niej sekretarkę baraku, a potem strażniczkę. Myślę, że facet nie ma szans, na dodatek ona wkrótce przenosi się do Lauhl.

Następna notatka Haigha:

Zabawa w liczby wciąga mnie. Weźmy Imiona Ważne: Jest ich kolejno: 144, 1728, 20736 i 248832 oraz ułożone są w 9, 27, 81 i 243 grupy. Uff, aż tyle tego! Na pierwszy rzut oka nic nie widać.

Ale wystarczy użycie małego kalkulatorka!

Liczba Imion Ważnych = $144 \times 12^{(n-1)}$, gdzie n to stopień zagnieżdżenia świata.

Te zależności mogą zawierać coś fundamentalnego. Szkoda, że nie można o tym pogadać z Dave'em.

Gavein zwrócił uwagę, że Haigh prowadzi notatki po efekciarsku. Skraca maksymalnie opis rozumowania, zaraz podaje wyniki, a potem obficie wylewa z siebie uwagi ogólne.

Rano Gavein zażądał od Scholl natychmiastowej operacji Ra Mahleine.

– Twoja żona nie powinna już żyć od kilku dni.

– Ale ona wstaje z fotela, przestały wychodzić jej włosy, nawet się opaliła.

– To przypadkowy wybryk natury, fluktuacja, Gavein. Gdybyś mógł obejrzeć ją od środka, ogarnęłoby cię przerażenie. – Drugi podbródek Scholl nerwowo zadrżał. – Znalazłbyś niewiele organów wolnych od przerzutów. Operacja nie ma najmniejszego sensu.

– Przecież nawet ty nie widziałaś jej od środka – bronił się. – Nie otwierałaś jej.

– Jednak widziałam – Nott była nieubłagana. – Dwa dni temu zrobiłam jej tomogram. Sto czterdzieści cztery przekroje. Ty wiesz, ile to kosztowało rząd Davabel?

– Mniej niż uzbrojenie jednego gwardzisty.

– Nieco mniej. Ale nie o to chodzi – machnęła ręką. – Prawie w każdym przekroju widać jakieś narosłe świństwo...

Przerwali, gdy weszła Ra Mahleine. Była w znakomitej formie. We flanelowej bluzce i zgrabnych spodniach, opalona, nie wyglądała na nieuleczalnie chorą dziewczynę. Może chodziła wolniej, może starała się nie schylać, żeby przed oczyma nie pociemniało.

– No widzisz, Dave – mruknęła Scholl.

– Z zaopatrzeniem przyjechał jakiś oficjalny facet – powiedziała Ra Mahleine. – Twierdzi, że jest prokuratorem generalnym. Chcesz z nim rozmawiać?

– Prokurator Fernandez prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni gwardzistów – powiedziała Scholl, a jej podbródek podskoczył jak korale indyka.

Czyżby epidemia zgonów w Davabel była potrzebna, żeby Ra Mahleine żyła? – Gavein zamyślił się. – Po to, żeby zachować jakąś stałą przyrodę niezmienną, jedna fluktuacja wytworzyła spójnie fluktuację przeciwną...? Jeśli tak, to ona ma do tego prawo. Nie żał mi tych tysięcy... umierających przecież w naturalny sposób, ale po spełnieniu niezwykłego warunku. Davabel zabijało Ra Mahleine na swoim statku, więc niech teraz płaci za jej życie.

– Prokurator generalny czeka, czy będę miał ochotę z nim gadać? – parsknął śmiechem. – Bycie Śmiercią to niezła fucha.

Fernandez był niestarym człowiekiem o masywnej głowie, ciężko zwieszanej do przodu. Patrzył na rozmówcę spode łba ponurym wzrokiem bawołu. Szerokie sklepienie czaszki ujawniała tłustawo

połyskująca płytka łysina czołowa obramiona krótkimi, czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu. Grube, regularne rysy niewątpliwie przystojnej twarzy podkreślały przystrzyżone krótko czarne wąsy. Fernandez wyciągnął na przywitanie dużą, miękką i spoconą dłoń.

Gavein dyskretnie wytarł rękę w spodnie i skinął, by usiedli, ale Fernandez nie skorzystał z oferty. Miał przykry zwyczaj rozmawiania, stojąc za siedzącym rozmówcą i obserwowania przez ramię jego dłoni. Gavein domyślił się, że jest to nawyk zawodowy.

– Domyśla się pan, po co przyszedłem... – zaczął Fernandez, również fachowo przerzucając ciężar rozmowy na współrozmówcę. Mówił cicho i niewyraźnie. Słowa grzęzły w gąszczu jego wąsów. A może, jako nie zaprotokołowane, winny jak najszybciej rozplątać się w niepamięci.

– Wolałbym, żeby pan sam powiedział – obronił się Gavein. Nie lubił, jak zawodowcy przeprowadzali z nim rutynowe rozmowy. Niech się trochę pomęczą i popracuje.

– Dobrze – Fernandez zawahał się. – Chodzi o śledztwo w sprawie zamordowania lokatorów tego domu. To znaczy... – Wyjął z przezroczystej aktówki jeden z dokumentów. – To znaczy: Eddy Eisler, C, właścicielki posesji, Mryny Patrie, C, Anabel de Grouvert, S, Fatimy i Massmoudieha Hougassian, bk, bk oraz Brendy Wilcox, też bez kategorii.

– Tak? – Gavein spojrzał na niego badawczo.

– Śledztwo dotyczy też śmierci doktora Yulliusa Saalsteina, S, pracownika UN-u – odczytał z namaszczeniem prokurator. – Zresztą może pan zapoznać się z dokumentacją – dodał i wręczył aktówkę Gaveinowi. W miejscu, gdzie trzymał ją Fernandez, teczka była mokra i śliska, jak skóra karpia. Ujął teczkę obok, ale wyginała się na boki i przy otwieraniu suwak się zacinał. Położył ją więc na kanapie i wysunął jedną z kartek. To lista nazwisk oddziału Gwardii: sierżant Gavril Kusyj, S, kapral Hahns Jura, C, szeregowi: Cain Brown, P, Manuelo Bobrov, P, Frane Kratz, C, Eberhardt Ziaia, P, Ivan Dwell, C. Brakowało kogoś...

– W tamtym oddziale był jeszcze jeden, niski, pulchny... Mówili na niego Olszovsky.

– Jest pan pewien, że człowiek o takim nazwisku był w tym oddziale?

– Tak.

– W Gwardii jest tylko jeden człowiek o takim nazwisku, szeregowy Vandy Olszovsky, odznaczony orderem za uratowanie płonącego transportera opancerzonego i jego ciężko rannej załogi. Mamy ważne przesłanki świadczące, że nie brał udziału w masakrze.

– Ale do oddziału należy?

– Tak.

– Wystarczy sprawdzić poranny raport Kusyja.

– Nie został sporządzony. Wyszli na służbę bez raportu.

– To wykroczenie.

– To prawda. Ale nie da się posłać martwych do aresztu.

– A zeznania oskarżonych?

– Nie ma zeznań. Spalili się wszyscy, nie zdążyli zeznawać. To znaczy, przeżył Kusyj, ale nie odzyskał przytomności. Przebywa w klinice neurologicznej. Odniósł bardzo poważne obrażenia. Prawdopodobnie nieodwracalne,

– Olszovsky żyje, więc go chronicie? Reszta i tak jest poza jurysdykcją.

– Pan mnie obraża – powiedział spokojnie Fernandez, To stwierdzenie było częścią gry i tak odebrał to Gavein.

– Oświadczam przy świadkach – wskazał głową na Scholl i Ra Mahleine – że wśród morderców był człowiek o nazwisku Olszovsky, jeden z żołnierzy wymówił jego nazwisko. A oddział liczył osiem osób, nie siedem i to też zeznały wcześniej Lorraine i moja żona.

To zakończyło dyskusję z prokuratorem generalnym.

Ile jeszcze będzie takich jałowych rozmów? – pomyślał Gavein.

Codzienny, poranny rytuał przebiegał w typowy sposób: odjeżdżające na sygnale wozy, potem davabelskie śniadanie: serek, jajko, szynka i keczup.

Ra Mahleine, naszpikowana lekarstwami przez Scholl, nie miała bóleści. Po śniadaniu, też jak zwykle, usiadła w fotelu przed domem i zabrała się za robótkę, obok zaś przycupnęła Lorraine. Gavein wyniósł drugi fotel i ustawił na chodniku. Dzień był jeszcze cieplejszy niż ostatnie. Na wymarłej ulicy było zacisznie i przyjemnie. Eksplodujący helikopter rozświetlał cienie. Był ognistą kulą upstrzoną dziesiątkami odłamków, która powoli bladeła na niebie. Załoga helikoptera dawno już nie żyła.

Gavein otworzył książkę.

Napisałem liczby światów zagnieżdżonych: 3, 5, 8, 13. Nie mogę złapać prostej formuły. Jakiś zatward! Gdyby nie ta ósemka, byłyby same nieparzyste, rosnące. Ale to słaby wzór, nie pasuje do precyzji poprzednich. Nasuwają się dwie hipotezy: Gdyby w miejsce 8 wstawić 7 i 11, to byłyby kolejne liczby pierwsze, ale wtedy brakuje na początku dwójki. Nie wiem.

Nareszcie trochę pokory w tym rudym łbie – pomyślał Gavein. – Ciekawe, jaka ta druga hipoteza?

W miejsce Bolyów wprowadziło się kilku typków z golonymi głowami; zwykle łązili w zielonych kubrakach z czerwonymi pagonami. Dwie kobiety i trzech facetów. Czynsz dzielili po równo i w równym stopniu budzili nieufność. Daphne wysledziła, że wyrzucają do śmieci dziesiątki puszek po piwie. Starannie upychali je w torbach foliowych. Raz wiewiórki podarły folię i puszki wysypały się. Pili po cichu, bez hałaśliwych imprez.

Za to Gary i Daphne urządzili sobie wesoły wieczór z przytupywaniem i dwiema butelkami porto. Okazją było wydrukowanie w lokalnej gazecie reportażu Daphne o pracy przewoźników. Całe dwie kolumny tekstu. Jedna z butelek przewróciła się, a porto wsiąkło w wykładzinę dywanową. Na dodatek zatkał się wylew z wanny i zalali typkom sufit. Wypadało przeprosić.

Otworzyła im chuda dziewczyna. Równa linia prostych włosów zasłaniała połowę jej twarzy. Drugą część głowy miała ogoloną na zero, chociaż zaznaczała się króciutka szczecinka świeżego odrostu. Zielony kubrak kończył się poniżej bioder, jeszcze niżej białe nogi.

Gary usiłował tłumaczyć się. Szło mu bardzo niezręcznie. Gdy skończył, dziewczyna skinęła głową.

– Jestem Margot.

Zrozumiał nietakt i też się przedstawił.

– Z tym zalaniem jest w porządku – powiedziała. – Właśnie zaczynamy malować. Ale nie róbcie tego więcej.

Wymienili numery telefonów. Prościej zadzwonić, niż schodzić piętro niżej.

Już nie wypadało okazywać niechęci nowym sąsiadom.

Kiedyś wracali z Daphne z zakupów. (Gary, kierowca, nie miał swojego wozu; na zakupy jeździł miejską komunikacją). Akurat przywieziono furgonetką meble dla sąsiadów z dołu. Trzej mężczyźni w zielonych kubrakach mozolili się z kłopotami. Dziewczyny nosiły mniejsze graty: stołki

i doniczki.

Gary pomógł wyładować wielki, drewniany stół z odłamanym narożnikiem. Niezgrabny mebel z trudem mieścił się w furgonetce i jeszcze trudniej było go stamtąd wydobyć. Nie obyło się bez dodatkowych zadrapań.

Daphne omiatała zdumionym wzrokiem to stół, to wnętrze furgonetki, to transportujących go mężczyzn.

– Takie uszkodzenie nie przeszkadza – powiedziała. – Wystarczy zamalować akwarelą.

Gary sapał pod ciężarem stołu.

– Ładny mebel – Daphne zwróciła się do Margot. – Będzie w sam raz do jadalni.

– Wybrałam go u Morlocka. Była zniżka, bo obity.

Druga z dziewcząt, Jutta, upuściła donicę z fikusem.

Rozsypała się ziemia. Klnąc, zgarnęła skorupy, ziemię i wrzuciła do kubła na śmieci. Na koniec upchnęła połamane łodygi.

– Cholerne, pieprzone zielsko – powiedziała, sapiąc z wysiłku. Swoje tęgie uda wtłoczyła w stare dzinsy. Gdy schylała się, spodnie napinały się niebezpiecznie. Gary uszyna duszy już słyszał trzask pękających szwów. Jednakże, wbrew intuicji, spodnie wytrzymały.

Znalazłem czas przebywania w jednej Krainie w świecie Lindy i Jacka (dla $n = 4$). Wynosi on 3 lata i 8/9 roku, czyli 1419 dni. Kolejny kamyczek do łamigłówni!

Daphne wyszła z kąpielni. Owinęła się szarym płaszczem kąpielowym. Kolor okrycia pasował do jej włosów, które zawinęła w pasiasty ręcznik.

Nawet kąpiel jej nie relaksuje – zauważył Gary. Wzrok Daphne pozostał mroczny.

Zapadła w fotel. Pod płaszczem kąpielowym zarysowały się jej skąpe wdzięki. Rozsunięte poły ujawniły dekolt pokryty piegami. Gary podał jej piwo.

Zakrztusiła się pierwszym łykiem. Drugi spowodował, że jej oczy zwolniły tempo omiatania.

– Czasem jesteś spokojny jak trup, Gary.

– Hę? – Wytrzeszczył czerwonawe tęczówki albinosa.

– Nic nie powiedziałaś, kiedy niosłeś stół Bolyów?

– Wiem... Właśnie... – plątał się z opóźnieniem. – Tak mi się wydawało.

– Nie mam wątpliwości. Widziałam na nim metkę producenta. – Smoliste tęczówki Daphne utknęły na Garym.

– Co to może znaczyć?

– Myślałam o tym w kąpielni – ożywiła się. – Zielone kaftany to mafia: Załatwiają przesiedleńców i zabierają ich mienie w porozumieniu ze strażą celną Tolz. To znaczy, mają wśród straży swojego wspólnika.

– Bez sensu. Po co trzymają u siebie dowody?

– Z chciwości.

– Jeśli masz rację, to poważna sprawa. Trzeba koniecznie zgłosić na policję.

Na policji relacji Daphne nie potraktowano poważnie.

Po następnym kursie, Gary nie mógł zaparkować ciągnika przed domem. Parking zajęło nowe czerwone amido. Jutta i Margot szorowały karoserię. Brudna woda spływała do ścieku.

Oboje rozpoznali amido Bolyów – rozbity przedni reflektor i kierunkowskaz, odrapany lakier.

– Jak się wam podoba nasz nowy zakup? – powiedziała Jutta. Wybraliśmy go u Morlocka.

Gary’emu wydało się, że nie jest całkiem szczerą. Dokładnie przypatrywał się samochodowi.

– Jest z wypadku? – Daphne nie mogła nie zauważyć oczywistości.

– Tak. Usuwamy ślady – powiedziała Margot, szmatą ścierając krew. – Była ekstra zniżka za to, że nie jest umyty. Ja byłam przerażona, ale chłopcy mnie przekonali.

– Wszędzie jest pochłapane. Tapicerkę trudno domyc – dodała Jutta.

– Mocnym detergentem – poradził Gary. Grał jak Daphne.

– Jak się nie da umyc, to wymienimy tapicerkę. I tak się opłaci. – Do rozmowy włączył się Stać. W zielonym kaftanie i ogolony na zero.

Znów poszli na policję i znów zignorowano ich relację.

Przyjął ich ten sam oficer, co poprzednio. Tym razem był w szarym podkoszulku z napisem: „Policja Miejska”. Na oparciu krzesła wisiała kurtka mundurowa z naszywką: „Porucznik Benjamin Cukurca”.

Cukurca był stary, łysawy i zupełnie siwy. W chwilach zdenerwowania wilgotniały mu oczy i przyglądał rzadkie kosmyki na ciemieniu.

– To jest niemożliwe – prychnął, a jego szkliste oczy stały się jeszcze bardziej wylupiaście niż zwykle. – Bolyowie są w Tolz. Wczoraj przyszła depesza.

Nawet nie starał się słuchać argumentów. Taka rozmowa traciła sens.

W tekście tkwiły dwie kartki notatek Haigha.

Dzisiaj zestawilem wszystkie wzory na jednej kartce, jeden pod drugim:

$$\text{Liczba Krain} = (n + 2)^2,$$

$$\text{Liczba Imion Ważnych} = 144 \times 12^{(n-1)}.$$

Liczbę wersji Gniazda światów i czas pobytu w Krainie opuściłem, bo na razie nie znalazłem reguły. Wierzę, że na razie!

Denerwuje mnie brzydota drugiego wzoru. – Ma być fundamentalnym prawem rządzącym światami zagnieżdżonymi, więc każda z występujących w nim stałych (liczb, Dave!) powinna coś oznaczać. Myślę, że jest ich za dużo (są trzy: 144, 12, -1) jak na fundamentalną zależność i są za duże.

Jakby te liczby uprościć? Intuicyjnie czuję, że powinny w nich pozostać stałe niewielkie jak jeden czy dwa, a te większe powinny dać się zredukować do mniejszych.

Wzór na liczbę Krain wygląda nieźle: jedna stała – 2.

Oraz druga:

Wróciłem do tych rozważań po godzinie przerwy. Swoją drogą, chyba niedługo będę mógł podrapać się palcem w czerep od wewnątrz, przez nos.

Na te wzory trzeba było popatrzeć inaczej. Liczba Imion Ważnych w danym świecie zagnieżdżonym jest równa:

$$144 \times 12^{(n-1)},$$

Musiałem mieć niezły zatward, żeby nie zauważyć, że to jest równe też:

$$12 \times 12 \times 12^{(n-1)},$$

$$\text{Po prostu: } 12^{(n+1)}!$$

Ten wzór jest piękniejszy. Czy widzisz, jaki jest znakomity w porównaniu z poprzednim? Pozbyłem się jednej ze stałych! Tanim kosztem: tylko zamiast -1 zrobiło się 1.

Tak się robi naukę – śledząc pomysły przyrody. Różne myślaki tłukły mi to do czerepu, chociaż ostatnio wszystko się pomieszało przez te zgony.

Dave, pewnie nudzą cię moje rozważania i żonglerka liczbami, zastępowanie jednych stałych przez inne. Może masz rację i to wszystko nie ma sensu! Może to skrzywienie umysłowe adepta nauki bawiącego się książką, ale też wprawka, niezłe ćwiczenie, bo najpierw próbuje się złapać zależności łączące fakty, a potem stara się je maksymalnie uprościć, by stały się bardziej zrozumiałe...

Doktor Nott poradziła mu, żeby osobiście przekonał się, jak Ra Mahleine wygląda w środku. Najpierw, dla porównania, sama pozwoliła zajrzeć do siebie. Szeroko otworzyła usta i odchyliła do tyłu głowę. Mógł patrzeć do środka przez rozdziawione gardło i dziurki od nosa. Widać było wnętrze przypominające halę fabryczną.

Potężne, sprężyste pasma ścięgien łączące się z masywnymi mięśniami. W przestrzeni przebiegały jak schody czy pomosty, czerwonawe pasma mięśni, żył lub nerwów. Cała ta maszyna poruszała się rytmicznie, słychać było głuchy stuk odległej, potężnej maszyny. Z nieszczelnych złączy pomiędzy żyłami czy tętnicami, sączyła się kroplami krew lub bezbarwne osocze. Widziany od środka, obwisły, drugi podbródek Scholl przypominał zbocze górskie pokryte, zamiast potężnymi wantami, żółto-pomarańczowymi kulistymi pęcherzami oplecionymi pajęczyną naczyń krwionośnych. Gavein pomyślał, że podobne pęcherze mają w swoich workach powietrznych indyki i dzięki temu próbują latać. Odważył się spojrzeć w górę: strop ginał w mroku, niżej jak gigantyczne sople zwisały różowe wyrosła przypominające mały jęczyzek w gardle; widział też żółtawe, ziemniakowate, bulwiaste migdały. Gdy wyteńczył wzrok, najwyżej, z najmroczniejszej otchłani wyłaniała się gigantyczna powierzchnia mózgu, gładka jak piłka, ciemnobrunatno-miodowa. Skapywało z niej leniwie do ogromnego lejka, podwieszonoego na różowych, tkankowych więzadłach i mostach. Z lejka ściekała dalej mieszanina czerwonej krwi i jakiejś żółtej cieczy.

– To, że z lejka cieknie, oznacza, że myślę – powiedziała Scholl. – Gdybym nie myślała, nic by nie ściekało. A teraz zajrzyj do wnętrza Magdy.

Wnętrze ciała Ra Mahleine wyglądało podobnie. Na pierwszy rzut oka, identycznie.

Taka sama mroczna hala, mosty tkankowe, schody z tętnic, przewody żył i nerwów, gigantyczny mózg niknący gdzieś w mroku. Jediną różnicą było to, że do lejka podstawionego pod mózgiem ściekało znacznie więcej cieczy niż u doktor Nott.

Ra Mahleine myśli znacznie więcej niż Scholl – zauważył z dumą. W głębi ducha uważał, że doktor Nott nie jest zbyt mądra.

– Przyjrzyj się uważnie temu wnętrzu – dobiegł głos Scholl.

Posłusznie rozejrzał się: Dotąd ich nie zauważył, ale były wszędzie, na żyłach, na migdałach, na czerwonych pomostach – różowe, mięsiste kalafiorowate kule, mocno zakorzenione w podłożu. Wszystkie inne elementy były przygaszone, stonowane, jakby nadwiędłe; tylko te kalafiory pyszniły się swą zawistną, triumfującą różowością. Spojrzał na mózg Ra Mahleine, potężniejszy w mroku. On też, jak nieboskłon gwiazdami, upstrzony był tymi wrogimi różowymi wyrosłami. Jeden z kalafiorów wyrastał przy ścieku lejka i tylko czekać, kiedy go zarośnie. Na oczach Gaveina, jeden z pomostów wiodących gdzieś w głąb gigantycznej hali – ciała Ra Mahleine, zerwał się pod ciężarem wyrastających z niego kalafiorów i opadł jak hakowaty łachman. Rosnące na nim kule zaczęły łapczywie go pożerać, aż wchłonęły do reszty, łącząc się przy tym w jedno, bruzdkowane,

intensywnie różowe, masywne wyrosłe.

– Sam widzisz, Dave. Nie ma już ratunku. Wszystko stracone. Przepadło.

Chciał krzyczeć, sprzeciwić się, zrywać te kule i usuwać, ale przecież nie był w stanie wniknąć do ciała Ra Mahleine.

Wydawało mu się, że coś trzyma go za gardło. Nie mógł krzyczeć, a przecież słyszał krzyk. Ktoś wołał. Powoli sen zniknął.

Ra Mahleine powtarzała jego imię. Klęczała na chodniku, podtrzymując dłońmi głowę leżącą bezwładnie Lorraine.

– Gavein, wezwij natychmiast ambulans! Niech przyjedzie Nott, albo ktoś inny!

Gavein oprzytomniał, zerwał się z fotela.

– Lorraine trafiły kawałki eksplodującego helikoptera.

Jest przytomna, ale ją sparaliżowało.

Telefon odebrał nieznany lekarz, obiecał przysłać karetkę.

Lorraine nie potrafiła określić, co boli ją najbardziej. Odpluwała dużo jasnej krwi. Kłuł ją po nogach szpilką, nie czuła, po rękach – tak samo.

– To już czas na mnie, Dave? – powiedziała, patrząc błagalnie na niego. – Przecież starałam się jak najlepiej.

Magda nie narzekała...

Jej głos, zwykle zbyt wysoki i piskliwy, teraz brzmiał ochryple. Po drugiej stronie ulicy trzepnął o bruk aluminiowy drążek z eksplodującego śmigłowca. Lorraine trafiły dwa odłamki: najpierw większy uderzył ją w plecy; potem, gdy już upadła i potoczyła się, fragment jakiejś rury trafił ją w brzuch. Jeszcze kilka innych odłamków spadło w ciągu dnia na ulicę. Obie obserwowały to, jak widowisko: Przedmioty niemal nieruchome na nieboskłonie, nagle przyspieszały, aby w końcu z szybkością pocisku uderzyć o bruk lub budynki. Żaden nie spadł tak blisko, aby je zaniepokoić. Ra Mahleine robiła na drutach, Lorraine zaś szła zaparzyć herbatę, gdy została trafiona. Ra Mahleine ledwie podniosła wzrok znad robótki, gdy drugi dosięgnął leżącą Lorraine. Opoдал na jezdni leżały fragmenty konstrukcji, obojętni sprawcy tragedii.

Zauważył w porę, że będzie wymiotować i odwrócił ją na bok, żeby się nie zadławiła. Wymiotowała długo i obficie, najpierw ciemną krwią, potem jasną. Jęczała, potem straciła przytomność.

Słysząc było sygnał ambulansu. Ciało Lorraine przechodziły drgawki.

– Ona umiera – powiedziała Ra Mahleine.

Karetka już dotarła. Rozpoczęto reanimację: tlen, masaż serca. Nie pomogło. Lekarz stwierdził zgon w wyniku krwotoku wewnętrznego. Zabrali ciało. Na chodniku pozostała kałuża ciemniejszej krwi.

– Jak miała na Imię Ważne? – zapytała Ra Mahleine.

– *Aeriella*. Wszystko się zgadza. Uważaj: ty masz takie samo Imię, a wybuch jeszcze się nie skończył.

– Ty też.

– Ja?! – wzruszył ramionami. – David Śmierć?

Pomógł podnieść się żonie i, obejmując w pasie, odprowadził do domu. Przez odzież wyczuł jej wychudłe ciało i twarde, jak nabity brzuch. Milczał, ale gdyby o coś zapytała, nie zdołałby odpowiedzieć. Rozumiał, że prowadzi skarb niemal utracony.

– Wiesz, to uderzenie znów pamiętam ogólnie, jako zdarzenie. Szczegóły przypominam sobie od momentu, gdy się zbudziłaś. I wcześniej nie miałam bóleści... Proszę cię, czytaj – powiedziała, gdy okrywał ją kołdrą.

W cienkiej, nocnej koszuli wyglądała jeszcze mizerniej.

– Twój Kot Manuł będzie grzecznie spał i wstanie bardzo silny i zdrowy... Tylko zacznij czytać.

Nadal uważał pomysły Ra Mahleine za absurdalne. Zauważył jak małe wrażenie wywarła na niej śmierć Lorraine, ale posłuchał i sięgnął po książkę.

Podsumuję. Mam dwa wzory: Liczba Krain = $(n + 2)^2$,

Liczba Imion Ważnych = $12^{(n+1)}$

i dwa ciągi liczb, dla których nie znalazłem reguł uporządkowania, choć sądzę, że powinny istnieć.

Popatrz Dave: n to jest tylko numer świata wybrany przeze mnie. Można zatem... Ale może już wiesz? Jeśli nie, to masz, chłopie, pod czerepem kawał betonu. I nic nie wy dłubiesz z niego. Rozwiązanie pod zagiętym rogiem...

– Dobrze, że te jego notatki są dość obszerne, bo gdyby zanotował tylko parę liczb, to wszystko przypadłoby razem z nim – pomyślał Gavein, a była to jednocześnie kapitulacja.

Zagięty róg kartki był zaklejony dla pewności rzekomym kawałkiem mózgu Haigha.

Rozwiązanie jest banalnie proste. – Napisano na rogu. – Mogę zmienić numerację, żeby ubyło stałych... Na przykład, gdyby wziąć: $N = n + 1$. Wtedy:

Liczba Krain = $(N + 1)^2$,

Liczba Imion Ważnych = 12^N .

Oba wzory stają się ładniejsze – bo prostsze.

Ale świat Gary'ego i Daphne będzie miał numer:

$N = 1 + 1 = 2$, świat Jaspersa i równoległe $N = 3$, świat Ozzy i Hobeth $N = 4$, zaś świat Jacka i Lindy $N = 5$.

Po zmianie numeracji znikła jedna ze stałych w moich kochanych wzorach, ale pojawiło się pytanie: Który świat ma numer $N = 1$?

Czytanie notatek Haigha męczyło Gaveina. Ta łatwość w manipulowaniu wzorami; zastępowanie jednych zmiennych przez inne, błyskawiczne konkluzje. Ale może Haigh solidnie się nad tym głowił, a zapisał tylko najcenniejsze owoce...

Ja zgadłem błyskawicznie! Jeśli jeszcze nie wiesz, który, wypiszę ci, co wynika o nim z tych

wzorów: ma on 2^2 , czyli cztery Krainy. Jest w nim 12^1 , czyli dwanaście Imion Ważnych. To po prostu Świat! Cztery Krainy: Lavath, Davabel, Ayrrah i Llanaig. Imiona Ważne to: Aerial, Udarvan, Flued, Flomir, czyli Imiona Żywiołów; Vorior, Plosib, Murhred, Sulled, czyli Imiona Walki oraz Yacrod, Aktid, Intral, Myzst – Imiona Człowieka.

Gniazdo światów zostało zagnieżdżone w naszym świecie zgodnie z regułami gnieźdżenia w nim światów kolejnych rzędów. To nie są dwa drzewa, jak myślałem! To dwa konary (wersja pierwsza i druga Gniazda światów) wyrosłe ze wspólnego pnia, ze Świata!

Popatrz, jak potężnym narzędziem jest żonglerka stałymi we wzorach – ujawniła skryty zamysł autora książki, którą czytam!

Na koniec jeszcze jedna rzecz, której nie dało się rozgryźć.

Jeśli Świat ma numer $N = 1$ zgodnie z numeracją autora, to liczba książek w kolejnych światach zagnieżdżonych dla N równego odpowiednio 1, 2, 3, 4 i 5, będzie: 2, 3, 5, 8 i 13, ponieważ istnieją dwie wersje Gniazda światów.

Fascynuje mnie ten ciąg liczb: jest potężny. Wiem, intuicyjnie czuję, że zawiera jakąś zależność. Przybyła liczba na początku, ale nadal go nie rozumiem. Może ty Dave, już coś chwytasz?

Gary wyskoczył po piwo.

Dzielnica, w której mieszkał, była bardzo spokojna. Po zmroku ruch zamierał. Przechodniów za dnia nie było wielu, a po nocy nikt się nie włóczył. Sklep z alkoholem nie był daleko. Gary wracał wolnym krokiem, taszcząc reklamówkę wypchaną puszkami.

Zza zakrętu wyłoniło się trzech mężczyzn. Gdzieś się spieszyli.

Mylił się. Gdy mijali go, dwóch złapało Gary'ego pod ręce, a trzeci z całej siły palnął go w brzuch.

Zaskoczony przez napastników, nie bronił się. Przed oczyma raz za razem rozbłyskało żółte światło. Bili go fachowo. Każdy następny cios trafiał, gdy Gary odzyskiwał przytomność po poprzednim. Chwilę wcześniej, zanim stałby się zdolny do obrony. Ciosy w szczękę odbierały przytomność, ciosy w wątrobę pozbawiały woli obrony.

Nie skopali go, gdy już leżał. Jeden szarpnął go za włosy.

– Jak chcesz mieć powtórkę, to dalej zajmuj się czerwonym amido – powiedział. Na twarzy miał naciągniętą pończochę.

Napastnicy zabrali siatkę z piwem. Gary dochodził do siebie z trudem. Z początku nie mógł iść – zataczał się, później było lepiej. Zęby kiwały się, ale żaden nie wypadł.

Daphne zajrzała po południu, zaniepokojona jego nieobecnością. Nie mógł przełykać, tak bolała obita szczeka. Przynajmniej zęby przestały się kiwać.

Gdy zgłaszał pobicie, Cukurca znowu nie uwierzył. Relację o groźbie napastnika przyjął z dwuznacznym uśmieszkiem. Przynajmniej umieścił to w protokole.

Gary był wściekły: Cholerny, stary leń. Nie chce komplikować sobie życia tuż przed emeryturą.

Później uświadomił sobie, że zbili go fachowo, nie pozostawiając żadnych śladów: ani podbitych oczu, ani rozkrwawionych warg, czy nosa. Cukurca mógł pomyśleć, że ogarnięty obsesją maniak zmyślił całą historię.

Sprzedawczyni na stoisku samochodowym Morlocka nie pamiętała ani czerwonego amido, ani nabywców w zielonych kaftanach. Badawczo przyglądała się Gary'emu i Daphne. Po co? – Na twarzy Gary'ego nie było widać śladów pobicia, Daphne zaś nie miała więcej piegów niż zwykle.

Dokładnie przemknęli wszystkie stoiska komisowe. Wiele mebli wyglądało jak graty Bolyów. Ale podobne rzeczy miało wiele rodzin, Gary i Daphne też. Nic konkretnego, żadnych wniosków.

Gary zaopatrzył się w pistolet oraz dwadzieścia cztery sztuki naboju. Zakup był półlegalny, a stan techniczny broni zły: rdza, odrapany lakier rękojeści, wytarte części. Gary obawiał się eksplozji przy próbie strzału, czyścił więc pistolet, polerował i przemywał naftą.

Daphne postanowiła opisać sprawę w prasie. Taki artykuł musiał wywołać efekt. Należało to jednak dokładnie przygotować, aby w razie pomyłki wygrać proces o zniesławienie.

Gary odnalazł sklep, w którym Spig nabył amido. Sporo czasu zajęło mu przekonanie sprzedawczyni. Gdyby miał trochę uroku osobistego. A tu na dodatek, z wiekiem jego lewe oko słabło coraz bardziej, a mózg nie interesował się obrazem, jaki dostarczało – pozwalał mu więc biegać swobodnie.

Dziewczyna aż czerwieniła się, by nie parsknąć śmiechem, gdy oko Gary'ego, w miarę jak coraz goręcej ją prosił, coraz dokładniej celowało w jego nos. Podobno mężczyzna ma tyle lat, na ile się czuje, ale jeśli ma zeza i jednocześnie burczy mu w brzuchu z głodu, to ma o dwadzieścia lat więcej.

Dopiero gdy opowiedział jej o wszystkich faktach i podejrzeniach, nawet zreferował niewiarę i przepocony, szary, służbowy podkoszulek Cukurcy, dała się przekonać. Na wąskiej, wyrazistej twarzy dziewczyny zarysował się lęk. Dopiero wtedy zauważył, że jest ładna, a na dodatek bardzo zgrabna: w różowych, obcisłych rajtuzospodniach. Tylko pierwsze spojrzenie zniechęcało: różowo-przezroczyste oczy, bezbarwne tłuste włosy, piegi i blada, albinotyczna cera. Zreflektował się, że i on musi u niej wywoływać podobne wrażenie. Gary zrelaksował się i zez osłabł. Osłabł na tyle, że do notesu trafiły: numer silnika i numer karoserii sprzedanego Bolyom amido civic. Trafił tam też numer telefonu Sabine, dziewczyny o urodzie utajnionej.

Oficjalnie, stosunki z Zielonymi Kaftanami układały się dobrze. Jutta czy Margot pożyczaly od nich przyprawę, zapraszały na kolację, ale konsekwentnie odmawiali. Do przygotowania artykułu demaskującego szajkę, której istnienia oboje byli pewni, trzeba było zdobyć numer amido kaftanów. Redaktor, z którym Daphne omawiała sprawę, uważał, że bez jednoznacznego rozstrzygnięcia nie można się w to pchać. Chciał puścić artykuł jako wielką sensację – na pierwszej stronie, ale do tego trzeba było mieć niezbite dowody. Przegrany proces doprowadziłby niechybnie do bankructwa niezbyt bogatą gazetę.

Napastnicy czekali koło kubłów na śmieci na zapleczu baru Frischa. W zielonych kubrakach z czerwonymi pagonami i pończochami na głowach. Próbował się bronić, ale mieli gumowe pałki. Oberwał fachowo i metodycznie. Potem skopali go. Mocno, ale nie w głowę. Kilkakrotnie powtórzyli, że to za amido. Jeden z nich, po szczególnie mocnym kopniaku, wydał zduszony okrzyk.

– Złamałem sobie palec o tego skurwiela!

– Cicho bądź, Eby – syknął drugi.

Więcej Gary nie pamiętał. Stracił przytomność. Obudził się obolały, nad ranem. Rozbili mu nos i wargi.

Na rogu 830 Alei i 763 Ulicy był nie zabudowany, pełen gruzu, obszar. Przyszczyżona trawa wyodrębniła jego centrum od obrzeży porośniętych wybujałymi chaszczami i drzewami, wśród których walało się zardzewiałe żelastwo bądź potłuczone szkło.

Kiedyś było tu wysypisko śmieci. Później je uzdatniono: środek splantowano, obrzeże zaś obsadzono drzewami. W wolne dni organizowano tu publiczne koncerty. Za parę groszy można było siedzieć na trawie, sapać z gorąca i słuchać ogłuszającej muzyki. Muzyka musiała ogłuszać, ponieważ na obrzeżu odgłosy miasta przytłaczały grane melodie. Gary lubił chodzić na takie koncerty, Daphne nie.

Wśród porozkładanych na trawie słuchaczy lawirowali sprzedawcy lodów lub parówek. Upał był solidny, przytłaczający, wilgotny. Gary pokryty grubą warstwą kremu przeciwsłonecznego, lizał niedosłodzonego loda. Kapela muzykowała, wściekle szarpiąc struny. Śpiewali o bredniach wypisywanych przez jakąś gazetę. Zakończyli kawałek odkryciem, że gazeta nadaje się do podtarcia tyłka. Obecnie należało protestować w wymiętych koszulach z obwisającymi na luźnych nitkach guzikami, dziurawych spodniach, stosując słownictwo pikantne i ekspresyjne. Dlatego kapela dostała aplauz. Grubas siedzący przed Garym bił brawo, aż tłuste poście na jego bokach rytmicznie podrygiwały. Na chwilę odłożył na trawę przetłuszczoną, tekturową rynienkę z kiełbaską.

Ile taki spali kalorii od klaskania? Tyle, co nic. Gary zwinął w tłumok kurtkę, którą wziął na wypadek, gdyby lunęło; podłożył pod głowę, wyciągnął się wygodnie na kocu i zamknął oczy. Zasnął pomimo hałaśliwej muzyki – upał zwyciężył. Gary był po męczącej trasie. Nie znał tamtych przesiedleńców, ale zapamiętał charakterystyczny zegar stojący z ceramiczną, niebieską tarczą i kolumienkami z mosiądzu. Jakoś obraz tego zegara nie chciał zniknąć sprzed oczu.

Dzisiaj jest wielki dzień! Zrobiłem to! Znalazłem regułę na liczbę księzek w świecie zagnieżdżonym. Jeśli zrobiłeś to wcześniej, to jesteś myślak pierwszej klasy, Dave, i walisz mózgiem dalej, niż widzisz!

Nie jestem myślak pierwszej klasy i nie walę mózgiem dalej, niż widzę. Nie zrobiłem tej reguły – pomyślał Gavein. Ledwie mógł nadażyć za rozważaniami Haigha i zrozumieć żonglerkę liczbami. Ścigać się nie był w stanie.

Bardzo mi pomógł ten pomysł z numeracją. Popatrz jeszcze raz na te liczby:

2, 3, 5, 8, 13... (te kropki to następne zagnieżdżenia, do których się jeszcze nie doczytałem w Gnieździe światów), a teraz wyobraź sobie, że na początku jest jeszcze coś, jedna liczba, bo może to wszystko zostało właśnie tak zaprojektowane przez autora...

Wtedy będzie:

x, 2, 3, 5, 8, 13...

Widzisz? x musi być jedyneką. Wtedy x dodać 2 jest równe 3, 2 dodać 3 równe jest 5 i tak dalej! – To jest właśnie reguła! Brzmi ona: Następna liczba jest sumą dwóch poprzednich. Piękny, elegancki zapis. Powinien nazywać się: „Ciąg Haigha”. Gdyby nie zamieszanie z tymi zgonami, za samo wymyślenie tego ciągu i zbadanie jego własności daliby mi tytuł bakałarza. Ciąg Haigha powinien być taki: 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, 89...

Zadzwoń do doktora Babcocka, z Wydziału Matematyki, że mam niezły temat na pracę mistrzowską. Wolno pisać pracę z matematyki po studiach fizyki.

W Lavath nie wolno – pomyślał Gavein.

To nie był koniec tej notatki. Taśmą klejącą dołączony był rachunek za telefon. Na drugiej stronie rachunku widniało:

Wpadłem na pomysł, Dave, i nie powiem ci od razu, co wymyśliłem, ponieważ jest on umiarkowanie paranoidalny. Po prostu czytaj moje notatki, w miarę jak ja to wymyślałem. Będą wsadzone w te miejsca, gdzie powinny się znaleźć.

Chodzi mi o tę jedynekę na początku ciągu liczb wersji Gniazd światów. Ona tam musi być, aby ciąg zyskał sens. Ale ona...

A gdyby tak...? Jeżeli światy zagnieżdżają się po kolei w sobie, to założmy, że istnieje Superświat, w którym zagnieżdził się świat, w którym żyję ja, Lailla, Dave, matka i reszta. Świat taki powinien mieć numer $N = 0$, żeby spełniał moje wzory. Co by z tego wynikało?

Po pierwsze: liczba Krain równa 1^2 , czyli jeden. Czyli byłby to świat z jedną tylko Krainą, w której trzeba by przebywać należną część życia. W takim przypadku Kraina musiałaby być całym światem, ponieważ nie byłoby innej! Czyli dla $N = 0$ cały świat byłby jednorodny, to znaczy, można by po nim całym podróżować w dowolnym wieku.

Istnienia Superświata nie rozstrzygnę, ale przynajmniej wywód mój ma być wewnętrznie spójny.

Zobaczmy drugi wzór. Otóż w Superświecie Zero Liczba Imion Ważnych będzie wynosiła 12^0 , czyli jeden. Znowu jedynka! Jak rozumieć jedno Imię Ważne dla wszystkich?

Zajrzałem do encyklopedii. Napisano tam, że Imię Ważne jest obliczem losu. Mówi ono, jak przyjdzie śmierć. Na przykład Flued znaczy „Od wody”, Udarvan „Od pioruna”. Nie zanotowano odstępstwa od reguły Imion Ważnych. Gdyby zaszło, pamiętano by o tym przez pokolenia.

Ale jedno Imię Ważne dla mieszkańców Superświata Zero? Co mogłoby mówić o śmierci każdego z nich, aby informacja ta była wspólna dla wszystkich, prawdziwa dla wszystkich?

Ono musi brzmieć: „Umrzesz!” Tylko ta informacja jest wspólna dla każdej śmierci.

Podsumuj: jeśli istnieje Superświat Zero (czyli o numerze $N = 0$), to jest on jednorodny, a nie rozdzielony na Krainy, w których każdy człowiek obowiązkowo spędza fragmenty swojego życia. Każdy w dowolnym czasie może przebywać w dowolnym miejscu Superświata Zero. Po drugie, nikt nie wie, od czego umrze; wie tylko, że umrze. Co ty na to, Dave? Podoba ci się taki świat?

Właściwie to nie jest istotna różnica... – pomyślał Gavein. – Imiona Ważne zawierają przecież tak ogólną informację o śmierci człowieka, że nic nie da się z nich wywieść. Dopiero po fakcie staje się jasne, że Reguła Imion Ważnych została spełniona. A liczba Krain? – Gdyby nie trzeba było się przemieszczać, życie niewiele by się zmieniło. Jednak jak jest, jest ciekawiej... Każdy podróżuje, poznaje nową Krainę, nowy styl życia... Gdyby ludzie nie musieli co trzydzieści pięć lat przenosić się, wielu nie wychyliłoby nosa poza swoje progi. Łatwo sobie wyobrazić ciemnotę takich zasiedziazków!

Spoważniał. Gdyby nie musieli przenosić się z Lavath do Davabel, to Ra Mahleine nie podróżowałyby statkiem więziennym. Nie bito by jej. Nie zachorowałyby na raka. Byliby zwykłym, szczęśliwym małżeństwem...

Pistolet działał. Gary wypróbował go na odległym wysypisku śmieci. Złożył w komisariacie oficjalne podanie o broń. Cukurca zaopiniował je pozytywnie – do stwierdzenia zaburzeń psychicznych, na przykład manii prześladowczej, potrzebna była opinia psychiatry, ostatecznie pobicie zaś pozostawiło ślady na twarzy Gary’ego.

Kiedyś Daphne wysłała go do Kaftanów po chilli.

Jutta poprowadziła go aż do kuchni. Długo szperała w szafkach. W odróżnieniu od Margot miała na ogolonej głowie pozostawiony szeroki pas włosów od czoła do potylicy. Splatała z nich cienki warkocz opadający na barki.

– Zobacz, Gary, nasz nowy nabytek – powiedziała życzliwie. Gdyby nie dziwny sposób ubierania się i czesania, obie dziewczyny były normalne, nawet miłe.

Poprowadziła go do salonu. W kącie stał wysoki zegar z mosiężnymi kolumnkami i niebieską ceramiczną tarczą. Poczul zimne ukłucie w serce.

– To prezent, bonifikata od Morlocka – pochwaliła się. – Zaliczyli nas do najlepszych klientów i dali go gratis. Ta niebieska tarcza jest taka wesoła. Jakby się do nas uśmiechała, no nie?

Dla Gary’ego był to co najwyżej szyderczy grymas trupiej czaszki. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś dostał prezent od Morlocka. Zmilczał jej słowa.

Pozytywna opinia Cukurcy wystarczyła, aby Gary otrzymał pozwolenie na broń. Zamierzał trenować na policyjnej strzelnicy. Niestety, jego pistolet nie otrzymał licencji. Pomimo mrówczej pielęgnacji, czyszczenia i polerowania, groził bardziej strzelcowi niż temu, do kogo celowano. Broń skasowano, ale Cukurca ułatwił Gary’emu zakupienie z policyjnego demobilu pistoletu Lupar Attac, potężnej piętnastostrzałowej maszyny.

Gary opłacił kurs strzelania. Codziennie, jeśli nie był w trasie, spędzał dwie godziny na policyjnej strzelnicy. Daphne przesiadywała u niego godzinami, przygotowując artykuł. Dzięki treningom strzeleckim mógł spotykać się z Sabine, ale jedynie bezpośrednio przed, albo po zajęciach. Baloch, instruktor policyjny, twierdził, że Gary robi szybkie postępy, choć on sam uważał inaczej. Celowanie sprawiało mu kłopoty; zez utrudniał prawidłową ocenę odległości. Podczas treningów nie mógł skoncentrować się; myślał o nadchodzącym spotkaniu z Sabine; przemyślał, ile czasu może z nią spędzić, by nie zbudzić podejrzeń Daphne.

Sabine, w miarę jak ją poznawał i zdobywał, okazywała się coraz bardziej interesująca. Ciało miała piękne: zgrabne, szczupłe uda i foremne piersi. Nieco piegów na piecach i dekolcie – ale znacznie mniej niż Daphne. Była bardzo żywa i inteligentna. Gdy przestał zauważać bezbarwne włosy i czerwone oczy, dostrzegł uroczą dziewczynę.

Jasne, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie – Sabine przestaną wystarczać godzinne randki. Gary wiedział, co powinien zrobić, ale z lenistwa albo tchórzostwa, albo jednego i drugiego nie rozmówił się jeszcze z Daphne.

To się nazywa kubel zimnej wody na łeb. Myślę, że moje zapiski można by wydać pod tytułem: „Listy Haigha do Dave’a o Książce, czyli głupota napływająca falami”.

Babcock powiedział mi, że temat jest dość stary. Ma dwieście lat. Zrobił go niejaki Bonacci jr, doktor uniwersytetu w Llanaig. I to zrobił lepiej niż ja, bo moja reguła nie działa dla początku ciągu. Mogłem, do cholery, chociaż tyle zauważyć!

Poprawnie ma być:

1, 1, 2, 3, 5, 8, 13...

Na początku ciągu są dwie jedynki, aby ich suma utworzyła dwójkę. Autor Gniazda światów znalazł tę postać ciągu, bo taką miał do dyspozycji w pracach Bonacciego jr.

Daphne pracowała do białego świtu. Tekst rozrósł się do sporych rozmiarów – będą z tego dwa lub trzy obszerne odcinki. Ciągłe nanosiła poprawki, a najbardziej pokreślone strony przepisywała. Gary nie mógł zmrużyć oka przy stuku maszyny. Musiał tam tkwić. Daphne nie pozwoliłaby mu się położyć. Kimał więc w fotelu; póki starczyło piwa w lodówce, sączył jedno po drugim. Gdy opuszczał powieki, przed oczyma duszy pojawiały się piersi Sabine, potem przestały się pojawiać – pozostało szare zmęczenie, a piwo skończyło się.

Daphne, zgarbiona nad maszyną, marniała w ustach zdania, zwroty; czasem nerwowo coś kreśliła, albo ukrywała pod białym lakierem; to znowu hałaśliwie wkręcała nową kartkę na wałek maszyny. Mimo pozorów siły, była wykończona, ale bliskość celu nie dawała przestać. Błade czoło rosił jej zimny pot.

Świtało już, gdy rozległo się pełne ulgi:

– No!

Spojrzała na niego wesoło.

– Wreszcie to jest... takie – pokazała mu palce ułożone w kółko.

Gary podniósł na nią umęczone spojrzenie spod zapuchniętych powiek. Zdołał nawet rozciągnąć kąciaki ust w imitację uśmiechu.

– Jutro się zacznie. Pewnie dostaniemy obstawę policyjną przed tym gangiem. Pójdę z tym do Cukurcy.

– Pojutrze. To nie zdąży trafić do jutrzejszego wydania.

Zgodnie pokiwał głową. Po ostatnim kiwnięciu nie podniósł już głowy, lecz zachrapał.

Daphne uporządkowała maszynopis, zrzuciła z siebie większość odzieży i wsunęła się pod zimną kołdrę. Trudno usnąć, gdy z każdą minutą dnia coraz więcej, a resztki nocy chowają się po ciemnych kątach. Najpierw dostała dreszczy z zimna; potem męczyło ją uczucie niepowstrzymanego głodu; przez głowę przebiegały natłokiem najróżniejsze myśli; wreszcie straciła kontakt z rzeczywistością.

W redakcji rozmawiała z zastępcą redaktora naczelnego. Artykułu nie przyjęto do druku, to znaczy niby go zaakceptowano, ale redakcja zaleciła tyle poprawek, że trzeba było przysiąść nad nim od nowa. Hipoteza gangu mordującego i rabującego przesiedleńców była dobrze umotywowana, argumentacja bezpieczna – artykuł nie groził procesem. Zarzuty redaktora dotyczyły spraw drugorzędnych: stylu, słownictwa.

Gary stwierdził, że to zwykłe czepianie się. Daphne wściekle rzuciła papierami i zapowiedziała, że nieprędko do tego zajrzy. Musieli jednak szybko się z tym uporać, ponieważ zastępca naczelnego dał im trzy dni, a wkrótce mieli zakontraktowany kurs. Gary wziął papiery do siebie. Rzucił plik kartek na stolik i runął na łóżko. Nieprzespana noc wymaga przespanego dnia i nocy. Spał jak kamień.

Obudził go podejrzanym ruch, krzątanina i swąd spalenizny. Był już wieczór. Gary zerwał się na równe nogi i natychmiast jego szczęka spotkała się z czyjąś rozpędzoną pięścią. Żółty błysk i gwałtowny upadek. Gdy tylko spróbował zebrać się z podłogi, ktoś złapał go za kołnierz i kolejny cios skosił go na ziemię.

– Cholerny skurwielu, jesteś od kierowania ciężarówką, a nie od pisania – dotarło pomiędzy kolejnymi uderzeniami.

Znowu Kaftany... Teraz mnie wykończą... – kołatało w głowie.

Byli metodyczni. Gdy padał, trafiały go kopniaki w żebra lub w uda. Przygniatający ból odbierał chęć obrony. Regularnie ktoś chwycił go za poły pidżamy i kolejny żółty rozbłysk odbierał świadomość.

– Gdzie jest kopia artykułu?!

– Nie ma – odpowiadał zgodnie z prawdą, chociaż powodowało to kolejny cios. – Nie ma kopii. – Żałował, że Daphne nie pisała przez kalkę, zadowoliliby to oprawców.

– Stać, on mówi prawdę – usłyszał zduszony głos. – Bierzemy oryginał i w nogi.

Zatupotały kroki.

Oprzytomniał bardzo szybko. Byle odzyskać tekst. Biegiem do biurka po pistolet. Był tam – napastnicy go nie znaleźli. Wybiegając, odbezpieczył broń.

Eby biegł mu na spotkanie po schodach. Widocznie czegoś zapomniał. Nie miał maski na twarzy. Gary strzelił mu w brzuch. Eby machnął bezradnie ręką i zrobił minę, jakby się czemuś dziwił. Gary potrącił go łokciem, by szybciej upadł, następnie zbiegł na sam dół. Kopniakiem wyważył drzwi do mieszkania na parterze. Stac i ten trzeci na jego widok zerwali się. Zdążyli schować maski.

– Rozwalę was, cholerni skurwiele! – wrzasnął Gary. – Oddać tekst! Oddać artykuł! – wycelował w Staca.

– Jaki tekst? Co ty, Gary? – Stać zzieleniał jak jego kaftan. Był na muszce. Gary'emu chyba zsunął się palec po cynglu, bo huknął strzał. A za nim cała ich seria. Stac złapał się za pierś i upadł na kolana. Potem na twarz.

Wbiegła Margot z kuchni. Kula trafiła ją w pół kroku. Świsnęło jeszcze kilka kul: Jutta nie zdążyła wczolgać się za fotel. Ostatni z Kaftanów dostał trzy kule: w głowę, w szyję i w rękę.

Zdumiony Gary patrzył na pistolet. Poszło za łatwo. Kiedy naciskał spust? Kiedy mierzył?

Odrzut broni był tylko częściowo kompensowany – czułby przecież, że strzela! Pamiętał jeden strzał: na schodach do Eby'ego. Nic więcej! Stał ogłupiały, gapiąc się na broń. Na ulicy rozległy się sygnały policyjne. Ktoś go obezwładnił. Ktoś odebrał mu broń. Ktoś inny założył kajdanki.

Gary czekał w areszcie do wieczora. Przesłuchanie przeprowadził Cukurca. Znowu nie uwierzył w zeznanie Gary'ego.

Gary znowu oberwał fachowo, bez śladów. Wszystkie materiały do artykułu przepadły. Sam tekst spłonął od papierosa. Wypaliła się nawet dziura w wykładzinie.

Cukurca wprawdzie wątpił w to, że Gary mógł tak sprawnie wystrzelać sąsiadów, ale wstrzymał się z opinią do czasu ekspertyzy balistycznej. Z drugiej strony, zeznanie Gary'ego brzmiało niezbyt prawdopodobnie. Na szczęście znaleziono większość wystrzelonych kul. Gary twierdził, że strzelił do Eby'ego raz, tymczasem odkryto trzy postrzały: w brzuch, w środek czoła i w klatkę piersiową. W sumie padło jedenaście strzałów. Magazynek policyjnego pistoletu Lupar Attac mieści piętnaście kul, w magazynku pistoletu Gary'ego pozostały jeszcze cztery.

Gary chciał skontaktować się z Daphne, ale okazało się to niemożliwe. Podobno po jego aresztowaniu, Sabine zadzwoniła do Daphne, nie wiedząc, co go z nią łączy. Romans ujawnił się i Daphne nie chciała znać Gary'ego.

Przyznaję, nie mogłem spać przez wzór Bonacciego jr. Autor Gniazda światów korzystał z niego, zatem mógł wymagać sensowności Superświata Zero oraz Superświata „-1”. O ile z Superświatem Zero nie było kłopotów, o tyle Superświat „-1” (wymagany pierwszą jedyneką ciągu Bonacciego) wydaje się pozbawiony sensu. Ze wzorów – wychodzą dziwactwa: liczba Krain w Superświecie „-1” wynosi zero. Liczba Imion Ważnych w Superświecie „-1” będzie $12^{-1} = 1/12$. Też bzdura! Wynika z tego prosty wniosek: autor Gniazda światów tak ustalił reguły, aby Superświat „-1” był błędem logicznym!

Gavein odgiął drugą część notatki.

Haigh dokleił taśmą drugą kartkę napisaną później, może tego samego dnia, a może po prostu dlatego, że tworzyły ciąg logiczny.

Babcock załatwił mi dostęp do wydziałowego komputera. To znaczy do biblioteki procedur, dostępnych tylko dla rekinów. Mnie, plotce, nawet bez tytułu bakałarza...!

Po niespełna trzech kwadransach miałem wzór na długość pobytu w Krainie.

Liczba lat pobytu w Krainie = $140/(N + 1)^2$.

Z dobrą dokładnością zgadza się z długościami pobytów w kolejnych Krainach dla każdego stopnia zagnieżdżenia; normalnie, pobyt wychodzi trzydzieści pięć lat. Jak należy!

A dla Superświatów?

Dla Superświata Zero wychodzi sto czterdzieści lat, co nie jest głupie, bo jeśli spędza się całe życie w jednej Krainie, to liczba lat pobytu musi być równa całemu życiu. A kto słyszał, żeby ktoś przeżył aż tak wiele lat?

Dla Superświata „-1” liczba lat pobytu jest nieskończonością.

Jednakże, we wzorze Bonacciego jr. siedzą na początku aż dwie jedynki – by idąca po nich dwójka spełniła przepis. Nie mogę tego zignorować!

Powtórzę więc analizę, może wyjdzie cenniejsza niż w pierwszym podejściu: liczba Imion Ważnych wychodzi $1/12$, ale nie może być ułamkowej liczby Imion, więc może należy to przybliżyć do najbliższej liczby całkowitej? Oznacza to zero Imion Ważnych dla Mieszkańca Superświata „-1”. To spekulacje, ale napiszę, co wymyśliłem.

Najpierw: Imię Ważne oznacza drogę, jaką przyjdzie śmierć do mieszkańca świata.

W Superświecie Zero imię jest jedno: „Umrzesz!” Oznajmia, że Mieszkaniec jest śmiertelny. Zero Imion Ważnych oznacza, że Mieszkaniec Superświata „-1” nie jest śmiertelny, bo nie ciąży nad nim Imię Ważne. Nie wynika z tego, czy się urodził, czy może istniał zawsze. Piszę: „Mieszkaniec” (dużą literą, bo jeden), a nie „mieszkańcy”, gdyż jest to dalszy wniosek z rozważań bezsennej nocy.

Drugi wniosek: Liczba Krain, w których musi przebywać Mieszkaniec Superświata „-1”, wynosi zero. Zastosowałem rozumowanie podobne jak poprzednio, to znaczy: normalnie przebywa się po kolei w czterech Krainach, jedynie śmierć zwalnia z tego obowiązku. Każdy mieszkaniec Superświata Zero może przebywać w całym świecie w dowolnym wieku, nie ogranicza go obowiązek zamieszkiwania w jakiejś konkretnej Krainie – Subświecie, bo takich tam nie ma. A ponieważ liczba Krain obowiązkowych w Superświecie „-1” wynosi zero, to jego Mieszkaniec nie musi przebywać w świecie, może przebywać poza nim. Współgra to z nieskończonym czasem przebywania w Krainie.

(Zero Krain może sugerować, że Czytelnik z Superświata „-1” wypełnia sobą Wszechświat, może jest Wszechświatem. Choć nie, przecież Wszechświat jest zaledwie biernym zbiorem przedmiotów...)

Nie zdołałam przeniknąć, dlaczego pozostawił liczbę Imion Ważnych ułamkową, lecz większą od zera. Może Czytelnik z Superświata „-1” jakoś otarł się o śmierć?

Do notatek przyklejony był jeszcze jeden zabazgrany karteluszek. Gavein wyteżał wzrok, odcyfrowując niewyraźne robaczki:

Ostatni wniosek: W obu Superświatach jest tylko jedna wersja książki z zagnieżdżonymi światami niższego rzędu. Solidny pień! Znaczy to, że świat, w którym żyję, nie ma równo zagnieżdżonego odpowiednika.

Gary'ego powiadomiono, że Daphne Casali zaginęła w czasie kolejnego kursu. Stracił jedyne świadka. Cukurca mógł poświadczyć jedno z pobić Gary'ego, w pozostałe nie wierzył. Dokumentacja zebrana do artykułu spłonęła razem z jego tekstem. Znalaziono osiem kul w mieszkaniu i dwie na schodach. Wszystkie pochodziły z pistoletu Gary'ego.

Rozprawa sądowa potoczyła się zgodnie z przewidywaniami. Sąd uznał, że wszystkie strzały oddał Gary. Znakomitą celność zdobył na strzelnicy policyjnej. Zadecydowała tu opinia Balocha. Redaktor dziennika nie potwierdził, że Daphne usiłowała złożyć jakiś artykuł, chociaż pamiętał dawną rozmowę i propozycję napisania takiego artykułu. Nie miał żadnego zastępcy.

Nawet adwokat Gary'ego nie wierzył w zaginiony tekst. Zresztą, nawet gdyby było to prawdą, to Gary przeprowadził na wszystkich podejrzanych samosąd.

Uznano go winnym pięciokrotnego morderstwa najwyższej rangi. Sąd nie dał wiary, że Gary został uprzednio pobity przez sąsiadów. Wyrok mógł być tylko jeden: pięciokrotne dożywocie. Do Tolz miał wyruszyć już tylko w jeden kurs: transportem więziennym po ukończeniu przepisowego okresu piętnastu lat, sześciu miesięcy i dwóch dekad. Jego mienie zlicytowano, a uzyskaną kwotę przeznaczono na częściowe pokrycie kosztów odbywania kary. Przepadek mienia spowodował, że Gary nie miał za co wnieść odwołania od wyroku. Pięciokrotne dożywocie oznaczało, że nie wyjrzy z więzienia do końca życia. Kolejne złagodzenia kary mogły tylko zmniejszyć krotność dożywocia.

W miejskim więzieniu dostał podwójną celę. Nie było źle: Gdy postawiło się taboret na stole i wspięło na niego, przez nieszczelne blindy z przerdzewiałej blachy widać było fragment ulicy, mizerny trawniczek, okratowane drzewko, czasem przechodnia – jeśli miało się szczęście – to kobietę.

Współlokatorem był niejaki Garbas, recydywista. Gary mówił na niego Gruby. Po dwóch miesiącach dokładnie obgadali już wszystkie sprawy. Garbas był oszustem podatkowym. Dostał karę minimalną, tzn. do dnia wyjazdu, co dla niego wynosiło trzy lata. W Tolz mógł zacząć nowe życie. Przy przestępstwach podatkowych nie następował przepadek mienia.

Kiedys jednak Gruby powiedział coś nowego.

– Twoja sprawa była robiona – mruknął. W upalny dzień, w celi panował zaduch. Garbas był tłusty, pocił się intensywnie, sapał, ale nieustannie podjadał. Za drobną opłatą strażnicy kupowali mu dodatkowe jedzenie. Gary nadstawił ucha.

– Zrobili to tak – wywodził Gruby. – Pobicia były zainscenizowane. Napastnikom nigdy się nie przyjrzałeś.

– Mieli pończochy na twarzach – kłapnął Gary. Żuł skórkę czarnego chleba.

– Właśnie. Specjalnie podkreślali imiona albo nazwiska, żebyś skojarzył je z Kaftanami.

Gary kiwał głową z powątpiewaniem.

– Zostawiłeś otwarte drzwi, kiedy wpadłeś do Kaftanów. Sprawcy strzelali z korytarza, spoza ciebie.

– Kule były z mojego pistoletu.

– Kule były z takiego samego pistoletu. Lupa ma wymienną lufę. Strzelali z innego egzemplarza. Potem lufy wymieniono. Ty strzeliłeś tylko raz: do Eby'ego. To ta brakująca kula. Po całej jatce, gdy nadal byłeś ogłupiały, ktoś dostrzelił Eby'ego.

– To co robił Eby na schodach?

– Może usłyszał odgłosy bójki i biegł ci z pomocą...?

Dumny ze swej przenikliwości Garbas pochłaniał hamburgera. Miał nieprzyjemne, wodniste oczy. Ketchup kapał mu z kącika ust.

Gary wyciągnął się na pryczy. Ręce podłożył pod głowę.

– Z pomocą – powtórzył cicho. – A ja go tak...

Milczeli chwilę.

– Ale po co? – Gary musiał podnieść się, bo plecy już kleiły się od potu. – Po cholere tyle starania? Żeby udupić jednego nic nie znaczącego faceta? Bez sensu.

Garbas otworzył puszkę piwa Samotny Żagiel. Duszkiem wypił połowę. Sapnął i wytarł rękawem usta z piany i resztek keczupu. Cicho beknął i rozpakował następnego hamburgera.

– Nie byłeś nic nie znaczącym facetem – rzucił, gdy uznał, że wzbudził już wystarczające zainteresowanie. Umilkł, natarczywie gapiąc się na Gary'ego. Jego wzrok był jeszcze bardziej nieprzyjemny niż zwykle. Bardzo wolno sączył piwo.

Gary usiadł na pryczy, splatając gołenie.

– Gadaj, Gruby. Nie możesz pić tego piwa bez końca, bo wystygnie ci hamburger.

– Myślę, że chodzi o te przedmioty, o amido, o ten zegar. Może oni odbierają przesiedleńcom wszystko, czego nie zdążyli spłacić... Mienie pozostaje w Mougarrie. Ktoś następny kupi to na kredyt. Gospodarka sprawnie funkcjonuje. Sprawa jest cholernie poważna, skoro posunęli się tak daleko, aby udaremnić opublikowanie twego artykułu.

– Myślisz, że zabili Bolyów?

– Nie wiem. Raczej nie. Ta krew w amido nie musiała tego oznaczać. Za siedem lat przeniosę się do Tolz, ale nie będę próbował dowiedzieć się, czy Spig i Suzi Bolye żyją. Dziwisz mi się?

– Ani trochę. Zawsze byłeś małym gnojkiem, Gruby – rzucił Gary. Brzmiało zabawnie, bo Garbas przerastał go o głowę.

– Małe gnojki żyją dłużej. – Bładoniebieskie tęczęwki Garbasa niemal nie różniły się od białek jego oczu. Na jego paskudną gębę wylazło coś podobnego do uśmiechu.

Pomysł raz wymyślony zaowocował obsesją. Nie mogę inaczej patrzeć na rzeczywistość, jak na akcję toczącej się książki. Ale dni płyną monotonnie, jakby akcja toczyła się gdzie indziej. Przynajmniej lektura wciąga.

Dzisiaj znalazłem na marginesie notatkę Wilcoxa: „Nasz świat to książka. Ja, Dave oraz Haigh jesteśmy alter ego autora”.

Trafił. Tylko z tym alter ego przesadził! Mądry facet był z tego Wilcoxa, chociaż się wcześniej nie ujawniał.

Jeśli książka jest światem zagnieżdżonym, to czytelnik napędza w nim czas. Gdy przestaje czytać, czas przestaje płynąć. Ale jak zatrzymać czas? Może to rodzaj półsnu-półjawy mieszkańców, rozpamiętujących wspomnienia? Ile mogą przeżyć, prócz tego, co napisano w książce?

Razem z poprzednią, spomiędzy stron wysunęła się druga zakładka, kolejna notatka. Nie była datowana, może przypadkiem się tu wplątała.

Twórcą świata zagnieżdżonego jest jego autor, czytelnik zaś wprawia w ruch świat zagnieżdżony. Mieszkaniec Superświata „-1” jest nieśmiertelny i wszechobecny, zatem rozsądnie jest przyjąć, że jest jeden, bo gdyby było ich więcej, to nie mogliby być wszyscy naraz wszechobecni. Skoro jest jeden, to jest zarazem Autorem, jak i Czytelnikiem Superświata „-1”.

Może mieszkańcy światów o numerach bardzo wysokich też nie są ludźmi...? Może to istoty prostsze, jak bakterie...? – zastanawiał się Gavein. – Może dlatego mogą rozmnażać się bardzo szybko, w czasie pobytu w jednej Krainie...? Jeśli tych Krain jest bardzo wiele, to każda z nich musi być mała. Cały glob upodobni się do tkanki biologicznej o komórkach-Krainach, w których przebywają bakterie – bohaterowie powieści.

Imię Ważne staje się jakby nicią z kolejnymi informacjami, przypominającą – jak powiedziała Linda – polipeptyd. To jakby Kod Śmierci, odgrywa bowiem dokładnie przeciwną rolę co pełna informacja genetyczna o istocie żywej, Kod Życia.

A może to nieporozumienie słowne? Wystarczająco długi Kod Śmierci niesie tyle wieści o zgonie właściciela, że zawiera pełną informację o jego budowie fizycznej? Może więc nie należy rozróżniać Kodu Życia i Kodu Śmierci? Może to ten sam Kod...? Nie wiem, jak daleko wolno snuć analogie. Szkoda, Haigh, że nie żyjesz... Ja też coś wymyśliłem. Teraz nie mam z kim pogadać... Ra Mahleine zmusza mnie do czytania. Nie chce nawet słowa zamienić na inny temat.

W świecie Jaspersa brak wspólnej skali czasu dla wszystkich Krain, to znaczy, nie ma drogi wiodącej od Krainy do Krainy tak, aby czas wędrującego nią płynął ze stałą szybkością. W Światach o wyższych numerach tak samo.

W świecie Gary’ego i Sabine są nici wspólnego czasu, dzięki którym można skalować czas w poszczególnych Krainach.

U nas istnieją płaszczyzny wspólnego czasu, wyznaczone przez wysokość nad poziom kontynentów. W samolocie lecącym na stałej wysokości czas płynie ze stałą prędkością.

Podsumowując: w świecie numer 3 są punkty wspólnego czasu; w świecie numer 2 linie wspólnego czasu; w zwykłym świecie płaszczyzny wspólnego czasu, czyli w Superświecie Zero przestrzeń wspólnego czasu (cała albo przynajmniej jej wielkie objętości).

Aby jednorodność czasu dla Superświata „-1” jeszcze wzrosła, czas w nim nie powinien

wcale płynąć. Wniosek dziwny, ale spójny z poprzednim, bo najłatwiej być jego Mieszkańcowi nieśmiertelnym, jeśli czas nie płynie.

O ile mieszkańcy hipotetycznego Superświata Zero mogą być podobni do nas, o tyle jedyny Mieszkaniec Superświata „-1” jest zarówno Autorem, jak i Czytelnikiem, czyli Twórcą i zarazem Animatorem, jest nieśmiertelny, poza czasem, oraz jest wszędzie, na nim kończy się hierarchia autorów i bohaterów książek. Jest więc ze wszech miar wyróżniony.

Gdy Dave wróci, pogadam z nim o Superświecie „-1”. Lailli to nie interesuje, a Magdalena jest słaba i schorowana. Dzisiaj idziemy odnowić stare znajomości. Nie sądzę, żeby Glicha, Petruk czy Fasola mieli cokolwiek ciekawego do powiedzenia, ale warto ich zobaczyć po długiej przerwie.

To była ostatnia notatka Haigha. Gavein odłożył książkę, wystukał numer policji. Zgłosił się Medvedec. – Cześć Frank. Tu mówi Śmierć.

– Przestań z tym, Throzz. I tak mam z tobą dość kłopotów. Nie musisz jeszcze głupawo żartować. O co ci chodzi?

– Chyba jestem lepszy od ciebie w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych.

– Pewnie. Bo sam je układasz.

– Nic nie układam. Mam ważną poszlakę dotyczącą śmierci Lailli Hougassian, bk i Haigha Eislera, C.

– Zasuważ. Włączam magnetofon.

– Znalazłem notatkę Haigha, w której wspomina o spotkaniu ze swoją starą paczką. Czytał książkę i wsuwał do niej kartki z zapiskami, a to jest ostatni zapis. Na spotkanie miał pójść z Laillą.

– W międzyczasie wyciągnąłem z kartoteki jego paczkę. Przerzedziła się. Hans Hartnung nie żyje...

– On miał się widzieć z Gliczą, Petrukiem i Fasolą.

– W porządku. Przyślę kogoś po tę kartkę.

– Nic z tego. Potrzebuję jej.

– To przyjedzie ktoś z fotokopiarką i zostanie ci kopia dobrej jakości. W porządku?

Gavein nie sprzeciwił się.

Stan Ra Mahleine pogarszał się szybko. Nie opuszczała łóżka. Na wychudzonej i poszarzałej twarzy tylko oczy nienaturalnie błyszcząły. Już nie pomagało, jak czytał książkę. Nieznana siła domagała się teraz jej życia. Gavein wiedział o tym.

Domysły i spekulacje liczbowe Haigha zmieniły się w pewność Gaveina. Irytowało go nawet, że pomimo tylu mocnych argumentów, Haigh pozostawia większość wniosków w formie przypuszczeń, wręcz odsuwa je do późniejszej dyskusji. – Gavein, poznając zgrabną teorię, nie potrafił oprzeć się jej urokowi. Dla niego jasno wynikał z nich obsesyjny wniosek, że jego świat też został zagnieżdżony w świecie większym, obszerniejszym, może bardziej różnorodnym. Ciąg światów, zawartych w tej książce, nie kończył się na jego świecie. On sam był jej głównym bohaterem, dlatego nazwali go Śmiercią. Wydarzenia biegły ze szczególną wyrazistością w jego sąsiedztwie, a reszta była tylko bladym wspomnieniem, czyjaś wzmianką. Świat toczył się tylko wtedy, gdy był czytany. Gdy nieznany czytelnik odkładał książkę, wszystko spowalniało – przecież wtedy nie mogło wydarzyć się nic naprawdę ważnego.

Jestem tekstem. Jakoś mogę z tym żyć. Nie przeraża mnie to. Właściwie to niewiele zmienia – pomyślał.

– Weź mnie za rękę – powiedziała cicho Ra Mahleine.

Usiadł obok niej na kanapie i rozplakał się.

Ra Mahleine też miała łzy w oczach.

– Nie chcę umierać. Tak długo czekałam na ciebie, a tak krótko byliśmy razem.

– Ja nie chcę żyć, gdy ty umrzesz.

Wtedy znalazł rozwiązanie. Nie bacząc, że zachowuje się dziwacznie, podniósł głowę do góry i zaczął:

– Mówię do ciebie. Właśnie do ciebie, który teraz masz tę książkę w dłoniach. Przestań ją czytać! Bardzo cię proszę. Odłóż ją. Ra Mahleine, którą kocham, jest śmiertelnie chora i nie ma dla niej ratunku. Gdy czytasz, losy mojego świata nieuchronnie biegną ku jej śmierci. Jeśli odłożysz *Gniazdo światów*, wszystko tutaj zastygnie w półistnieniu... Tak jest dla nas najlepiej. Ja chcę, żeby ona żyła. Chcę być z nią. Daj nam tę szansę!

– Gavein, do kogo ty mówisz? Ja tu nikogo nie widzę. Przecież jestem przytomna. Powiedz, że jestem przytomna.

Ra Mahleine słabo uściśnęła jego dłoń. Ciało miała rozpalone gorączką.

– Byłeś świadkiem tylu śmierci w Davabel. Czy ci nie dość?

– To Scholl? Czy to Scholl przyjechała? Powiedz jej, żeby mi zrobiła zastrzyk. Znowu czuję Czerwoną Łapę.

Przez okno wpadał blask zachodzącego słońca, lecz cień kładł się mrokiem na twarzy jego ukochanej kobiety.

– Mój świat to ostatni kryminał! – wypalił Gavein. – Czego chcesz więcej? Zagadka wyjaśniła się przecież...

Epidemia zgonów była następstwem tego, że czytałeś; gdy przerywałeś, nikt tu nie umierał. Tak z pewnością jest!

Ja nie zwariowałem jak Wilcox.

Rysy twarzy Ra Mahleine ogarniała bladość.

– Gavein, jestem sama. Mów do mnie. Potrzebuję tego.

– To nie jest moja paranoiczna kreacja rzeczywistości. To musi być książka! – Kiedy krzyczał, cichły własne wątpliwości. – Dla fabuły łamią się wszystkie reguły. Przecież Ra Mahleine to *Aeriella*, a umiera na raka jak *Intralla*.

Gavein ścisnął słabnącą dłoń Ra Mahleine.

– A co myślisz? Twój świat to też książka w dłoniach nieznanego Czytelnika. Gdy czyta, dzieją się losy twojego świata, toczy się historia. Czasem śmierć jakby krąży wokół ciebie, biorąc z sobą bliskich i znajomych. A to ledwie przeszedł obok ciebie Główny Bohater.

– Pomogło mi. Zastrzyk mi pomógł. Już mnie nie boli – Ra Mahleine wlepiła w niego wielkie błękitne oczy. Pozostał w nich tylko żal.

– Jeśli to książka, odłóż ją, zanim zerkniesz na następne stronicę... Ona będzie zawdzięczać ci życie, a ja szczęście!

– Kocham cię, Gavein – szepnęła Ra Mahleine.

Epilog

Jej oczy powoli zachodziły mgłą, a dłoń stygła. Ostatni raz pocałował ją w usta, następnie lekko palcami zamknął powieki.

– Chcesz poznać to do końca? Proszę bardzo... Będziesz miał jeszcze jeden przypadek.

Podszedł do czerwonego telefonu i podniósł słuchawkę.

– Z prezydentem. Mówi David Śmierć.

Po chwili zabrzmiał ochrypły głos prezydenta:

– Tak, słucham.

– Moja żona nie żyje. Nie udało mi się utrzymać jej przy życiu.

– Przykro mi, panie Throzz.

– Tak. Rozwiązałem zagadkę epidemii zgonów.

– Co było przyczyną?

Ujawnić światu, że jest kryminałem czytany przez kogoś przypadkowego? A jeśli zbyt łatwym do rozwiązania? – uśmiechnął się gorzko. Skrywając to, wyświadczy innym przysługę.

A jeśli to wszystko nieprawda? Zabawa z liczbami opisana przez Haigha to tylko jego zwykły żart, psikus, jakich robił dziesiątki? A ja dałem się opętać obsesji i zagłębiając się w paranoję jak Wilcox?

– Throzz, jest pan tam?!

– Tak. Przyczyną jest Los. – Tak Wilcox nazwał kiedyś głównego bohatera.

– Ma pan na myśli przypadkową fluktuację prawdopodobieństwa?

– Ta fluktuacja jest nieprzypadkowa. Epidemia skończy się, gdy ja przestanę żyć. To jest jedyne rozwiązanie.

A jeśli w Superświecie „-1” jest Biblioteka, w której stoją wszystkie *Gniazda światów* bez względu na stopień zagnieżdżenia? A obok, gdzieś na jednej z półek, Katalog, może nawet porządna kartoteka bohaterów? Lista wszystkich bohaterów ze wszystkich książek.

Jeśli książka może być światem, to dlaczego Kartoteka nie może być miejscem szczęśliwym, gdzie wszyscy oni mogą się spotkać i ze sobą rozmawiać? (Choćby kiedy Bibliotekarz przejrzy

Katalog). Gdzie Jaspers z Sabine i Garym popijają piwo, a kot Roan śpi na stole obok ich kufli. Tam spotkam Ra Mahleine! – nerwowo przetarł czoło. – To nie obłąd – pomyślał. – Przecież to nie jest bardziej szalone niż odkrycia Haigha.

Może tak być! Reguła Imion Ważnych została złamana, bo Ra Mahleine zmarła jak *Intralla*, nie jak *Aeriella*. Może więc nie ma nieuchronnej symetrii: niebyt – cztery inkarnacje – niebyt?

– Panie Throzz!

– Tak.

– Są zaniki fonii.

– Jest w porządku. Linia działa bez zarzutu. Decyduję się popełnić samobójstwo. (Pomyślał: Tylko tak umknę czytelnikowi ze Świata Zero. Umknę wprost do Kartoteki).

– Nie możemy się sprzeciwić, ale proszę nie żądać, żeby pana zabito. Doświadczenia niesławnej pamięci Komitetu Obrony dowiodły, że to niemożliwe. Śmierci nie można zabić.

– Spróbuję popełnić samobójstwo, ale oczekuję waszej pomocy. Chodzi o techniczne rozwiązanie całej sprawy. Moje Ważne Imię brzmi *Aeriel*. (Pomyślał: Jakie to ma znaczenie, skoro reguła Imion Ważnych już raz została złamana?)

– Nikt nie będzie pana bombardował ani strzelał do pana z powietrza – powiedział prezydent. – Nawet na pańską prośbę. Ja się na to nie zgodzę.

– Mam lepszy plan. Dostarczy mi pan śmigłowiec. Jeden z trzech ostatnich, jakie pozostały lotnictwu wojskowemu Davabel.

– Otrzymaliśmy już z fabryki trzy nowe maszyny. Lotnictwo ma całą eskadrę.

– Nieważne. Śmigłowiec opuści sznurową drabinkę, ponieważ nie ma gdzie wylądować. Ja wejść po niej na pokład i wyskoczę z większej wysokości.

– Zgoda. Śmigłowiec zaraz wystartuje. Proszę czekać na środku ulicy, dobrze widoczny dla pilota. Niezwłocznie wyśle ambulans po zwłoki pana żony.

– Będę czekał. Mam jeszcze jedną prośbę.

– Słucham.

– Proszę na zawsze zamrozić ciało mojej żony.

– Rozumiem, że to warunek konieczny dla pańskiego samobójstwa.

– Tak. To jest żądanie. – Gavein rozumiał intencję prezydenta.

– Dobrze. Rozmowa jest rejestrowana i moja decyzja ma moc prawną: Z funduszy rządowych zostanie wydzielony kapitał i zdeponowany w Banku Davabel. Procenty z niego pokryją koszty przechowywania ciała pańskiej żony. Pańskie zwłoki umieszczone zostaną razem z nią. Zgoda?

– Tak. Proszę wysłać śmigłowiec. Nie chcę być przy tym, jak ją będą wynosić.

– Śmigłowiec zaraz będzie.

– Proszę pozdrowić pułkownika Medvedca.

– Medvedec nie żyje. Zmarł na zawał serca. Proszę czekać na śmigłowiec.

– On też – Gavein westchnął. – Medvedec lubił piwo?

– Pojęcia nie mam, panie Throzz – zachnął się prezydent.

Spojrzał na Ra Mahleine. Wyglądała, jakby zdrzemnęła się na chwilę.

Niebo było bezchmurne. Budynki rzucały w zachodzącym słońcu długie cienie. Czuł się jasny i lekki. Wierzył, że już wkrótce połączy się z nią; tym razem na zawsze. Katalog wyobrażał sobie niemal namacalnie: opasła księga o rogach startych od częstego wertowania, leżąca może nie na półce, może nawet na biurku Bibliotekarza.

Po kilku minutach usłyszał warkot śmigłowca. Ujrzał znany mu już, duży, wojskowy aparat. Tym razem zaczepy uzbrojenia były puste.

Ileż tych dziwacznych maszyn latających ostatnio przewinęło się przez moje życie.

Śmigłowiec zawisł nad ulicą; wzniosł tumany kurzu. Gavein musiał zasłonić oczy. Z otwartych drzwi wychylił się ktoś, spojrzał w dół i wyrzucił sznurową drabinkę. Rozwinęła się w wyprężoną linię.

Gavein z początku miał trudności ze wspinaniem się, bo koniec drabinki odchyłał się na bok, wywracając go w przeciwną stronę. Wyżej było łatwiej, ciężar zwisającej części sznura stabilizował położenie. Starał się nie patrzeć w dół, aby uniknąć zawrotu głowy.

Wreszcie, przy pomocy jednego z lotników wszedł do wnętrza śmigłowca. Potężna i groźna z oddali maszyna, z bliska wyglądała licho: powgniatane, nieoczekiwanie cienkie blachy poszycia; obity lakier, pogieęte wsporniki.

W dole migał kolorowymi światłami ambulans. Śmigłowiec unosił się poniżej obszaru spowolnienia czasu. Aż po horyzont ciągnęły się dachy domów Davabel; jak izolowane wyspy, wyodrębniały się miejsca o wyższej zabudowie. Cały kontynent wyglądał z góry tak samo.

Piloci w lustrzanych goglach i zielonych kaskach patrzyli na niego, oczekując poleceń. Gavein gestem wskazał, by oddalili się od jego domu. Pilot przeniósł maszynę ponad inną ulicę.

Gavein spojrzał w dół. Nie czuł lęku. Wiara, że jest tylko bohaterem powieści zagnieżdżonej w innym świecie i nadzieja na Katalog sprawiły, że poczuł się niezwiązany ze swoim światem.

Byle szybko zginąć, zanim czas zatrze w jego umyśle rysy twarzy Ra Mahleine...

– Tylko mi nie zrób głupiego kawału i nie przestań czytać w tym momencie! – powiedział głośno. Piloci spojrzeli po sobie.

Nabrał głęboko powietrza w płuca i wyskoczył. Skulił ręce i nogi, żeby dodatkowo przyspieszyć i żeby skutek był pewniejszy. Pęd uderzył go w twarz.

Równie mocno uderzyły stare wątpliwości: Do żadnej ze śmierci nie przyczynił się niczym

więcej jak zetknięciem czy kontaktem z daną osobą. Przecież wszyscy w Davabel byli ze sobą powiązani, choćby przez to, że zamieszkiwali w jednej Krainie. Jak pajęczyna pojawiła się w myślach sieć kontaktów międzyludzkich. Jasne, że każdy był ośrodkiem takiej samej sieci.

On Śmiercią? To absurd.

Przed oczyma duszy przelatywały twarze i nazwiska: Bryce, Haifan, Torth, Max, Edda, Saalstein, Thomp, Lorraine, dziesiątki twarzy. Ilu ludzi stykało się z nimi wszystkimi?

Ginę niepotrzebnie. Nic tym nie rozwiążę. Ludzie jak umierali, tak dalej będą to robić. Żadna śmierć nie naruszyła reguły Imion Ważnych. Ra Mahleine zmarła nie jak *Intralla*, lecz jak *Aeriella*, przecież rak skóry został wywołany promieniowaniem.

Jak szalony sekciarz przybliżyłem swoją następną inkarnację, żeby chociaż ta nie była ostatnia... Nic to nie pomoże, nie spotkam Ra Mahleine. Nie ma Superświata Zero, ani Bibliotekarza i jego Superświata „-1”. Nie ma Katalogu! – Myśli biegły w oszalałym tempie.

Dałem się opętać paranoicznym wymysłem, takim samym, jakie wcześniej zniszczyły Wilcoxa. Jakże człowiek mógłby być Śmiercią? Przecież śmierć to zjawisko. Zaraz roztrzaskam się jak robak. Paranoiczna konstrukcja rzeczywistości, która doprowadziła mnie do zguby!

Łupp!! – uderzył w coś z wielkim impetem. Wszystko ucichło, świadomość jednak pozostała. Czuł tępy, mocny ból, ale niewątpliwie żył.

Cholera, nie udało się – westchnął. – Prezydent miał rację: Śmierć nie może umrzeć.

Spróbował poruszyć ręką, potem drugą. Nad głową miał ciemniejące niebo wiosennego wieczoru. Cisza była zupełna – śmigłowiec zdążył odlecieć. Gavein mógł swobodnie poruszać dłońmi i stopami, dalej coś utrudniało ruchy. Rozejrzał się: Wbiło go w dach samochodu. Blacha wgięła się głęboko, amortyzując upadek i ratując życie. Teraz jednak stanowiła pułapkę.

Na łokciach nie mógł się wesprzeć, bo były potłuczone, ale ciągnąc podudziami i wspierając się dłońmi, powoli wypełził ze wgniecenia. Zaraz osunął się po przedniej szybie na maskę silnika. Zabolało tak, że krzyknął. Z maski zlął na chodnik. Mógł stać o własnych siłach, choć plecy bolały, jak rozrywane szczypcami.

Poznał to miejsce: ta sama furgonetka, którą z UN-u przywiózł go Saalstein. Wrócił nią do Ra Mahleine, a teraz uratowała mu nie chciane życie, nie pozwalając uciec.

Machnął ręką, co wywołało nową falę bólu. Rozejrzał się wokoło bezradnie.

– Jednak nie pozwoliłeś mi się wymknąć! Żeby chociaż ta epidemia zgonów ustała. Ale ty też jesteś czytany.

Przynajmniej wiesz, jak to sprawdzić, obserwując otaczający świat.

Z pobliskiej bramy wyszedł fioletowy kot. Spojrzał na Gaveina i utykając podbiegł ku niemu.

– Roan? Ty jesteś Roan?

Kot otarł się o nogawkę jego spodni.

– Czy ja trafiłem do Katalogu?

Gavein przyjrzał się: kotu brakowało kiści lewej, przedniej łapy, ale brakowało też kawałka ucha. Z drugiej strony, czy kot może być tak bardzo fioletowy?

– Roan?

Kot odbiegł parę kroków i zerkał na Gaveina.

Nie pamiętam, żeby tu stały tak gustowne kamienice. A barwy tynku były takie nasycone. Ten bruk taki czysty, kostki tak równo ułożone.

– Mam za tobą iść, kotku?

Kot wrócił, otarł się o nogawkę Gaveina i znowu oddalił trochę. Czekał na kuśtykającego Gaveina. Znudzony ziewnął, wystawiając języczek.

– Dokąd mnie prowadzisz, kotku? Czy to Katalog?

Kot dreptał przed siebie, co chwilę zatrzymując się i zerkając na Gaveina. Prowadził aleją na zachód.

Gavein zmrużył oczy, wypatrując czegoś w dali. Zachodzące słońce świeciło prosto w twarz.

Czy tam daleko na jezdni to fotel? Ktoś w nim siedzi, a obok stoi grupka innych osób? – Nie mógł dostrzec, maksymalnie nawet wyężdżając wzrok.

Gavein szedł coraz szybciej, kulawy kot z trudem za nim nadążał.

Waterloo-Kraków, styczeń 1989 – luty 1992